

Souvenir



Therese Fowler



Therese Fowler

Souvenir

(Souvenir)

Przełożyła Irena Kołodziej

Miłość to obietnica,

Miłość to souvenir,

Raz danego nie zapomnisz.

Zadbaj, aby żył.

John Lennon

Prolog

Z miłości zrobimy nawet to, do czego inaczej nie bylibyśmy zdolni.

1989, sierpień

To, co ROBIŁA, BYŁO NIEWŁAŚCIWE. Ale przecież wszystko było niewłaściwe, prawda?

Wymykała się na spotkanie z Carsonem, choć za trzynaście godzin miała zostać żoną innego mężczyzny. Żoną Briana. Żoną. Briana. Powtarzała w myśli te słowa, kładąc nacisk to na jedno, to na drugie, ale nie czuła w nich sensu, nawet teraz. Mówiły o kimś innym. Tak jakby ona, Meg Powell, miała przestać istnieć, gdy skończy się ślubna ceremonia, a na jej miejscu miała się pojawić jakaś nieznamiona kobieta – pani Hamilton. Może to i lepiej.

Wyszła po ciemku i ruszyła znajomą ścieżką, prowadzącą przez pastwiska do jeziora, cytrusowego gaju i domu Carsona. Za jakiś czas, później, wzejdzie słońce i obudzą się jej siostry, szalenie podekscytowane: dzisiaj ślub Meg! Rodzice znajdą karteczkę z wiadomością, że poszła się przejść, i będą o nią zupełnie spokojni, pewni, że pospaceruje i wróci. Była przecież taka odpowiedzialna. Wzorowa córka. Ich wybawicielka.

A ona cieszyła się, że jest taka. Gdyby tylko mogła uciszyć tę Meg, która wciąż tęskniła za przyszłością, jakiej się wyrzekła. Odwiedziny u Carsona były właśnie po to: żeby ją uciszyć. Przynajmniej ta część jej misji była właściwa, i tak mu to wytłumaczy. Jeśli zna Carsona – a po szesnastu latach bliskiej przyjaźni lepiej znała tylko siebie – przyjmie on niepełną prawdę, nie podejrzewając, że kryje się za nią coś więcej.

Tak by chciała powiedzieć mu wszystko, wytłumaczyć, dlaczego wychodzi za Briana.

Ale w ten sposób naraziłaby swój plan na ryzyko: Carson mógłby zaprzagnąć wszystko naprawić. A przecież gdyby to było możliwe, nie czekałaby teraz na nią w sypialni olśniewająca, jak z baśni, ślubna suknia za cztery tysiące dolarów. Na myśl o sukni, bielejącej niczym widmo na drzwiach szafy, przeszedł ją dreszcz. Przeczytała wystarczająco dużo baśni, aby wiedzieć, że nie zawsze dobrze się kończą.

Carson mieszkał w przerobionej na dom mieszkalny szopie na rodzicielskiej farmie.

McKayowie hodowali cytrusy; ich gospodarstwo sąsiadowało przez płot ze stadniną jej rodziców. Biegący ze wschodu na zachód rząd drewnianych palików połączonych kolczastym drutem chronił plantację przed końmi, ale

nigdy nie stanowił przeszkody dla Meg, jej trzech młodszych sióstr ani Carsona. Kiedy miała siedem czy osiem lat, znaleźli starą drabinę, przepiłowali ją na pół i oparli połówki po obu stronach palika; w ten sposób ułatwiali sobie przejście przez płot. Teraz drabina zniknęła. Nic dziwnego. Przeszła przez płot, uważając, żeby się nie skaleczyć. Trudno by jej było to wytłumaczyć dziś wieczorem.

Kwadrans później wyłoniła się z pomarańczowego gaju i stanęła. W świetle zachodzącego księżyca, jakieś sto metrów od głównego domu, widać było oszalowane na biało ściany szopy i ciemne płaszczyzny okien. Kiedy oboje z Carsonem podrośli, większość czasu spędzali wraz z jego ojcem na odnawianiu domku. W efekcie powstały dwa pokoje na dole i sypialnia na strychu. Nazywali szopę swoim gniazdkiem miłości, nie tylko dlatego, że tu kochali się po raz pierwszy, ale także dlatego, że traktowali ją jak swój przyszły dom. Nie na zawsze – na początek. W planie mieli budowę nowego domu w odległym zakątku farmy, na porośniętym drzewami zboczu wzgórza, gdzie jako dzieci zawiesili huśtawkę z opony dla siebie i dla jej sióstr. Wiele lat później rozesłali tu na ziemi starą końską derkę i posunęli się dotąd, dokąd mieli odwagę bez zabezpieczenia.

Dziś rano celowo – niektórzy powiedzieliby, że to egoizm – nie była zabezpieczona lepiej niż wtedy.

Choć dzień miał być gorący, lekki wiatr i wilgoć nocy sprawiły, że zmarzła. Obcięte dżinsy ledwie okrywały uda, stopy w białych płóciennych tenisówkach zwilgotniały od rosy.

Była bez stanika. Czowała, jak stwardniałe brodawki ocierają się o podkoszulek Carsona, który włożyła na gołe ciało. Złoty łańcuszek – dwa lata temu dostała go od niego na dziewiętnaste urodziny – spoczywał, chłodny, na mokrej od potu szyi.

Zawahała się chwilę, zanim położyła rękę na gałce u drzwi. Pomyślała o tym, co zrobiłby Brian, gdyby się dowiedział, że tu jest, wyobraziła sobie rozczarowanie i zgryzotę rodziców, gdyby zburzyła cały plan, a także to, że być może później będzie nienawidzić siebie jeszcze bardziej – i przekręciła klamkę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wiedziała, że tak będzie. Nie ma potrzeby zamykać drzwi na farmie; wszystko, co ma jakąś wartość, jest na zewnątrz. W przyległej szopie stały dwa nowe traktory, kupione na kredyt hipoteczny: każdy z nich kosztował osiemdziesiąt tysięcy. W stajni parskał rasowy gniadosz pełnej krwi, oczko w głowie Carolyn McKay, która

próbowała w ten sposób zrekompensować sobie fakt, że po Carsonie nie mogła mieć więcej dzieci. Meg знаła wszystkie intymne szczegóły życia McKayów. Kiedy jednak trochę później opuści ten dom, zrobi wszystko, żeby o nich zapomnieć.

Weszła i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Chciała, aby Carson dowiedział się o jej obecności dopiero wtedy, gdy wśliźnie się pod kołdrę. Stała, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Wnętrze wciąż pachniało sosną, impregnowanym drewnem i curry, jedną z ulubionych woni Carsona.

Kiedy już mogła coś dostrzec, ruszyła przez duży frontowy pokój ku schodom, oddzielającym go od kuchni. Zdjęła tenisówki i zaczęła wchodzić po stopniach. Któryś z nich zatrzeszczał pod stopą. Znieruchomiała, nasłuchując, z łomocącym sercem, ale ruszyła dalej.

Przy ósmym stopniu mogła już zajrzeć w ciemność poddasza. Zatrzymała się, próbując wyłowić uchem szmer równego oddechu Carsona. Choć jako dorośli spędzili razem zaledwie parę nocy, jako dzieci spali wspólnie w jednym lub drugim domu mnóstwo razy. Znała go śpiącego niemal równie dobrze, jak własną siostrę Karę. Zanim półtora roku temu pojawił się Brian ze swoimi nieoczekiwanymi oświadczeniami, Carson był dla jej rodziców synem, którego nigdy nie mieli, ona zaś była jak córka dla Carolyn i Jima McKayów.

Wyteęzała słuch, ale jedynym dźwiękiem, jaki potrafiła wyłowić, był szmer lodówki i ćwierkanie kardynała na pobliskim drzewie, zwiastujące bliski wschód słońca. Kuląc się przy kolejnym skrzypnięciu, pokonała pozostałe stopnie i zatrzymała się, usiłując dojrzeć w mroku zarys ciała Carsona na stojącym w przeciwnym kącie łóżku.

– Czy to znaczy, że zmieniłaś decyzję?

Meg podskoczyła jak ukłuta. Carson siedział na niewielkiej dwuosobowej sofie – przynieśli ją kiedyś we dwoje z wyprzedaży majątku hodowcy pomarańczy, który zbankrutował. Nie widziała jego twarzy, ale po głosie poznała, że wcale nie spał.

Och, jak chciałyby powiedzieć: tak. Jej obecność sugerowała dokładnie to, co podejrzewał.

– Nie – odparła cicho.

– To dlaczego...

– Cśśś – szepnęła. Podeszła i wzięła go za rękę.

– Chodź.

Wstał. I zanim znowu zdołał coś powiedzieć, pocałowała go w usta, mocno, głęboko, aż zakręciło się jej w głowie i poczuła przyływ odwagi i determinacji. Nie, teraz już się nie wycofa. Poprowadziła jego ręce ku brzegowi podkoszulka i z dłońmi na jego dłoniach pomogła mu ściągnąć go przez głowę. W chwilę potem leżeli nadzy na łóżku, a pierwszy brzask wydobywał z mroku ich księżycowo błękitnawe ciała.

Ostatni raz. Będzie smakować każdą chwilę, każde wrażenie, dotyk jego pełnych warg, zarys mocnej szczęki, szorstkość ciemnego zarostu, ocierającego się o jej szyję i piersi. Nie zapomni ani jednej chwili, zawsze będzie mogła spojrzeć wstecz i przywołać to uniesienie, zachwyt, ekstazę, z jaką się kochali. Zachowa to wspomnienie jak bezcenny diament, którego nic nie zdoła zastąpić. Zapamięta, jak przywierał do niej gorączkowo, wciskał się w nią, tak jakby od tego zależało jego życie, ich życie, jakby mógł zapewnić im w ten sposób wieczne trwanie.

Później Carson położył się na boku i patrzył na nią, nawijając sobie na palec pasmo jej miedzianych włosów.

– Jaki jeszcze dowód jest ci potrzebny? – spytał. Oczy lśniły mu nadzieją i Meg musiała odwrócić wzrok. Obowiązywała ją przede wszystkim lojalność wobec bliskich; to było oczywiste i bezdyskusyjne. Dla ich dobra musiała wyjść za Briana, pogodziła się z tym, zrobi to, a potem postara się nigdy siebie nie potępiać i nie zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby... Przysięgła to sobie.

– Wiem, jak to wygląda – powiedziała – ale właśnie dlatego nie wyszłoby nam. Za mocno to przeżywamy. Jeśli to jest jakiś dowód, to właśnie na to.

Kłamstwo, to samo, które wcisnęła mu półtora roku temu, miało gorzki smak. Miłość, która wyrosła z dziecięcej przyjaźni i młodzieńczej ciekawości, która, jak widać, przetrwała tyle miesięcy rozłąki, nie mogła być ani szkodliwa, ani zbyt trudna. A jednak to właśnie mówiła.

Usiadł i spojrzał w bok.

– Powinienem być cię wyrzucić, jak tylko otworzyłaś drzwi.

– Nie – odparła, dotykając jego pleców. – Potrzebowaliśmy tego, żeby zamknąć drzwi za przeszłością. – To przynajmniej jest prawda, pomyślała.

Spojrzał na nią przez ramię, mrużąc oczy.

– Uważasz, że jeden szybki numerek wystarczy? – wypluł te słowa z siebie, aż się wzdrygnęła. – Myślałaś, że możesz tu przyjść i oddać mi się, wiedząc, że nie potrafisz się oprzeć, a potem z czystym sumieniem wyjść za Hamiltona? To po prostu nie do wiary. – Wskoczył z łóżka i, odwrócony

tyłem, wciągnął dzinsy.

Jej poczucie winy – a czuła się bardzo winna – równoważyła świadomość dobra, jakie wyświadcza rodzicom i siostrze. Postąpiła właśnie tak, jak mówił. Wstała i włożyła podkoszulkę, chłonąc jego gniew, w pełni słuszny. Potem uniosła ręce do karku i rozpięła złoty łańcuszek.

– Nigdy go jeszcze nie zdejmowałam – powiedziała i zapięła mu łańcuszek na szyi.

Przyglądziła falujące ciemne włosy. Jeszcze raz, ostatni raz go dotknąć, zachować to wrażenie w pamięci ciała.

– Nawet kiedy się z nim...

– Nawet wtedy.

– Wiedział, że to ode mnie?

Skinęła głową.

– W takim razie jest tak samo głupi jak ja – orzekł i odwrócił się do okna, za którym widać było niekończące się rzędy pomarańczowych drzew, szmaragdowych w świetle wschodzącego słońca.

Kochała ten widok. W podnoszącej się porannej mgle ziemia zawsze wyglądała tu jak nowo narodzona. Zanim jednak zapadnie wieczór, ten widok będzie dla niej na zawsze stracony, tak jakby przeniosła się na inną planetę. Z okien apartamentu Briana nie będzie widać życia, do którego została stworzona. Zostanie żoną biznesmena; mężczyzna, którego odtąd zobaczy co rano, nie będzie wysoki i szczupły, o smukłych palcach, które z równą zręcznością zrywały z drzew owoce, przebiegały struny gitary, brały ją za rękę, wkładały jej do ust kawałek pizzy albo zaplatały włosy w warkocz. Kiedy wyjedzie, nigdy więcej nie dotknie Carsona.

Ta myśl była jak cios w żołądek. Jak mogła, jak mogła do tego dopuścić?

Nagle tak mocno zapragnęła cofnąć układ z Hamiltonami, że o mało nie zawahała się w swojej decyzji. Może jeszcze wszystko odwołać, odzyskać swoje życie... Gdyby Carson bardziej nalegał, gdyby próbował ją przekonać, gdyby zapewnił, że wszystko, o czym przecież nie wiedział, że było nie w porządku, obróci się jakoś na dobre, wróciłaby do niego.

Ale on stał przy oknie i zamykał już przed nią serce. Moment przeminął.

Ubrała się, przytłoczona smutkiem, a jednak wciąż z iską zuchwałej nadziei na dnie serca, że zabiera ze sobą jego część, jeśli Bóg czy los okaże się łaskawy. Potem podeszła i dotknęła jego ramienia.

Szarpnął się.

– Lepiej już idź – powiedział. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic. Nie

powinno jej to zboleć – spodziewała się przecież gniewu, złości, a potem chłodu pustego spojrzenia, miała jednak uczucie, że przebijają ostry nóż.

– Dobrze. – Nie pozwoli sobie na płacz.

– Zaraz... poczekaj. – Objął jej twarz dłońmi, nachylił się i pocałował długo, powoli, tak namiętnie i czule, że nie mogła powstrzymać łez. A potem odepchnął ją i mruknął: – Do zobaczenia w piekle.

Część I

Bóg dal nam pamięć, abyśmy mogli mieć róże w grudniu.

James Barrie

1

PAMIĄTKI PRZESZŁOŚCI... MEG NIE CHCIAŁA ICH JUŻ WIĘCEJ. Kiedy jednak w środę wieczorem przekroczyła próg nowego ojcowskiego mieszkania w domu dla seniorów Horyzont, dostała kolejną. Ojciec wyciągnął ku niej plastikową torbę ze sklepu spożywczego.

– Co tam jest?

– Zeszyty z biurka mamy – powiedział. – Weź je, zanim zapomnę. Zapominał ostatnio coraz więcej. Idiopatyczna krótkoterminowa utrata pamięci – tak określił jego stan lekarz, co brzmiało raczej jak gniewne przekleństwo niż rzeczowy termin medyczny. Słowo „idiopatyczna” oznaczało, że nie istnieje żadne konkretne wyjaśnienie tego stanu. Trafne określenie w przypadku Spencera Powella, człowieka, który kierował się w życiu wyłącznie własnymi zachciankami.

Meg wzięła torbę i położyła razem z torebką na stole. To będzie krótka wizyta; miała za sobą dwunastogodzinny dzień pracy. O siódmej rano obchód, do południa dwa porody, batonik na lunch, a potem przez cztery godziny wizyty domowe u pacjentek, obawiających się nacięcia krocza, bólu przy cesarce, rozstępów, długotrwałej czkawki płodu, bolesnych okresów, braku popędu seksualnego po porodzie i samego porodu... Potem kolejne cztery godziny w szpitalu; pod koniec dnia najchętniej padłaby na łóżko. Niezły młyn... A jednak kochała swoją pracę, a przynajmniej jej wyobrażenie.

– No i jak tam dziś było? – Odpieła podtrzymujący włosy klips i potrząsnęła głową, tak by rozsypały się swobodnie po szyi i karku. – Pochodziłeś sobie po domu?

– Pociężne miejsce – odparł ojciec, prowadząc ją do saloniku. Usadowił się w fotelu z podnóżkiem i odchylanym oparciem; co to jest, że starzy ludzie zawsze muszą mieć taki fotel, skrzypiący i rozklekotany, z którym nie potrafią się rozstać? – Dwóch gości ze skrzydła C ma świetny system na wyścigi psów. Chartów.

– Czy to legalne? – spytała, obrzucając go spojrzeniem. Wyglądał jak zawsze rzeško, oczy odzyskały uśmiech, który dawniej nigdy nie gasł – aż do zeszłej jesieni. Włosy, niegdyś jaskrawo-miedziane, posiwiały. Wyglądał z tym bardziej dystygowanie: srebro jest cenniejsze niż miedź. Mimo tej dystynkcji nie zniknął rys ułańskiej fantazji: jego pomysły zawsze wyprzedzały o krok zdrowy rozsądek. Cukier miał kontrolowany na bieżąco,

ale odkąd matka zmarła nagle siedem miesięcy temu, Meg z niepokojem go obserwowała.

Wypatrywała objawów załamania zdrowia, sygnałów cukrzycy: spuchniętych kolan, obrzmienia twarzy, nietypowego zachowania. Cóż, jego zachowanie zawsze było nietypowe i ten czynnik z trudem poddawał się obserwacji.

Inna trudność polegała na tym, że wciąż stawiał jej przed oczami oderwane fragmenty życia matki. Powgniatany chromowany czajnik. Sztywne, wyblakłe błękitne serwetki pod ciasto ze starego kredensu. Różany puder po kąpieli w okrągłym kartonowym pudełku, z okrągłą poduszczką w środku. W zeszłym tygodniu papierowa torebka sosnowych szyszek w powłoce zastygłego, lśniącego wosku. Drobiazgi bez znaczenia, stanowiące niegdyś część życia Anny Powell, które przerwał w jednej chwili nagły skurcz serca – całkiem jakby to był

samochód, który zbyt długo jechał bez oleju.

– Ci goście mówią, że częściej wygrywają, niż przegrywają, no to co się może komuś nie podobać? Ale, ale... znowu odzywa mi się lewa nerka. Wiesz, taki ciągły, jakby tępy ból. Jak myślisz, co to może być?

– Zadzwoń do doktora Aimesa – powiedziała jak zawsze, gdy uskarżał się na coś, co miało związek z nerkami. – I to jutro. Nie zwlekaj.

Wyglądał na zdrowego – ale cóż, matka też tak wyglądała. Co z niej za lekarz? Powinna była zauważyć objawy nadciśnienia, przewidzieć, że rozległy zawał serca jest tuż-tuż. Jak mogła wziąć za dobrą monetę zapewnienia matki, że bierze leki na nadciśnienie, czuje się doskonale i absolutnie nie ma się czym przejmować?

Ojciec zmarszczył z irytacją brwi, jak zawsze, kiedy nie chciała sama postawić diagnozy.

– A ty?

– Kiedy będziesz rodzić, z chęcią ci pomogę. W każdym innym wypadku zwracaj się do doktora Aimesa. – Przypomni mu o tym jeszcze raz, gdy będzie z nim rozmawiać jutro rano.

Mieszkanie było skromne – sypialnia, łazienka, pomieszczenie spełniające funkcje jadalni i saloniku zarazem – ale wygodne, umeblowane głównie nowymi sprzętami. Żeby móc się tu przeprowadzić, ojciec sprzedał farmę wraz z domem i zabudowaniami. Nie znała szczegółów tej transakcji, bo upierał się, że sam się tym zajmie. Zapewniał ją jednak, że może sobie pozwolić na małą modernizację, jak to ujmował.

Meg rozejrzała się, zadowolona, że nie widzi tu zbyt wielu pamiątek po matce.

Wspomnienia są jak wirujące ostrza: niebezpieczne, gdy podchodzi się za blisko. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczai do widoku puste go matczyne fotela na biegunach, stojącego obok fotela ojca. Gdyby tylko ojciec przestał wypluwać coraz to nowe przedmioty z farmy – albo przesyłać je siostrze Meg, które przezornie zamieszkały w innych stanach – kto wie, może potrafiłaby się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Czy była to także jego strategia?

Czy rozdawał rzeczy po to, żeby nie musiał przypominać sobie o stracie za każdym razem, gdy otworzy szufladę czy szafę? On też nie był zbyt skłonny do konfrontacji z przeszłością.

Przeszłość to przestrzeń, w której mieszkają wszystkie jego błędy.

Cóż, tak samo było z nią.

Ojciec opuścił oparcie i wyciągnął się w fotelu.

– Tak... świetnie mi tutaj. Może przyjedziesz w niedzielę z Savannah? Zjemy razem obiad w sali jadalnej. Wstawią nam jeden z tych samoobsługowych automatów do lodów, wiesz, o czym mówię? Będą nawet z dodatkami. Żebyś ty widziała, jak te stare pierniki przepychają się przy automacie, który będzie pierwszy! Jakbym wiedział, że tu tak zabawnie, przeprowadziłbym się razem z mamą. To by było dla niej odpowiednie, nie uważasz? Pełno kumoszek do plotkowania.

– O tak, na pewno bardzo by się jej podobało – powiedziała Meg. Farma była dla matki ciężarem, nawet wtedy gdy Briarr i jego ojciec, czyli firma oszczędnościowo-pożyczkowa Hamiltonów, zgodnie z obietnicą unieważnili dług hipoteczny. W latach, które nadeszły potem, Meg lubiła zabierać matkę na lunch, żeby się trochę rozerwała. Proponowała jej też (potajemnie proponowała to również siostrze), żeby sobie coś kupiła na jej koszt, ale odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: „Nie, Meggie. I tak tyle dla nas zrobiłaś. A poza tym wiesz, jaki jest ojciec”.

Wiedziała. Choć dotknięty wyjątkowym pechem, jeśli chodzi o interesy, zbyt dumny był, aby brać od niej pieniądze. Ale nie aż tak dumny, aby jej nie pozwolić – co więcej, zachęcać do tego – przyjąć oświadczyn Briana. To co innego: żadne pieniądze nie przeszły bezpośrednio z ręki do ręki, a Meg nie musiała się niczego wyrzekać. Carson się nie liczył.

Był to przecież jej własny wybór, zawsze tak twierdziła – A może być przywiozła w niedzielę naszą małą na obiad? – powiedział, jakby dopiero w

tej chwili przyszło mu to do głowy.

Jego zaproszenie nie obejmowało Briana. Celowo? Meg wstała.

– Przywiozę – obiecała. – Teraz muszę już iść.

– W porządku, idź, moja ty Panno Załatana. Wiem, wiem, masz mnóstwo pracy, ale powinnaś trochę zadbać o siebie. Teraz już możesz. Nie uważasz? Ja się mam doskonale, wszystko załatwione. Pora, żebyś się zajęła własnym życiem.

Teraz już może? O czym on mówi?

– Nie jesteś szczęśliwa – ciągnął ojciec. – Wiem o tym od dawna. Zadbaj o siebie, Meggie, póki jesteś młoda.

Spojrzała na niego bacznie – nie zawsze mówił do rzeczy, ale nie cierpiał, kiedy mu się to wytykało – i pocałowała go w policzek, nie dociekając sensu tych słów.

– Jestem szczęśliwa, tato – powiedziała. – Po prostu mam za sobą trudny dzień.

2

NA PÓLNOCNYM WSCHODZIE SĄ NAJLEPSZE FALE – zawołała Valerie Haas, przekrzykując ryk skuterów, które wypożyczyli z Carsonem na wycieczkę po St. Martin. Mała wysepka w archipelagu Zachodnich Indii, znana z podziału na część francuską i holenderską, była jedną z trzech, które brały pod uwagę jako miejsce ślubu, a także ich wakacyjnego domu. – Plaże dla naturystów też tam są!

– A jest tu gdzieś jakiś przyzwoity bar?! – odkrzyknął Carson. Dostyc miał wycia silnika, gorącego wiatru i wibracji w kroczu, niezależnie od tego, czy plaże są dla naturystów czy nie.

Wolał nadal jazdę konną niż motor i prowadził ten podrasowany skuter tylko ze względu na Val. W dodatku ona wolałaby coś znacznie potężniejszego – godnego motocrossu – i była rozczarowana, że muszą poprzestać na stu koniach mechanicznych. Małego suzuki w ogóle nie brała pod uwagę, upierała się, że najlepsze widoki są z jednośladu. Musiał przyznać, że miała rację: w miarę jak oddalali się od nadbrzeżnego miasteczka, pnące się po łagodnych zboczach niewysokich gór drogi stawały się coraz gorsze i parę razy dotarli do miejsc, które ich interesowały, poruszając się po prostu ścieżką. Val chciała odszukać dom, o którym krążyły plotki, że parę lat temu należał do Brada Pitta i Jennifer Aniston. Oficjalnie nie był

wystawiony na sprzedaż, jak im powiedziano, ale Val uważała, że

kupienie go, gdyby to okazało się możliwe, mogłoby być fajne – murowany konwersacyjny zapalnik, jak to nazywała, tak jakby ich życie i tak już nie obfitowało w podobne sensacje. Znaleźli dom rano, przycupnięty pośród wzgórz francuskiej części wyspy, ale Carsona nie zachwycił skalisty pejzaż, ogołocony z większych drzew. Val, wychowana w Malibu, gotowa była w to wejść.

Carson jednak przypomniał sobie bujną zieleń środkowej Florydy, potężne dęby, cedry, palmy i kwitnące pnącza i oświadczył, że fakt, iż będą na ustach wszystkich, to za słaby argument, żeby go przekonać.

Teraz wskazał ręką na pobocze zwirowej drogi, sygnalizując, że zjeżdża.

– Chyba jeszcze nie wymiękłeś? – spytała Val, zatrzymując się obok niego.

Słońce paliło. Carson czuł, jak strumyczki potu ściekają mu po karku. Otarł je wierzchem dłoni.

– Obawiam się, że tak – odparł.

– Do końca wycieczki jeszcze daleko.

Carson prychnął. Jechali od wpół do ósmej, teraz dochodziła druga. Za cały lunch musiały im starczyć smażone banany i oranżada wypita w przydrożnym barze.

– Jedź dalej, jeśli masz ochotę, ale ja wracam. – W środku był fantastyczny bar, a jeśli wypije kieliszek czy dwa więcej, niż mu wolno ze względu na bezpieczeństwo jazdy, poczuje się jak w domu.

Val uniosła przeciwsłoneczne okulary i mrużąc oczy, przyjrzała mu się spod wystrzępionej blond grzywki.

– Dobra, wracam z tobą... jeśli się postarasz, żeby mi się to opłaciło – powiedziała, uśmiechając się prowokacyjnie, tak samo jak tamtego wieczoru w Los Angeles, kiedy poznali się na promocji jego najnowszej płyty. Wciążu minionych lat widział już tysiące uśmiechów, które mówiły: „no chodź”, ale jej uśmiech był inny. Pewny siebie, a jednak nie tak groźny, tak jak to bywa u innych kobiet. Niektóre z nich były tak agresywne, że się ich bał.

Dwudziestodwuletnia Val, sportsmenka o światowym rozgłosie, zwabiła go uśmiechem, który mógł odwzajemnić bez ryzyka wyrzutów sumienia. Gnębiły go jak dotąd wystarczająco, nawet z nadmiarem.

Pokręcił głową pod wrażeniem jej lśniących włosów i szczupłych, umięśnionych ud i ramion, rezultatu długich godzin surfowania i ćwiczeń. W wieku piętnastu lat wygrała swoje pierwsze zawody dla juniorów, rok później podpisała pierwszy kontrakt.

– Strasznie na mnie działasz, wiesz?
– Wiem – zgodziła się.
– To poważna wada charakteru.
– Nigdy nie mówiłam, że jestem ideałem. – Zsunęła z powrotem okulary i zawróciła motor w kierunku ośrodka, z którego przyjechali, zespołu luksusowych willi nad zatoką Nettle. – Złap mnie, jak ci się uda!

3

MEG WYSZŁA OD OJCA I PRZYSTANEŁA, żeby popatrzeć, jak zachodzące słońce przebija poprzez porosłe mchem gałęzie starego dębu. Była pełnia wiosny: wonny wiciokrzew piał się po drzewach, a wzdłuż chodników i na zewnętrznych parapetach okien pieniały się kępy jasnoczerwonych, różowych, białych i liliowych azalii. Wiosna była ulubioną porą roku Meg, ale Brian, ze swoją alergią, nienawidził wiosny: pyłków kwiatnych, polatujących w powietrzu płatków i nasion, całego tego syfu. Kiedy budowali dom, kazał wytrzebić roślinność w promieniu kilkunastu metrów. Bez drzew, które chroniłyby dom przed słońcem, płacili za klimatyzację gigantyczne rachunki. Nie przejmował się tym. Po to są pieniądze, mówił.

Gdy wyciągała kluczyki, poczuła dziwną słabość w prawej ręce. Z trudem skierowała pilota na auto, sześćioletnie volvo, z uczuciem, jakby zamiast ręki miała worek piasku.

Dziwne.

Po prostu trudny dzień, pomyślała, pokonując pozostałych pięćdziesiąt metrów dzielących ją od samochodu. Musiała nadwreżyć sobie rękę podczas tego bliźniaczego porodu tuż przed lunchem... no i te cholerne wzierniki, jakiś nowy model. Jak zapewniał

przedstawiciel handlowy, można było bez trudu wyciągnąć go jedną ręką, ale okazało się, że to tylko obiecanki. Trzy otwarły się dziś podczas badania, wywołując dyskomfort pacjentek i zakłopotanie Meg – i, jak zauważyła, ból ręki przy próbie ich zamknięcia.

Zacisnęła w ręce pilota i jeszcze raz spróbowała nacisnąć guzik. Kciuk pracował jak należy, dziwne uczucie w ręce zaczynało mijać. Wsiadła, odchyliła się z ciężkim westchnieniem na oparcie i ustawiła nawiew tak, by chłodne powietrze wiało jej prosto w twarz. Perspektywa prysznicza wabiła niczym diament. Nie, bardziej: diamenty same w sobie mają niewielką wartość praktyczną, a dla kogoś, kto nie może ich zobaczyć, prawie żadną.

Kąpiel tymczasem ma powab uniwersalny: człowiek zmywa z siebie

troski, przewiny, krzywdy, dowody – wszystko. Co do niej, zdecydowanie wybrałaby porządną prysznic o właściwej porze niż drogie kamienie.

Poruszyła ręką i jej spojrzenie padło na torbę z notatnikami, którą postawiła na siedzeniu obok. Zajrzała do środka. W torbie był chyba tuzin niebieskich zeszytów, porządnie związanych tym samym sznurkiem, którego zawsze używało się u nich w domu, kiedy była mała. Sznurek był niemal równie dobry jak taśma samoprzylepna, jeśli chodzi o różne prowizoryczne naprawy, które zresztą nieuchronnie stawały się rozwiązaniem trwałym.

Zeszyty wyglądały na prawie nowe. Pewnie ojciec znalazł je w niedawno otwartym pudle z materiałami biurowymi, niepotrzebnymi już teraz, skoro był „na emeryturze”. Tak jakby to on prowadził księgowość firmy...

Zegar na desce rozdzielczej samochodu wskazywał ósmą czterdzieści. Meg zaburczało w pustym żołądku. Wpadnie na chwilę do KFC, jadąc po córkę do biblioteki, gdzie Savannah wciąż ostatnio przesiadywała ze swoją najlepszą przyjaciółką, Rachel. Jakoby... Miały jakoby przygotować jakiś projekt na biologię, ale Meg wątpiła, czy to prawda. Przecież dane mogły znaleźć w domu w komputerze. Znając Rachel – żywiołową, bystrą dziewczynę, chodzący dowód nieprawdziwości twierdzenia, że blondynki są głupie – przypuszczała, że na tapecie byli chłopcy, a biblioteka to zasłona dymna, wymyślona na użytek rodziców.

Kim mogli być ci chłopcy? Ostatnio Savannah niewiele ujawniała ze swego życia.

Między pierwszą miesiączką a pierwszym telefonem komórkowym przeobraziła się z ciekawskiej, trochę grymaśnej dziewczynki o typie mózgowca w kompletną zagadkę. W

niczym nie przypominała Meg w jej wieku – i bardzo dobrze. Była wprawdzie równie jak matka rzetelna, ale nie przejmowała się aż tak chłopakami. Nie wrośnie w serce jakiegoś młodzieńca, który później znienawidzi ją za zdradę. I nie jest skazana, jak miała nadzieję Meg, na życie z przepołowionym sercem.

Niektóre wspomnienia są ostre jak brzytwa.

Odepchnęła od siebie przeszłość i przesiedziała kolejną minutę w chłodnym nawiewie klimatyzacji, kradnąc jeszcze chwilkę dla siebie, zanim znów ruszy do pracy. Jedzenie.

Dziecko. Sprawozdania. Studia przypadków. Pół godziny na bowfleksie, o ile zdoła wykrzesać z siebie odrobinę energii... albo może lepiej pozwoli odpocząć ręce przez noc.

Poczuła się znowu niemal normalnie, włączyła więc silnik i ruszyła w kierunku biblioteki.

4

CARSON Z KIELISZKIEM SANGRII W DŁONI siedział przy krytym strzechą barze na plaży i patrzył, jak słońce zniża się powoli ku linii łagodnych wzgórz. Val poszła ćwiczyć z Wade'em, swoim trenerem, zostawiając go sam na sam z własnymi myślami. Przywykł być sam z własnymi myślami, w ten sposób stworzył najlepsze utwory. Dziś jednak myśli te nie były ani twórcze, ani tak pozytywne, jak można by oczekiwać od mężczyzny, który dopiero co kochał się z pełną życia kobietą, znacznie młodszą niż on.

Choć bar był osłonięty daszkiem, Carson nie zdjął ciemnych okularów ani czapki bejsbolówki – niezbyt skutecznego kostiumu, w który zawsze przebierają się znani ludzie. Na St. Martin nie było tylu fanów, co zwykle w Stanach, a jednak w ciągu dwu dni, które upłynęły od ich przybycia, siedem razy proszono go już o autograf. Nie to było jednak przyczyną jego złego nastroju; prawdę mówiąc, trudno by mu było znaleźć konkretną przyczynę. Nie miał żadnych powodów do smutku: przed chwilą się kochał, niedawno dostał

dwie nagrody Grammy, jego apartament w Seattle został sprzedany za cenę wyższą od wywoławczej, rodzice byli zdrowi i mieli niedługo obchodzić czterdziestą trzecią rocznicę ślubu, a on miał się wkrótce ożenić z kobietą, o której dwukrotnie pisano w „Sports Illustrated” i która spokojnie mogła mieć każdego faceta, jakiego zechce. Być może właśnie ta ostatnia sprawa go gryzła.

– Wiem, że to wygląda na wytartą zagrywkę – powiedział do barmanki, hożej, krótko ostrzyżonej brunetki – ale chciałem panią zapytać o opinię w pewnej sprawie.

– Oczywiście – uśmiechnęła się, błyskając równymi, białymi zębami. Odłożyła ściereczkę i nachyliła się ku niemu nad barem. Głęboko wydekoltowana bluzeczka napięła się przy tym ruchu.

Carson odsunął się odrobinę.

– Dlaczego młoda, ładna, atrakcyjna kobieta, taka jak pani... co może sprawić, że kobieta taka jak pani ma ochotę wyjść za takiego zużytego faceta jak ja?

– Jest pan gwiazdą rocka, no nie?

Gwiazdą rocka... Od dwunastu lat nosił tę etykietkę, a jednak wciąż

brzmiała dla niego obco i niewłaściwie. Był autorem piosenek, ich wykonawcą, wokalistą zespołu, który niemal zawsze miał komplet na koncertach – wszystko to prawda. Muzyka, jaką uprawiał, to był rock – ale raczej w stylu Queen i zaangażowanej społecznie, zawsze świeżej muzyki Stinga, którego poznał osobiście w zeszłym roku. Mimo to nie uważał się za gwiazdę rocka, choć zdawał sobie sprawę, że prowadzi życie gwiazdy. To dziwne rozszczepienie pojawiło się na peryferiach jego świadomości już dawno, ale dopiero rok czy dwa lata temu zdał sobie z niego wyraźnie sprawę. Być może była to kwestia metryki – kryzys wieku średniego, który, jak mówił jego menedżer, Gene Delaney, prześladowuje człowieka gorzej niż włączając się za zespołem fanki. Gene potrafił zasunąć... Cokolwiek to jednak było, Carson czuł rosnące niezadowolenie z tego, że jest odbierany jako „gwiazda rocka”. Brzmiało to płytko, dwuwymiarowo. Chciał, żeby jego życie było głębsze, bardziej istotne, i wierzył kiedyś, że osiągnie to dzięki muzyce.

– To prawda – powiedział do barmanki. – Jestem gwiazdą rocka. Uważa pani, że to wyjaśnia sprawę?

– *Non* – odparła. – To ważne, oczywiście, *mais non pas tout...* to nie wszystko. Ma pan przyjemną twarz i bardzo dobrą... *qu 'es t-ce que c 'est?* – Wskazała na jego sylwetkę. – I nie jest pan takim amerykańskim dupkiem jak inni.

Unióś brwi, a barmanka wyjaśniła:

– Nie uderzyłby pan kobiety i nie pozwoliłby pan, żeby kobieta panu usługiwała. Jest pan *généreux, non?*

Wzruszył ramionami. Chyba faktycznie był hojny – zawsze dawał duże napiwki, co zapewne szybko rozchodziło się wśród personelu. Wspierał finansowo kilka instytucji dobroczynnych, dwa razy w roku pracował w Habitat for Humanity... Niektórzy mogli określać to jako hojność. W jego oczach to było minimum, co mógł zrobić, skoro miał kupę pieniędzy, które na dodatek zdawały się same mnożyć.

Zarządzanie pieniędzmi... Teraz stanowiło to zawód sam w sobie, a on nie miał czasu na podobne zajęcia. Pozostawił to matce, która lubiła się z niego podśmiewać, że żona i pół

tuzina dzieci szybko by go nauczyły, jak zrobić z kasy właściwy użytek. Nie podobało jej się, że Val ma tyle własnych pieniędzy. „Będzie za bardzo niezależna, Carson, wspomnisz moje słowa”. Kiedy na Nowy Rok rodzice przyjechali do Seattie, żeby poznać Val, mama wspomniała o pewnej

posiadłości w Ocala, z siedmioma sypialniami, o której słyszała, że jest na sprzedaż. „Mielibyście dużo miejsca dla siebie i dzieci” – zauważyła, nawet nie siląc się na subtelność. „Dzieci? – powtórzyła Val. – Ocala?”

– Moja narzeczona jest o siedemnaście lat młodsza ode mnie – zwrócił się do barmanki. – Ja nie mam z tym problemu, ale czy ona nie powinna go mieć?

Dziewczyna wyciągnęła rękę i dotknęła wymanikiowanym palcem jego ramienia.

– Na pewno ma pan niezły motor, co?

– Jak na razie.

– *Mais oui*. O co innego może chodzić?

5

KIEDY MEG WJECHAŁA NA PARKING GŁÓWNEJ BIBLIOTEKI W OCALA, światła reflektorów omiotły Savannah, siedzącą samotnie na ławce obok wejścia, ze słuchawkami w uszach.

Dziewczyna wstała, podniosła naszytą łątami torbę i zarzuciła ją na ramię, a Meg podjechała do krawężnika.

– Cześć, kochanie – powiedziała, starając się mówić na tyle donośnie, by córka ją dosłyszała poprzez płynącą z i-Poda muzykę. – Wyjmij to z uszu, dobrze?

Savannah wyciągnęła słuchawki i zawiesiła je na szyi.

– Tak lepiej?

Odwróciła się i cisnęła torbę na tylne siedzenie, po czym złapała plastikową torbę z pieczonym kurczakiem i położyła sobie na kolanach.

– Lepiej. – Meg siłą woli powstrzymała się od reakcji na niegrzeczny ton Savannah.

Wiedziała, że nie jest to ze strony córki świadome, wiedziała też z wcześniejszych kłótni, że o ton nie ma sensu walczyć. – Kogo słuchasz? – spytała.

– Na pewno o nim nie słyszałaś – burknęła Savannah, zabierając się do gmerania w torbie.

– Może byś chwilę poczekała? Pomyślałam sobie, że byłoby miło zjeść razem z tatą, w domu. – Dla odmiany. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jedli razem.

– Jestem głodna teraz. – Savannah otworzyła pojemnik i wyciągnęła skrzydełko. – Spóźniłaś się.

Meg ruszyła powoli, ignorując zarówno słabość w ręce, jak i

oskarżycielski ton Savannah. Ignorować wszystko, co jest nie tak – to strategia, której nauczyła się jako dziecko.

– A gdzie jest Rachel?

– Mama zabrała ją o ósmej. – Było siedem po.

Meg westchnęła. W poradniku dla rodziców pisano, żeby podejmować walkę wyłącznie w sprawach istotnych. Wczoraj rano, obie niewyspane, bo o drugiej w nocy włączył się alarm samochodowy i wszystkich pobudził, pokłóciły się o to, czy mleko zaczyna kwaśnieć, czy nie.

– Dzięki za kurczaka. Dobry – rzuciła Savannah. Była jakaś nadzieja.

– Proszę bardzo. A może byś dała kawałek i mnie? Nóżkę na przykład... i serwetkę. – Mogą zjeść razem w samochodzie, Briana i tak pewnie jeszcze nie ma w domu.

Savannah pogrzebała w pudełku i wyciągnęła nóżkę.

– Masz – powiedziała. Meg chciała sięgnąć po kurczaka, uniosła rękę znad kierownicy, ale znów poczuła w niej bezwład. Coś było nie tak. Wróciła pamięcią do wykładów z anatomii, zrekonstruowała w myśli sieć nerwów, przewodzących sygnały. Coś musiało zostać nadwerężone czy przyszczypnięte podczas tego trudnego bliźniaczego porodu dziś rano.

Janey, położna, nalegała na cesarkę, ale Meg uważała, że cesarskiego cięcia się nadużywa i że czasami niesie ono ze sobą większe ryzyko niż spokojna współpraca z siłami natury. Poza tym Corinne chciała rodzić naturalnie, dopóki nie będzie zagrożenia dla dzieci. Meg cieszyła się tak samo jak Corinne, kiedy maluchy – Corey i Casey – urodziły się nieuszkodzone.

Jedyna cena, jaką przyszło zapłacić za wybór trudniejszej drogi, pomyślała teraz, to nadwerężenie ręki... ale na pewno wystarczy wizyta u ortopedy Briana i wszystko wróci do normy.

– Mamo? – ponagliła niecierpliwie Savannah, widząc, że matka nie bierze kurczaka.

Meg zmusiła się do uśmiechu.

– Wiesz, chyba trochę poczekam. Powinam trzymać obie ręce na kierownicy. Dałabym ci zły przykład, gdybym jadła podczas jazdy.

Setki razy dawałam ci taki przykład, pomyślała. No, ale czymże jest rodzicielstwo, jeśli nie ciągiem niekonsekwencji i okazjonalnych obłudnych demonstracji?

Zmieniła temat.

– Opowiedz mi o projekcie, nad którym pracujesz.

– Nic takiego. Anatomia i funkcje komórki. Nudne jak nie wiem co. Meg wspomniała własne lekcje biologii w szkole średniej. Uczyła się tych samych rzeczy razem ze swoim partnerem z laboratorium, Carsonem. Częściej zresztą wcale się nie uczyła... Ale Savannah była poważną uczennicą, wszystko ją interesowało – w każdym razie interesowało ją dawniej, kiedy każda jej myśl manifestowała się jako pytanie lub spostrzeżenie. Prawdopodobnie wciąż była tą samą dziewczynką, tylko bardziej skrytą. Czy zastanawiała się nad swoją tożsamością? Kwestionowała seksualną orientację? Nie miała do tej pory oficjalnego chłopaka, może jest lesbijką... No i dobrze, Meg kochałaby ją tak samo. A może Savannah miała zbyt wygórowane oczekiwania? Potrafiła wypowiadać czasem bardzo ostre sądy o ludziach – przekleństwo dzieci zdolnych, jak wyraziła się kiedyś jej nauczycielka. Prawdę mówiąc, Meg miała nadzieję, że Rachel udało się namówić Savannah na spotkanie z jakimiś chłopakami, choćby po to, aby wreszcie spróbowała, jak to jest.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Większość – powiedziała Savannah z pełnymi ustami.

Światła na przejściu zmieniły się na czerwone i Meg zahamowała. Popatrzyła na Savannah – uważnie, tak jak rzadko jej się ostatnio zdarzało. Długie kolczyki z drewnianych paciorków w uszach, gruba, ręcznie kuta srebrna bransoletka, tusz na rzęsach, muśnięte błyszczkiem wargi, (kiedy ona zaczęła się malować?), pagórki piersi pod obcisłym zielonym podkoszulkiem – wszystko mówiło, że jej córka jest kobietą. Kiedy właściwie to się dokonało? Zdaje się, że jeszcze w zeszłym tygodniu chuda, płaska Savannah ubierała lalki Barbie albo naprawiała kółka od wózka na pomoście basenu na tyłach domu... A w tym tygodniu była już uczennicą drugiej klasy prywatnej szkoły średniej dla dziewcząt. Nieco więcej kontaktów z płcią przeciwną dobrze by jej zrobiło.

Meg roztarła rękę. Może powinna zapytać wprost, czy prowadzą z Rachel swoje „badania” razem z chłopakami. Ale znając Savannah, na pewno odbierze to pytanie jako oskarżenie – a ona po prostu nie miała dziś siły, żeby się bronić. Zamiast pytać, znowu zmieniła temat.

– Widziałam się z dziadkiem Spencerem. Chciałabyś pojechać w niedzielę do niego na obiad? Powiedział, że będziesz miała ekstra ubaw: mają tam samoobsługowy automat do lodów.

Savannah uśmiechnęła się drwiąco.

– Mam już szesnaście lat. Czy jemu się wydaje, że wciąż mam sześć?

Światła się zmieniły i Meg, sygnalizując skręt, ruszyła w kierunku ich ogrodzonego osiedla w północnowschodniej części miasta. Rękę trzymała na kolanach.

- Najważniejsze jest to, że pragnie twojego towarzystwa.
- Wszystko mi jedno – powiedziała Savannah. Meg zerknęła na córkę.
- Czy to znaczy: tak?

Savannah wzruszyła ramionami, sygnalizując brak zainteresowania.

- A wy z tatą idziecie?
- Ja mam zamiar. Nie wiem jak tata.
- On nigdy nigdzie nie chodzi – mruknęła Savannah.

Choć była to prawda, Meg poczuła się zobowiązana do obrony.

- Ma dużo pracy. Prowadzi firmę.
- Wiem. – Savannah otworzyła schowek, pogrzebała w płytach CD,

wyciągnęła jedną i wsunęła do odtwarzacza.

Meg poczekała chwilę w milczeniu, żeby zobaczyć, co wybrała. Wnętrze samochodu wypełniły dźwięki fortepianu akustycznego i gitary, do których po paru tonach dołączył głos Carsona. Meg uśmiechnęła się na myśl o tym, że zżymając się w duchu na Briana, Savannah poszukała ukojenia w muzyce Carsona. Ona sama robiła to wiele razy.

- Dobry wybór – rzuciła.
- Mogę pożyczyć tę płytę, żeby ją przegrać, kiedy wrócimy?
- Jasne... tylko pamiętaj, żeby odłożyć z powrotem na miejsce.
- No a jak – mruknęła Savannah, jakby nigdy dotąd nie zdarzyło się jej o tym zapomnieć.

Zaczęła podśpiewywać półgłosem do wtóru, tak zatopiona w muzyce, jakby ją sama skomponowała. Meg wiedziała, czemu ona sama uwielbia muzykę Carsona, ale Savannah...

czyżby to było wrodzone? Ta możliwość na przemian to cieszyła ją, to martwiła, zależnie od tego, jak bliska była przeszłość chwili, gdy myśl o tym przebiła się na powierzchnię świadomości. Dziś Meg czuła słodko-gorzka przyjemność – tęsknotę za prostym życiem, jakie ona, Carson i Savannah mogliby prowadzić, gdyby sprawy ułożyły się inaczej. Ale czasem miała gorączkową nadzieję, że Savannah jest jednak córką Briana – pragnęła zdecydowanie odciąć się od Carsona, stworzyć pustą, białą przestrzeń między przeszłością a tym życiem, jakie wiodła obecnie. Zaplanowana z rozmysłem niejasność co do ojca dziecka okazała się bardziej kłopotliwa, niż przypuszczała.

Zdecydowała, że prawdopodobnie sama nauczyła Savannah uwielbienia dla muzyki Carsona. Niechcący, przez własny przykład. Na pewno nie ma w tym żadnego ukrytego znaczenia.

– Chyba pojedę do dziadka – powiedziała Savannah, kiedy piosenka się skończyła. – Ojejku, w niedzielę o pierwszej mamy mecz! Mówiłam tacie, ale powiedział, że o dziewiątej trzydzieści gra z jakimś klientem. Będziesz musiała mnie zawieźć.

Jasne. Brian, jeśli nie wyjeżdżał do tej czy innej filii stworzonego przez siebie przedsiębiorstwa, Hamilton Investments Management Inc., był na polu golfowym. Rzadko uczestniczył w ich życiu – co za ironia, biorąc pod uwagę, że kiedyś tak mu na niej zależało, iż nie zawahał się wraz z ojcem wydać trzystu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy dolarów, żeby ją odebrać Carsonowi.

Nie należał do ludzi, którzy potrzebują intymności, w szerokim sensie tego słowa. To, co działo się na powierzchni, było nieskomplikowane, a więc pożądane; oszczędzał energię potrzebną do pracy. Dla niego liczyły się osiągnięcia. Rezultaty. Skuteczna pogoń za coraz wyższymi standardami. Kolekcjonował sukcesy tak jak inni kolekcjonują myśliwskie trofea.

Podziwiała jego energię, ale trochę też się jej bała; oczekiwał tego samego od wszystkich, zwłaszcza ostatnio, a ona nie miała energii w nadmiarze.

– No cóż, czy tata pojedzie z nami, czy nie – powiedziała głośno – dziadek będzie się cieszył, kiedy cię zobaczy. Chce się tobą pochwalić... pokazać się z tobą, jak mówi.

– Dlaczego?

– To jego nowy dom, ludzie, którzy tam mieszkają, to jego nowi sąsiedzi; chce, żeby zobaczyli, jaką ma ładną wnuczkę.

– Ładna to jesteś ty albo ciocia Beth – zauważyła Savannah. – Ja mam po tacie za duży nos.

Być może, pomyślała Meg. Nos Savannah rzeczywiście przypominał nos Briana, podobnie jak szerokie czoło czy uśmiech. Ale Meg nie dałaby głowy, czy to zasługa genów.

– Jesteś śliczna – powiedziała. – Nie wiem, co bym dała za te fantastyczne falujące – włosy.

Zapragnęła dotknąć długich kasztanowatych włosów Savannah. Siłą woli spróbowała zmusić zmęczoną rękę do pracy. Udało się! Odgarnęła córce pasmo z czoła, założyła za ucho i pozwoliła, by przez chwilę ręka

spoczywała na jej ramieniu. Carson śpiewał niskim, przejmującym głosem jedną ze swych wczesnych ballad: o parze młodych kochanków rozdzielonych przez zniszczony powodzią most.

– Hej, obie ręce na kierownicy – zgaśniła ją Savannah.

W ciemności samochodu Meg pozwoliła sobie na smutny uśmiech.

6

PÓŁTOREJ GODZINY, JAKIE DZIELIŁO JĄ OD INTERNETOWEJ RANDKI, Savannah spędziła na opracowywaniu nowej piosenki. Gra na gitarze, którą dostała na piętnaste urodziny prawie rok temu, wypełniała jej większość wieczorów – zwłaszcza teraz, kiedy sprzedano stadninę dziadków. W zeszłą niedzielę jednak, kiedy gadała na czacie ze znajomymi, otrzymała intrygującą wiadomość. Pewien chłopak – nie, mężczyzna – chciał ją poznać. A dziś wieczorem o wpół do dziesiątej miał się znowu pojawić na czacie... Przynajmniej taką miała nadzieję.

Usiadła na miękkim fioletowym taborecie, próbując udoskonalić trzy finałowe nuty piosenki. Ten fiolet, ta miękkość irytowały ją. Od jakiegoś czasu nic w jej sypialni nie było takie, jakby chciała; całe jej życie było od jakiegoś czasu nie takie, jak by chciała. Wyrosła już z tych lawendowych ścian i trawiastozielonego dywanu, z białych szafek i biurka.

Irytowały ją zasłony w odcieniu fuksji z aplikacjami w kształcie stokrotek. Mnóstwo rzeczy ją irytowało, prawdę mówiąc: większość kolegów i koleżanek z klasy, to, że tata nie zgodził się, żeby miała psa, nawet gdyby trzymała go na zewnątrz, obleśne spojrzenia facetów od strzyżenia trawników i to, że wciąż nie było jej wolno zostawać samej, gdy rodzice wyjeżdżali, tak jakby nie można było jej ufać... a to jeszcze nie koniec. Wszystko to było takie irytujące! Jak chmara natrętnych komarów, od których nie można się opędzić. Nawet ta piosenka, którą tak się na początku przejmowała, teraz działała jej na nerwy – nie potrafiła zakończyć jej tak, jak by chciała.

Dwadzieścia po dziewiątej wreszcie przestała się zmuszać i oparła gitarę o ścianę. Gdyby istniał jakiś sposób na to, aby błyskawicznie przenieść się w przyszłość, do czasów, kiedy będzie miała własne życie, własny dom... Przestrzeń urządzoną przez siebie, a nie jakąś nudną projektantkę, której się wydaje, że wie, „co lubią takie bystre dziewczynki”. Może coś w stylu chaty leśnika nad rzeką Chassahowitzka, gdzie mogłaby prowadzić badania nad populacją morskich krów... o, to by było fajnie! Te łagodne ssaki stanowiły poza muzyką główny przedmiot jej zainteresowań. Muzyka i morskie krowy, to wszystko, czego potrzebowała. No dobra... muzyka, morskie krowy i

chłopak, który też by się tym pasjonował. I być może właśnie go znalazła!

– Jeszcze dziesięć minut – mruknęła zdenerwowana. Czy Kyle się pojawi? Czy będzie nią tak samo zainteresowany jak ostatnio? Wzięła laptop, podłożyła pod plecy fioletową poduszkę i usadowiła się na łóżku, jak zawsze twarzą w kierunku drzwi, żeby rodzice nie mogli podejść po cichu i zajrzeć jej przez ramię. Co nie znaczy, że mieli zwyczaj podchodzić i zaglądać. I że ona miała cokolwiek do ukrycia... w każdym razie do niedawna. Do zeszłej niedzieli.

Zalogowała się i przejrzała listę swoich rozmówców, szukając nicka, którego używał na czacie Kyle. Wciąż był offline. A jeśli się nie pojawi? A jeśli znalazł inną dziewczynę, która podoba mu się bardziej niż ona?

Strona internetowa Savannah, na której ją odkrył, była dość atrakcyjna; w każdym razie starała się jak mogła, aby atrakcyjnie wypaść. Naciągnęła jednak odrobinę fakty, między innymi zamieściła starannie dobrane zdjęcia, które mogły stwarzać wrażenie, że ma dwadzieścia, a nie niespełna szesnaście lat. Na jednym z nich stała nad basenem tylko w bikini, trzymając w ręce wysoki kieliszek z bursztynowym płynem, który miał wyglądać jak drink. W rzeczywistości w ogóle nie piła – była na to za rozsądna. Ale sukces to przede wszystkim właściwa prezentacja, prawda? Tata zawsze jej to powtarzał. A więc strona prezentowała taką Savannah, która w jej wyobrażeniu mogłaby zainteresować chłopaka, na jakim jej zależało: starszego od niej faceta o podobnych zainteresowaniach. Chłopcy w jej wieku – w każdym razie ci, których знаła – mieli w głowie tylko sport i pieniądze albo, jak jej przyjaciel Jonathan, bardziej interesowali się grami komputerowymi niż prawdziwym życiem.

Własna strona internetowa to była brama do prawdziwego życia. Miała nadzieję – tak wielką, że aż skręcało ją w żołądku – że Kyle stanie się jej towarzyszem i przewodnikiem po prawdziwym życiu, za którym tęskniła.

Wymieniła z Rachel szybkie wiadomości na temat chłopaka, którego poznały dziś w bibliotece. Jakiś licealista z North Marion High. Poszła do biblioteki w charakterze moralnego wsparcia, choć wyglądało na to, że Rachel wcale wsparcia nie potrzebuje: niemal lizała faceta w ucho, kiedy z nim szeptem rozmawiała. Teraz pisała, że obiecał do niej zadzwonić, ale ona zapomniała mu dać przed przyjściem mamy numer telefonu.

„O jeżu! Co ja zrobiłam? Na pewno już nigdy go nie zobaczę!”

„Wyluzuj” – odpisała Savannah. Według niej chłopak był za chudy, a poza tym nie wyglądało na to, żeby Rachel szczególnie go interesowała.

Bezmyślnie kontynuowała rozmowę, czekając w napięciu. Wreszcie odezwał się sygnał: Kyle. Serce skoczyło jej w piersi.

„Cześć malutka co robisz?”

„To on! Muszę kończyć” – napisała szybko do Rachel.

Jeśli to, co powiedział o sobie na pierwszym czacie, było prawdą, miał dwadzieścia trzy lata i magisterium z oceanografii. Uwielbiał muzykę, w tym niektóre z jej ulubionych zespołów: No Doubt, Evanescence, Nickelback i Carsona McKaya. Znakomicie.

Co do niej, to napisała na swojej stronie wyłącznie prawdę. No, może z wyjątkiem wieku: długie, faliste, ciemno-rude włosy, metr siedemdziesiąt osiem wzrostu (za dużo, ale co robić?), zielone oczy, waga sześćdziesiąt trzy kilo. Nie ujawniła nazwiska, wyłącznie imię i pseudonim, wiedząc, że podawanie zbyt wielu informacji może być ryzykowne. Savannah Rae... Jeśli zostanie kiedyś profesjonalną wokalistką albo autorką tekstów, tego właśnie nazwiska zamierzała używać.

„Zakuwam do testu z biologii” – odpisała. Za pierwszym razem powiedziała mu, że jest studentką na Uniwersytecie Floryda – ale dopiero wtedy, gdy się upewniła, że tam nie studiował.

„Stare dobre czasy” – odparł Kyle. Pisał teraz pracę doktorską i prowadził w związku z tym dla promotora z Uniwersytetu Harvarda badania terenowe w zachodniej części mokradeł

Everglades, parę godzin na południe od Gainesville. Gdzie ona jakoby miała mieszkać z trzema koleżankami w wynajętym mieszkaniu.

Pierwsza wiadomość od Kyle'a zawierała jego zdjęcie: stał na jakimś rozwalającym się pomoście, tylko w bojówkach, opadających nisko z bioder, i ciężkich turystycznych butach, z których wystawały skarpetki. Był szczupły, zwiędły, umięśniony niczym greccy herosi, których rzeźby oglądała na lekcjach historii sztuki. Ciało miał fantastyczne, ale to twarz wydała się jej najbardziej pociągająca: duże oczy o długich rzęsach patrzyły tak życzliwie.

Z

troską. Z przejęciem. Miała nadzieję, że na nią też tak będzie patrzył. Ciemne, kędzierzawe włosy i cera w odcieniu kawy z mlekiem zdradzały, że może mieć w sobie krew latynoską albo afrykańską – czego tato by nie aprobował, ale dla niej właściwie nie miało znaczenia.

„A co ty robisz?” – spytała.

„Czekam na weekend. Marzę żeby się z tobą zobaczyć” – odpowiedział. Przeszedł ją dreszcz radości. „Co robisz w sobotę?”

„Mój tato ma urodziny” – napisała, dodając ikonkę :-(. Kolejne drobne kłamstewko, ale nie należy okazywać nadmiernego entuzjazmu. Z niepokojem czekała, co odpowie.

„Mam pomysł. Spotkajmy się na may day w miami ok?”

Savannah odetchnęła. „A co tam ma być?”

„Moi bracia. Spotykamy się co roku na plażowej imprezie. Masz bikini?”

„Jasne”. Przecież widział jej zdjęcie na stronie.

„A brykę?”

„Jasne” – napisała po raz drugi, choć miała dostać własne auto dopiero na urodziny, w połowie maja. Zastanowi się nad tym detalem później. Otarła wilgotne dłonie o narzutę. Czy on mówi serio?

„Byłoby super gdybyś do nas dołączyła. Spróbujesz?”

„Jasne!” – odparła bez namysłu, choć nie miała pojęcia, jak się tam dostanie bez pozwolenia rodziców. Co prawda specjalnie nie zwracali uwagi na to, co robi ze swoim wolnym czasem, szczególnie tato, i wierzyli we wszystko, co im mówiła. Jeśli wszystko starannie zaplanuje, może się jakoś uda? „Jasny gwint” – szepnęła do siebie, ale zachowała zimną krew, pisząc: „Muszę sprawdzić czy będę wolna”.

„Mam nadzieję” – odpisał Kyle. „Hej malutka muszę kończyć – mam tu niezły młyn.

Mogę zadzwonić do ciebie w sobotę na komórkę?”

Rozczarowana, że to już koniec, napisała: „Ok. Nara” i dodała uśmiechniętą buźkę, że niby wcale jej to nie przeszkadza. Po czym wylogowała się, tak by nikt ze znajomych nie mógł jej zakłócić chwili triumfu.

O rany, pomyślała, zatrzasnąwszy laptopa. Kyle. Miami. Nie mogła się już doczekać, żeby z nim o tym porozmawiać. To będzie ich trzecia rozmowa; pierwsza odbyła się w poniedziałek wieczorem. Nie rozmawiali długo, ale wystarczająco, by stwierdzić, że nie jest jakimś frikiem czy lamusem. Jego głos – średniej wysokości tenor, który mógłby znakomicie dopełnić jej głos, gdyby umiał śpiewać – wypełnił lukę w jej sercu... a może w duszy, nie była pewna. Nic nie zdołało jej dotąd wypełnić w ten sposób. Wstała, przeciągnęła się i uśmiechnęła radośnie.

Myjąc twarz, wyobraziła sobie, że idą z Kyle'em za rękę wzdłuż plaży i całują się... po francusku, głęboko, tak jak spróbowała parę razy dla eksperymentu z Jonathanem, kolegą, mieszkającym dwa domy dalej. Męskie ciało było fascynujące. I fascynujące było to, co czuła, kiedy myślała o

poznawaniu ciała Kyle'a. Teraz, gdy spotkała odpowiedniego faceta, była gotowa spróbować tych wszystkich rzeczy, które jej koleżanki miały już za sobą.

Niektóre od dawna, od ósmej klasy. Wyobraziła sobie, że wsuwa rękę za pasek jego bojówek... i dziwnie skręciło ją w środku.

Nachyliła się do lustra, żeby sprawdzić parę wągrów na czole i nosie. Będzie się musiała ich pozbyć przed wyprawą do Miami – czy dwudziestoletnia dziewczyna może nadal mieć wągry? Miło byłoby też pozbyć się piegów zdobiących nos i policzki, ale to niestety niemożliwe. Wzrost, piegi, uśmiech, rudo połyskujące ciemne włosy, wszystko to miała po matce – tak mówiła babcia Anna. Starła się to polubić, ale tak naprawdę chciałaby być drobną blondynką o nieskazitelnej, pozbawionej jakichkolwiek znamion cerze. Zawsze tak myślała, ale teraz, kiedy udało jej się zwrócić uwagę Kyle'a, być może uzna, że dobrze jest, jak jest.

Cały czas myśląc o spotkaniu z Kyle'em, ściągnęła podkoszulkę i przyjrzała się krytycznie własnym piersiom. Średnie – oceniła, okręcając się na boki, po czym znów stanęła przodem. Niewiele mogła zrobić, żeby je powiększyć. Implanty nie wchodziły w grę, zresztą nie należała do dziewczyn, które by na to poszły. Znała takie dziewczyny, które już poprawiały sobie nosy, które nieustannie pracowały nad swoim ciałem, tak żeby zdobyć lepszych chłopaków. Umiały flirtować. Nosiły pantofle na szpilkach, tych niższych, o których mówiono „janniki”, i umiały się uśmiechać do tatusiów, żeby wyciągnąć od nich jak najwięcej kasy na zakupy.

Savannah wiedziała, że nie potrafi flirtować ani z chłopakami, ani z własnym ojcem, ale była prymuską i potrafiła myśleć – a to na dłuższą metę było o wiele ważniejsze. Poza tym Kyle najwyraźniej lubił inteligentne kobiety, skoro uważał ją za studentkę z aspiracjami naukowymi. I w ogóle.

Przebrała się właśnie w żółtą podkoszulkę z Dnia Ziemi, na ramiączkach, i popielate szorty z dzianiny, w których sypiała, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała. Drzwi się otworzyły.

– No jak tam, kochanie? – spytała mama. – Kładziesz się?

– A wygląda że co? – Savannah przeniosła laptopa z łóżka na biurko, żeby zademonstrować, że skończyła. Wiedziała, że kiedy mama wyjdzie, będzie mogła grać na gitarze, rozmawiać przez telefon czy otworzyć ponownie laptopa, bez obawy, że ktoś jej przeszkodzi. Matka była niezwykle

przewidywalna: jeśli powiedziała „dobranoc”, było pewne, że się jej nie zobaczy aż do rana. Inne dzieci wykorzystywałyby tę przewidywalność – na przykład wymykałyby się z domu albo wprowadzały kogoś do środka. Ona nigdy czegoś takiego nie robiła – nie miała dotąd powodu.

Mama przysiadła na łóżku.

– Moja ty mądrało... Wygląda, że się wybierasz na wyścigi psich zaprzęgów w Iditarod.

Ale myślę, że lepiej byłoby się najpierw porządnie wyspać.

Savannah oparła się o poduszkę i podciągnęła kolana.

– Ale śmieszne. Nie wybieram się.

– Tak naprawdę to wyglądasz, jakbyś się wybierała na przesłuchanie w sprawie pracy w charakterze striptizerki.

– Mamo – powiedziała Savannah.

– No co? Te szorty są nieprzyzwoite.

– Sama mi je kupiłaś.

– Kiedy miałaś dwanaście lat, o ile sobie przypominam. Co to jest, że podlotki tak przepadają za podkasanymi strojami?

– To taki styl.

– No dobrze, ale nie noś tego przy ludziach. Tata by cię zabił. Savannah popatrzyła na szorty. Zamierzała je włożyć na wyprawę do Miami.

– Spoko – odparła.

– No więc... może czegoś potrzebujesz? – spytała mama, obrzucając pokój spojrzeniem.

Savannah wiedziała, że tak właśnie patrzą rodzice, którzy wypatrują oznak, że ich dziecko pali, pije czy co tam jeszcze. Wywoływało to w niej poczucie winy, zanim jeszcze zdążyła zrobić coś nagannego.

Nasunęła sobie na twarz kosmyk włosów i zaczęła go szybko zaplatać w warkoczyk.

Potrzebuję własnego samochodu, pomyślała.

– Szamponu – powiedziała głośno. I dostrzegając w tym momencie szczelinę, dodała: – Aha, i mam takie pytanie: pamiętasz, jak byliśmy jesienią u cioci Beth... ?

– Świetna była ta wyprawa, prawda? W tym roku konferencja ma się odbyć w Singapurze. Chciałabyś pojechać? Tata był w Singapurze i bardzo mu się podobało... to znaczy, podobały mu się pola golfowe, a jedzenie go nie interesuje. Ale...

– Mamo – powtórzyła znacząco Savannah, rozplatając warkoczyk.

- Przepraszam. O co chodzi?
- Pomyślałam sobie, że fajnie by było polecieć do niej latem, no wiesz... bez nikogo. Czy dzieci mogą same latać samolotem?
- Jasne. Pamiętasz tych chłopczyków w takich samych wzorzystych koszulkach z lotniczymi odznakami, kiedy leciałyśmy do Londynu?
- A, rzeczywiście. Czyli że nie muszę mieć osiemnastu lat? – Znow zaczęła zaplatać warkoczyk, ale spostrzegła się i założyła kosmyk za ucho.
- Nie. Wszystkie linie lotnicze mają specjalny program dla dzieci, które podróżują bez dorosłych: dziecko ma przydzielonego opiekuna i musi na nie ktoś czekać w miejscu przylotu.
- Czyli byłabym cały czas obserwowana jak przestępca, którego transportują do więzienia.
- Mama się roześmiała.
- Nie, ty jesteś na tyle duża, że leciałabyś bez opieki. To program dla młodszych dzieci.
- Wiesz, słyszałam niedawno w radiu, że Atlanta ma najruchliwszy port lotniczy na świecie.
- Coś takiego! Zawsze myślałam, że najwięcej pasażerów ma Nowy Jork, a tymczasem nie ma go nawet w pierwszej dziesiątce! Na drugim miejscu jest chyba O'Hare, a na trzecim Heathrow...
- Savannah słuchała jednym uchem i rozmyślała, jakby tu kupić bilet do Miami. Mama miała skłonność do wdawania się w długie dygresje, co Savannah kiedyś bardzo lubiła, ale teraz zwykle wydawały się jej zbyteczne. Nieraz miała ochotę powiedzieć: przestań truć, do rzeczy. Nigdy jednak tego nie zrobiła, może dlatego, że w głębi duszy wciąż pragnęła, by matka była wszechwiedzącym autorytetem. W każdym razie jakaś mała część dawnej Savannah tego pragnęła. A może dlatego, że wiedziała, iż zadawanie pytań to dobry sposób na utrzymanie uwagi matki – chociaż chyba nie było jej to już potrzebne. Nie. Chciała mieć własne życie, które jej będzie odpowiadać. Życie, gdzie nie będzie dziarskich tatusiów z miną „zawsze do przodu”, krzywo patrzących na zbyt mało ambitne ich zdaniem, bo nierokujące wysokich dochodów, zawodowe aspiracje. Życie, w którym ona, Savannah, będzie ważna dla ludzi wokół niej. Może dla Kyle'a, kto wie. Teraz, kiedy babcia Anna umarła, Savannah najczęściej czuła się niewidzialna.
- Mama wciąż mówiła.
- Ciocia Beth bardzo się ucieszy, że przyjedziesz, jestem pewna. Przejedzie się z tobą po Berkeley, przedstawi cię innym profesorom...

Naprawdę powinnaś złożyć tam papiery, będziesz gwiazdą! Tak się cieszę, że chcesz z nią spędzić trochę czasu. Świetny pomysł!

Savannah skinęła głową. Pewnie rzeczywiście by się jej podobało, choć aż do tej chwili nigdy o tym nie myślała, ani na tak, ani na nie. A ochrona środowiska na Berkeley to było dobre rozwiązanie, jeśli chciała w przyszłości zajmować się krowami morskimi na poziomie rozwiązań prawnych. W tej chwili jednak obchodziło ją tylko jedno: czy zdoła wyskoczyć samolotem do Miami wyłącznie na podstawie biletu i dowodu tożsamości, „wyglądało na to, że tak.

– Porozmawiam z Beth – powiedziała mama. – Jeśli uznasz, że chciałabyś pojechać do Singapuru, powinnam niedługo zacząć to załatwiać.

– Zastanowię się. – Chciała teraz jak najszybciej zostać sama, żeby zajrzeć do internetowego rozkładu lotów. Uśmiechnęła się, co miało zachęcić matkę do wyjścia. – No to... dobranoc.

– Ach tak. No dobrze. – Mama wstała i też się uśmiechnęła. Savannah złękła się, że może była zbyt obcesowa. Znowu... Nigdy nie chciała być niegrzeczna, po prostu tak wychodziło.

Patrzyła, jak matka idzie do drzwi. Przy drzwiach mama stanęła i obejrzała się.

– Kochanie...

– Tak?

– Wiem, że się tego obawiasz, ale proponuję, żebyśmy porozmawiały w tym tygodniu o antykoncepcji. – I zanim Savannah zdążyła odpowiedzieć, zniknęła w holu.

Savannah siedziała jak zamarła, choć twarz miała bez wyrazu. Czyżby mama coś podejrzewała? Poczula nagły impuls, żeby dać sobie spokój z tym całym Miami. Potem jednak pomyślała o Kyle'u, przywołała w wyobraźni jego obraz na pomoście – i impuls osłabł. To pewnie jej bliskie szesnaste urodziny sprowokowały matkę. Znając ją, można się było spodziewać, że rozmowę na temat antykoncepcji miała zaplanowaną od momentu, gdy usłyszała okrzyk lekarza: „To dziewczynka!”

A gdyby tak podczas tej rozmowy powiedziała mamie, że chce zacząć brać pigułkę?

Gdyby powiedzieć, że ma chłopaka i że myślą o seksie? Ale by to było mocne uderzenie...

Dotąd cicho sza, zero facetów, i nagle nie tylko ma chłopaka, ale ma zamiar z nim spać... nie, to nie przejdzie. Nawet gdyby chciała powiedzieć

mamie o Kyle'u... a nie chciała. Nie mogła.

Zdecydowanie nie był to chłopak, którego pragnęliby dla niej rodzice: jejku, o sześć-siedem lat za stary i – jeśli chodzi o tatę – z karnacją o parę tonów za ciemną!

A więc nie będzie żadnych pigulek antykoncepcyjnych. Nie teraz. Ale gdy tylko jej się uda, wymknie się do Wal-Martu czy gdzieś, tak żeby była anonimowa, i kupi paczkę prezerwatyw. To nic takiego. Niektóre dziewczyny w szkole robią to non stop. Miło byłoby pomyśleć, że rodzice byliby dumni, iż jest taka dojrzała i odpowiedzialna.

W rzeczywistości mama czułaby się z pewnością zdradzona, a tata wzruszyłby ramionami i poszedł do klubu golfowego.

7

KIEDY W PIĄTEK WIECZOREM BRIAN WSZEDŁ DZIARSKIM KROKIEM DO SALONU, Meg spostrzegła, że przed powrotem do domu brał prysznic. Rzednące włosy zachowały ślady grzebienia. Lekko nakrochmalona koszulka golfowa – świeża, nie ta, w której grał – wetknięta była w granatowe, szyte na miarę szorty. Nad paskiem, niczym drożdżowy obwarzanek, wzdymała się oponka. Nigdy nie uważała go za nieatrakcyjnego, ale styl Briana nie należał do jej ulubionych. Woląла swobodniejszy, mniej wyrafinowany. Brian był taki...

uporządkowany. Dopięty. Jak ich dom, jak ich życie.

Odłożyła plik niebieskich zeszytów, które aż do dziś leżały zapomniane na tylnym siedzeniu samochodu. Właśnie usiłowała bez powodzenia rozsypać sznurek, którym były związane, aby się upewnić, że nie ma w nich nic ważnego, i móc z czystym sumieniem włożyć je do pojemnika z makulaturą.

– Byłeś w klubie? – spytała, aby przyciągnąć uwagę Briana. Musi to robić częściej: za dwa lata Savannah wyjedzie na studia i co wtedy? Zostaną sami – znajomi, ale odlegli użytkownicy tych profesjonalnie urządzonych dwóch tysięcy metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Już teraz w domu było zbyt wiele nieużywanych pokoi; co to będzie za pustka, kiedy zabraknie Savannah...

Brian przystanął i postawił torbę na wypolerowanych deskach podłogi.

– Tak – powiedział, przysiadając na poręczy fotela naprzeciwko niej. – Wbiłem dziewięć dołków tym klientom z Niemiec, mówiłem ci o nich przedwczoraj. Byli beznadziejni – nie odróżniają mashie od puttera – ale traktowali to na luzie. Przestaliśmy liczyć wyniki.

Meg skinęła głową. Bez trudu mogła się wczuć w położenie Niemców: sama z trudem rozróżniała poszczególne odmiany kijów golfowych. A chyba powinna, skoro golf stanowił, oprócz pracy, treść życia Briana. Ale po prostu jej to nie interesowało, a umysł miała już i tak dostatecznie wypełniony rzeczami, które wiedzieć musiała.

Być może to rozumiał: nigdy nie zadał sobie trudu, żeby omawiać z nią szczegóły swoich rozgrywek. Ich rozmowy dotyczyły tego, co interesowało oboje: domu, Savannah, ich rodzin, pracy zawodowej. Jakiegoś filmu, jeśli wyjątkowo oglądali go razem – albo osobno, jeśli któreś z nich podróżowało i natrafiło na ten film w samolocie albo w hotelu. Czasem dołączała do rozmowy Savannah; od jakiegoś czasu oglądała to samo co oni. Rozmawiali więc, o ile widzieli film wszyscy troje i znaleźli się w tym samym czasie w jednym pokoju albo samochodzie, co było równie mało prawdopodobne, jak narodziny syjamskich bliźniąt.

Manisha Patel, współniczka Meg, zapewniała ją, że ta sytuacja nie jest niczym szczególnym; rodzina Manishy funkcjonowała tak samo, podobnie jak większość znanych im domów. Często było to przedmiotem rozmaitych talk-show, które Meg oglądała późnym wieczorem, gdy nie mogła zasnąć. Byli z Brianem i Savannah niczym planety krążące wokół

wspólnego słońca. Ich orbity od czasu do czasu się zbliżały dzięki sile grawitacyjnej wspólnego adresu, ale niewiele mieli wspólnego z tym, co kiedyś stanowiło istotę tradycyjnej rodziny. Meg czuła się winna – i równie często buntowała się przeciw temu uczuciu. Sądziła, że dojdzie do ładu z całą tą zagmatwaną sprawą, kiedy Savannah dorośnie i odejdzie.

– Kąpałeś się – powiedziała. – Ja też zaraz idę pod prysznic. Ale dobrze tak chwilę posiedzieć.

Brian uśmiechnął się po swojemu, pewnym siebie, lekko protekcyjnym uśmiechem. Ja też mam za sobą dzień intensywnej pracy, a mimo to wystarczyło mi energii, żeby zagrać z klientami w golfa i wbić im dziewięć dołków, myślał zapewne. Nigdy nie był wobec niej otwarcie krytyczny, a mimo to czuła, że ją osądza, porównuje – taki miał charakter. Niemal oczekiwała, że przeprowadzi z nią rozmowę mobilizacyjną, aby jako członek zespołu – rodziny Hamiltonów – postarała się dać z siebie więcej.

– Miałaś dużo pracy? – spytał. On też próbuje nawiązać jakąś więź, pomyślała. Przecież wiedział, że zawsze ma dużo pracy.

Westchnęła i wyciągnęła nogi na sofie, zajmując przestrzeń, którą mógłby wypełnić on, gdyby spróbował. Gdyby chciał spróbować. Gdyby ona

chciała, żeby on chciał.

– Tak, dużo... i w dodatku wyczerpującej. Rodząca z pre eklampsją i bólami kręgosłupa, a potem z nieprawidłowym ułożeniem dziecka... musiałam niemal wpełznąć do środka, żeby je wyciągnąć. – Na myśl o tym roztała rękę. – Potem dwie nowe pacjentki wysokiego ryzyka...

męża jednej z nich pewnie znasz, McKinney... Joseph, zdaje się. – Kiedy zobaczyła to nazwisko na karcie, przyszedł jej na myśl Carson McKay. Przed tygodniem natrafiła w Internecie na wiadomość, że w maju się żeni. Ze znacznie młodszą kobietą, oznajmiał

nagłówek („Znany muzyk Carson McKay staje w maju przed ołtarzem – z dziewczyną, która mogłaby być jego córką”) i Meg wolała nie klikać w link „Więcej szczegółów”. Od tej pory byle co przywodziło jej na myśl Carsona.

– Tak, znam go – skinął głową Brian. – Joe McKinney, wspólnik w Decker McKinney Petersen. Niezły jest... w golfie, mam na myśli... choć sądząc z tego czarnego ferrari, w którym go ostatnio widziałem, w prawie też. A jaki problem ma jego żona?

– Ma czterdzieści trzy lata.

– Ach tak. Ale to w sumie dobrze, że macie nowe pacjentki wysokiego ryzyka.

Najwyraźniej wyrobiłyście sobie niezłą reputację. Możecie podnieść stawki i wynająć lokal w jakimś... powiedzmy, bardziej prestiżowym miejscu.

– Jest nam dobrze tak, jak jest – odparła Meg. Wynajęły z Manishą skromny budynek z cegły w centrum miasta właśnie dlatego, że nie był na tyle prestiżowy, aby zagrozić dostęp do kliniki kobietom mniej zamożnym niż małżonka Josepha McKinneya. Czy Carsona McKaya, skoro już o tym mowa... Ciekawe, czy ten szybki ślub jest spowodowany ciężką narzeczoną, pomyślała przelotnie. Miały zamożne pacjentki, bo były dobrymi lekarkami, a nie dlatego, że pomieszczenia kliniki przypominały luksusowe spa.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz wykorzystać okazji, skoro dosłownie pcha ci się do rąk – powiedział Brian, wstając. – Sądziłem, że będziesz bardziej praktyczna.

Zabolało, choć krytyka była łagodna.

– Co to ma wspólnego z praktycznością? Po prostu nie wydaje mi się, żebym potrzebowała więcej pieniędzy. Czy to znaczy, że nie jestem praktyczna?

Brian włożył ręce do kieszeni, swobodny i pewien własnych racji.

– Odkąd się znamy, zawsze było tak, że jeśli pojawiała się przed tobą możliwość poprawienia sobie warunków materialnych czy statusu towarzyskiego, korzystałaś z niej. Nie rozumiem, dlaczego nie miałabyś skorzystać teraz.

Słusznie. Ale ta ocena świadczyła o tym, że nie widział jej wyraźnie, tak jakby z biegiem czasu nie tylko jego oczy traciły zdolność ostrego widzenia bliskiego planu, ale i pamięć.

Czyżby zapomniał, że pierwszą okazję, jaka się przed nią pojawiła, on sam zaplanował tak starannie, iż praktycznie nie mogła jej odrzucić? Kiedy już puścił koło w ruch, wtedy tak, starała się jak mogła, żeby sobie poprawić warunki. Była praktyczna. Ale jej ambicja miała granice. Być może nie chciał tego uznać, a może nawet nie zauważył. Uwielbiał powtarzać znajomym, jak znakomicie dobraną są parą, jak podobny mają temperament i gust, jak oboje realizują się w tym związku... Sam tworzył rzeczywistość ich małżeństwa, której pragnął, tak samo jak robił to w interesach.

Mylił się co do niej gruntownie.

Nie była kobietą z jego bajki. I nigdy nią nie będzie. Ale czy warto się o to spierać? Nie do końca wiedział, jaka jest, bo nie do końca się przed nim odkrywała. Nie wszystko można kupić za pieniądze.

Zanim zdołała wymyślić jakąkolwiek odpowiedź, Brian podniósł torbę, powiedział: „Muszę załatwić parę telefonów” i wyszedł. Nie zaprotestowała.

Nie wiedział o niej także tego, że wiele razy myślała o odejściu, tak jak blondynka myśli o przefarbowaniu się na czarno: interesuje ją ta możliwość, ale nie decyduje się podjąć tak drastycznego kroku. A jeśli w czarnym jej będzie nie do twarzy? Czy kolor czarny byłby lepszy, czy po prostu inny? Gdyby była ambitna, jak sobie wyobrażał, rozwiodłaby się z nim od razu, gdy tylko zarobiła tyle pieniędzy, by zwrócić dług hipoteczny rodziców. Dążyłaby naprzód i wwyż, zgodnie ze śpiewką Briana. Ale nie. Już spaliła za sobą jedyny most, po którym mogłaby zapragnąć przejść jeszcze raz, a że chciała, aby córka miała uporządkowane życie, a oni z Brianem byli na tyle zgodni, na ile Savannah tego potrzebowała – została.

Wstała i schyliwszy się po zeszyty, poczuła, że lekko ugięło się pod nią lewe kolano.

Przytrzymała się poręczy sofy.

– Starzejesz się, kobieto – mruknęła, kręcąc głową.

Kiedy przechodziła obok kuchni, dobiegł ją głos Briana, pewny, przekonujący.

Rozmawiając przez komórkę, szykował sobie coś do jedzenia – murzynek na ciepło, sądząc po zapachu. Doda sobie do tego lodów waniliowych i poleje czekoladowym sosem, co tłumaczyło, dlaczego musiała zanieść jego garnitury do poszerzenia, choć grał w golfa dwadzieścia godzin tygodniowo. Kolejne przekleństwo wieku średniego: wolniejszy metabolizm. Utrzymanie linii było coraz trudniejsze – a ona od śmierci matki zaniedbywała ćwiczenia częściej, niż chciałyby się sama przed sobą przyznać. Nigdy nie było na nie czasu.

Liczba godzin w ciągu dnia kurczyła się jak nieobrana pomarańcza, a ona była po prostu zanadto zmęczona, żeby wcisnąć weń jeszcze coś, co można uznać za mniej istotne.

W łazience odłożyła zeszyty i odkręciła prysznic. Czekała, aż woda się ogrzeje, poszukała w szufladzie malutkich nożyczek, których używała do przycinania owłosienia łonowego. Brian wołał, żeby była ostrzyżona, niemal łysa – w przeciwieństwie do włosów na głowie: lubił, kiedy spływały jej na ramiona miedzianą falą. Od jak dawna nie zawracała sobie głowy stryżeniem? Nawet nóg nie goliła już co tydzień. Nie kochali się od... jaki to miesiąc? Kwiecień? Od dwóch miesięcy. Od walentynek – i nawet wtedy był to raczej stosowny gest, podszyte poczuciem winy „tak trzeba”, a nie upragnione „nareszcie”. Prawdę mówiąc, to „nareszcie” nie zdarzało się nawet w pierwszych miesiącach po ślubie – w każdym razie dla niej.

Kłęby pary unosiły się w powietrzu jak duchy. Meg wzięła nożyczki i przecięła krępujący zeszyty sznurek w oczekiwaniu, że kiedy otworzy pierwszy z nich, zobaczy puste strony, pokryte bladoniebieskimi liniami.

To, co zobaczyła, było takim zaskoczeniem, że sięgnęła odruchowo do kranu i zakręciła prysznic.

Wszystkie zeszyty wypełnione były równym, porządnym pismem matki. Obliczenia i spostrzeżenia na temat stanu farmy, pogody, zdrowia koni przeplatały się z komentarzami na temat Meg, jej siostr i ojca. Wszystko napisane było czarnym albo niebieskim długopisem.

Patrząc na krzywizny i pętle, nakreślone ręką matki, Meg poczuła, że robi jej się słabo.

Opadła na gruby wełniany dywan i rozłożyła zeszyty wokół siebie.

Czy ojciec zdawał sobie sprawę, co jej daje? Dwanaście dzienników, bo tym były w istocie, obejmujących niemal dwie dekady i kończących się w przeddzień tego niedzielnego ranka, we wrześniu zeszłego roku, kiedy się obudził i zobaczył, że żona w nocy wymknęła się, pozostawiając za sobą

nieruchome ciało... i te słowa. Co się w nich kryło? Zwykle plotki... czy mądrość?

Gdyby Meg wiedziała, że te zeszyty to dzienniki, w ogóle by ich nie otwierała. Po co przywoływać ból? Teraz nie wiedziała, co zrobić. Nie chciała ich czytać. I nie chciała nie czytać.

Drgnęła, słysząc pukanie do drzwi.

– Co tam?

– Mamo, mogłabyś mi podpisać jeden papier? Bo inaczej nie będę mogła pojechać na zajęcia w terenie pod koniec roku.

– A tata nie może?

– Rozmawia przez telefon.

Meg zebrała zeszyty i upchnęła je w szafce z kosmetykami.

– Już wychodzę.

8

W SOBOTĘ RANO MEG USIADŁA PRZY KUCHENNYM STOLE z kubkiem kawy w ręce. Przed nią piętrzył się stos zeszytów. Brian poszedł na swoje zwykłe sobotnie śniadanie z kolegami z klubu, podrzucając przedtem Savannah do Rachel, bo miały razem iść... gdzieś tam. Savannah mówiła gdzie, ale Meg, zajęta dziennikami i własną niepewnością, czyje czytać, czy nie, puściła to mimo uszu.

W domu panowała cisza i dzięki temu Meg łatwiej było podjąć decyzję. Spróbuje przeczytać jeden czy dwa akapity. Po prostu po to, aby udowodnić sobie samej, że to nic ważnego, że może bez żalu wszystko wyrzucić.

Przerzuciła kilkanaście stron, czytając na wrywki to ten, to inny wpis. Dziwne – czuła coś w rodzaju przymusu, aby to robić. Nawet najkrótsze komentarze i uwagi matki odsłaniały fragmenty jej przeszłości, o których wcześniej nie miała pojęcia.

8 czerwca, 1985

Meggie dostała pracę w banku. Potrzebna jest nam tu, w domu, ale tam też jest nam potrzebna. Czy gdziekolwiek, gdzie będzie dobrze zarabiać. Bóg świadkiem, że przydadzą się nam pieniądze! Musieliśmy zrezygnować z ubezpieczenia zdrowotnego i teraz pozostaje mi się modlić, żeby nikt z nas nie zachorował Matko Najświętsza, miej nas w swojej opiece.

A więc żyli bez ubezpieczenia... Sama myśl o tym budziła przerażenie, nawet teraz, kiedy minęło tyle lat. Meg przywołała w pamięci zafrasowaną twarz matki, linie troski wokół ust, ściągnięte brwi. Choćby nie wiem jak wcześniej wstała, matka zawsze była już na nogach.

Choćby nie wiem jak późno się położyła, matka zawsze kładła się później. Nic dziwnego, że miała wysokie ciśnienie.

– Ósmego czerwca... – szepnęła do siebie. Dzień, w którym poznała Briana.

Pierwszy dzień jej pracy w Banku Oszczędnościowo-Kredytowym Hamiltonów. Na dziesiątą miała wyznaczone szkolenie, ale przedtem musiała poznać swojego zwierzchnika – Briana, syna właściciela, zaledwie o sześć lat od niej starszego. Belinda Cordero, szefowa działu kas, podprowadziła ją do drzwi gabinetu szefa i zniknęła. Meg czuła się niepewnie i trochę nie na miejscu, jakby znalazła się tu przez pomyłkę. Prawdziwe życie czekało na padoku – konie wymagały treningu, uprząż czekała na reperację. Miała ochotę uciec.

Brian siedział przy biurku, które wyglądało starzej i bardziej dystygowanie niż on sam.

Miał na sobie śnieżnobiałą lnianą marynarkę i koszulę w odcieniu pastelowego różu, w stylu Sonny'ego Crocketta z *Policjantów z Miami*. Długawe włosy w lekkim nieładzie starannie zakomponował stylistą; miały olśniewać kobiety i pokazać mężczyznom, że jest na topie.

Odchylił się na oparcie krzesła i skinął zachęcająco ręką.

– Witaj, Meg. Wejdz, proszę. Nazywam się Brian Hamilton.

Meg zrobiła trzy kroki i przystanęła. W biurze unosiła się woń starej skóry i młodych ambicji, ucieleśnionych w zapachu drogiej wody kolońskiej, który odtąd na zawsze skojarzyła z jego osobą. Zrobiła jeszcze jeden krok i zatrzymała się.

Brian splótł ręce na karku.

– Witaj w firmie. Miło nam, że będziesz odtąd członkiem naszego zespołu. Eileen mówiła, że po wakacjach będziesz uczennicą maturalnej klasy w North Marion High?

– Tak.

– Jesteś dobra z matematyki?

Skinęła głową. Starła się ze wszystkich sił utrzymać z nim kontakt wzrokowy, tak jak radził jej ojciec, ale było to trudne. Brian nie przestawał się do niej uśmiechać, jakby wiedział, że czarna spódniczka z poliestru i marszczona brązowa bluzka pochodzą z ciuchlandu. Pantofle też – choć miała nadzieję, że ich nie widać zza biurka. Ten sam strój miała na sobie tydzień temu podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Domyślała się, że pani Guillen wszystko mu powiedziała.

Dostała tę pracę z litości, była pewna. Chyba każdy w Ocala wiedział, jak marnie wygląda sytuacja Powellów: wieczorami w miejscowym sklepie ojciec rozprawiał o swoich porażkach równie głośno jak o sukcesach. Złożyła podanie o posadę sprzątaczkę; ogłoszenie w tej sprawie ukazało się w „Ocala Star-Banner”, ale w rozmowie z Eileen Guillen, kierowniczką kadr, wspomniała o swoich planach, żeby po maturze studiować księgowość. I dlatego zamiast myć podłogi i szorować toalety w zabytkowym budynku, pięknie odrestaurowanym przez Adaira Hamiltona po pożarze w roku 1983, miała pracować jako kasjerka w niepełnym wymiarze godzin.

– Staramy się zapewnić naszym pracownikom możliwie najlepszy start – powiedziała wtedy Eileen. – Zwłaszcza tym, którzy tego najbardziej potrzebują.

– Ja też przepadam za matematyką – oznajmił teraz Brian. – Skończyłem ekonomię, a niedługo zrobię drugie magisterium z zarządzania. A ty podobno zamierzasz iść na studia.

– Chciałabym.

– Wspaniale – klasnął w ręce, i zabrzmiało to jak wykrzyknik. – Cieszymy się, kiedy nasi pracownicy mają ambicje sięgające wyżej niż cała ta Francja-elegancja. – Wstał i wyciągnął

rękę. – Świetnie, że będziesz z nami pracować. Wiem, że Belinda czeka, żebym cię jej jak najszybciej zwrócił, nie zatrzymuję więc dłużej.

W pierwszej chwili Meg myślała, że wolałaby szorować toalety. Praca na stanowisku kasjerki sprawiała, że była widoczna, a to stanowiło wyzwanie dla dziewczyny, której najlepsze ubrania to były dzinsy bez łąt i niepoplamione podkoszulki. Przeczesaały z matką ciuchlandy w poszukiwaniu przyzwoitego stroju biurowego i można powiedzieć, że odniosły niejaki sukces, ale spódniczka i wysokie obcasy, które musiała nosić każdego popołudnia, były dla niej jak teatralny kostium. Kostium nie tak ładny jak te, które nosiły inne kasjerki.

Brian jednak starał się jak mógł, żeby poczuła się wartościowym członkiem zespołu – zawsze tak mówił o kasjerkach, jako o zespole. Jeśli biała bluzka zszarzała, bo zabrakło im proszku do prania, udawał, że tego nie widzi. Kiedy sztuczna skóra na obcasach łuszczyła się, też nie zwracał na to uwagi. Czy ma dobry kontakt z ludźmi? Czy radzi sobie z wypłacaniem gotówki i przelewami? Czy jest wystarczająco ostrożna? To były rzeczy, które się liczyły.

Kiedy zaczął się rok szkolny, Meg była już zatrudniona na stałe, co

Belinda określiła jako najwyższą pochwałę.

Brian dołożył starań, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Znajdował ją podczas przerw, pytał od czasu do czasu o rodzinę, farmę, chłopaka, o życiowe aspiracje. Myślała, że zachowuje się tak wobec każdej kasjerki – nieraz się zachwycały, że jest świetnym menedżerem, i przewidywały, że na pewno zrobi karierę – i dopiero później się zorientowała, że ją wyróżnia.

Czasem towarzyszył jej i kilku innym pracownikom, gdy szli po pracy do Trough – pozwalała sobie na to wyłącznie co drugi piątek. Carson nigdy się z nią nie wybrał. „Za dużo tam facetów w krawatach” – żartował. Ona jednak szła, chcąc się dostosować do reszty, skoro już mogła. Rozmawiali o pracy, o związanych z nią planach i pewnego razu Meg przyznała się, że jej wymarzony zawód to wcale nie finanse, tylko medycyna. Może medycyna, a może weterynaria, nie była pewna.

– W domu wszystkich dotąd leczyłam – wyjaśniła. – Moje siostry, konie, koty... Kiedyś pomagałam naszej klaczy, jak się źrebiła... i nawet założyłam jej parę szwów.

Brian plasnął dłonią w stół.

– No to zrób to – powiedział ku jej zaskoczeniu. – Zdecyduj, czego chcesz i jak to osiągnąć, i zrób to.

Ale przecież musiał wiedzieć, że to niemożliwe, zarówno dla niej, jak i dla pozostałych sióstr Powell. Każdą wypłatę oddawała rodzicom, żeby było na życie. Marzenia o studiach medycznych, takich czy innych, były równie daremne, co próba latania.

Brian... Dobrze wiedział, jak nią zagrać, kiedy przyszedł właściwy moment.

9

SIEDZĄC NA RATTANOWYM FOTELU OBOK VAL, Carson patrzył, jak ona i agentka nieruchomości, którą wybrała, ambitna Francuzka Marie-Louise, pracowicie przerzucają papiery i zdjęcia rozłożone na stoliku do kawy. Znajdowali się na patio wynajętej willi w Nettle Bay. Wiedział, że powinien uczestniczyć w tym zajęciu tak samo jak Val, wiedział też – czytał to w spojrzeniach, jakie mu rzuciła – że i ona myśli podobnie. Naprawdę chciał się czuć zaangażowany. Chciałby skupić się w pełni na szczegółach elewacji, odległości od najlepszego miejsca do surfowania, wygod, takich jak wewnętrzny basen, spa czy przewiewne, a zarazem wyposażone w osłony przeciwinsektowe werandy. Ale nieposłuszny umysł wciąż uciekał w przeszłość, do czasów, gdy siedzieli z ojcem przy kuchennym stole i

szkicowali plany całkiem innej rezydencji, którą miał dzielić z całkiem inną dziewczyną.

Miał to przed oczami tak wyraźnie, jakby się wydarzyło w zeszłym tygodniu, a nie dwadzieścia lat temu: tato, młody i sprawny, w grubych portkach z diagonału i zapinanej na guziczki koszuli, które zawsze nosił przy pracy w sadzie; kuchenna lampa w kształcie szyszki nad głowami, rzucająca złocisty świetlny krąg na rozłożone na stole papiery; matka, nucąca jakąś melodię z lat sześćdziesiątych, gdy przy pobliskim biurku aktualizowała książki rachunkowe – pewnie coś Carpentersów, pomyślał, słysząc w wyobraźni jej kontralt. I Meg, jak siedzi tuż obok z lewej strony, ruchem głowy zarzuca na ramię długie włosy i uśmiecha się do niego, do przyszłości, szkicowanej za pomocą drewnianej linijki i zatemperowanych nożem ołówków.

Ale później nadeszła inna przyszłość.

Przypomniawszy sobie swoje dwudzieste drugie urodziny, długo po zerwaniu, parę miesięcy po ślubie Meg w roku osiemdziesiątym dziewiątym. George Pappas, jego przyjaciel i przyszły gitarzysta, zaprosił go na lunch i kilka piw. Stali na światłach w brunatnym chevelle'u George'a; z radia leciał na cały głos Pearl Jam. W pierwszej chwili nie zauważył

jaskrawoczerwonego sportowego auta, które stało obok po lewej stronie. Cztery czy pięć – a może i sześć? – piw sprawiło, że niemal niczego nie dostrzegł: ani otoczenia, ani tego, że spędził kolejne urodziny bez Meg. Pierwsze, odkąd wyszła za męża, ale co to za różnica?

– Hej – powiedział George, stukając w swoją szybę – czy to czasem nie Meg?

Carson zwrócił głowę w jego stronę w tej samej chwili, gdy i ona spojrzała w bok, przyciskając dłoń do okna. Wpatrywali się w siebie, tak jakby nie siedział między nimi George, jakby nie byli pasażerami dwu różnych samochodów, jakby nie rozdzielały ich szklana tafla, ostre słowa i ślubna przysięga.

George zaczął opuszczać szybę. Co on sobie wyobrażał – że utną sobie miłą pogawędkę?

Że ona mu złoży życzenia z okazji urodzin i prześle dłonią pocałunek? Ale strzałka zmieniła kolor na zielony i porsche ruszyło, skręcając w lewo.

George gwizdnął.

– Niezła bryka, bracie, co? – zauważył, śledząc wzrokiem samochód, który oddalał się coraz bardziej, aż w końcu rozmył się w mroku. –

Dogodziła sobie.

– Pieprz się – warknął Carson.

Val szturchnęła go łokciem. Wrócił do rzeczywistości.

– Carson! To chyba to!

Strząsnął z siebie wspomnienie Meg, by móc być z tą kobietą, która według wszelkiego prawdopodobieństwa miała za niego wyjść. Wyprostował się w fotelu i nachylił ku Val.

– Tak? Pokaż.

Val podała mu arkusik, na którym widniał uroczy dom o błękitnym dachu; pokryte stiukiem ściany i łukowate drzwi przypominały karaibską w stylu architekturę południowej Florydy. A może to raczej domy na Florydzie naśladowały te z St. Martin, gdzie dawał się odczuć wpływ gustów francuskich – co, rzecz jasna, da się powiedzieć o wielu budynkach Zachodnich Indii. Carson uznał, że to architektoniczna spirala życia w wersji karaibskiej.

Niezła sceneria do reality show.

– Ten jest w Terres Basses... czyli po angielsku w „niskim kraju”. Jest *très exclusif*.

Za trzy i pół miliona dolarów powinien być, pomyślał Carson.

– To tam, gdzie szukaliśmy wczoraj rano – przypomniała mu Val.

– *Alors*, z basenu i spajest widok na Morze Karaibskie... w sam raz na romantyczne wieczory we dwoje, *n'est-ce pas?* – Marie-Louise uśmiechnęła się przymilnie. – A jeśli będziecie państwo mieli gości... na przykład waszą agentkę nieruchomości, tak? – to macie do dyspozycji cztery pokoje gościnne, trzy łazienki, no i kuchnię, czy to nie wspaniałe?

Siłą woli powstrzymał się od przewrócenia oczami. Marie-Louise przypominała mu kobiety, których zawsze unikał jak ognia. Byłaby idealną gospodynią tego reality show – oglądałaby z nadzianymi parami karaibskie rezydencje i wyrzucała z wysp każdego, kto miałby na koncie mniej niż dziesięć milionów dolarów.

– Carson uwielbia gotować, prawda, Car? – powiedziała Val.

– „Uwielbia” to może trochę za mocne określenie.

– Jaki skromny. Jest fantastyczny w kuchni... za jego tajskie dania dałabym się zabić.

Mężczyźni powinni być samowystarczalni, nie sądzi pani?

– *Oui* – zgodziła się z entuzjazmem Marie-Louise. – Powinni gotować, sprzątać i zarabiać pieniądze; przecież my to właśnie robimy, *non?*

- Równość – powiedziała Val, kiwając głową.
- *L'egalité* – powtórzyła Marie-Louise i obie spojrzały na Carsona.
- Jestem za. Ja będę gotować, a Val zmywać.
- Nie!

– Odpowiedź godna księżniczki. – Carson się uśmiechnął. Dobrze wiedział, jak zareaguje Val; w kuchni była beznadziejna, potrafiła tylko nalać mleka do płatków śniadaniowych albo wina do kieliszków. Stanowiło to część jej uroku.

– Księżniczki *de la mer*. Z morskiej piany – podchwyciła Marie-Louise. Val wyjęła mu kartkę z ręki.

– A ten dom wygląda jak idealny zamek dla księżniczki. Jak myślisz, Car? Pójdziemy go obejrzyć?

Ciekawe, co by było, gdyby odparł „nie”, pomyślał. Gdyby powiedział, że jego zdaniem wyrzucanie paru milionów na letni dom jest śmieszne, nierealne i sprzeczne z tym, co stanowi istotę jego życia – choć nie potrafiłby sprecyzować, na czym ta istota polega. Jej uśmiech ustąpiłby miejsca zmieszaniu tym nietypowym w jej oczach zachowaniem. Nigdy nie widziała go w pesymistycznym nastroju, nigdy nie była świadkiem któregoś z jego „ataków filozofii”, jak nazywał Gene te osunięcia w posępną introspekcję, jakie dopadały go od czasu do czasu. Ostatnim razem zdarzyło mu się to we wrześniu zeszłego roku, na krótko przed poznaniem Val. Nie wiedziałyby, co robić z takim Carsonem, tak jak nie wiedział on sam.

I może to nie fair żenić się z nią, skoro nigdy dotąd nie była świadkiem podobnego stanu – chociaż powiedział jej o tej swojej przypadłości. Może powinien przedtem dać się jej poznać w pełnej skali.

A może ślub z nią zadziała jak krótkie spięcie, w którym przepali się jego melancholia, i będą odtąd żyli długo i szczęśliwie? Wstał i wziął Val za rękę.

– Chodźmy – powiedział.

W parę minut później szedł w ślad za kobietami wyłożoną płytkami ścieżką do miejsca, gdzie agentka nieruchomości zaparkowała swój najnowszy model mercedesa. Rzeczywistość, jaka go otaczała – absurdalnie niebieskie karaibskie niebo, drzewa palmowe tak doskonałe, że wyglądały niemal jak sztuczne, starannie przystrzyżone krzewy, błysk diamentu za siedemdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów na palcu Val, gdy uniosła ramię – nie była rzeczywistością, jaką planował niemal od dziecka. Ale stało się, jak się stało. Wierzył, że gdyby prześledził sekwencję zdarzeń czy decyzji, które doprowadziły go do tej chwili, tej rzeczywistości, wszystko zapewne

zyskałoby jakiś sens. Musiało mieć sens: zanadto był już wypalony, znużony życiem gwiazdy, by móc dalej podtrzymywać status quo. Ta pełna życia młoda kobieta w spłowiałych džinsowych szortach i obcisłym różowym topie, którą widział

przed sobą, chciała za niego wyjść. Nawet jeśli nie przypominała kobiety, z jaką zamierzał

kiedyś spędzić życie, stanowiła dość atrakcyjną alternatywę. A zatem, o ile nie zdarzy mu się śmiertelny wypadek albo uszkodzenie mózgu, za miesiąc przyjadą znów na wyspy, przywożąc ze sobą ślubne stroje, rodziców, przyjaciół i znajomych – i będzie po wszystkim.

Może wtedy, pomyślał, otwierając przed Val drzwiczki samochodu, będzie potrafił

zamknąć na dobre drzwi za przeszłością.

10

KIEDY w SOBOTĘ WIECZOREM ZADZWONIŁ KYLE, Savannah udą, że jest zajęta – tata ma urodziny, skłamała. Rachel nauczyła ją na własnym przykładzie, że dobrze jest potrzymać trochę chłopaka na dystans, żeby był bardziej zainteresowany.

– Ale dzięki, że dzwonisz! Sorry, mogę pogadać tylko dziesięć minut – dodała.

– Nie ma sprawy. To miło, że starzy wciąż chcą cię mieć koło siebie.

– Taak – przeciągnęła. Gdyby to była prawda... Dziś rano wyglądało, że mamie zależy na wszystkim, tylko nie na jej towarzystwie, a ojciec podczas jazdy do Rachel cały czas rozmawiał przez komórkę. – A co ty robisz?

– Myślę o tobie.

– Ale poważnie? – spytała, podkreślając stereo, tak żeby słyszał w tle muzykę.

– Mówię poważnie. Cały czas myślę o tobie. Mam wrażenie, jakbyśmy... no wiesz, jakbyśmy byli razem. – Zaśmiał się. – Pewnie myślisz, że jestem czubkiem, co? Ale po prostu... niesamowicie na mnie działasz. Nie mogę się doczekać, żeby cię poznać osobiście.

Starą się nie zdradzić, jak jej to pochlebia, choć sądząc z jego tonu, nie potrzebował już trzymania na dystans. Połknął haczyk. Co za ulga; nie potrafiła prowadzić całej tej gry między chłopakiem a dziewczyną, choć innym przychodziła ona z taką łatwością.

– Hm... mnie też bardzo zależy, żeby się z tobą zobaczyć – powiedziała.

– Gdzie powinnam poszukać pokoju?

Pogadali o hotelach, po czym Kyle spytał, czy wypożyczy samochód na lotnisku.

– To znaczy... a muszę? Bo wiesz... to straszne zawracanie głowy prowadzić w Miami.

– Racja – potwierdził Kyle. – Ja przeważnie pozwalam, żeby prowadził któryś z braci.

Możemy po ciebie podjechać.

– Albo może hotel wyśle busa po gości.

– A może, no wiesz... zatrzymalibyśmy się u mojego brata, co? Gdybyś na przykład chciała zaoszczędzić parę baksów.

– Stać mnie na hotel – zapewniła. Była wystarczająco rozsądna, żeby nie planować zatrzymywania się w nieznanym mieście u kogoś, kogo poznała przez Internet, nawet jeśli robił doskonałe wrażenie. – Ale dzięki za zaproszenie.

Spytała go o braci (miał dwóch, obaj byli od niego starsi i z obu „rodzice byli dumni”), a potem pogadali o tym, co będą robić w Miami, włącznie z opalaniem się topless, jeśli będzie miała ochotę. Nie żeby nalegał, skąd. I właściwie nie jest to legalne. Ale dziewczyny tak robią.

– Jeśli coś takiego cię rajcuje – powiedział – to wiesz, jesteś taka wspaniała, że na pewno będziesz świetnie wyglądać na plaży.

Wspaniała... Nikt jej dotąd nigdy nie nazwał wspaniałą. Delektowała się tym komplementem.

– Wiesz co, ale muszę wiedzieć na pewno, czy masz kasę na podróż – ciągnął Kyle.

– Ależ tak – zapewniła go, starając się mówić dojrzałym, niezależnym tonem. – Mam mnóstwo oszczędności... bo wiesz, rodzice płacą za moją naukę. – Nie było to kłamstwo: faktycznie płacili za jej prywatne liceum, a w swoim czasie będą płacić za studia. – Tak że spoko, pieniądze to nie problem. A ty? Jakbyś miał kłopoty, mogę ci pomóc.

– Pomóc? Nie, no skąd, mam się całkiem dobrze.

– Jesteś pewien? – spytała. Miała wrażenie, że coś ukrywa.

– Nie chcę brać od ciebie kasy. A zresztą, będę mieszkał z braćmi i wiele nie wydam.

– Ale za moje jedzenie i całą resztę płacę sama. Zaśmiał się.

– Jesteś z tych wyzwolonych, tak? Dobra, nie ma sprawy. Bardzo cenię niezależność... i właśnie dlatego nie biorę kasy od rodziców. – Wyznał, że on i rodzice patrzą na świat w nieco odmienny sposób i że zerwał z nimi

kontakt. – Dobrze, że ty nie musisz posuwać się do takich skrajności.

Siła jego przekonań zrobiła na Savannah spore wrażenie.

– Na razie – odparła. – Ale wiesz, moi rodzice też tak naprawdę mnie nie rozumieją. Na szczęście, gdyby zaczęło się naprawdę źle układać, to jest mój fundusz powierniczy, z którego będę mogła żyć. – Był to element finansowej strategii ojca, który miał obsesję na punkcie planowania z wyprzedzeniem. Nie będzie miała dostępu do funduszu, dopóki nie skończy osiemnastu lat, ale o tym oczywiście nie powiedziała.

– To faktycznie masz szczęście – zgodził się Kyle. Porozmawiali jeszcze parę minut.

Kyle znów powiedział, że nie może się doczekać spotkania i że na pewno znakomicie do siebie pasują.

– Nigdy się nie zdarzyło, żebym tak szybko czuł taką bliskość, wiesz?

– Nigdy? – spytała z niedowierzaniem, choć zarazem bardzo pragnęła w to wierzyć.

– Uwierz mi, jesteś inna niż wszystkie. Wyjątkowa. Jestem pewien, że każdy facet to widzi.

Kiedy odłożyła słuchawkę, cała jaśniała. Wiedziała o tym, bo poszła do łazienki i sprawdziła w lustrze.

11

PONIEDZIAŁEK ZACZAŁ SIĘ NIEDOBRZE. U czterdziestojednoletniej Cristiny Lang akcja porodowa trwała już piętnaście godzin. Meg, blada, z wargami zaciśniętymi w wąską kreskę, zmrużonymi oczami obserwowała na monitorze tętno płodu. W ciągu ostatniej godziny było zmienne, a teraz zaczęło systematycznie zwalniać. Cicho, tak by słyszała tylko Susan, położna, powiedziała:

– Masz rację: chyba nie mamy wyboru. Przygotuj ją.

– Cristino – zwróciła się do złanej potem przyszłej matki – napracowałam się, ale chyba będziemy musieli przejąć prowadzenie. Macica nie chce przestać się rozkurczać, na razie nie wiem dlaczego, ale twój chłopczyk zaczyna być zmęczony. Nie chcemy, żeby doznał jakichś powikłań, prawda? Mąż Cristiny, krępy mężczyzna, którego firma projektująca ogrody od lat dbała o posesję Meg i wielu jej sąsiadów, zaniepokoił się.

– Przejąć prowadzenie? To znaczy, że nie da rady urodzić siłami natury po tamtej cesarce?

– Przykro mi. Warto było spróbować, ale nie ma postępów, a tętno płodu słabnie, co oznacza, że dziecko ma kłopoty. Czasem nawet najlepiej

przygotowane mamy muszą skorzystać z planu B – zwróciła się do Cristiny.
– Teraz zajmie się wami Susan, a ja za parę minut czekam na was w sali operacyjnej.

Cristina złapała Meg za rękę.

– Czy z moim dzieckiem wszystko w porządku? Będzie dobrze?

– Powinno być, jeśli wyjmemy je szybko. Postaraj się nie przejmować.

– Dobrze. – Kobieta skinęła głową i Meg dostrzegła ulgę w jej oczach. –

Postaram się.

Meg uściśnęła ją za rękę, poklepała Martina po ramieniu i wyszła, kierując się do sali operacyjnej. Szła korytarzem, skupiona wyłącznie na zadaniu, jakie ją czekało. Skręcając w boczny korytarz, potknęła się. Szybko jednak odzyskała równowagę i pośpieszyła dalej, żeby zająć się przygotowaniami do operacji.

Puściła z kranu najgorętszą wodę, jaką była w stanie znieść, i zaczęła szorować paznokcie i linie na dłoniach. Konieczność użycia skalpela, aby doprowadzić do końca poród Cristiny, była przykra, ale nieunikniona, i Meg już wyczekiwała chwili, kiedy uniesie w rękach śliskie od śluzu niemowlę i przekaze je położnej – świeżo objawiony cud, cały pulsujący wolą i mocą życia. To właśnie stała sposobność obserwowania pierwszego spazmatycznego oddechu dziecka była przyczyną, dla której wybrała położnictwo. Nic poza tym nie było równie zdumiewające, równie fantastyczne. Każde zdrowe dziecko stanowiło symbol nieskończonych możliwości. Każdy kolejny maleńki człowiek, któremu pomogła wydostać się na świat, przypominał, iż jej własne życie nie jest aż tak strasznie ważne – i łatwiej było w ten sposób zapomnieć o rozczarowaniach.

Keith, krępy instrumentariusz, którego żona też miała lada dzień urodzić pierwsze dziecko, otworzył drzwi.

– Możemy zaczynać. Gotowa, pani doktor? Zamknęła kran łokciem.

– Już idę.

Keith skinął głową i wrócił do sali operacyjnej. Meg, patrząc w okno, suszyła przez chwilę ręce i jeszcze raz przeglądała w myśli fakty: położenie dziecka, bliźnię na macicy pacjentki, czas, jaki upłynął od chwili, gdy podjęła decyzję o operacji. Nagła konieczność cesarskiego cięcia to był najmniej lubiany element jej zajęcia, z natury rzeczy najbardziej ryzykowny. Matka potrzebowała ogólnego znieczulenia, dziecko przeżywało dodatkowy stres... Taka operacja zawsze była niewiadomą, pomimo całego doświadczenia i oddania Meg. Decydowała się na nią wyłącznie wtedy, kiedy to, co miało być

w pełni przewidywalne i rutynowe, zaczynało przypominać coś wręcz przeciwnego.

Przeszła do sali i stanęła z wyciągniętymi rękami, pozwalając, by pielęgniarka nałożyła jej fartuch i rękawiczki. Prawe ramię, to, które sprawiało kłopoty, było jakby nieco sztywne, wolniej działające. Kiedy pielęgniarka odstała, Meg uniosła ręce i przeciągnęła się.

– Przydałaby się drzemka? – spytał Clay Williams, nowy chirurg, który miał jej asystować. – Susan mówiła, że całą noc byliście na nogach.

– To prawda. – Meg podeszła do stołu, gdzie stał Clay, zwrócony do niej twarzą. – Ale raczej poczekam z drzemką, dopóki nie skończymy.

– No cóż, to chyba rzeczywiście lepsza kolejność – zażartował. Usta miał skryte pod cienką zieloną maską, ale w oczach widać było uśmiech... i coś w rodzaju zainteresowania, które ją zaskoczyło. Czy on z nią flirtuje? – Wy, profesjoniści, wiecie najlepiej – dodał.

Musiał być od niej o parę lat młodszy i pracowali razem zaledwie parę razy, kilkakrotnie też spotkali się na konferencjach i pogadali chwilę przed zebraniem zespołu czy po nim.

Mimo to miała niejasne wrażenie, że go pociąga. Jej odpowiedź była przyjacielska, ale ostrożna:

– Próbowałam metody z drzemką podczas operacji, ale wyniki nie były do końca zgodne ze standardami etycznymi Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy.

– Ba, zasady są po to, żeby je łamać – powiedział Clay. Czy to była aluzja do zasad małżeńskich? A może ta iskierka zainteresowania, ten znaczący ton to tylko jej imaginacja?

Anestezjolog, poważny mężczyzna w średnim wieku, z powrotem skierował uwagę Meg na zadanie, które ich czekało.

– Pacjentka gotowa.

Meg przyjrzała się uśpionej kobiecie, pomarańczowemu od jodiny brzuchowi, tacy z instrumentami, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu.

– Jakie było ostatnio tętno płodu?

– Osiemdziesiąt jeden, tuż przed uśpieniem.

Bardzo niskie, ale nie krytyczne. Meg skinęła głową ku zgromadzonemu zespołowi pielęgniarek, instrumentariuszy i dwóch neonatologów i powiedziała: – W porządku. Zaczynamy.

Z początku wszystko zdawało się iść doskonale. Sięgnęła po skalpel, ścisnęła go bez problemów w dłoni, przyłożyła ostrze do brzucha Cristiny tuż

nad kością łonową. I wtedy stało się tak, jakby z ramienia wyciekła jej wszelka siła. Skalpel wypadł z dłoni, uderzył o krawędź stołu operacyjnego i ze stukiem upadł na podłogę. Meg podniosła wzrok, zdumiona i zatroskana. Dziecko czekało; ręka nie może odmówić jej współpracy.

– Maślane paluszki – zażartowała. Poczowała wilgoć na czole i pod pachami, spocły się dłonie w rękawiczkach.

– To faktycznie niezłe ciasteczko, ale chyba drugi skalpel to lepszy wybór – powiedział

Clay.

– Tak, proszę skalpel – skinęła głową Meg, podchwytyjąc tę słowną grę. Spojrzała na własną rękę. Leżała nadal na brzuchu Cristiny, gdzie tkwiło dziecko, które bez wątpienia szybko gasło. Meg skoncentrowała się i wysiłkiem woli uniosła rękę na wysokość piersi.

– Proszę – powiedział instrumentariusz, podając jej nowy skalpel. Meg patrzyła na ostrze, lśniące groźnie w świetle lamp. Chwila przeciągała się dręczące.. Ręka była jak z ołowiu.

Ścisnęła nadgarstek lewą ręką i cofnęła się o krok.

– Doktorze Williams, zechce pan operować? – powiedziała, czując, że wszystkie oczy patrzą na nią z niepokojem. – Dostałam... skurczu. W ręce.

– Ja... naturalnie. – Clay podszedł i sięgnął po skalpel. – Dzięki za szansę – dodał, udając, że zainscenizowała tę sytuację ze względu na niego.

Zmusiła się, by odwrócić uwagę od ręki, i wydając polecenia, poprowadziła Claya przez stosunkowo mało znaną mu procedurę. Pracował szybko, pewnie, ale kiedy wyjął dziecko, było jasne, że jest bardzo źle. Maleńki chłopczyk był prawidłowo uformowany, ale szary i nie poruszał się, gdy przekazano go w ręce pediatrów. Clay popatrzył na nią oczyma pełnymi strachu.

I w niej zamarło serce, ale starała się dodać mu otuchy.

– Zrobił pan wszystko jak należy. – Z tyłu za nimi neonatolog z zespołem pracowali nad reanimacją dziecka. – Skończmy z tym – wskazała głową pacjentkę, która, choć zawsze było to trudne dla lekarza, gdy z dzieckiem były kłopoty, nadal pozostawała wartością nadrzędną.

– Jasne – pospieszył Clay. – Chce pani, żebym...

– Tak – szepnęła. – Moja ręka... – Zmarszczyła brwi pod maską.

– Nie ma sprawy.

– Dziękuję.

Stała obok z uczuciem całkowitej bezradności. Co poszło nie tak?

Przejrzała w myśli akcję porodową Cristiny, przebieg operacji, wspomniała raz jeszcze kłopoty z tętnem dziecka – ale kiedy Clay wyjął pępowinę i łożysko, wszystko stało się jasne: winowajcą był węzeł na pępowinie.

– Cholera – zaklęła, biorąc pępowinę w lewą rękę. – Musiała się zapętlić na początku ciąży.

Bardzo rzadko zdarzało się, że wyjątkowo ruchliwy płód o dłuższej niż zwykle pępowinie zdołał się zapętlić. Bardzo rzadko zdarzało się też, że USG tego nie wykazało. I wówczas w jakimś momencie porodu węzeł, dotąd luźny, zaczynał się zaciskać i w końcu zaciskał się na dobre, odcinając dopływ tlenu do krwi dziecka. W ciągu paru minut – dosłownie paru minut – jakie upłynęły od wyłączenia monitora do chwili, gdy Clay włożył ręce do brzucha Cristiny, dziecko zmarło. Zgasło cicho, bez walki. Nie mogli tego przewidzieć, a nawet gdyby wiedzieli, i tak nie mogliby nic zmienić w swoim postępowaniu. Z wyjątkiem... Z wyjątkiem tych czterdziestu pięciu sekund, jakie upłynęły od chwili, gdy wypadł jej skalpel: możliwe, że właśnie one zdecydowały.

Clay trącił ją łokciem. Kiedy podniosła na niego oczy, pokręcił głową, tak jakby czytał w jej myślach i chciał powiedzieć: stop.

Spojrzała na opuszczone ramiona ludzi stojących wokół podgrzewanego stołu i z wysiłkiem przełknęła ślinę.

W dwie godziny później Clay i Meg jechali w milczeniu windą. Nieoczekiwanie Clay wyciągnął rękę i nacisnął guzik „stop”.

– Co robisz? – spytała, zaskoczona.

Clay dotknął jej podbródka, tak by na niego popatrzyła.

– To nie twoja wina. Odwróciła wzrok.

– Nie możesz tego wiedzieć. Gdyby nie moja ręka...

– Nie wiedziałas, że pętla się zaciśnie.

– Wiedziałam, że to się może zdarzyć. Zdarzyło się już raz, w zeszłym tygodniu.

– Raz. W zeszłym tygodniu.

Doceniała jego wsparcie, ale przecież dostała sygnał ostrzegawczy, kiedy szła do sali operacyjnej – i go zignorowała. A teraz dziecko nie żyło.

– Posłuchaj – ciągnął Clay. – Załóżmy, że moglibyśmy odzyskać tę minutę. Dziecko istotnie mogłoby przeżyć... kładę podwójny nacisk na słowo „mogłoby”... a wówczas niemal na pewno na skutek tego, co już się stało, miałoby ciężko uszkodzony mózg i byłoby ciężarem dla nieszczęsnych rodziców do końca ich życia. Byłoby rośliną, jeśli wybaczysz mi

bezwzględność tego terminu.

– Być może – zgodziła się. Wyobraziła sobie Cristinę i Marka, którzy usiłują zaspokajać potrzeby takiego dziecka na równi z potrzebami uroczej, pulchnej dwuletniej córeczki, Chloe, również urodzonej przez cesarskie cięcie, tak samo nagle, ale bez zapętlenia. Zobaczyła w wyobraźni chłopca o pustych oczach, karmionego przez rurkę, oddychającego przez respirator, pozbawionego przyszłości – i poczuła, że nikomu nie życzyłaby takiego życia.

Clay ujął oburącz jej prawą dłoń i roztarł delikatnie.

– Nie możemy uratować ich wszystkich, wiesz o tym. Jasny gwint, nawet siebie samych nie możemy uratować.

Wiedziała bez pytania, że ma na myśli swój pociąg do niej, kobiety zamężnej. To, że nie mają kontroli ani nad śmiercią, ani nad dziwną siłą, która pociąga ludzi ku sobie, miłością ją nazwać czy jakkolwiek inaczej. Pozwoliła, by patrzył na nią długą chwilę. Pociecha, wsparcie i czułość kogoś, kto naprawdę ją rozumiał, były zbawieniem, którego potrzebowała.

Niestety, chwila nie mogła trwać.

– Muszę iść – szepnęła. Pozostałe obowiązki dnia wdarły się do świadomości, przypominając, że jej świat istniał na zewnątrz tego intymnego gestu, że przyjmowanie go było błędem.

– Ja też – odparł Clay. Wciąż jednak trzymał ją za rękę, a ona jej nie cofała. – Meg...

– Clay.

Westchnął cicho, puścił ją i nachylił się, aby ponownie uruchomić windę. Kabina szarpnęła lekko i podjęła wędrówkę ku parterowi.

– Jesteś znakomitą lekarką – powiedział Clay. – Wszyscy to mówią.

– Dobrze się dziś spisałeś – odparła.

Zadzwieczał sygnał i drzwi windy się rozsunęły. Meg wyszła pierwsza w tłum gości, odwiedzających pacjentki w porze lunchu.

– Postaraj się cieszyć resztą weekendu – rzuciła. Skinął głową. Oczy miał nieodgadnione.

– Ty też.

Odeszła, pozostawiając za sobą jego i szpital, i papierkową robotę, i pogrążonych w żałobie rodziców martwo urodzonego dziecka, którzy tak wielkodusznie rozgrzeszyli ją już ze smutnych efektów pracy – przynajmniej na razie. Inne obowiązki ją wzywały: musiała zadzwonić do ojca i odwołać niedzielną wizytę, przywieźć Savannah z meczu, na który ona nie poszła.

Brian esemesował z pola golfowego, żeby kupiła butelkę moeta dla jego kolegi, który właśnie się zaręczył. Pobłażanie sobie to luksus, na który nie mogła sobie pozwolić.

Zwłaszcza z Clayem Williamsem.

12

SAVANNAH I RACHEL MOCZYŁY SIĘ W PRZYLEGŁYM DO BASENU SPA, a Meg stała przy czarnym granitowym blacie kuchennym i robiła sobie kanapkę z indykiem. Blat był tak lśniący, że widziała w nim własne odbicie, zmęczonej kobiety z głęboką zmarszczką między brwiami; przycisnęła zmarszczkę dłonią i rozciągnęła policzki, żeby zetrzeć z twarzy wyraz napięcia. Teraz było lepiej, pomyślała jednak, że mogłaby zmienić granit na coś matowego; lśniące kuchnie były najwyraźniej zaprojektowane dla kapłanek domowego ogniska, które beztrząsco pogwizdując, ucierają, mieszają, siekają, zagniatają i panierują, a ich jedynym zmartwieniem jest to, by przyrządzić smaczny posiłek. Kuchenny blat nie powinien przypominać kobiecie o jej troskach i niepowodzeniach. Sam fakt, że mając taką piękną kuchnię, wykorzystuje ją w niewielkim stopniu, był wystarczająco przykry i stanowił źródło mglistego wprawdzie, ale nieustannie towarzyszącego poczucia winy.

Przez otwarte na patio drzwi dobiegał śmiech dziewcząt i odgłosy ich dzwoniących co parę minut komórek. Meg zajęła się rozsmarowywaniem majonezu na kromce chrupkiego chleba. Zanurzała nóż w słoiku, nabierała trochę majonezu i bez trudu rozprowadzała po kanapce, i jeszcze raz, i jeszcze... Ani śladu słabości ręki.

– Szlag by to – mruknęła.

Tym razem w kieszeni białych lnianych spodni zawibrowała jej komórka. Meg drgnęła i upuściła nóż na podłogę. Wyjęła telefon, zobaczyła, że to jej siostra Kara, i odebrała, patrząc na leżący na podłodze nóż.

– Cześć, siostró – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał normalnie, tak samo jak wtedy, gdy jakiś czas temu zabierała do domu dziewczynki. Udawanie szło jej znakomicie.

– Widziałaś?! – zawołała Kara.

– Co?

– Oficjalne ogłoszenie o zaręczynach Carsona, a co innego?

Kara bardzo się tym przejmowała. Śledziła życie i karierę Carsona jak nastoletnia fanka, wędrująca z zespołem, podobnie jak włóczyła się niegdyś za Meg i Carsonem po polach i wzgórzach farm.

– Coś tam widziałam na stronie CNN – powiedziała Meg, schylając się po nóż. – O to ci chodzi?

– Nie, skąd. Jest oficjalne ogłoszenie w lokalnej gazecie Ocala.

– Skąd wiesz? – spytała Meg, podnosząc nóż. Kara mieszkała obecnie w północnej Kalifornii, w sąsiedztwie bazy lotniczej Travis, gdzie jej mąż Todd, starszy sierżant, odsługiwał trzy lata dzielące go od emerytury.

– Przeczytałam w sieci. A gdzie indziej mogłabym się na bieżąco dowiadywać, co się dzieje w domu?

Dla Kary, która od czasu, gdy w roku 1992 wyjechała z Florydy, miała już cztery domy, tylko ten w Ocala był prawdziwy. Powiedziała kiedyś Meg, że stara się namówić Todda do powrotu do Ocala po zakończeniu służby. Chciała tu prowadzić szkółkę ogrodniczą.

Wszystko miała przemyślane i była pewna, że to będzie bomba. Ze wszystkich siostr Powell Kara najbardziej przypominała ojca.

– Myślałam, że jesteś jasnowidzką – uśmiechnęła się Meg.

– Fajnie by było! Nie musiałabym wtedy śledzić każdego szczegółu z życia dzieci. Nie mówią mi wszystkiego, niestety. No, ale przynajmniej potrafię czytać wiadomości w necie... a tę naprawdę powinnaś zobaczyć. Dostajecie tę gazetę, prawda?

– Tak... ale jeszcze jej nie czytałam.

– Nie czytałaś? Jezu, przecież u was jest już wpół do piątej – coś ty robiła cały dzień?

Niewinne pytanie Kary było jak ukłucie lodowej igielki gdzieś w głębi brzucha, ale Meg się opanowała.

– Przez całą ubiegłą noc i dzisiejsze przedpołudnie rodziła mi pacjentka, potem Savannah miała mecz i trzeba ją było przywieźć do domu. Dopiero w tej chwili mam szansę zrobić sobie kanapkę i usiąść na pięć minut.

– To jeszcze nie siadaj. Weź gazetę i przeczytaj.

Ruszyła w poszukiwaniu gazety i znalazła ją w pokoju telewizyjnym, gdzie Brian rzucił

ją po przejrzaniu pierwszej i ostatniej, sportowej strony. Kara tymczasem chciała się dowiedzieć, co tam u ojca.

– Nie rozmawiałaś z nim?

– Nie, od jakichś dwu tygodni. Był na nas zły, że nie możemy do niego przyjechać tego lata. Chyba specjalnie nie podnosił słuchawki... Ale wiem, że ma się dobrze, bo inaczej byś mi powiedziała.

Oczywiście, to Meg pełniła funkcję skrzynki kontaktowej, jak zawsze.

Kiedyś rodzice pozostawiali jej doglądanie sióstr, teraz siostry pozostawiały jej doglądanie rodziców – w tej chwili już tylko rodzica – i to ona powinna wszystkie informować.

– U ojca wszystko dobrze. Adaptuje się. Lewa nerka mu się odżywa.

– A odżywia się jak należy? Słowo daję, on jest taki uparty! O co chodzi z tą nerką?

Meg wyciągnęła ze środka gazety wkładkę „Style życia”, gdzie co tydzień ukazywały się ogłoszenia o ślubach.

– Nie jestem pewna. Powiedziałam, żeby zadzwonił do nefrologa.

– Co za uczone słowa – zadrwiła Kara. Była bystra, ale nigdy nie studiowała: w wieku dziewiętnastu lat wyszła za Todda, którego poznała trzy lata wcześniej na weselu Meg, gdzie chłopak przed wstąpieniem do wojska dorabiał jako parkingowy. Potem pojawiła się kolejno czwórka dzieci, sami chłopcy. Meg miała nadzieję, że Karze uda się spełnić marzenie o powrocie na Florydę: brakowało jej siostry, która była dla niej kiedyś najbliższą poza Carsonem osobą. Z Beth też były teraz blisko; mogłaby polecieć do każdej z sióstr w odwiedziny, gdyby tylko znalazła trochę czasu. Czas jednak chował się przed nią uparcie, zupełnie jak Savannah chowała się w supermarketach, gdy była mała. Choćby Meg nie wiem jak się starała, nie dawała się odszukać.

– Mam tę gazetę. Chodzi o „Style życia”, tak?

– Tak. Otwórz na stronie drugiej.

Otworzyła. Tak, było ogłoszenie. „Laureat nagrody Grammy Carson McKay zamierza poślubić pannę Valerie Haas z Malibu w Kalifornii” – głosił napis pod zdjęciem narzeczonych. Meg złożyła gazetę.

– No i? – spytała Kara. – Prawda, że jest śliczna?

– Mało śliczna. Olśniewająca. – Meg dokończyła przygotowywanie kanapki, bez trudu posługując się nożem.

– Nigdy nie myślałam, że się ożeni z zawodową surferką. Słyszałaś o niej? Piszą, że ona ma dwadzieścia dwa lata! A on... ile? Czterdzieści?

Zawodowa surferką? Meg nawet nie przypuszczała, że można uprawiać surfing zawodowo.

– Nie, na razie trzydzieści dziewięć. Czterdzieści skończy w listopadzie.

– Ona sama miała obchodzić trzydzieste dziewięte urodziny pod koniec lipca.

– Ciekawe, jak będą świętować czterdziestkę. Pewnie wynajmą jakąś wyspę i zaproszą na imprezę setkę najbliższych przyjaciół.

W wyobraźni Meg pojawił się obraz Carsona na zrobionej przez nich

własnoręcznie huśtawce z opony. Siedział na niej okrakiem, trzymając się oburącz liny, uwiązanej do gałęzi rosnącego w pobliżu jeziora dębu.

Odchylony do tyłu, odbił się bosą stopą od ziemi i zaczął

się leniwie obracać, a ona patrzyła na niego, wsparta o pień.

– Na twoje czterdzieste urodziny zabiorę cię do Afryki na safari – powiedział.

– Naprawdę? – spytała, bardziej zajęta obserwacją jego nagich pleców niż zastanawianiem się nad czymś, co się wydarzy za ponad dwadzieścia lat.

– No. Masz to jak w banku.

– A co z twoją czterdziestką? – spytała.

– Tajlandia – odparł. – Ze względu na krewetki z trawą cytrynową. – I rozhuśtawszy oponę, zadarł głowę i utkwiał wzrok w baldachimie dębowych gałęzi, tak jakby była na nim wymalowana ich przyszłość – epizody życia, które na nich czekało, zaprezentowane do wglądu na każdym faliście wykrojonym listku.

Kara się roześmiała.

– Boże. Siedemnaście lat.

Przez moment Meg myślała, że siostra mówi, ile lat upłynęło od tamtego dnia. Nie, nie siedemnaście, pomyślała. Dwadzieścia... nie, dwadzieścia jeden. I dopiero potem zdała sobie sprawę, że Kara oblicza różnicę wieku między Carsonem a jego narzeczoną. Faktycznie, mógłby być jej ojcem: przyszła panna młoda pewnie uczyła się chodzić, kiedy on składał

swoje obietnice co do safari.

– Jeśli będzie z nią szczęśliwy... – powiedziała, chcąc skończyć z tematem. – A jak twoje plany szkółki ogrodniczej?

– Czy słusznie wyczuwam próbę zmiany tematu? Daj spokój, Meggie. Miałaś szansę i ją przegapiłaś.

– To prawda – odparła. Ani ona, ani rodzice nigdy nie powiedzieli Karze, Beth czy najmłodszej, Julianne, całej prawdy o tym, dlaczego ona i Carson zerwali ze sobą.

Kara westchnęła.

– Gdybym wiedziała, że będzie kiedyś taki sławny, sama bym go poderwała, do licha...

Oczywiście nie mam nic przeciwko Toddowi.

– Jasne.

– No dobra... Chyba obie zaważyłyśmy sprawę, jeśli chodzi o starego Carsona. I musimy z tym żyć. Ale nie jest tak źle, prawda? Ja mam Todda i

chłopaków, a ty Briana i Savannah. Na pewno byś z niej za nic w świecie nie zrezygnowała, nawet po to, żeby mieć dziecko z Carsonem.

– Pewnie że nie – zgodziła się Meg, choć było możliwe, że Savannah i to hipotetyczne dziecko, które zdaniem Kary mogłaby mieć z Carsonem, to jedna i ta sama osoba. Kara nie miała pojęcia, że ojcem Savannah może być ktoś inny niż Brian. Nie wiedziała przecież, że Meg spotkała się z Carsonem rankiem w dniu ślubu i że nie udało jej się zamknąć drzwi za przeszłością tak skutecznie, jak się jej wydawało.

– Dobrze się czujesz? Mam takie wrażenie, jakbyś była wkurzona czy coś. Zdrzemnij się może. Żebym ja mogła ukraść chwilę na drzemkę! Szkoda, że nie widzisz mojego blatu w kuchni. Keiffer i Evan robili z gliny modele góry Doom... i jak myślisz, posprzątali po sobie?

Dobra, chyba już lepiej skończę: Tony się drze, a Todd jest w garażu.

Meg uśmiechnęła się na myśl o pogodnym bezhołowiu panującym w domu siostry.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś.

– Powiedz tacie, żeby do mnie zadzwonił. Buziaki dla wszystkich – powiedziała Kara i się rozłączyła.

Meg stała przez chwilę ze słuchawką w ręce, przejęta smutkiem i poczuciem straty.

Brakowało jej Kary, Beth i Julianne, ale one przynajmniej chodziły jeszcze po tej ziemi.

Wystarczyłaby trwająca pół dnia podróż samolotem, żeby je zobaczyć. Ale matka, wyrwana z ich grona tak nagle, że Meg do tej pory się zdarzało podnieść słuchawkę, aby do niej zadzwonić, była dla nich stracona na zawsze. Jak dziewczyna – no dobrze, kobieta – ma sobie poradzić bez matki? Zapiski w zeszycie były okienkiem, które dawało możliwość zajrzenia w przeszłość, ale co z dniem dzisiejszym, kiedy tak była jej potrzebna współczująca dłoń na ramieniu?

– Och, mamó – westchnęła.

Tej nocy, wiele godzin później, Meg wyszła na werandę i siedząc na kanapie, sączyła z kieliszka gin. Cisza i ciemność przynosiły ulgę tylko częściowo. Brian i Savannah od dawna spali, ale ona nie mogła usnąć. Była zmęczona – tak bardzo, że nie potrafiła nawet obliczyć, ile godzin upłynęło od czasu, gdy spała ostatni raz. Mimo to myśli wirowały jej w głowie i pędziły naprzód jak wodospad, uniemożliwiając zaśnięcie.

Matka żyła w podobnym zamęcie niemal przez całe życie: była

najmłodsza z ośmiorga dzieci, a jej ojciec poległ w Normandii. A potem w małżeństwie gonitwa nie ustawała nigdy.

Ojciec rzucał się w jakiś nie do końca przemyślany plan, który nieuchronnie plajtował.

Najpierw była hodowla cytrusów, jak u McKayów: tysiące młodych drzewek zabił w drugim roku jakiś pomór, którego ojciec nie potrafił przewidzieć. Potem kupił kawałek ziemi, który miał się stać w przyszłości stadniną, i zbudował wielką szklarnię, aby uprawiać i sprzedawać amatorom rzadkie orchidee, co miało być jakoby zajęciem łatwiejszym. Ale ani on, ani matka, która wówczas już miała i ją, nie radzili sobie z kosztownymi, wymagającymi roślinami.

Orchidee wymierały, za to długi kwitły.

Tuż po narodzinach Kary, gdy Meg miała pięć lat, ojciec porzucił to marzenie. Sprzedał

za bezcen wszystkie związane z orchideami akcesoria i wybudował stajnie, aby w nich trzymać i hodować rasowe konie. Był pewien, że dzięki zdolności perswazji przekona do tego planu i konie, i nabywców. Sukcesy były dostatecznie częste, by skłonić go do utopienia w stadninie kolejnych pieniędzy. W chwili, gdy w dziewięć lat po Meg urodziła się Juliannę, rodzina była już przykuta do czegoś, co stało się najtrwalszą i najbardziej uporczywą ojcowską obsesją.

Meg dobrze pamiętała, jak ona i siostry jadały całymi tygodniami na lunch wyłącznie chleb z dżemem albo jajka od hałaśliwych, płochliwych kur. Nosiły buty z lumpeksów i ubrania kupione na sobotnich wyprzedazach garażowych. Wcześniej nauczyły się odpowiadać na telefony wierzycieli, że rodzice są zajęci, ale czy byliby tak mili i zostawili wiadomość.

Meg, dwunasto – czy trzynastoletnia, przećwiczyła to kolejno z każdą z sióstr, stojących przed nią w szeregu jak nierówne stopnie schodów. „Pokaż to im wszystkim – powiedziała matka. – Wiesz, jak Juliannę uwielbia odbierać telefon”. Trzyletnią Juliannę najłatwiej było nauczyć – z radością naśladowała Meg i aż się paliła, żeby zasłużyć na jej pochwałę. Beth i Kara stawiały pytania, na które Meg nie potrafiła odpowiedzieć, ale dobrze wiedziała, że nie należy ich odsyłać do rodziców.

– Czemu ci ludzie ciągle dzwonią, Meggie?

– Czemu mama i tatuś sami nie odbierają telefonu?

Dopiero gdy jacyś egzekutorzy pokazali się osobiście – zawsze w źle dopasowanych garniturach – wychodził do nich ojciec. Z okna sypialni

widziała, jak odprowadza ich z uśmiechem do samochodu, wymieniając na pożegnanie uścisk dłoni i składając wątpliwe obietnice, które parę lat później doprowadziły do tego, że i ona obietnicę złożyła.

Jej obecne dostatnie życie z trudem można było porównać z obłędem, w którym trwała przez tyle lat matka, ale z przyjemnością myślała, że obie z matką zrównoważony charakter.

Jak tylko mogła sięgnąć pamięcią, ona także wytrzymywała wszelkie kryzysy, ufając, że wszystko samo się jakoś ułoży – z pomocą Matki Boskiej, rzecz jasna, a przynajmniej matka chciała, by w to wierzyła. Wytrzymywała, zbyt zajęta pilnowaniem siostr, karmieniem kurcząt czy czyszczeniem grzyw kolejnego pokolenia koni, które, jak uparcie twierdził ojciec, miały zdobyć nagrodę Triple Crown, aby robić coś innego.

Cykanie koników polnych było jak głos boleśnie niedoścignętego szczęścia. Ale gdy tylko odezwał się w niej żal, zepchnęła go w głąb serca. Nie miała prawa uzalać się nad sobą, żadnego prawa, i przypominała sobie samej, że nie licząc stresów, jakich dostarcza jej praktyka lekarska, ona sama jest odpowiedzialna za wszystko we własnym życiu, i dobre, i złe.

Odpowiedzialność. To ona sprawiła, że uratowała rodziców przed grożącą im upadłością i umożliwiła siostrom dorastanie na rodzinnej farmie, a nie w ciasnym, pełnym karaluchów mieszkanku. Odpowiedzialność powstrzymywała ją przed szukaniem rozstrzygającej odpowiedzi na pytanie, kto jest ojcem Savannah, odpowiedzialność sprawiła, że stała się znaną, cenioną lekarką – a także łagodziła poczucie winy, gdy sprawy szły źle, choć ona zrobiła wszystko jak należy. Zawsze była odpowiedzialna, rozważna, zapobiegliwa, nawet kiedy tego nie chciała. Prawie zawsze.

A jednak matka, mimo nieustannego wysiłku, nie zdołała uchronić rodziny przed ruiną, która wydawała się nieunikniona, dopóki Meg nie wyszła za Briana. A jej starania nie zdołały uratować życia dziecku Langów. I nie zapewniły małżeńskiej satysfakcji, która, zgodnie z jej racjonalistycznym założeniem, miała przyjść we właściwym czasie. Człowiek może się starać ze wszystkich sił, przestrzegać wszelkich zasad, a mimo to ponieść porażkę.

Dlaczego więc zawsze tak się starała? Dlaczego zawsze była taka zapobiegliwa?

Ciepły nocny wietrzyk przyniósł słodką, piżmową woń więdnących kwiatów kapryfolium. Meg przymknęła oczy i głęboko odetchnęła, odsuwając na bok przykre myśli, niepokój o rękę, poczucie winy z powodu

dziecka Langów i dziwny brak poczucia winy, że nie powstrzymała zalotów Claya. Teraz po prostu chłonęła zmysłową woń natury. Ciepła wiosenna noc. Słodko pachnące kwiaty. Wilgotna gleba. Zapach dzikiej mięty i świeżo przystrzyżonej trawy.

Trawa znów przypominała jej na chwilę miniony dzień. Powiedziała Brianowi o martwo urodzonym dziecku Langów, a on naturalnie bardzo im współczuł. „Jakie to dla nich musi być straszne” – powiedział. A potem dodał: „Nie chciałbym wydać się niewrażliwy, ale jak myślisz, czy Lang nadal będzie się zajmował naszym trawnikiem”?

Praktyczny jak zawsze.

Przedrzeźniacz, któremu najwyraźniej pomyliły się godziny, zaczął swoją litanie nawoływać gdzieś na wschodzie ich rozległej posiadłości, położonej w osiedlu takich samych rezydencji. Meg zwróciła głowę w kierunku, skąd dochodził głos ptaka, tak jakby można go było zobaczyć o trzeciej nad ranem. Patrzyła na sylwetki rozłożystych sosen, dębów i magnolii i zastanawiała się, czy i ptak próbuje strząsnąć z siebie zły dzień: zniewagę towarzysza, rany spowodowane zbyt śmiałym lotem. Może i ona powinna zaśpiewać, nie bacząc na porę? Śpiewanie zawsze pomagało Savannah. I chyba także Carsonowi.

Podciągnęła nogi i oplotła je ramionami. Obie ręce zachowywały się jak należy. Wsparła brodę na kolanach i pozwoliła myślom odpłynąć do Carsona i nowin o jego bliskim ślubie.

Powinna po prostu zaspokoić ciekawość i przeczytać o wszystkich szczegółach – a może nawet pomyśleć o wysłaniu im jakiegoś prezentu. Kimkolwiek była Valerie Haas, musiała być niepospolita. Udało jej się zaręczyć z Carsonem, który tak długo żył samotnie i stanowił znakomitą partię.

Prawdopodobnie powinna poznać szczegóły dotyczące ślubu i narzeczonej, tak by nie musiała wracać do nich myślą, i w końcu na dobre zamknąć ten rozdział swego życia. Czy nie był otwarty o wiele za długo?

Carson żonaty. Zakochany. To dobrze, nawet jeśli myśl o tym boleśnie godziła w jej poczucie własności. Nawet jeśli obraz Carsona trwale związanego z kimś innym był jak ostry kamień, wciśnięty w serce.

13

W PONIEDZIAŁEK MEG ZABRAŁA JEDEN Z ZESZYTÓW MATKI DO PRACY i podczas przerwy na lunch zabrała się do czytania.

5 grudnia, 1987

Idąc do sklepu, rozmawiałyśmy dziś z Carolyn o dzieciach. Carson ma zamiar kupić Meggie pierścionek na Boże Narodzenie. To takie naturalne, że się pobiorą. Zdaniem Caro, Carson chciałby, żeby wesele było w kwietniu, bo Meg tak lubi wiosnę. Jeśli mam być całkiem szczerą, nie może być dla niej lepszej pory na przeprowadzkę, bo jeśli sprawy wciąż będą szły tak jak dotąd, to do maja stracimy farmę.

Ale sprawy ułożyły się inaczej. Brian oświadczył się jej – w pewnym sensie – dwa tygodnie przed świętami, a o tej porze roku nieuchronnie musiała dostrzec w tym geście romantyzm.

Od paru miesięcy nie był już jej zwierzchnikiem, ale często go widywała. Wczesną jesienią powiedział jej, że powodem, dla którego wycofał się ze ścisłego kierownictwa i przeszedł do działu inwestycji, jest nadzieja umawiania się z nią na randki. Nie naciskał

jednak i zapewnił ją, że fakt, iż zdecydowanie się nie godzi, aby było między nimi coś więcej niż platoniczny lunch we dwoje od czasu do czasu, w żadnym razie nie wpłynie na jej pracę.

Nigdy nie pozwalała, by za nią płacił.

Ten lunch był jednak inny od poprzednich.

Poszli do Margot's, kawiarni, gdzie nie było jej stać na płacenie za siebie.

„Bożonarodzeniowa premia – powiedział. – Ja stawiam”. Wnętrze było już świątecznie udekorowane: nad drzwiami wisiały bukiety ostrokrzewu, przybrane migającymi białymi światełkami i aksamitną ciemnoczerwoną wstążką. Brian usiadł naprzeciw niej przy biało nakrytym dwuosobowym stoliku i powiedział, że ma dość niezwykłą propozycję. Czy zechce go jedynie wysłuchać i obiecać, że się nad nią zastanowi?

– Meg – powiedział. – Jakiś czas temu dowiedziałem się o czymś, co zrobiło na mnie wrażenie. To było w któryś piątek, kiedy nie poszłaś do Trough. Zwykle nie zwracam specjalnej uwagi na plotki, ale... no dobrze, powiem ci, czego się dowiedziałem. Słyszałem, jak Vicki mówiła do Marka, że całą wypłatę oddajesz rodzicom, żeby pomóc im opłacić rachunki, i że robisz tak od samego początku, odkąd zaczęłaś u nas pracować.

Meg oblała się rumieńcem. Vicki nie miała prawa nikomu o rym mówić – zwłaszcza gdy istniała możliwość, że usłyszy to ktoś taki jak Brian. Krępowwały ją rodzinne kłopoty, uważała, że źle wpływają na jej obraz w oczach innych.

– Tak – powiedziała niedbale – rodzice mieli trochę finansowych kłopotów. Jeden z ogierów złamał nogę i...

– Źle mnie zrozumiałaś; uważam, że jesteś wspaniała. Co za gest, co za lojalność... Które dziecko w dzisiejszych czasach zrezygnowałoby z własnych potrzeb, żeby pomóc rodzicom?

Meg wzruszyła ramionami.

– To mój obowiązek pomóc, skoro mogę. – „Wybór był dla niej prosty, równie naturalny jak oddychanie.

– Jesteś też lojalna wobec banku. Pracujesz tutaj... ile? Ponad dwa lata, tak? No i jest jeszcze lojalność wobec chłopaka... chociaż to nie budzi we mnie aż takiego zachwytu – zaśmiał się.

Znowu wzruszyła ramionami, zakłopotana, ale i pochlebiona. Złękła się, że to nielojalne, i znowu się zarumieniła.

Ujął jej dłoń w swoje chłodne, gładkie, wypielęgnowane dłonie.

– Podziwiam cię, Meg, i naprawdę cię lubię, wiesz o tym. Ciężko pracujesz, opiekujesz się rodziną... i, Boże, jesteś taka ładna. Znamy się już trochę czasu, prawda? Dobrze nam się razem pracowało, dogadywaliśmy się i... wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale... chcę ci pomóc. Musisz dać mi szansę, Meg, jesteś to winna sobie samej. Zastanów się, czy i twoim zdaniem jesteśmy tak dobrani, jak uważam. A jeśli uznasz, że tak, chciałbym, żebyś rozważyła możliwość wyjścia za mnie.

Meg była pewna, że się przesłyszała.

– Chciałbyś, żebym co?

– Jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, wówczas obaj z ojcem będziemy mogli pomóc twoim rodzicom spłacić dług hipoteczny. – Podniósł rękę, aby powstrzymać jej protest. – Wiem, to brzmi jak przekupstwo, ale ja myślę o tym raczej w kategoriach bodźca. Premii.

– Skąd wiedziałeś o długu? – Nawet ona nie знаła szczegółów sytuacji finansowej rodziców.

– Bo to myśmy go udzielili – odparł Brian. – Twoi rodzice zaciągnęli go u nas na spłatę poprzedniego parę lat temu. Poprosiłem ojca, żeby wstrzymał procedury upadłościowe, dopóki z tobą nie porozmawiam. – Nachylił się i spojrzał jej w oczy. – Słuchaj, Meg. Nie jestem szaleńcem. Jestem po prostu mężczyzną, który wie, o co mu chodzi. Byłoby nam razem dobrze, jestem o tym przekonany. Być może myślisz, że kochasz Carsona, i być może rzeczywiście go kochasz, w pewnym sensie. Ale to miłość nastolatków, z zasady nietrwała.

On był twoją ucieczką przed obłądnym, trudnym życiem, ale teraz ta ucieczka... Carson... nie jest ci już potrzebna. Możesz rozwiązać problemy

rodziców. Będiesz bohaterką.

Pocałował ją, a ona była zbyt zdumiona, aby zaprotestować.

– Powiedz, że się nad tym zastanowisz.

Nie chciała się zastanawiać, ale czy mogła tego nie zrobić?

Brian powiedział, że nie może mówić o tym Carsonowi. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, ze względu na „kreatywne księgowanie”, którego musieliby użyć, gdyby sprawa się powiodła. Zresztą właściwie i tak nie miała ochoty zwierzyć się Carsonowi; cała sytuacja była dla niej obraźliwa, wręcz gorsząca – a zarazem mogła się stać nieoczekiwaną odmianą losu dla jej rodziny. Może nawet szczęściem.

Musiała uratować rodzinę, skoro mogła. To był słuszny wybór. Etyczny. Wybierając Briana, mogła ocalić siostry przed losem gorszym nawet niż obecny. Mogła je podnieść na wyższy poziom społeczny, dzięki czemu miałyby większe szanse na sympatię rówieśników i nie musiałyby rezygnować z własnych zainteresowań tylko po to, żeby rodzinie nie zabrakło chleba i mleka. Bez wiszącego nad głową długu rodzice będą mieli pieniądze na dodatkowe wydatki: Kara chciała wyjechać z Klubem Hiszpańskim swojej szkoły do Mexico City, Beth pragnęła uczyć się gry na fortepianie, Julianne marzyła o butach do konnej jazdy, angielskim siodle i regulowanych poprzeczkach do skoków, tak żeby mogła ćwiczyć do zawodów.

Wszystkie dziewczynki mogłyby się lepiej ubrać!

Chciała tego wszystkiego, ale przede wszystkim tego, by matka mogła wreszcie sypiać po nocach, a nie krążyć po domu jak widmo. Jakże więc mogła samolubnie zostać z Carsonem i patrzeć, jak rodzina pograża się w niedoli, pozbawiona ziemi, która dawała przynajmniej własny kawałek nieba nad głową, rosochaty dąb, ścieżkę przez łąki do płytkiego stawu, gdzie piękne, choć na ogół niedochodowe konie piły rankiem wodę?

No i zrobiła to. Postanowiła dać szansę Brianowi. Prawdą było to, co mówił o nastoletniej miłości. Teoretycznie przyznawała mu rację nawet teraz. W jej własnym jednak nieteoretycznym życiu odpowiedź, która wydawała się tak jasna i oczywista, gdy Brian składał jej swoją propozycję, z biegiem czasu mętniała i mroczniała. Lubiła Briana, lubiła nowy grafik, który pozwalał jej trzy razy w tygodniu dojeżdżać na uczelnię do Gainesville, lubiła jeździć z Brianem w różne miejsca: do Nowego Jorku, Puerto Rico, Waszyngtonu. Ale brakowało jej Carsona, tak jak brakowałoby jej prawej ręki, gdyby obudziła się rano i nieoczekiwanie stwierdziła, że ręka zniknęła. Choć nie miała innego wyjścia niż wyjść za Briana, czuła się tak winna, że to

dosłownie bolało, tak jakby serce w niej zamarło, a mimo to zmuszano je, by było nadal. Nie mogła pojąć, dlaczego coś, co miało być słuszne, odczuwa jako tak niewłaściwe.

No cóż, teraz rozumiała to lepiej.

Nie tknąwszy kanapki, zaczęła czytać dziennik matki od daty ślubu z Brianem.

20 sierpnia, 1989

Jestem strasznie zmęczona, ale co za piękny mieliśmy dzień na wesele! Bawiliśmy się do północy. Dzięki Bogu, że klimatyzacja w klubie się nie popsula, inaczej nikt nit dałby rady wytrzymać tak długo. Spencer był w swoim żywiole w towarzystwie tych wszystkich koniarzy...

Wszędzie pełno było kremowo-białych orchidei i czerwonych róż, przybranych białą atlasową wstążką, ale Meggie była najpiękniejsza ze wszystkich. Cztery tysiące dolarów za samą suknię! Śliczna, bez ramiączek, tak jak w tych wszystkich magazynach, stanik gładki, atlasowy, a spódnica gęsto naszyta drobnymi perełkami i maciupenkimi kryształkami. A tren!

Myślałam, że padnę. To prezent od Nancy Hamilton, babci Briana, czy mogliśmy odmówić?

Wszyscy oni traktują Meg jak królową. Spencer uparł się, że zapłacimy za sukienki dziewczynek, i one też były księżniczkami. Beth i Julianę spały w samochodzie pięć minut, kiedy wyszliśmy z przyjęcia, a założę się, że i Kara niepośni o wiele dłużej. Odkąd wróciliśmy do domu pół godziny temu, cały czas rozmawia przez telefon z jakimś chłopakiem, którego poznała na weselu. Ja też jestem zanadto wzburzona, żeby się kłaść, ale kiedy się już położę, co tam! Będę spała do ósmej! Koniom nic się nie stanie, jak raz dostaną jeść trochę później.

Wyglądała na szczęśliwą. No, na troszkę oszołomioną też, ale która panna młoda nie jest oszołomiona? Dobrześmy ją wychowali, muszę to przyznać. Ma w sobie taką jakąś wyniosłość. Ja bym nie potrafiła być obiektem aż takich względów, wiem o tym.

Najbardziej boję się o to, że ludzie, patrząc na nas, wiedzieli, jak niewiele przyczyniliśmy się do organizacji wesela. Gdyby nie ten słynny trener z Preakness, który kupił w zeszłym tygodniu ukochane dziecko Spencera, Zasłużone Szczęście, to już absolutnie nikt by nie uwierzył, że byliśmy w stanie zapłacić za takie przyjęcie. Dzięki temu zdarzeniu łatwo było utrzymywać, że szczęście w końcu się do nas uśmiechnęło.

No i uśmiechnęło się, prawda? W końcu mimo wszystko się uśmiechnęło.

Mimo wszystko Meg to zrobiła. Przed przyjęciem Bruce poprosił Spencera na bok i powiedział, że w poniedziałek wszystko zostanie załatwione. To nam zaoszczędzi prawie trzy tysiące dolarów miesięcznie. Trzy tysiące! Ledwie mogę usiedzieć, spisując te radosne myśli. Normalnie kombinowałabym w tej chwili, jak wycyganąć coś od Petera na kredyt. Jakież ta Meggie miała szczęście.

Pamiętam, jak przysłała do nas pierwszy raz i spytała o hipotekę. Czy to prawda, chciała wiedzieć, że od sześciu czy siedmiu miesięcy zalegamy ze spłatą? Czy to prawda, że bank nas poinformował o wszczęciu procedury upadłościowej? Że za parę miesięcy możemy wszystko stracić, i farmę, i dom? Tak strasznie mi było wstyd. Spencer mówił ogródkami, nie chcąc jej martwić całym tym bagnem, i wtedy powiedziała nam, dlaczego o to pyta. Z początku byłam przeciwna, ale Spencer nie. Zareagował z takim entuzjazmem, że nasze – i Meggie, i moje – wątpliwości się rozwiały. Ostatecznie wszystko zależy od niej, powiedział, ale skoro pyta nas o zdanie, to nie da się ukryć: to fantastyczny uśmiech losu, że wpadła Brianowi w oko.

Niesamowita szansa dla niej, jeśli zechce z niej skorzystać.

Dziś wyglądała na szczęśliwą. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem tego pewna. I pewna jestem, że nie widziała furgonetki Carsona, zaparkowanej niedaleko kościoła. Na pewno nie upłynie wiele czasu, a znajdzie sobie inną, skoro przekonał się na własne oczy, że Meg nigdy do niego nie wróci. Serce mnie boli, ale jest młody, przeżyje to. Oboje są tacy młodzi... Mogą zrobić ze swoim życiem, co tylko zechcą, prawda?

– Tak jest. Co tylko zechcemy – szepnęła Meg. Rozległo się pukanie. Pielęgniarka, Laurie, otworzyła drzwi.

– Już pierwsza.

– Dziękuję. Daj mi trzy minuty.

Zamknęła notatnik i wepchnęła z powrotem do torby. Ten rzut oka w przeszłość nie podziałał na nią kojąco. Miała przykre uczucie, że wirujące ostrza znalazły się niebezpiecznie blisko niej.

14

W CZWARTEK, OSTATNIEGO DNIA POBYTU NA WYSPACH, Carson obudził się, gdy Val jeszcze spała. Leżał, patrząc na leniwe obroty wentylatora pod sufitem, i próbował

uporządkować zapamiętane fragmenty przykrego snu. Coś jakby Spencer posłał go na jednej z klaczy... żeby sprawdzić, czy jest właściwie podkuta? Tego typu głupoty. A kiedy odjeżdżał, zobaczył Meg w ramionach Briana.

Próbował zawrócić klacz, ale ta biegła nadal i kiedy się obejrzał, Meg nie było już widać.

Głupi sen. Przecież to ona od niego uciekła.

Val spała spokojnie obok niego, nakrywszy głowę poduszką, z rozrzuconymi na wezgłowie ramionami, tak jakby surfowała we śnie. Podniósł poduszkę i patrzył na nią, myśląc po raz kolejny, jaka jest młoda. Szczególnie młodzieńczo wyglądała we śnie, z długimi jasnymi rzęsami na opalonych policzkach, bez śladu zmarszczek wokół oczu, ze spierzchniętymi od soli i słońca wargami, tak jak zapewne wyglądała w wieku lat dziesięciu.

Jej wiek – to znaczy dzieląca ich różnica – nie martwił go zbyt, ale zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim ona będzie gotowa nieco zwolnić, pomyśleć o rodzinie. Chciał mieć w końcu dzieci, miałby je już, gdyby Meg go nie rzuciła.

Niespecjalnie lubił myśleć o Meg, ale wobec zbliżającego się ślubu z Val wspomnienia same wyskakiwały mu z głowy. Niestety, nie da się tak po prostu odciąć od przeszłości, żeby oczyścić sobie drogę w przyszłość – choć Meg najwyraźniej się to udało.

Carson wciągnął szorty i wyszedł na dwór, zostawiając śpiącą Val. Przystanął na moment przy śniadaniowym bufecie pod gołym niebem, by złapać kubek kawy i kilka czekoladowych rogalików, i ruszył przed siebie plażą, rozkoszując się czystym błękitem nieba i łagodnym blaskiem porannego słońca. Brakowało mu tego w domu, w Seattle. Gdyby jego umysł był

równie spokojny, jak ten widok, który miał przed oczami... Może gdyby mógł przesiedzieć cały dzień na leżaku, poczułby się naprawdę na wakacjach. Ale nie było na to szansy.

Lecieli dziś po południu. Val chciała przedtem zatrzymać się w Philipsburgu, żeby obejrzeć ślubne obrączki. Holenderska St. Martin – czy St. Maarten, jak brzmiała nazwa wyspy po przekroczeniu granicy francusko-holenderskiej – słynęła ze wspaniałej biżuterii i niskich cen. Szukali już w kilku sklepach i Val kupiła tenisowe bransoletki z platyny i diamentów dla każdej ze swoich druzhen. Nie miał ochoty, by jeszcze raz coś załatwiać przed wylotem na Florydę, gdzie mieli omówić z jego rodzicami szczegóły ślubu, ale chciał, żeby Val była szczęśliwa.

Pod tym względem był frajerem, jak zawsze, gdy chodziło o kogoś, na kim mu zależało.

Kiedyś odważył się posunąć równie daleko – niemal tak samo, jak teraz z

Val – i nieźle dostał

po głowie. Powiedzmy sobie szczerze, że do tej pory nosi blizny; nie ma sensu pomniejszać wagi tej sprawy.

Patrzył na spokojną toń zatoki, ale widział przeszłość.

To był rok osiemdziesiąty siódmy, Boże Narodzenie za pasem. Pracował u kolegi ojca przy magazynowaniu owoców, żeby zarobić dodatkowe pieniądze na pierścionek zaręczynowy dla Meg. Tego dnia pojechał po południu do miasta kupić pierścionek – prostą obrączkę z jednym diamencikiem, oprawnym w złoto. Meg zadzwoniła i zaproponowała, żeby spotkali się pod drzewem.

– Może po prostu wpadnij do mnie? – powiedział. Mieszkał już wówczas od dwóch lat w szopie; spędzali w niej niemal cały wolny czas.

– Nie, nie... wolałabym na zewnątrz.

– Dobra. – Podniecony sprawą pierścionka, nie zwrócił uwagi na dziwny głos Meg.

Myślał raczej o tym, jak to będzie, kiedy wręczy go jej pod drzewem; to był nawet lepszy pomysł niż cały ten teatr z uroczystym obiadem i przyklękaniem na kolano, jaki sobie obmyślił pierwotnie. Pod gołym niebem, w stałym miejscu ich spotkań: o wiele lepszy plan!

Słońce zniżało się do horyzontu, temperatura opadała wraz z nim. Włożył dżinsową marynarkę, umieścił w kieszeni pudełeczko z pierścionkiem i pognął przez sad, a potem wzdłuż jeziora, powtarzając sobie w głowie tekst oświadczyn. Z rękami w kieszeniach, z obiecującym sześcianikiem pudełeczka w prawej dłoni dotarł pod drzewo. Kiedy zobaczył

wyraz twarzy Meg, wyciągnął rękę z kieszeni. Puste.

– O co chodzi?

Siedziała oparta o pień ich dębu, opasawszy ramionami kolana.

– Zastanawiałam się...

– Szkoda czasu – zażartował, zdenerwowany, choć nie wiedział dlaczego. Wzruszyła ramionami i popatrzyła przed siebie, przygryzając wargi.

– Wyrzuć to z siebie wreszcie – rzeki, przykucnąwszy przed nią.

Cokolwiek to było, nie mogło być aż takie złe, w każdym razie dla nich dwojga. Pewnie chodziło o pieniądze i o farmę Powellów: podobno Spencer jest bliski bankructwa.

– To koniec, Car – powiedziała, patrząc na własne tenisówki. W lewej, w miejscu dużego palca, zaczynała się robić dziura.

– Słyszałem. Co zamierzają zrobić? Podniosła gwałtownie głowę.

– Kto?

– Twoi rodzice. Podobno bankrutują, tak? Pokręciła głową i wstała.

– Nie, mówiłam o nas. O tobie i o mnie. Czy... czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że tak naprawdę możemy być dla siebie niewłaściwymi partnerami?

– Zwariowałaś?

Istotnie wyglądała na szaloną, z tymi szeroko otwartymi oczami i rozognioną twarzą.

– Nie, mówię serio. Potrzebujesz... potrzebne ci są inne doświadczenia. ... no wiesz, powinieneś zacząć spotykać się z innymi dziewczynami. My ... jesteśmy ze sobą zbyt blisko.

To niezdrowe. To znaczy... nigdy nie chodziłeś z żadną inną na poważnie.

– Przecież ci to odpowiadało – odparł, starając się pojąć, o co jej chodzi.

– Co to znaczy: zbyt blisko? Po prostu jest nam ze sobą dobrze, stanowimy idealną parę. – Pudełeczko w kieszeni to dowód jego niezłomnego przekonania, że tak właśnie było. Skąd te jej wątpliwości? I to tak nagle?

– Nie, my jesteśmy po prostu... no wiesz, dwojgiem dzieci. Potrzebujemy trochę przestrzeni, żeby... żeby zobaczyć, co jest poza nami. A właściwie kto – dodała ochryplym głosem.

– Nie jesteśmy dziećmi. Niedawno skończyłem dwadzieścia lat, ty masz dziewiętnaście...

oboje w świetle prawa jesteśmy dorośli. – To nie był argument, wiedział o tym. Siła przekonania emanowała z Meg niczym pole magnetyczne. Już teraz czuł, że wszelka dyskusja jest daremna.

Rozejrzała się dookoła, jakby w krzakach czaił się nieprzyjaciel.

– Nie będę się z tobą więcej widywać – powiedziała. – Tak będzie lepiej dla nas obojga. – Złapał ją za przegub, ale ona już odbiegała od niego, zanim jeszcze zrobiła krok. – Kocham cię, ale muszę iść.

Puścił ją i patrzył, jak biegnie. Rozpuszczone miedziane włosy, które tak uwielbiał, falowały niczym grzywa dzikiej klaczy. Mógł jej pozwolić na ucieczkę; nie ucieknie daleko.

Był tego pewien.

Carson nie mógł się zdecydować na żadną ze ślubnych obrączek, wyłożonych przed nimi na ladzie. I te platynowe, i te złote, inkrustowane diamentami, wyglądały dobrze, ale nie mógł

sobie wyobrazić, że nosi którąkolwiek z nich na palcu. Zbyt prosta, zbyt

wymyślna, zbyt krzykliwa, zbyt szeroka, zbyt wąska... Każdej miał coś do zarzucenia. Val i sprzedawca, którego angielski był mniej więcej równie dobry jak jego holenderski, marszczyli brwi.

Odsunął wyłożoną granatowym aksamitem tacę.

– Nasz samolot odlatuje za półtorej godziny. W Ocala mają taki przyjemny sklep; może do niego zajrzemy, kiedy już tam będziemy? Chyba nie jestem w tej chwili w odpowiednim nastroju.

– Ale ceny są tutaj o wiele lepsze – zaprotestowała Val. Carson uśmiechnął się krzywo.

– Możesz sobie pozwolić na droższe. Chodźmy. – Wyprostował się.

– No dobrze. – Ale nie wyglądała na zadowoloną. Raczej na rozczarowaną. – Skoro żadna z tych ci się nie podoba...

Któraś musiała się spodobać jej i on też miał zapewne ją wybrać. Być może próbowała mu to jakoś dać do zrozumienia, a on nie załapał. No cóż, wciąż jeszcze był zmęczony, skacowany; podczas pobytu na wyspach co noc odbywały się imprezy i jego czterdziestoletnie ciało czuło skutki takiego trybu życia.

Gdziekolwiek Val się znalazła, wszędzie gromadziła wokół siebie znajomych. Młodych, energicznych, w większości surferów. Dzięki wieloletniemu ściganiu się z Meg w jeziorze Carson pływał dosyć dobrze, ale o surfowaniu nie miał pojęcia, toteż podczas tych przyjęć głównie obserwował i pił. Intrygował ludzi, o tak, ale gdy wyrazili już swoje uwielbienie dla jego muzyki i podziw, że potrafi ją komponować, niewiele mieli mu do powiedzenia.

Rozmowa zawsze dotyczyła Val i jej kariery, przedmiotu zainteresowań obu stron.

Val... Nikt nie miał takiej siły przyciągania, jak ona. Carson często żartował, że została wyposażona w dodatkową dawkę osobowości, być może tę, której brakuje jego basiście Ronowi. Była dobra i życzliwa dla wszystkich, którzy ją otaczali, i żał mu było, że przeoczył

sygnały co do obrączki, jakie być może usiłowała mu przekazać. Usiadł znowu i ponownie rzucił okiem na pierścionki.

Może zależy jej na tym, by wybrał platynową. Pasowałaby do pierścionka zaręczynowego i obrączki, którą miała nosić w komplecie. Kiedy rozmawiali o obrączce dla niego, zgodził

się, że nie musi być identyczna – ważne, żeby pasowała do niego, podobnie jak jej pierścionek pasował do niej w sposób doskonały. Prawdę

mówiąc, ów perfekcyjny wybór polegał na tym, że kiedy opisał narzeczoną sprzedawczyni u Tiffany'ego, orzekła, że najlepszy będzie Schlumberger – oprawny w platynę wielki, okrągły diament, otoczony wianuszkami mniejszych i dla urozmaicenia paroma akwamarynami – a on poszedł za jej radą.

Rzuciwszy okiem na pierścionek Val, wskazał obrączkę, która mogła stanowić jego najlepsze dopełnienie: szeroką, polerowaną, z osadzonymi w niej dziewięcioma małymi diamentami.

– Może ta?

Pokiwała entuzjastycznie głową.

– Przymierz.

Przymierzył, a ona uśmiechnęła się szeroko. Kiedy wyraził zgodę, na co liczyła, wyrzuciła go ze sklepu, aby sfinalizować zakup. Uparła się, że nie powinien znać ceny, bo to przynosi nieszczęście.

Czekał na zewnątrz, zadowolony, że sprawił jej przyjemność. To było najważniejsze.

Może nosić tę obrączkę, choć była trochę rażąca; przyzwyczai się. Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego. Przyzwyczaił się do tego, że jest zły na Meg, przyzwyczaił się do życia bez niej, choć byli razem od małego. Przyzwyczaił się do uczucia, że jest niekompletny, a nawet przekształcił to uczucie, a także kilka innych towarzyszących mu, w nader lukratywną karierę. Przyzwyczaił się do życia w trasie, do woni potu i wyczerpania, wypełniającej autokar po koncercie, do zdawania się bez reszty na Gene'a, który mówił mu, gdzie, kiedy i na jak długo mają jechać. Przyzwyczaił się do myśli, że nigdy nie spotka kobiety, z którą warto byłoby się ożenić.

A choć nie był aż tak młody i romantyczny, by wierzyć, że Val jest jego drugą połówką, kobietą, na którą czekał całe życie, itepe itde, uważał że tworzą całkiem udaną parę. Dawała mu zapomnienie i rozrywkę. Była miła, czuła i interesująca w łóżku. I piękna, w nieco chłopięcy sposób. I kochała go. To wystarczy. Musi wystarczyć.

Tego wieczoru Carson i jego ojciec, James, szli wzdłuż płotu ogradzającego cytrusową farmę McKayów, sprawdzając, czy któryś z palików nie zaczyna próchnieć. James, krępy, wyprostowany sześćdziesięcioletni o wciąż jeszcze ciemnych włosach, kolejno wymieniał zużyte drewniane paliki na stalowe, pracując z tą samą powolną, staroświecką dokładnością, jaka cechowała wszystkie jego poczynania. Ich

farma, dzięki starannemu gospodarowaniu i obecności dwóch niewielkich, ciepłych jezior, była jedną z niewielu w okolicy, które szczęśliwie straciły zaledwie po parę drzew, gdy dwudziestostopniowy mróz sprawił, że wielu sadowników musiało zwinąć interes. Gdyby stało się inaczej – gdyby stracili wszystkie drzewa i musieli je na nowo zasadzić, jak tylu innych – Carson nigdy by nie wyjechał, by zająć się muzyką. Musiałby zostać, aby pomóc odtworzyć sad. Zabawne, jak to się czasem w życiu układa: nie można przewidzieć, kiedy spotka kogoś szczęście i na czym ono będzie polegało.

Wiedział, że sprawdzanie palików było dla ojca tylko pretekstem, by znaleźć się z synem sam na sam. Jako jedynaka łączyła go z obojgiem rodziców silna więź, która mówiła mu teraz wyraźnie, że ojcu chodzi o coś innego niż płot. Wiedział też jednak, że nie należy naciskać, i dlatego szedł obok niego w sięgającej łydek trawie, chłonąc rozpościerający się wokół spokój: różane niebo, łagodny wietrzyk poruszający liście pobliskiego cytrynowego drzewa, trzy konie w oddali, przebiegające przez drogę na pastwisku, które do niedawna było własnością Powellów.

– Jacyś ludzie się kręcą koło koni – powiedział, wskazując ręką. Ojciec przystanął i popatrzył w tę stronę.

– Tak. Trochę to dziwne widzieć, że znowu coś się tam dzieje.

– Ile to czasu minęło?

– Od kiedy? Odkąd były tam konie pełnej krwi?

– Tak. – Carson skinął głową. Nie mógł pamiętać, mieszkał poza domem już ponad piętnaście lat.

– Może z dziesięć lat, może więcej... Mniej więcej odkąd Julianne wyszła za tego Kanadyjczyka i wyprowadziła się do Quebecu.

Tak, słyszał o tym. Najmłodsza siostra Meg, zaledwie siedemnastoletnia, zaszła w ciążę, gdy miała przejść do klasy maturalnej, i wyszła za ojca dziecka, studenta z Quebecu, który spędzał lato u krewnych. Dowiedział się o tym przez telefon, gdy był w trasie koncertowej ze swoim pierwszym zespołem, i pomyślał wówczas, jak inaczej mogły się ułożyć jego sprawy, gdyby przypadkiem Meg zaszła z nim w ciążę. Musiałaby z nim zostać i starać się ułożyć sobie z nim życie, i zobaczyłaby, że to nic strasznego kochać się aż tak... o ile był to prawdziwy powód zerwania.

W rzeczywistości nigdy nie uwierzył do końca w tę wymówkę. Przypuszczał, że zakochała się w Hamiltonie, uległa czarowi jego pieniędzy, tylko nie chce się do tego przyznać. A tamten ranek przed weselem... chwila słabości, wspomnienie starych dobrych czasów. Jedyne, na czym jej zależało,

to jeszcze raz dogodzić sobie z facetem, który był
dobry jako kochanek, ale nie dość dobry, żeby za niego wyjść: nie miał
pieniędzy, nie miał

widoków na luksusowe życie... Wtedy jeszcze nie. Był gówniarzem,
synem sadownika, i sam też zamierzał zostać sadownikiem. Nie mógł
konkurować z Brianem Hamiltonem, nie mógł
zapewnić jej życia, jakiego najwyraźniej pragnęła.

– Carson?

– Przepraszam, odpłynąłem. – Co tam, pomyślał, było, minęło.

– Kiedy wyjechała najmłodsza córka, Spencer sprzedał resztę stadniny i
zostawił tylko konie robocze. Nie miałem pojęcia, dlaczego.

– Może po prostu zmęczyły go porażki. Nie wygląda na to, żeby
kiedykolwiek zarobił na hodowli koni rasowych jakieś pieniądze.

– To prawda – przyznał ojciec – Zastanawiałem się nad tym...
zastanawiałem się, co mu się wtedy udało. Bo był taki czas, kiedy wszyscy
mówili, że tylko patrzeć, jak zbankrutuje.

– Pamiętam.

– Ale coś się u niego zmieniło na korzyść, a dowiedziałem się o tym
dopiero w zeszłym tygodniu, w sklepie – powiedział ojciec, podejmując
marsz. – Dave Zimmerman wziął mnie na bok i mówi: „Co wiesz o
Spencerze Powellu?” A ja mówię: „No wiesz byliśmy sąsiadami przez
trzydzieści parę lat, przestaliśmy być dwa tygodnie temu”. A na to Dave: „No
to pewnie znasz tę historię z pieniędzmi”.

– Jaką historię? – spytał Carson raczej z uprzejmości niż przez ciekawość.

– A ja na to: „Ja tam o niczym nie wiem. Spencer nigdy nie mówił o
żadnych szczegółach, a ja mam coś lepszego do roboty niż sterczeć pod
sklepem i plotkować, jak ci emeryci”. A Dave: „Powiem ci to w zaufaniu,
mam nadzieję, Jim, że się nie wygadasz, bo będę miał kłopoty” ... i zaczyna
mi opowiadać o sprzedaży farmy. Podobno żona Dave’a – pamiętasz, Linda,
jest prawniczką od nieruchomości – odkryła w papierach czek na pokaźną
kwotę: trzysta osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów, czyli ponad jedną
trzecią tego, co Spencer dostał za farmę.

– Pewnie udało mu się jakoś w swoim czasie pożyczyć pod zastaw i to
rozwiązało jego problemy.

– Można tak pomyśleć. Ale jest jedna zabawna rzecz: on w ogóle nie miał
żadnego długu na hipotecę. Zgodnie z aktem własności, od roku
osiemdziesiątego dziewiątego.

– No dobra... w takim razie był winien za coś innego – powiedział Carson, tłumiąc zniecierpliwienie.

– Nie. W jego papierach nie ma nic o jakimkolwiek długu na tę sumę... w każdym razie Dave tak twierdzi. I wiesz co? Czek był wystawiony imiennie na Bruce'a Hamiltona.

A więc po to był ten spacer, pomyślał Carson. Coś zaszło między ojcem Meg a jej teściem, a tato nie chciał tego poruszać przy Val, sądząc, że każda sprawa związana z Meg nadal może być delikatnym tematem. Trochę to śmieszne, że po tylu latach tato wciąż starał

się chronić jego uczucia. Miał tego dość: on sam zostawił to już za sobą i poszedł naprzód.

Żeby to udowodnić, będzie mówił o Meg otwarcie. Pokaże, że temat nie jest wart, by chodzić wokół niego na paluszkach.

– Chyba łatwo sobie wyobrazić, jak było z tymi pieniędzmi, nie sądzisz? Kiedy Meg wyszła za Briana, Hamiltonowie musieli pożyczyć Spencerowi kasę na spłacenie hipoteki.

Przyjacielska pożyczka, jak to między teściami.

Ojciec skinął głową, unosząc jedną brew, co, jak wiedział Carson, było milczącym przyjęciem do wiadomości zmiany w sposobie rozmawiania o Meg.

– Mogło tak być, ale trudno sobie wyobrazić taką hojność – Hamilton rezygnuje z własności do gruntu bez żadnych gwarancji, że Spencer kiedykolwiek go spłaci... Pamiętaj, mówimy o Spencerze Powellu!

Carson przegarnął dłonią włosy. Czy muszą to drażnić? Nie potrafiłby się do tego przyznać, ale ta rozmowa go wzburzyła, choć nie umiałby wyjaśnić dlaczego.

– Pewnie chodziło o zatuszowanie jakichś luk w księgowości Hamiltonów. Wcale bym się nie dziwił, gdyby mieli coś takiego na sumieniu.

Ojciec pokiwał głową.

– Może i tak. Ale wobec tego nie rozumiem, dlaczego Spencer spłacił dług czekiem wystawionym imiennie na Hamiltona. To kupa pieniędzy... Hamilton zapłaci niezły podatek, a może nawet będzie miał kontrolę skarbową na karku.

– Pewnie Spencer o tym nie pomyślał albo uznał, że to nie jego zmartwienie – wyraził przypuszczenie Carson.

– Może. Ale wciąż mnie zastanawia, czemu Spencer w ogóle zwrócił dług, skoro nie musiał. – Ojciec utkwiał wzrok w koniach i podrapał się po brodzie, zaintrygowany zachowaniem człowieka, który był niegdyś jego bliskim znajomym.

Carson starał się zignorować niejasne uczucie, że w sprawie z pieniędzmi chodzi o coś więcej, niż obaj z ojcem są w stanie pojąć. Zaczynał mieć naprawdę dość.

– Wiesz co – powiedział – zawsze uważałem, że Meg wyszła za Hamiltona dla pieniędzy, a teraz się okazało, że i Spencerowi dostał się niezły kasek. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie ma to już żadnego znaczenia. To nie nasza sprawa, co którekolwiek z nich zrobiło czy robi, tak czy nie? I to już od dawna. Mamy ciekawsze sprawy do przemyślenia, prawda? – Położył ojcu ręce na ramionach i się uśmiechnął. – Na przykład, jak cię odchudzić, żebyś się zmieścił we frak.

15

ŚWIETNA PRACA – POWIEDZIAŁA W PONIEDZIAŁEK PANI HENRY, wręczając Savannah przejrany test z historii powszechnej. W górnym prawym rogu widniała napisana czerwonym długopisem ocena: 104 punkty. A więc z pięciu możliwych punktów dodatkowych brakowało jej tylko jednego! Savannah rzuciła okiem na test Rachel.

– Osiemdziesiąt dwa – powiedziała Rachel, podnosząc arkusz. – To twoja wina, bo nie chciałaś, żebyśmy się uczyły razem.

– Twoja, bo sama nie uczyłaś się ile trzeba.

Rachel, ubrana dziś w obcisłą żółtą koszulkę – wyglądała w niej dość grubo i faktycznie była troszkę za tęga – przysunęła krzesło bliżej przejścia i nachyliła się do Savannah.

– Kiedy mi wreszcie powiesz, kim byłaś tak zajęta wczoraj wieczorem, że nie mogłam cię przekupić nawet lodami orzechowymi?

Propozycja była kusząca: zwykle Savannah bardzo lubiła wychodzić z Rachel i nigdy nie miała dość lodów orzechowych, jako że ojciec był uczulony na orzechy, tak samo jak na psy.

Ale miała coś ważniejszego do roboty: musiała sfinalizować swoje plany wyjazdu do Miami.

– Nie tylko „kim” – odszepnęła. – „Czym” też. Nie mogę ci w tej chwili powiedzieć... ale powiem. Obiecuję. – Zrobi to w ostatniej chwili, tak żeby Rachel się nie wygadała i nie popsuła wszystkiego. Rachel dobrze jej życzyła, ale zwierzała się swojej siostrze, Angeli.

Angeli można było ufać w sprawach drobnych, coś takiego jednak mogło w niej uruchomić odruch cnotliwej starszej siostry. Savannah nie chciała ryzykować.

– W porządku. – Rachel znów usiadła prosto. – Jak sobie chcesz. Caitlin Janecke, najbardziej rozpuszczona ze wszystkich rozpuszczonych dziewczyn, jakie znała Savannah, nachyliła się z drugiej strony.

– O co jej chodzi? Jest zła o stopień?

Savannah spojrzała z odrazą na różową kaszmirową bluzeczkę Caitlin i szorty w odcieniu khaki, na dobraną kolorem różową wstążkę w nienaganych blond włosach. Caitlin była nienaganna od czubka głowy aż do szczupłych opalonych nóg w wysokich butach z cielęcej skóry. Nie, miała ochotę powiedzieć, Rachel nie wierzy, że w ostatni weekend obciągnęłaś laskę trzem chłopakom. Ta wiadomość pochodziła z wiarygodnego źródła, od siostry Caitlin, Riley, która od niedawna chodziła z Savannah na wuef. Riley też była na tej imprezie, ale obciągnęła laskę tylko jednemu, jak twierdziła. „Nie wyobrażacie sobie, jakie to niesamowite!” – powiedziała. Choć obie wyglądały na puszczałskie, Savannah uważała, że Riley mogłaby się wysilić i zmyślać bardziej przekonująco.

Ale ponieważ nie dało się teraz tym zajmować, pokiwała tylko głową.

– Nie uczyła się – powiedziała szeptem. – A ty?

Savannah wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie.

– Jezu. Mnie rodzice zmuszają, żebym się uczyła codziennie, a dostałam tylko dziewięćdziesiąt jeden. Musi być przyjemnie mieć taką głowę.

Komplement, chociaż nieco szorstki, zaskoczył Savannah. Poczowała ukłucie skruchy.

– Chyba tak – powiedziała. Może ta Caitlin nie jest taka zła... To, że zazdrości jej rozumu ktoś równie popularny, sprawiło jej przyjemność. Mieć głowę – to brzmiało dobrze, lepiej niż zwykle przezwisko „hipiska”, jakim ją obdarzano, zwykle z charakterystycznym prychnięciem, jakby śmierdziała czy coś. Ta szkoła, pełna dziewczyn, których rodzice mieli za dużo pieniędzy, była stworzona dla klonów Caitlin. Świetnie przygotowywała do studiów, ale oryginalność, jeśli nie polegała na zamiłowaniu do sztuki czy muzyki klasycznej, nie była w niej mile widziana.

Musi tu jeszcze wytrzymać dwa lata. Jeśli wyjdzie jej jakoś z Kyle'em – w końcu będzie musiała mu powiedzieć, ile ma lat i miejmy nadzieję, że mimo to z nią zostanie – to ten czas minie znacznie przyjemniej.

Lubiła myśleć o sobie, że oprócz rozumu jej mocną stroną są też organizacja i wytrwałość. Kiedy napotykała na drodze przeszkodę, nie cofała się; znajdowała jakiś sposób, aby ją obejść. Tak było zawsze, od czasów, gdy jako niemowlak uczyła się chodzić. Jedną z historii, które babcia Shelley uwielbiała opowiadać swoim bogatym przyjaciółkom, była o tym, jak Savannah uciekła kiedyś z jej saloniku, oddzielonego od przyległych pokoi furtkami dla dzieci, kiedy Shelley poszła na chwilę do łazienki. „Wracam... dosłownie nie było mnie dwie minuty, nie dłużej... a Savannah nie ma.

Po prostu zniknęła i już! Zaglądam pod meble, za meble, szukam po całym domu, sprawdzam, czy nie udało jej się jakoś przejść przez furtkę... Nie! Dziecko odsunęło moskitierę i wyszło przez okno! Zobaczyłam ją w końcu na patio: przyciągnęła krzesło do fontanny, żeby dosięgnąć wody, i piszczała z radości, zupełnie mokra!” Babcia, opowiadając tę historię, chciała pokazać, że Savannah jest podobna do ojca, i być może w pewnym sensie była: zorientowana na cel, na rezultat – ale ona wykorzystała ten dar, by czynić dobro, a nie zło.

Tak właśnie myślała o sobie.

Włożyła zeszyt i książkę do historii powszechnej do torby. Co by pomyślała babcia i reszta rodziny, gdyby się dowiedzieli, do czego się posuwa, żeby zorganizować wyprawę do Miami... Mama powinna chować swoje karty kredytowe. Kiedy przyślą wyciąg z banku, będzie musiała przygotować sobie dobrą wymówkę... ale najważniejsze, że będzie już po wyprawie do Miami. Z Kyle'em.

Po lekcjach przeszły z Rachel do szatni, żeby się przebrać na trening softballu. Zanim się przebrały, Rachel wróciła do swojego rozmownego wcielenia; opowiadała o chłopaku imieniem Hunter, którego brat spotkał się kilka razy z siostrą Rachel, i o jednym z kolegów Huntera.

– Świetny jest... obaj są świetni. Chyba się podobam Hunterowi, a ty mogłabyś chodzić z R. J. Zdał maturę w zeszłym roku i rozpoczął studia. Jak myślisz, czy student pierwszego roku jest za stary?

– Nie, skąd – powiedziała Savannah, sznurując kolce. – Ale – dodała, bo pomyślała, że może opowiedzieć Rachel co nieco o Kyle'u – poznałam kogoś... mniej więcej w tym wieku, i chcę sprawdzić, jak mi z nim pójdzie, zanim się zacznę przymierzać do innych chłopaków.

– Poznałaś kogoś? Kogo? Gdzie? Jezu, myślałam, że swojej najlepszej przyjaciółce powiesz o czymś takim!

– No właśnie mówię.

Wyszły z szatni i ruszyły na boisko, postukując kolcami po wyłożonej płytkami posadzce korytarza. Po drodze Savannah opowiedziała Rachel o Kyle’u możliwie najogólniej i nie do końca uczciwie. Ale dobrze było to opowiedzieć: Kyle stawał się przez to bardziej realny. W

zeszłym tygodniu, jeśli nie słyszała jego głosu, jeśli nie rozmawiała z nim do trzeciej nad ranem o tym, jak to będzie w przyszłości, kiedy będą wreszcie razem, prawie że nie wierzyła w jego istnienie.

Przypomniawszy jej się teraz jego głos, gdy leżała w ciemności z telefonem przy uchu.

– A co zamierzasz robić w przyszłości... no wiesz, jak skończysz studia?

– Myślałam o ochronie środowiska. Mój tato chciałby mnie pchnąć do biznesu, ale o tym nie ma mowy.

– Słuchaj, a jak by zrobić tak: kupujemy kawałek ziemi, ty i ja, i zakładamy własny rezerwat. Co ty na to? Poprosisz ojca, żeby wyłożył trochę kasy... pewnie da, jak myślisz? To przecież będzie biznes. Poprosiłbym mojego, ale wiesz, właściwie ze sobą nie rozmawiamy.

– A o co właściwie poszło?

– Wiesz, chyba nie chcę cię w to wciągać. To już przeszłość. Za to my... ty i ja... to przyszłość. Fajnie będzie, zobaczysz. Ty i ja, i ten rozległy pejzaż...

Uwielbiała słuchać, jak śni z nią na jawie, jak włącza siebie w jej przyszłość.

– Wygląda, że jest rewelacyjny, a na żywo pewnie będzie jeszcze przystojniejszy – entuzjasmowała się Rachel. – A dziewiętnaście lat to nie tak dużo.

– Ja też tak myślę. – Savannah rozgrzeszyła się w duchu z kłamstwa na temat jego wieku.

Powiedziała sobie, że już niedługo opowie Rachel całą prawdę, a nawet jeśli będzie musiała sto razy skłamać przed weekendem z Kyle’em, to ta przygoda, doświadczenie, jakie zdobędzie, warte są poczucia winy, a nawet jeszcze więcej.

Wyszły na dwór i zeszły po szerokich betonowych schodach na porośłą koniczyną przestrzeń, oddzielającą główny budynek szkoły od boisk. Kilka pszczoł zabrzęcało im wokół kolan, zdenerwowanych, że przerwano im ważną pracę.

Savannah uderzała piłką o ziemię i łapała ją w marszu.

– Planujemy z Kyle’em, że się spotkamy na May Day – powiedziała, nie

ujawniając, rzecz jasna, że ta pierwsza randka odbędzie się w Miami.

– Naprawdę? A jak zamierzasz skłonić mamę do tego, żeby ci pozwoliła wyjść w poniedziałek?

– W poniedziałek? – Savannah przystanęła gwałtownie. Piłka potoczyła się po koniczynie.

– No a jak – roześmiała się Rachel. – May Day jest w najbliższy poniedziałek. A myślałaś, że kiedy, mądralo?

– W najbliższy piątek... piątego maja, Cinco de Mayo... o Boże – stęknęła, gdy zaświtało jej, jak jest naprawdę. – Chodzi o inny May Day* [May Day to nazwa zarówno 1 maja (Święto Pracy oraz powitanie wiosny), jak i 5 maja (narodowe święto Meksykanów i osób przyznających się do meksykańskich korzeni) (przyp. tłum.)], tak?

Rachel roześmiała się jeszcze głośniej.

– Ale ubaw... Jak mogłaś tak pomyśleć? Przecież wszyscy wiedzą... Savannah walnęła ją w ramię.

– Zamknij się! Po prostu się pomyliłam.

– Jeszcze jak – powiedziała Rachel. – Ale nie ma sprawy, możesz się z nim spotkać w ten piątek.

– Może – mruknęła Savannah.

– Daj spokój, nie bądź taka. Każdy może zrobić od czasu do czasu coś głupiego. Nie będzie ci miał tego za złe... na pewno aż się trzęsie, żeby się z tobą wreszcie zobaczyć. Który facet by się nie trząśł?

Gdyby tak Rachel miała rację... Może to bez sensu, ale zaczynała naprawdę czuć się związana z Kyle'em. Dawał jej uwagę i wsparcie, jakich nie był w stanie dać jej nikt inny. W

pewnym sensie zajął miejsce babci.

– Dzięki – rzuciła.

– Na pewno tak jest. Słuchaj, a nie mogłabyś mnie umówić z jakimś jego kolegą?

16

MEG KOŃCZYŁA WŁAŚNIE SPOTKANIE z trzecią w tym dniu przedstawicielką firmy farmaceutycznej, ambitną, surową z wyglądu młodą blondynką ubraną wyłącznie w czerń, gdy do drzwi zapukała Manisha.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Meg. – Miałam nadzieję, że skończysz, zanim pani Trumbull wyjdzie... chciałam, żebyś rzuciła okiem na te wkładki domaciczne, które nam proponuje. To, co piszą, wygląda dobrze, ale nie chcę decydować bez ciebie.

Manisha, równie drobna i ciemna, jak Meg była wysoka i ruda, weszła do gabinetu.

– Jasne. I przypominam ci, że masz zadzwonić do ortopedy.

– O Boże... – Meg zerwała się z miejsca. Cały tydzień miała zadzwonić i odkładała to, zapominała, przypominała sobie i znowu odkładała. – Zadzwonię z twojego telefonu i zaraz wracam.

Ortopeda, Cameron Lowenstein, był jednym ze znajomych Briana z pola golfowego – nie przyjacielem, z powodu tego, co Brian nazwał „dziwną” postawą. „On uprawia golf w stylu zen – to nie jest facet z mojej bajki – powiedział kiedyś. – Ale to dobry specjalista. Znam wielu chłopaków, którzy do niego chodzą. Ja też, ilekroć nadwerzę sobie ramię, i zawsze mi pomaga”. Nadweręzał je sobie dość często i natychmiast po wyzdrowieniu znowu zaczynał

grać.

Lowenstein odebrał telefon osobiście, co ją zdziwiło, i gotów był ją przyjąć pod koniec dyżuru, mniej więcej za godzinę.

– Jestem pewna, że to nic skomplikowanego – powiedziała, gdy już opisała objawy. – Mam nadzieję, że nie zabiorę panu zbyt wiele czasu.

– Z przyjemnością pani pomogę – zapewnił ją Lowenstein. – Pani mąż jest jednym z moich ulubionych pacjentów.

Kiedy Meg odłożyła słuchawkę i wróciła do gabinetu, Manisha siedziała na krawędzi biurka i machając nogą, opowiadała o swoim nowym szczeniaku sharpei.

– W życiu nie widziałas tylu zmarszczek. Gorzej niż u mojej prababci. .. choć oboje mają prawie tyle samo futra na twarzy. Szczeniak jest o wiele ładniejszy, a przy tym nie trzeba się martwić o jego randki, prawda? Tak że fajnie jest.

Meg się uśmiechnęła.

– A wkładki domaciczne? Też „fajnie” jest?

– Prawdę mówiąc – odparła Manisha – Laurie nie jest w pełni przekonana o ich skuteczności, bo jej siostra zaszła w ciążę, kiedy miała założoną taką wkładkę. Ale według mnie to po prostu przeznaczenie. Myślę, że możemy je stosować.

Fakt, że Manisha zdołała przekształcić w przyjazną pogawędkę to, co dla Meg było agresywną formą sprzedaży, wcale jej nie zaskoczył. Manisha była najcieplejszą, najbardziej otwartą osobą, jaką знаła. Podziwiała też siłę przekonania przyjaciółki, że o wszystkim decyduje przeznaczenie. W

rezultacie życiowe motto Manishy brzmiało: Przyjąć to do wiadomości, zaakceptować, docenić. Gdyby Meg potrafiła uznać tę dewizę za swoją, wówczas być może i ona umiałaby traktować swoje życie rodzinne jak coś oczywistego.

Może zdołałyby lepiej spać, bardziej zdecydowanie działać, pozwolić, by kłopoty spływały po niej, jak łagodny strumień spływa, szmerząc, po kamieniach?

– No i co? – spytała Manisha, kiedy Laurie Trumbull wyszła. – Idziesz do lekarza?

– Za godzinę.

– To świetnie. A jak tam dziś ręka?

– W porządku, tylko trochę zmęczona. Przez cały ostatni tydzień na ogół nie było problemów. Prawdopodobnie zmarnuję tylko czas.

A nie miała go wiele do stracenia. Samo umówienie się na wizytę oznaczało, że będzie musiała przekonać Briana, aby przywiózł Savannah z meczu i pojechał z nią na obiad do dziadka, a ani jedno, ani drugie z pewnością nie wzbudzi jego entuzjazmu. Przez wszystkie te lata obaj mężczyźni nie znaleźli wspólnego gruntu, na którym czuliby się swobodnie. Brian unikał kontaktów z jej ojcem, jeśli tylko było to możliwe. Irytowała go też konieczność wcześniejszego wyjścia z pracy, spowodowana inną przyczyną niż jego własny grafik.

Manisha założyła ręce na piersi i spojrzała na nią, jak to Meg nazywała, po matczynemu.

– Być może, ale idź. Dobrze? Nie jest ci potrzebny drugi taki dzień jak poniedziałek.

– Masz rację – przyznała Meg. W wyobraźni ujrzała wyrazisty obraz martwego dziecka Langów. To nie była jej wina, ale... – Właśnie dlatego idę i dlatego zadzwoniłam.

– Dopiero kiedy ci przypomniałam. – Manisha zmarszczyła brwi.

– Czuję się stosownie winna.

– A ja czuję, że są ci potrzebne wakacje. Jakiś tydzień na spokojnej wyspie, bez pagera, komórki, rodzących kobiet. Nadal lubisz pływać, prawda?

Meg skinęła głową.

– Ale rzadko to robię. Nasz basen jest chyba tylko na pokaz. Mówiłam ci, że w liceum pobiłam rekord szkoły na sto metrów stylem dowolnym?

– Tak, coś sobie przypominam. Ja w takim razie przepisuję ci kostium

pływacki, krem z filtrem i wyczarterowaną żaglówkę, codziennie przez siedem dni.

– Dzięki, pani doktor. – Meg się uśmiechnęła. – Jestem uleczona!

Manisha skierowała się do drzwi.

– Pracujemy razem sześć lat i przez cały czas widzę, jak ciężko pracujesz i starasz się każdemu dogodzić. Podziwiam to, ale pamiętaj, trzeba zadbać także o siebie, jeden pusty kubek nie napełni drugiego.

Meg siedziała w gabinecie doktora Lowensteina, słuchając jego diagnozy: prześwietlenie nie wykazało żadnych odchyłeń od normy, nie ma oznak przeciążenia w kręgosłupie ani stawach, wszystko wydaje się w porządku.

– Nie znajduję nic, co wymagałoby interwencji z mojej strony przyznał, wzruszając ramionami.

– Nic? – powtórzyła Meg.

– Nic. W sensie budowy kostnej jest pani całkowicie zdrowa. Co oznacza, że sprawca jest niewidzialny, przynajmniej dla promieni rentgenowskich. Myślę, że na razie powinna pani poczekać i zobaczyć, czy problem będzie powracał. A gdyby kłopoty się powtórzyły, proszę spróbować zwrócić się do... – Podał jej wizytówkę, na której widniało jakieś trudne do wymówienia nazwisko, a pod spodem napis: „akupunktura, jasnowidzenie”.

Meg podniosła wzrok na Lowensteina, starając się zignorować jego krawat w fioletowo-brązowy wzorek, co wyglądało, jakby zwymiotowało na niego dziecko. Co za dziwny gust ma ten człowiek i w doborze ubrań, iw rekomendacjach. Mogłaby zrozumieć, że zaleca jej akupunkturę, ale jasnowidzenie?

– Nie sądzi pan, że kolejną wizytę powinnam odbyć u neurologa? – spytała, patrząc ponad krawatem w ciemne, głęboko osadzone oczy pod krzaczastymi brwiami.

– Nie uwierzyłaby pani, jak skuteczna może się okazać akupunktura. Dziwię się, że jeszcze jej pani nie popiera – powiedział, unosząc z dezaprobatą brwi. Przypominał jej Groucho Marksa. – Z tym że – dodał – aczkolwiek niechętnie o tym wspominam...

– Tak? – podjęła Meg, nie mając pojęcia, jakie będą dalsze słowa, choć później zastanawiała się nad nimi o wiele dłużej, niżby chciała.

– Objawy, jakie u pani występują, powracająca słabość w ramieniu i ręce, być może także w nodze, potykanie się...

– To było tylko raz. No, może dwa. – A może i trzy, uprzytomniła sobie:

wczoraj wieczorem zawadziła palcami stopy o krawędź schodka.

– Takie objawy, jeśli nie towarzyszy im ból czy złe samopoczucie, jeśli nie ma zmian w kręgosłupie ani sygnałów zaburzeń psychicznych, mogą sugerować ALS.

Znaczenie tych trzech liter prześliznęło się w pierwszej chwili obok niej, jak srebrzyście połyskująca ryba wyślizguje się ze stulonych rąk w spienione morskie fale. ALS? I dopiero gdy w końcu pojęła, o jakiej chorobie mówi – nie, tylko sugeruje... – usiadła sztywno na krześle i zamruła kilka razy.

Stwardnienie zanikowe boczne* [ang. amyotrophic lateral sclerosis. W Polsce stosuje się także skrót SLA (łac. *sclerosis lateralis amyotrophica*) (przyp. tłum.).]

– Choroba Lou Gehriga – powiedziała.

– Niezwykle mało prawdopodobna możliwość.

– Tak, oczywiście.

– Istnieje około stu bardziej prawdopodobnych scenariuszy – dodał, a ona pomyślała: to dlaczego wspominasz właśnie o tym?

– Jeśli objawy będą się powtarzać – ciągnął – słuszne będzie oczywiście porozmawianie z neurologiem, ale proszę też spróbować akupunktury. Nie zaszkodzi. Choć nie mogę powiedzieć, że nie boli – zażartował.

Meg uśmiechnęła się słabo i sięgnęła po torebkę.

– Być może spróbuję. – Wstała. – Bardzo dziękuję, że przyjął mnie pan poza kolejką.

Pomachał niecierpliwie ręką.

– Nie ma za co, naprawdę. Cieszę się, że mogłem pomóc koleżance po fachu.

– Gdyby zdarzyło się panu zająć w ciążę... – powiedziała, odpychając od siebie koszmarny obraz choroby, o której wspominał, i przechodząc na znacznie bardziej przyjazny teren dowcipu – albo gdyby pan potrzebował pilnie zrobić sobie cytologię...

– Zadzwoń – podchwycił i wyciągnął rękę. – Proszę dbać o siebie.

Na zewnątrz było duszno, parno: dopiero co przestało padać. Meg szła po rozgrzanym asfalcie parkingu, a jej poczucie humoru wyparowywało z każdym krokiem jak deszczowa wilgoć pod wpływem powracającego słońca. Wszystko stawało się podejrzanym – każdy niezręczny ruch, każde potknięcie, każde upuszczenie przedmiotu. Mogła mieć te objawy od wielu miesięcy, tyle że nie zwracała na nie uwagi. Jakby na przekór przypuszczeniom Lowensteina, aby udowodnić, że się myli, szła długim, miarowym krokiem,

bez trudu trzymając kluczyki w jednej ręce, a torebkę w drugiej.

Wiedziała dostatecznie dużo o ALS, by zdawać sobie sprawę, że szansa, iż na to właśnie choruje, jest nikła. Wiedziała też, że jej objawy pokrywają się z objawami tej rzadkiej choroby. Doszła do samochodu i przystanęła, próbując ustalić, jakie mogą być inne możliwości... i nie mogła sobie przypomnieć, bo umysł wypełniły jej myśli o tym, na co cierpią chorzy na ALS: stopniowa utrata zdolności poruszania rękami, nogami, głową, ustami... W końcu traciły zdolność ruchu także płuca. Najpierw laska, potem balkonik, potem wózek inwalidzki, wreszcie łóżko. Karmienie przez znużoną pielęgniarkę albo oddanego członka rodziny, potem przez rurkę. Przedłużenie życia poprzez podłączenie do sztucznych płuc, jeśli ofiara zechce sobie zawracać głowę... bo nie ma od tego odwrotu, nie ma lekarstwa, nie ma nawet, Meg była tego pewna, żadnych półśrodków, które spowolniłyby tempo rozwoju choroby.

Stała przy aucie i patrzyła na rosnące wzdłuż drogi palmy – widok równie normalny i znajomy jak jej własna twarz – i na mknące jezdnią samochody. Wszystko wyglądało normalnie, wszystko zdawało się zadowolone ze swego miejsca na planecie. Z pewnością i ona jest równie zwyczajna, równie zadowolona; z pewnością jest taka sama, jak cała reszta tego świata, niedotknięta stwardnieniem bocznym... czy inną równie ponurą przypadłością.

Poświęcała się dla rodziców, siostr, dla szczęścia Savannah i Briana, dla pacjentów przez te wszystkie lata; z pewnością zapracowała sobie na lepszą karmę niż diagnoza Camerona Lowensteina.

Prawda?

Wystraszona kobieta wewnątrz niej pragnęła wierzyć, że zasłużyła na szczęśliwy los, ale nie mogła zagłuszyć lekarki, jej wykształconego, doświadczonego ja, które wiedziało, że nie da się uciec od elementarnej życiowej prawdy: złe rzeczy przydarzają się dobrym ludziom w każdej chwili, każdego dnia, i jest to równie pewne jak to, że zawsze gdzieś wschodzi lub zachodzi słońce.

17

KIEDY TRENING SIĘ SKOŃCZYŁ, Savannah ze zdziwieniem zobaczyła samochód ojca, podjeżdżający na położony obok boiska parking. Nie pamiętała, kiedy widziała tatę wcześniej niż, powiedzmy, o siódmej. Patrzyła, jak sunie wolniutko po żwirze, żeby nie wzbijać kurzu.

Kiedy się zatrzymał, podeszła, powstrzymując chęć powłóczenia nogami.

– Gdzie jest mama?

– Nie zdążyłyby przyjechać na czas. Wsiadaj, musisz się umyć i przebrać na obiad ze Spencerem.

Nie miała czasu na obiady w domach starców. Musiała natychmiast pogadać z Kyle'em o Miami.

– To dzisiaj?

– Taką dostałem informację.

– Czemu mama po mnie nie przyjechała? Coś w pracy? Ale będzie na obiedzie, prawda?

– Nie mogła sobie wyobrazić, że zje obiad tylko z ojcem i dziadkiem Spencerem. Byli jak dwa odpychające się magnesy.

– Tak, będzie. Wsiadaj – ponaglił. – Miała spotkanie.

Savannah obesza samochód, ciągnąc po żwirze aluminiowy kij. Kyle będzie wkurzony...

Przez dwie godziny meczu próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby polecieć w poniedziałek do Miami, ale nic jej nie wychodziło.

Nowiutki 740, który tata jak zwykle zamówił u jednego ze swoich klientów, pachniał

wewnątrz skórą, nowym dywanem i jakby świeżo wypraną bielizną – z odświeżacza powietrza, umieszczonego dyskretnie w okolicy jej kolan. Zapięła pas i przesunęła dłońmi po ręcznie szytym siedzeniu. Jej samochód też będzie miał fotele ze skóry, ale nie takiej, jak u taty, wyprawionej na zamsz. Jej samochód, dwudrzwiowa honda accord, miała być wyposażona we wszystko to, co było według ojca praktyczne – pokrycia ze zwykłej skóry, na przykład, łatwe do utrzymania w czystości, i system GPS, żeby było wiadomo, dokąd się jedzie – i miała jej służyć do końca studiów. Kiedy obroni pracę dyplomową, będzie mogła wybrać sobie w nagrodę samochód, jaki tylko zechce. Miało ją to nauczyć, że warto wytyczać sobie długoterminowe cele i pracować nad ich realizacją.

Prawdę mówiąc, nie bardzo ją obchodziło, czym będzie jeździć teraz czy później. Byle tylko miała własne cztery kółka, byle mogła ustalić własny grafik, byle nie musiała być zależna od mamy czy ojca, mogła wziąć w szkole dzień wolnego i podjechać do Kyle'a do Naples, jeśli będzie miała ochotę, reszta się nie liczy. Jej przyjaciółki często rozmawiały o nowych samochodach: Caitlin dostała na szesnaste urodziny malowanego na zamówienie różowego mini. Holly Sholwalter z ostatniej klasy otrzymała po maturze saabę z odsuwającym dachem. Lidia Patel, której mamą była doktor

Manisha, nie mogła się doczekać trzyletniego mercedesa ojca, który miała odziedziczyć w sierpniu, gdy skończy szesnaście lat. Należeli do warstwy uprzywilejowanej, o czym dziadek Spencer nieustannie jej przypominał. Nawet ona, z fabrycznie nową hondą w perspektywie, miała o wiele lepiej niż przeciętne dziecko.

Powinna się czuć szczęśliwa. Powinna być wdzięczna. Mama na pewno nie wychowała się wśród uprzywilejowanych – ciężko pracowała, żeby dojść do tego, co ma, co z kolei stale powtarzała babcia Anna. A jednak Savannah przeważnie czuła się... zduszona. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pozostawi za sobą cały ten luksus, żeby... żeby zacząć własne życie, jakiegokolwiek by miało być. Interesującą, pożyteczną egzystencję, w której będzie miejsce dla ludzi takich jak ona. Będą tworzyć, badać, stawiać pytania... Luksus jest nudny, porządnicki i przereklamowany.

– Jak tam trening? – spytał ojciec, wrywając ją z marzeń.

– Fajnie.

– A na jakiej pozycji teraz grasz?

– Na tej co zawsze.

– To znaczy?

Spojrziała na niego zdumiona, że nie pamięta – choć nie powinna się dziwić, skoro ostatni raz obserwował jej grę, kiedy była w szóstej klasie.

– Serio?

– Co serio?

– Wiem, że jesteś zbyt zajęty, żeby na przykład przyjść na mój trening, ale nawet nie wiesz, na jakiej pozycji graim?

Westchnął.

– Mam tyle spraw na głowie, Savannah.

– Na prawym skrzydle – skłamała. Wszyscy wiedzieli, że ta pozycja jest najgorsza.

Prawoskrzydłowi gracze najmniej widzieli z akcji i z reguły byli najsłabszymi zawodnikami, co i dla taty nie mogło być tajemnicą. Oprócz golfa był wielkim fanem bejsbolu; w sokole i na uczelni uprawiał obie te dyscypliny. Czy istniało coś, czego nie robił znakomicie?

– Ach tak. No jasne – powiedział, a ona poczuła satysfakcję, słysząc zdziwienie w jego głosie, tak jakby pomyślał, że powinien to pamiętać i miał sobie za złe, że zapomniał. – Myślę – podjął – że powinniśmy ci dać dodatkowe lekcje, żebyś popracowała nad techniką... ile teraz wyciągasz?

– Sto czterdzieści pięć – skłamała ponownie, tylko po to, żeby mówić

dalej. Był równie łatwo przewidywalny jak mama, choć w nieco inny sposób. Mamie nie zależało, żeby była najlepszą uczennicą, zawodniczką, śpiewaczką czy kompozytorką. Mama nie przejmowałaby się, gdyby miała C z geometrii czy była jak marcowy kot – co nigdy się nie zdarzyło, ale wiedziała, że na mamie nie zrobiłoby to wrażenia. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy mama w ogóle by zauważyła, taka była zawsze zajęta. Tato, przeciwnie, przywiązywał wielką wagę do tego, jak dana sprawa wygląda – nawet jeśli wygląd niewiele miał wspólnego z rzeczywistością. Jeśli jego córka gra na prawym polu i wyciąga tylko sto czterdzieści pięć, rzucało to niekorzystne światło na niego i musiał coś z tym zrobić, pokazać, jakim dobrym jest ojcem, troskliwym, zaangażowanym. Gdyby nie miała własnych ambicji, ciężar jego oczekiwań i „pomocy” przygniótłby ją do ziemi jak wór mokrego cementu.

– Musisz szybko poprawić wyniki – ciągnął. – Znam trenera, który pracuje dla Marlinsów... może zadzwonię do niego i umówię was na sobotę?

– Czy to takie ważne? – warknęła wzburzona. – Nigdy nie zdarzyło ci się pomyśleć, że jestem dobra taka, jaka jestem?

Wiedziała, że zaskoczyła go ta gwałtowność. No cóż, nigdy nie akceptował jej takiej jaka jest, a ona miała tego powyżej uszu.

– Chcę cię tylko zmobilizować, żebyś osiągnęła to, na co cię stać.

– A jeśli stać mnie tylko na sto czterdzieści pięć?

– Ale tak nie jest. Posłuchaj, to tak jak z wyborem zawodu: chodzi o to, żeby jak najlepiej wykorzystać zdolności, z jakimi przychodzi się na świat. Jesteś utalentowanym dzieckiem...

– Nie jestem dzieckiem!

– Jesteś utalentowaną młodą kobietą – poprawił się – i niewykorzystanie tych talentów, na przykład pójście na biologię, jest równoznaczne z pomniejszaniem siebie samej. A jeśli chodzi o grę...

– Dlaczego? – przerwała. – Pomniejszam siebie bo chcę uratować krowy morskie przed wyginięciem? Co w tym złego poza tym, że nie będę zarabiała tyle, ile powinnam, twoim zdaniem?

– Możesz pomagać ludziom, a nie zwierzętom, i dobrze zarabiać. Mogę ci załatwić na lato praktykę u nas w banku, zobaczysz, ile satysfakcji daje pomaganie ludziom, żeby mogli zachować swoje pieniądze, a nie podać je rządowi na widelcu...

Savannah spojrzała na niego wrogo. On nic nie rozumiał.

Przez resztę drogi jechali w milczeniu.

Gdy tylko znalazła się w swoim pokoju, spróbowała zadzwonić do Kyle'a na komórkę, ale odezwała się jedynie poczta głosowa. Choć strząśnięcie z siebie złego nastroju kosztowało ją sporo wysiłku, zostawiła krótką, pogodnie brzmiącą wiadomość, że przeprasza, ale nie zdoła przyjechać do Miami w poniedziałek i prosi, żeby zadzwonił później albo był o dziewiątej na czacie. „Może uda się nam coś wymyślić na następny tydzień” – powiedziała, celowo sugerując jakąś przyszłość. Boże, spraw, by nie uznał, że nie warto na mnie tracić czasu, pomyślała.

Savannah siedziała z rodzicami i dziadkiem Spencerem przy nakrytym na cztery osoby stole w jadalni ośrodka Horyzont. To miejsce przypominało jej jadalnię na statku, którym płynęli, kiedy była mała. Wszyscy wydawali jej się wtedy strasznie starzy, całkiem jak tutaj, i wnętrza też były urządzone podobnie, w stylu, który dziadek nazwał „ponadczasowym”: jasne, pastelowe tapety, obrusy, płytki podłogi. „Nic, co by drażniło zmysły – powiedział. – W takim miejscu to rozsądny wybór”.

Dziadek był jednym z młodszych wiekiem rezydentów – miał nieco ponad siedemdziesiątkę – i wyglądało, że nieźle się bawi, żartując ze starszych od siebie sąsiadów.

Matka jednak, jak zauważyła Savannah, nie zwracała na to szczególnej uwagi. Pozostawiała podtrzymywanie rozmowy im, pozwalając, by toczyła się w dowolnym kierunku. Tato nie rozmawiał prawie z nikim, z wyjątkiem osób, które nieustannie dzwoniły do niego na komórkę; trzy razy odszedł na bok, żeby odebrać telefon, zanim jeszcze skończyli zwiedzać skrzydło ośrodka, gdzie mieściły się apartamenty. W rezultacie ciężar rozmowy spadł na nią.

Mówiła o szkole, o softballu i o tym, jak ściągać piosenki do i-Poda. Dziadek był

zafascynowany tym ostatnim. „Kurczę, chciałbym mieć smykałkę do tego całego komputerowego biznesu. Te chłopaki z Apple depczą Billowi Gatesowi po piętach!” – powiedział.

Teraz opowiadał właśnie o trzech mężczyznach, którzy prześladowali pielęgniarke i staruszki-rezydentki, jeżdżąc za nimi po holu na wózkach inwalidzkich i szepcząc coś do siebie nawzajem.

– Powinnaś wiedzieć, Savannah, że żaden z tych starych pierników nie mieszka w moim skrzydle. Trzymają ich tam – wyciągnął rękę ku odległemu krańcowi sali – w części przeznaczony dla osób, które wymagają pomocy. Chodzę tam czasem, ot tak, dla rozrywki. A po drugiej stronie parkingu jest

oddział dla tych, co już właściwie nie żyją.

– Dziadku.

Pomachał niecierpliwie dłonią.

– Nie dziadkuj mi. Jak będziesz w moim wieku, zobaczysz, jak to jest.

Zycie jest dla tych, co żyją, wszyscy inni to strata pieniędzy i tlenu, którym mógłby oddychać ktoś inny. Nie mam racji, Meg?

Matka nie odpowiedziała. Savannah szturchnęła ją nogą pod stołem.

– Hm? – ocknęła się.

– Dziadek coś do ciebie mówi.

– O co chodzi, tato? Przepraszam, myślałam o czymś innym.

– Jakbyśmy nie zauważyli. Powiedziałem, że nie ma sensu trzymać ludzi przy życiu, kiedy go już w sobie nie mają, takich jak większość tych tam, na oddziale dla leżących. To żalosne. Nie sądzisz?

– Sądzę, że powinniśmy teraz dostać deser.

Choć Savannah miała zamiar kontrolować swoją wagę, tak by na spotkaniu z Kyle'em – kiedykolwiek nastąpi – była tak szczupła, jak tylko się da, na wzmiankę o deserze podskoczyła na krześle. Była to szansa na ożywienie nastroju.

– O tak, lody na deser! Gdzie jest ten samoobsługowy automat, dziadku?

– Tam, przy drzwiach do kuchni... widzisz?

Dwóch zgarbionych staruszków przepychało się przy automacie: każdy chciał być pierwszy.

– Aha – powiedziała Savannah. – Chodź, mam, spróbujemy.

– A może byś mi przyniosła? Mam za sobą trudny dzień.

– Ja też mam za sobą trudny dzień – zauważyła Savannah, wstając. – Ale nie jęcę.

– Dziewczyna ma rację – włączył się dziadek.

– Pozwól, tato, że zostanę na miejscu. – Ostry głos matki wdarł się do świadomości Savannah. Czemu jest taka poirytowana?

W tej chwili znowu zadzwieczała komórka ojca. Sprawdził, kto dzwoni, i podniósł się, żeby odejść i porozmawiać na boku.

– Na litość boską, Brian! – powiedziała matka. – Czemu ty jej wreszcie nie wyłączysz?

Wszyscy zamarli. Savannah patrzyła to na rozzłoszczoną twarz matki, to na zaskoczoną minę ojca. Wyłączył komórkę, usiadł i zmarszczywszy brwi, powiedział cicho: – Zachowujmy się jak ludzie cywilizowani, dobrze?

– Cywilizowani ludzie nie rozmawiają przez telefon podczas rodzinnego

obiadu, o czym zapewne byś wiedział, gdybyś kiedykolwiek jadał obiad z rodziną!

– Dosyć, Meg.

– Skąd wiesz, czy to dosyć czy nie? Odkąd pamiętam, nigdy niczego nie miałeś dosyć!

Savannah nie wierzyła własnym uszom. Mama robi scenę... Rodzice nigdy się nie kłócili.

Ojciec wstał.

– Nie wiem, co cię dzisiaj ugryzło, ale nie mam ochoty być ofiarą. Możemy porozmawiać później, kiedy będziesz znowu potrafiła zachowywać się jak dorosła.

– No tak, wychodzisz. To dopiero jest dorosłość – powiedziała mama, choć tata wciąż stał. Na twarzy miał wyraz niepewności, jakiego Savannah nigdy dotąd u niego nie widziała.

Dziadek wyciągnął rękę i położył ją na dłoni mamy.

– Niech idzie, Meggie. Nie dałem Bruce'owi tych pieniędzy za nic. Nie musisz się więcej płaszczyć przed tą szycią.

– O czym ty mówisz?

– O pieniądzach. No wiesz. – Przechylił głowę ku Savannah, a ona zmarszczyła brwi.

Jakie pieniądze, i co to ma z nią wspólnego?

Matka też wyglądała na zmieszaną. Po chwili jednak zmieszanie wyparł błysk zrozumienia.

– Kiedy dałeś Bruce'owi pieniądze? – spytała.

– Mówiłem ci już. Jestem pewien...

– Nie, tato, pamiętałabym. Brian?

– Nie będę o tym rozmawiał przy Savannah. – Spojrzał na nią, odwrócił się do wszystkich plecami i wyszedł.

– Szlag by to – powiedziała mama. Przetarła dłońmi twarz i dodała: – Przepraszam was.

Jestem dziś w podłym nastroju... powinniśmy byli przełożyć ten obiad.

Savannah wzruszyła ramionami. Chętnie by się dowiedziała, o czym oni mówią, a przede wszystkim czemu mama jest w takim podłym nastroju, ale wolała nie pytać i nie ściągać jej gniewu na siebie. Tylko tego brakowało, żeby dostała szlaban na komputer czy telefon. .. iw efekcie została odcięta od Kyle'a.

– Wiesz co, tato – zwróciła się do dziadka mama – myślę, że pogadamy o

tym wieczorem. Wpadnę do ciebie jutro, dobrze? Masz, Savannah. – Podala jej kluczyki. – Zawiesz nas do domu.

Pożegnały się z dziadkiem i wyszły, nawet nie podchodząc do automatu do lodów, co dziwnie zasmuciło Savannah. Choć przecież nie przywiązywała do tych lodów specjalnej wagi.

Kyle'a nie było w sieci, kiedy zalogowała się o dziewiątej. Nie było go też o dziewiątej pięć, dziesięć ani piętnaście, co zmartwiło ją znacznie bardziej niż dziwna kłótnia rodziców.

Siedziała na łóżku, nie odbierając sygnałów Rachel, i rozmyślała niespokojnie. Może Kyle odsłuchiwał jej wiadomość i mu przeszło? Facet w jego wieku, z jego urodą, pewnie ma chętnych na pęczki. Nie musi się zadawać z małodatą, która nawet nie pamięta, kiedy wypada May Day.

Włożyła do uszu słuchawki i włączyła piosenki Carsona McKaya, które przegrała sobie ze starej maminej płyty. Czasami te stare ballady – Carsona i innych zespołów – naprawdę do niej przemawiały. Melodyjne, ze słowami, które często trafiały w jej własne zmartwienia i smutki, poprawiały jej nastrój, kiedy się wydawało, że wszystko wżyciu idzie nie tak.

Odchyliła się na tę głupią fioletową poduszkę i przymknąwszy oczy, słuchała, jak Carson śpiewa o facecie, który zabłądził w śnieżnej zamieci i myśli, że być może zamarźnie i nigdy więcej nie zobaczy kobiety, którą kocha. Ballada nosiła tytuł *Żywcem pogrzebany*. Savannah przypominała sobie, że słyszała ją jeszcze w starym domu w Gainesville, gdzie mieszkali, dopóki mama nie skończyła specjalizacji. Wspomnienie było jak błysk flesza: miała może ze cztery lata, mama trzymała ją na biodrze i wirowała z nią wokół salonu. To było przyjemne wspomnienie; tak rzadko się zdarzało, że spędzali czas razem.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że mama i Carson byli w dzieciństwie i młodości sąsiadami i chodzili do tej samej szkoły. Dowiedziała się o tym kilka lat później, kiedy przeprowadzili się do Ocala – ileż to lat miała wówczas, dwanaście? Odwiedziły z mamą farmę i babcia Anna powiedziała coś o tym, jak McKayowie, sąsiedzi, dzięki dochodom z kariery Carsona rozbudowują i ulepszają dom. „Masz na myśli Carsona McKaya, gwiazdę rocka?” – spytała, a babcia potwierdziła. „Przepraszam, Meggie – dodała, zwracając się do mamy – myślałam, że ona wie”. Savannah nie rozumiała, dlaczego babcia się usprawiedliwia, ale niespecjalnie ją to obchodziło; była podekscytowana możliwością, że któregoś dnia pozna osobiście słynnego Carsona McKaya. „Kiedy następnym razem będzie tu miał koncert, musimy

pójść! Może nas wpuści za kulisy?” Już wtedy podziwiała jego muzykę, sposób gry na fortepianie przypominający grę innego z ulubieńców matki, Freddiego Mercury’ego.

W kieszeni szortów zawibrowała komórka. Szybko ją wyciągnęła, wyjęła słuchawki z uszu i otworzyła klapkę.

Rzuciła okiem na ekranik. Nie знаła tego numeru.

– Słucham?

– Cześć, malutka. Kyle.

– Cześć! Skąd dzwonicz?

– Z komórki jednego faceta... mojego dobrego kumpla. Bo mój telefon, no wiesz, padł, a ja musiałem zadzwonić do mojej ulubionej dziewczyny.

Ulubionej dziewczyny! A więc nie był zły na nią o zmianę planów... albo nie odsłuchał jej wiadomości.

– Strasznie się cieszę, że dzwonicz!

– A ja strasznie się cieszę, że ty się cieszysz. Jak myślisz, moglibyśmy spotkać się w ten weekend, powiedzmy, w piątek wieczorem?

– Jak to, w ten? Serio?

– Nie chcę czekać do poniedziałku, żeby zobaczyć twoją słodką buźkę. Pomyślałem sobie, że podskoczę do mojej ulubionej dziewczyny... mój samochód to szajs, ale moglibyśmy pojechać do Miami twoim, a bilet lotniczy zachować na następny raz.

Cholera. Nie odsłuchał jej wiadomości. W tle rozległ się śmiech.

– Wygląda, że masz tam imprezę.

– A tak... przyszło do mnie paru kumpli, żeby się trochę wyluzować. No wiesz.

– Jesteś pijany?

– Ja? Nie. Nie, nie, skąd... Procenty to nie moja bajka. – Znowu śmiech.

Do weekendu zostały raptem dwa dni. Musiała natychmiast coś wymyślić.

– Miałam jechać na ten weekend do domu. Zobaczą, czy uda mi się coś wykombinować, dobra? I oddzwonię pod ten sam numer.

– Dobra, będę czekał.

Wyłączyła telefon i siedziała z bijącym sercem, rozglądając się po pokoju. Co by tu wykombinować? Jak się z nim spotkać, tak żeby nikt się nie dowiedział? Gdzie on się zatrzyma? Może wcisnąć rodzicom kit, że idzie do Rachel... i zostać z nim w hotelu?

Mogłaby mu powiedzieć, że samochód jest w naprawie...

– Spokojnie, dziewczyno – powiedziała na głos, choć o mało nie skakała z radości.

Wzięła głęboki oddech, zmusiła się, aby wymyślić sensowny plan, po czym kliknęła w opcję szybkiego wybierania do Rachel.

18

Po POWROCIE OD OJCA Meg zapadła w pokoju telewizyjnym w ciężką drzemkę. Śniła jej się Panna Młoda, klacz, którą mieli dawno temu... była żrebna i miała wielki brzuch, a ona zamykała ją w zagrodzie... zapadała noc, w stajni było tak ciemno, że nie widziała własnych stóp. Potem jakoś się okazało, że trzyma w ręce zgrzebło i mrucząc uspokajające słowa, staje na drewnianej skrzynce, żeby dosięgnąć grzywy Panny Młodej. Klacz rzuciła się w bok, strąciła ją ze skrzynki i przygwoździła do ściany, a potem opadła na ściółkę, pociągając Meg za sobą. Meg podwinęła się noga, plecy szorowały ostro po ścianie, gdy padała. We śnie bólu nie czuła; podświadomość oszczędziła jej tego, co wycierpiała jako dziesięciolatka. Ale ciemność, panika, że tkwi w pułapce, daremne wołanie aż do zachrypnięcia – wszystko to było obecne we śnie.

Panna Młoda stękała i jęczała; w ciemności te ostre dźwięki były przerażające. Minuty ciągnęły się jak godziny. Meg była pewna, że umrą tu obie. Nie zdoła dźwignąć ważcej ponad pięćset kilogramów klaczy, nie zdoła wyciągnąć żrebaka... który później urodzi się martwy. Wiedziała o tym we śnie, ale świadomość, że skoro wie, to musiała przeżyć, nie była dla niej pociechą. Nie mogła oddychać, klacz przygniatała ją, aż stała się płaska, niewidzialna...

Łoskot zamykanych drzwi od garażu wyrwał ją ze snu. Mokra od potu, sprawdziła godzinę: kwadrans po drugiej. Serce powoli zwalniało. Czekwała na Briana, licząc, że wejdzie i wytłumaczy się, ale on przemknął obok pokoju z butami w ręce, z rozwianymi połami koszuli, nie zaglądając do środka. Meg usiadła. Z ulgą, że raz jeszcze udało jej się uniknąć spotkania z Brianem, spróbowała rozeznaczyć się w sytuacji, w jakiej się dziś znalazła. Brian najwyraźniej poszedł pić, zamiast wrócić do domu i porozmawiać z nią o sprawie, która wypłynęła w trakcie obiadu. Co z tym fantem zrobić?

Dobiegł ją jakiś głuchy stuk, trzask, a potem głos Briana: „Psiakrew!”

Bardziej oddana żona wstałaby i poszła sprawdzić, co się stało, pomyślała. Bardziej oddana żona stanęłaby z nim twarzą w twarz i zażądała, by wyjaśnił, gdzie był przez ostatnich sześć godzin. W barze? U kolegi? Z

kobietą? Bardziej oddana żona nie sięgałaby teraz po słuchawkę, żeby obudzić w środku nocy teścia i poprosić o odpowiedź na inne pytanie, na które Brian nie odpowiedział wcześniej i wyraźnie nie miał zamiaru odpowiadać i teraz.

Bruce odebrał dopiero po piątym dzwonku.

– Halo?

– Mówi Meg. Przepraszam, że dzwonię o tej porze.

– Coś z Brianem? – W głosie Bruce’a słychać było panikę. – Co się stało?

Och, jakże bał się o swoje bezcenne najstarsze dziecko, swojego dziedzica. Shelley przyznała kiedyś, że trzęśli się nad Brianem – może trochę za bardzo, powiedziała z uśmiechem pobłażania dla siebie samej – od dnia, kiedy po raz pierwszy dostał ataku astmy.

Po zjedzeniu tosta z masłem orzechowym, kiedy miał dwa lata. O mało wtedy nie umarł, bo ich służąca, Esmeralda, myślała, że dziecko się dławi, i zaczęła go walić w plecy. Na szczęście Shelley w porę wróciła z lekcji malarstwa olejnego i wezwała pogotowie; potężna dawka epinefryny uratowała mu życie. Od tej pory rodzice żyli w ciągłym lęku, że do organizmu dziecka przypadkiem dostanie się orzeszek, olej z orzeszków czy orzeszkowy pył.

Te rzeczy były przecież wszędzie. Kiedy Meg zaczęła chodzić z Brianem, Shelley poświęciła cały tydzień na jej edukację, włącznie z wyprawami do supermarketu i trwającą trzy kolejne wieczory nauką przeciwalergicznego gotowania.

– Z Brianem wszystko w porządku – powiedziała. – To znaczy, tak mi się wydaje.

Dopiero co wrócił pijany.

– A ty piłaś? – Głos Bruce’a, dotąd wystraszony, stał się podejrzliwy.

– Nie, spałam. Ale to nieważne. Będę mówić krótko: czy mój ojciec dał ci ostatnio jakieś pieniądze?

Bruce zakaszłał.

– To sprawa między Spencerem a mną. – Meg słyszała, jak Shelley pyta, kto dzwoni, a Bruce jej odpowiada: „Meg... wszystko w porządku”.

– Posłuchaj, Bruce, ja nie mam już dwudziestu jeden lat. Jest późno, nie jestem w formie, a mój ojciec wspominał dziś o pewnej sprawie i chciałabym, żebyś potwierdził lub zaprzeczył. Czy oddał ci pieniądze?

– Mówiłem, żeby nie oddawał. Ale ten cholerny uparciuch nie rozumie, jak się do niego mówi: nie.

A więc to prawda.

– Całą sumę? – spytała.

– Tak.

– A tyją przyjąłeś.

– Uparł się. Posłuchaj, wpłacę tę kwotę na fundusz powierniczy dla naszej małej, dobrze?

A gdyby Spencer znowu kiedyś popadł w kłopoty... choć pewnie tak się nie stanie, skoro nadzorujesz jego wydatki... no, ale gdyby, cóż, będziemy mogli znowu mu pomóc.

– Doceniam to, ale w razie potrzeby dam sobie radę sama. Czy Brian wie o zwrocie pieniędzy?

– Myślę, że powinniście sami o tym porozmawiać. Co oznaczało: tak.

– Porozmawiamy – powiedziała.

– Czy Brian jest teraz koło ciebie? – spytał Bruce. Głos miał nieco znużony.

– Nie, pewnie się już położył. Zadzwoń do niego rano, dobrze?

Przepraszam, że cię obudziłam.

Kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. To, co ojciec powiedział przy obiedzie: „Nie dałem Bruce’owi tych pieniędzy za nic. Nie musisz się więcej płaszczyć przed tą szycią”, zaczynało mieć sens.

Ale dzisiejsze zachowanie Briana go nie miało. Dlaczego jej nie powiedział?

Poszła bosą do kuchni, znowu cichej i pustej. Stała w wychodzących na ogród drzwiach i zapatrzyła się na zmienne meandry światła, połyskujące na powierzchni iluminowanej wody basenu. O tej porze iluminacja powinna się już wyłączyć; odpowiadał za to system, który kontrolował także działanie zraszaczy trawników oraz dopływ słabego prądu do ogrodzenia ich posesji, co miało odstraszać aligatory i jelenie. Piękna, eteryczna gra światła była jak nieoczekiwany dar późnej nocy, ale najwyraźniej w elektronicznym systemie kontroli pojawił się jakiś błąd – być może taki sam jak ten, który tkwił w jej mózgu.

Bez wątpienia jest jakaś wada w jej życiu, pomyślała, obserwując grę światła na suficie portyku i na importowanych z Hiszpanii płytkach rozległego tarasu. Trzeba usunąć tę wadę jak najszybciej. Człowiek, którego polecał jej Cameron Lowenstein, ten akupunkturzysta-jasnowidz, miał być takim naprawiaczem życia. Czy komplet długich, superostrzych igieł i tajemnicza moc przewidywania przyszłości to wystarczające narzędzia, żeby

ustawić ją z powrotem na właściwym torze?

Nie miała ochoty kłaść się do łóżka z Brianem. Usiadła na kuchennym blacie z ostatnim z matczyńskich notatników i zaczęła czytać wpis, po którym wcześniej tylko się prześliznęła.

10 sierpnia, 2005

Najniższa temp. : 22 st. , najwyższa: 30, 5 st. Po południu gwałtowna burza.

Prawie cały wieczór rozmawiałam z Juliannę, starając się ją uspokoić. Allan złamał

nadgarstek i potrzebna była operacja. Julianne źle sobie radzi w sytuacjach kryzysowych, pewnie dlatego, że jako dziecko zawsze miała wokół siebie pełno sióstr do pomocy.

Skoro mowa o kryzysie: Spencera cały dzień bolała nerka, ale nic nie chce z tym zrobić.

Mężczyźni są strasznie uparci. Próbowalam zadzwonić wcześniej do Meggie, żeby się jej poradzić, ale była akurat w trakcie jakiegoś przedwczesnego porodu. Mam nadzieję, że w rezultacie nie przyjdzie na świat jedno z tych słabiutkich, półkilogramowych dzieci, które potem żyją tylko dzięki tym wszystkim rurkom i igłom. Widziałam program na ten temat w zeszłym tygodniu. Maleństwa tak małe, że można je utrzymać w jednej ręce, drobniutkie jak u ptaka kosteczki obciążone przezroczystą skórą... Biedactwa! Zawsze uważałam, że to natura powinna decydować, które ma żyć, a które nie. Dziecko, które przyszło na świat, zanim potrafi samo oddychać, Matka Boska woła z powrotem do siebie i trzymanie go tu na siłę jest okrucieństwem. Takie jest moje zdanie. A mam prawo to mówić, bo sama straciłam maleńkiego chłopczyka w rok po urodzeniu Meggie. Wiem, co człowiek wtedy czuje.

Boże, jak ja dziś smutno piszę. Dostyc tego. Nigdy nie należałam do tych, co oglądają się za siebie, i pewnie dlatego udało mi się wytrwać przy Spencerze przez te wszystkie lata.

Pewnie, że wolałabym mieć Juliannę przy sobie trochę dłużej, i wolałabym, żeby Beth wytrzymała z jednym mężczyzną dłużej niż trzy tygodnie – ale ona mówi, że nie widzi wokół siebie dobrych przykładów małżeństwa.

Mówię jej: „Spójrz na Kare, Jules i Meggie, spójrz na nas z ojcem!” A ona na to bez ogródek: Karę i Julie to po prostu fabryka dzieci (!!!), Meg jest samotna i w depresji, a tata przez całe życie był finansowym błędnym

rycerzem i niczym więcej – ona w życiu by nie wytrzymała z kimś takim. Po czym dodała: „Nie chciałam cię urazić, mamo”, o czym, rzecz jasna, doskonale wiem. Spencer nie jest z tych, których się lubi na pierwszy rzut oka, ale go kocham. Jak wytłumaczyć moc prawdziwej miłości?

Powiedziałam jej, że prawdziwa miłość nie chodzi dookoła i nie przygląda się sytuacji z każdej możliwej strony, miłość wybiera według swego widzimisie i nic na to nie możemy poradzić, kiedy w nas uderzy. „Po prostu jeszcze ci się to nie przydarzyło – powiedziałam. – Ale się przydarzy”.

Beth ma rację co do Meggie. Powiedziałam Spencerowi, że szkoda, że pozwoliliśmy jej w swoim czasie zadać się z Brianem. „Była dorosła – odpowiedział. – Nie moglibyśmy jej powstrzymać”. „Moglibyśmy” – odparłam. I powiedziałam, że gdybym mogła pójść na pchli targ i znaleźć magiczną lampę z ukrytym w środku duszkiem, miałabym do niego jedną prośbę: żeby móc zwrócić pieniądze Bruce’owi. Jakież to musi być dla niej jarzmo, ten dług.

Jak mogliśmy tego nie widzieć?

Ale znam odpowiedź na to pytanie.

Meg zamknęła notatnik i powiodła pieśczośliwie ręką po okładce.

Ojciec uważał, że już wcześniej powiedział jej o pieniądzach, ale to niemożliwe. A może?

Czy mogło się zdarzyć, że w zamieszaniu związanym z likwidacją domu, pakowaniem, sprzątaniem, pilnowaniem terminów jego spotkań z agentami nieruchomości, inspektorami, prawnikami, doglądaniem, aby wyłączono elektryczność, gaz, telefon, wysyłką zawiadomień do urzędu pocztowego, krewnych, znajomych, lekarzy – czy możliwe, aby wśród tego wszystkiego powiedział jej, że wypisał czek dla Bruce’a, spełniając to, co było, jak się okazuje, jednym z ostatnich życzeń matki... a ona o tym zapomniała?

Teoretycznie mogło się tak zdarzyć, ale była przekonana, że coś tak istotnego na pewno by zapamiętała. I zareagowałaby tak, jak teraz: rosnącym poczuciem zniewagi.

Bo chociaż zwrócenie gotówki Bruce’owi było rzeczą chwalebną, ojciec nigdy, przez niemal siedemnaście lat, nie wspomniał choćby pośrednio, że wyświadczyła mu przysługę.

Jedynie na weselu – wystawnej imprezie na cztery namioty, o której sądzono, że to on za nią zapłacił – powiedział, że jej małżeństwo to fantastyczna rzecz dla nich wszystkich. Gdyby powiedział: „dziękuję”, może nie byłaby teraz taka zła.

Nalała sobie trochę mleka, wzięła parę czekoladowych markizów i wyszła w parną noc posiedzieć nad basenem. Kiedy mijała kolumny portyku, przywitał ją ostry skrzek rzekotki drzewnej. Usiadła na brzegu i spuściła stopy do wody. W pierwszej chwili wstrząsnęła się lekko, ale zaraz skóra przyzwyczaiła się do temperatury, dwudziestu stopni, jak zawsze, i dyskomfort ustąpił. Meg zanurzyła ciastko do połowy w mleku, odczekała chwilę, żeby nasiąkło, i szybko odgryzła rozmoczoną połówkę, tak jak to robiła w dzieciństwie, w tych rzadkich wypadkach, kiedy mieli w domu markizy.

Ktoś powiedział – może w telewizji, a może gdzieś o tym przeczytała – że dorośli Amerykanie mają obsesję na punkcie nierozwiązanych problemów dzieciństwa. To by tłumaczyło, dlaczego na jej liście zakupów zawsze figurowały markizy. A także słodzone płatki śniadaniowe, na jakie akurat miała ochotę Savannah, kiedy sporządzano listę, i lody, i dobrej jakości ser, i oranżada. Wszystko, za czym Meg tęskniła jako dziecko, wypełniało teraz jej lodówkę i szafki. Wszystko, czego brakowało jej wówczas, dawała obecnie córce. Na przykład wielki, dwupokojowy apartament o radosnym wystroju... apartament, podczas gdy ona z Karą miały do spółki pokój tak wąski, że leżąc w łóżkach, mogły się trzymać za ręce.

Kiedy nocował u nich Carson, ustawiały w nogach stare wojskowe łóżko polowe, a wówczas między tym łóżkiem a ich szafką zostawało może z dziesięć centymetrów. Jules i Beth spały w swoim maciupkim pokoiku w jednym łóżku. W domu na sześć osób była tylko jedna łazienka.

Savannah miała własną łazienkę, z wanną na pazurzastych łapach i dwiema umywalkami; jeśli nocowała u niej koleżanka, każda dysponowała własną. Miała gitarę, lekcje teorii muzyki, wyjazdy na obozy w czasie wakacji. Wszelkie pluszowe zwierzęta, lalki, ubrania, buty, biżuterię, na co tylko miała ochotę... Ostatnio dostała telefon komórkowy, komputer i i-Poda, a wkrótce dostanie nowy samochód. Kiedy Meg wyliczyła w myśli wszystkie te rzeczy, a potem uprzytomniła sobie styl ich życia – ten basen, wartą milion dolarów willę w stylu francuskim, która stanowiła ich dom, podróże, członkostwo w elitarnym klubie, żeby poprzestać na rzeczach najbardziej oczywistych – wówczas obraz tego, co zapewniła córce, poślubiając Briana, zostając lekarką położniczką, wybierając drogę materialnego dobrobytu – tak jakby naprawdę można było naprawić w ten sposób coś ważnego – zajaśniał mętnym blaskiem nadmiaru.

– Mam to gdzieś – powiedziała, zanurzając w kubku resztę ciastka. Palce

trzymały je w chłodnym mleku bez trudu, jakby świadcząc o tym, że wszystko jest z nią w porządku. Może to tylko, jak przypuszczała na początku, jakieś napięcie w mięśniach czy ucisk nerwu, które ustąpiły samoistnie w ciągu minionego tygodnia. Ulga, jaką niosła ta myśl, była równie przyjemna jak chłodna, wilgotna czekolada w ustach. Wzięła z kolan drugie ciastko i zanurzyła je równie łatwo jak pierwsze.

Gdyby tak jeden tydzień i garstka ciastek mogły naprawić wszystko inne...

Woda zachęcała. Jej migotanie było jak śpiew syreny, któremu nawet nie próbowała się opierać. Zrzuciła bluzkę i spodnie, stanęła na brzegu tylko w majtkach i staniku, przyjęła pozycję i skoczyła. Tak jak robiła zawsze jako dziecko, gdy pływała w największym, przejrzystym jeziorze McKayów, pozwoliła sobie opaść z otwartymi oczami na dno, obserwując łagodne meandry światła na powierzchni, które w tej chwili przykrywały także i ją. Była nimfą wodną, bez wagi, bez wieku, jednością z cząsteczkami tlenu i azotu, niczym więcej niż one i niczym mniej.

Kiedy ból płuc zasygnalizował, że to tylko fantazja, odbiła się stopami od dna i wypłynęła. Zaczepnęła powietrza i popłynęła kraulem, rozbijając powierzchnię wody tymi samymi pewnymi, rytmicznymi ruchami, które przed laty tylekroć dawały jej zwycięstwo w zawodach. Przez chwilę znowu miała piętnaście lat i ściagała się z Carsonem i Karą w jeziorze.

Ale po paru ruchach rytm się załamał, słabsze ramię z wysiłkiem starało się dorównać drugiemu, i Meg stanęła na dnie, doszła do krawędzi basenu i wydźwignęła się na brzeg.

– Nieużywany organ zanika – westchnęła. Sięgnęła do pojemnika z drzewa tekowego po ręcznik kąpielowy i okręciła nim ramiona. Lowenstein to była błędna droga.

Pozbierała rzeczy i weszła z powrotem do domu, pozostawiając za sobą mokre ślady stóp.

Przekręciła klucz, zgasiła światło i przeszła do sypialni, którą dzielili z Brianem od ośmiu lat, odkąd wybudowali ten dom. Spał na kołdrze w do połowy rozpiętej koszuli, bez spodenek, ale wciąż w beżowych skarpetkach na nogach. W świetle nocnej lampki skarpetki miały kolor ciała i wyglądało, jakby ciemne owłosienie jego nóg urywało się nagle jak nożem uciał parę centymetrów nad kostką. Wyglądał śmiesznie, a co gorsza, miał otwarte usta i chrapał, jak zawsze gdy spał na plecach. „Szycha” – powiedział o nim ojciec. Słusznie...

Kiedy wycierała się w łazience, coś jej się przypomniało. Co to mówił ojciec, kiedy wychodziła od niego w zeszłym tygodniu? Czemu się nie zajmie własnym życiem... aha, to kolejna aluzja do faktu, że spłacił Bruce'a. Próbował jej i wtedy, i dziś uprzytomnić, że jej konto jest czyste. A dzienniki... może i one, podobnie jak spłata długu, były podarunkiem, gestem przeprosin, których nie umiał wypowiedzieć słowami? Chciał, żeby wiedziała, że uwolnił ją z kajdan, w które została zakuta z jego przyczyny. Tak, to chyba to.

Teraz rozumiała. Uznał, że odkupił tytuł własności do jej życia – coś, co było o wiele cenniejsze niż suma, jaką przekazał Bruce'owi. Co jednak ona z tym zrobi, nie było sprawą tak prostą, jak sądził.

Włożyła nocną koszulę i wśliznęła się pod przykrycie obok chrapiącego męża. Zanim zgasiła światło, przyjrzała mu się uważnie. Policzki i brodę przyprószał czarno-srebrzysty pył: zarost, który urósł od rana. Miał dość przystojną twarz – w odrobinę kobiecy sposób, typowy dla wielu znanych jej chłopców z Południa, których rodziny prowadziły plantacje, luksusowe hotele... albo banki. Jakby uprzywilejowane życie zmiękczyło im rysy, skoro od paru pokoleń nie musieli stawiać czoła żadnym wyzwaniom.

Brian był człowiekiem z góry przeznaczonym do sukcesu; on zaś przeznaczał do sukcesu ją, i właśnie to zaufanie, bardziej niż jego wygląd, sprawiło, że ją pociągnął. Był miły, przyjazny, pewien własnej wartości, zabawny – kiedy go bliżej poznała, bardzo go polubiła.

Ale nie do tego stopnia, by zawrócił jej w głowie, o nie. Kochała Carsona aż do dnia, gdy Brian przedstawił jej swoją zaskakującą propozycję... i później też.

Co dowodzi, że miłość nie wszystko zwycięża.

Leżała, czując, jak znużenie ogarnia powoli jej ciało. Wyciągnęła lewą rękę i zgasiła światło. Brian przewrócił się na bok, twarzą do niej; poczuła kwaśny odór przetrawionego alkoholu. Odwróciła się do okna. Na lekkich, przejrzystych zasłonach migotały srebrzyste refleksy basenowych świateł, to w górę, to w dół... Meg zapatrzyła się w ich hipnotyczny taniec, powieki zaczęły się robić coraz cięższe.

Chciałaby móc powiedzieć, że jej życie z Brianem było okropne, że jest szczęśliwa, mogąc pójść za radą ojca: strząsnąć z nóg kajdany i umknąć jak wyzwolony niewolnik. Ale choć ich związek zapoczątkowała ambicja rozpieszczonego młodzieńca, by odbić dziewczynę innemu, jego zdaniem niżej stojącemu w towarzyskiej hierarchii mężczyźnie, nie mogła powiedzieć,

że jej decyzja uczyniła z niej męczennicę. Nie mogła powiedzieć, że cierpiała; z pewnością nie w żaden widoczny sposób. Brian był lojalnym partnerem i wystarczająco dobrym ojcem. Ilekroć przychodziła jej do głowy myśl o odejściu, zawsze po namyśle dochodziła do tego wniosku. Stanowili rodzinę, choć daleką od ideału.

– To nie takie proste, tato – szepnęła.

Kajdany opadły z nóg, a mimo to nie ruszała się z miejsca.

Część II

Wszystko ma jakąś rysę.

Właśnie przez nią przenika światło.

Leonard Cohen

19

To co, POKAŻESZ MI? – spytała Val w czwartek rano przy śniadaniu. Siedzieli z Carsonem przy kuchennym stole w domu jego rodziców. James i Carolyn wyszli już do pracy przy przycinaniu drzew cytrynowych ze swoim stałym zespołem robotników-imigrantów.

– Nienasycona kobieta. – Carson podał Val dzbanek soku pomarańczowego. – Pokazałem ci wczoraj w nocy.

Val się roześmiała.

– Nie to. Ten mały domek, który zbudowaliście z ojcem.

– Ach, szopę.

– No właśnie, szopę. Powiedziałaś, że dzisiaj ją zobaczę.

Przypominał sobie mgliście, że powiedział coś takiego, ale teraz ostro tego żałował. Rum z coca-colą rozluźnił mu wczoraj język. Siedzieli wszyscy przy kominku, a on i jego staruszkowie snuli wspomnienia, jak to zwykle bywa przed zbliżającym się ślubem. W

pewnej chwili wypłynął temat szopy – i Val, jak to było do przewidzenia, zapragnęła ją zobaczyć. Fascynowało ją wszystko, co wiązało się z jego wiejskim dzieciństwem. Było tak różne od jej dziecięcych, jakby dorastali na różnych planetach.

– Przespacerujemy się w wolnej chwili – powiedział. – Mamy dużo do zrobienia...

musimy pójść do kwaciarni, a o wpół do pierwszej mamy wizytę u krawca.

Val uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

– Przecież to bliźiutko. – Wskazała ręką na szopę, widniejącą za jednym z dużych tarasowych okien, które wstawiono w ostatnich latach w ramach ulepszeń, możliwych dzięki pomocy Carsona. – Spokojnie możemy włączyć to do planu zajęć. Nie mogę uwierzyć, że tam nie byłeś, odkąd wyprowadziłeś się z domu.

– No wiesz... wciąż mara zamiar pójść i zrobić tam porządek, ale... ile razy przyjeżdżam, zawsze mieszkam tu, bo prawdę mówiąc, tu jest znacznie wygodniej. Centralne ogrzewanie, pełna lodówka... Lubię komfort. – To brzmiało wiarygodnie.

– Twoja mama powiedziała, że może urządzi w szopie pracownię. Chcę ją zobaczyć, zanim to zrobi.

Carson miał ochotę dalej się wykręcać, ale nie potrafił wymyślić kolejnej

wymówki. I nie chciał wzbudzić w Val podejrzeń. Sprowokowałyby to tylko pytania, na które nie chciał

odpowiadać. W ciągu siedmiu miesięcy, odkąd się poznali, udało mu się prześlizgiwać nad sprawą Meg i ich relacji tak gładko, że Val nie przyszło do głowy, aby wyróżniać ją spośród miliardów innych kobiet, które znalazły się w jego życiu. Przemilczanie tego związku – jedyne, który się liczył przed Val – było w pewnym sensie grzechem, i zamierzał jej o tym powiedzieć, ale jeszcze nie teraz. Bo choć nie wiedział dlaczego, czuł, że woli nie ujawniać historii z Meg przed postronnymi. A może po prostu nie chciał wyjść na słabeusza, głupka, skoro tak długo żył z rozdartym sercem? Tak czy owak, myślał, że zabierze Val do szopy i wszystko jej pokaże, budziła niepokój. To miejsce było tak związane z Meg, że nawet Val to wyczuje, tak jak wciąż czuł to on.

Zadzwoił jego telefon. Spojrzał na ekranik.

– To Gene. Lepiej odbiorę. – Wcisnął przycisk. – Hej, Gene. Co słychać?

– Jak zwykle. Zasuwa jak osioł, a ty zabawiasz się ze swoją surferką.

– Weź sobie urlop.

– Jaja sobie robisz? Twoja kariera padłaby jak prostytutka w niedzielny poranek. Nie, słuchaj... co robisz jutro wieczorem? Nie masz żadnych planów? To dobrze, chciałbym, żebyś zrobił przysługę mojemu staremu kumplowi.

– Zaraz, zaraz – przystopował go Carson. – Mam plany. Idziemy z moimi starszami do teatru.

– Sztuka jest do kitu. Poślij z nimi swoją surferkę, ale ty, przyjacielu, masz randkę z fortepianem, dwiema gitarami, sekcją rytmiczną i moim starym przyjacielem, jeszcze z podwórka, Johnnym Simmonsem.

– Ona ma na imię Val – powiedział cierpliwie Carson. – A co do sztuki, nie możesz wiedzieć, czy jest do kitu, bo ci nie podałem tytułu.

– To prawda, ale Johnny dostał ten znakomity klub w Orlando, a kapela, która miała dzisiaj grać, odwołała swój występ. Johnny przypadkiem wspomniał mi o tym, a ja przypadkiem wiedziałem, że ty, moja gwiazdo, przypadkiem jesteś o godzinę drogi od niego i możesz wypełnić lukę, za co Johnny będzie mi wdzięczny do grobowej deski.

– Innymi słowy – zaśmiał się Carson – chodzi o ciebie.

– Jasne. To co, przyjedziesz? Świetnie! Zapłacą ci, ile tylko zbiorą za wstęp, a ja nie zażadam procentu. – Gene podał jeszcze parę szczegółów, a kiedy skończyli rozmowę, Carson pomyślał, że będzie przyjemnie zagrać w

małym lokalnym klubie, bez reklamy, gdzie frekwencja jest mimo to zagwarantowana. Po występach na stadionach, wypchanych po brzegi tysiącami pozbawionych twarzy fanów, zagra tak jak na początku, tyle że teraz nikt nie będzie go prosił, by jeszcze raz powtórzył nazwisko, a on nie będzie się pocił ze strachu, czy uda mu się znaleźć jakiś inny klub, gdzie wystąpi w następnym tygodniu.

– Jutro wieczorem będę grał w klubie – powiedział do Val, zbierając ze stołu talerze i niosąc je do zlewu. Shep, łaciaty kundel matki, przydreptał, stukając pazurami po płytkach i trącił go nosem w łydkę, postawił więc talerze z resztkami jajecznicy na podłodze. Poklepał

psa po karku i dodał:

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Gene prosił mnie o przysługę.

– A twoja mama nie będzie zła? Tak jej zależało, żeby zobaczyć tę sztukę.

– No i zobaczy. Ty też powinnaś pójść.

– Mówisz poważnie? Przecież zje mnie żywcem, jeśli zostawisz mnie samą z nią i z ojcem.

– Mama? Ona cię uwielbia! Val pokręciła głową.

– Nie, ona uwielbia ciebie... i liczyła, że wybierzesz inną kobietę. Mnie ona zaledwie toleruje.

Miała rację, ale był zaskoczony, że wyłapała tak subtelne sygnały. Mama z entuzjazmem popierała jego decyzję, żeby się ożenić, choć było tak, jak mówiła Val: spodziewała się, że wybierze inną kobietę, starszą i bardziej do niego podobną... czy, mówiąc dokładniej, bardziej podobną do niej. Kobietę, której żywołem będzie ziemia, nie fale. Kobietę, która będzie chciała wychowywać dzieci, a nie sama zachowywać się jak one. Val nie była dziecinna, była jednak bardzo młodzieńcza. Starła się to tuszować w obecności jego rodziców, ale jej energia była nie do stłumienia.

– Mama i tato uważają, że jesteś rewelacyjna. Ale jeśli chcesz pojechać ze mną jutro do Orlando, to super. Nie będę musiał szukać jakiejś fanki, żeby mile spędzić czas.

– Nie mam nic przeciwko fankom – odparła Val z powagą. – Znajdźmy sobie parę. Im więcej, tym weselej.

– Dziewczyno, nie rób mi nadziei.

– Tak jakbyś dał radę komuś jeszcze oprócz mnie. – Objęła go za szyję, a potem podskoczyła i oplótła gołymi nogami wokół talii. On objął ją za biodra

i przytulił.

Nie był to właściwy moment, aby wyznaczyć, z iloma potrafi w razie czego dać sobie radę.

Kokaina to potężny afrodyzjak, zwłaszcza dla nowicjusza, i niespecjalnie się szczycił tym, co mógłby jej opowiedzieć o swoich dawnych dziejach „gwiazdy rocka”. Trochę o tym słyszała, i to nie tylko od niego. Jego dawna reputacja z pewnością została zdokumentowana na licznych stronach internetowych i w albumach fotograficznych, nie miał co do tego wątpliwości. Teraz jednak, kiedy oboje z Val traktowali swój związek poważnie, byli zaręczeni i mieli się pobrać za trzy tygodnie, właściwą odpowiedzią na jej wyzwanie była odpowiedź dyplomatyczna:

– Tak jakbym potrzebował kogoś jeszcze oprócz ciebie. Przycisnęła czoło do jego czoła i potarła nosem o nos.

– Odpowiedź prawidłowa – powiedziała i go pocałowała. – Zabierzesz mnie do szopy? – spytała, zniżając głos do ochryplego szeptu.

Szopa... Nie, nie zabierze jej tam w tym celu.

– Nie – powiedział, rozplatając ręce, tak by opadła na ziemię. – Skoro mam grać jutro wieczorem, nie mamy czasu do stracenia. Muszę ustalić listę utworów, przekazać ją pozostałym muzykom i trochę poćwiczyć dziś po południu. Lepiej bierzmy się do roboty.

Val zrobiła demonstracyjnie nadąsaną minę i wydymając wargi, powiedziała: – Moglibyśmy dać sobie spokój z całym tym weselnym zamieszaniem i po prostu uciec.

– O nie! Mama by mnie zabiła. Już i tak dostaje szału, że wybraliśmy dostawców kwiatów bez niej. – Matka Val też dostała szału na wieść, że wesele będzie na St. Martin, a nie w Malibu. Kierownik ośrodka na St. Martin dostał szału, że nie skorzystali z usług miejscowej kwiaciarni, bo Carolyn się uparła, żeby wesprzeć przy okazji znajomych hodowców z okolic Ocala... i gdyby Carson jeszcze chwilę pomyślał, z pewnością dodałby do tej listy o wiele więcej osób, których wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać ich ślub i gdzie się powinien odbyć, nie zostały w pełni zrealizowane. Ludzie za bardzo przejmują się weselami.

– No to już – szturchnął Val żartobliwie. – Zabieraj swoje manatki i idziemy.

20

Po POWROCIE DO DOMU CARSON POJECHAŁ Z VAL I OJCEM DO MIASTA, do krawca, który miał zdjąć miarę na ich fraki. Inni weselni

goście przefaksowali swoje wymiary wskazanemu przez Carsona krawcowi – Tajlandczykowi, znanemu jako Pingwin Pete. Pete był jednym z ulubieńców Carsona; mimo odległości i związanej z tym niewygody szył sobie u niego wszystkie garnitury. Miał ich co prawda tylko kilka; nie był facetem, który lubi chodzić w garniakach. „Ubrać się porządnie” oznaczało dla Carsona całe dzinsy i koszulę z kołnierzykiem.

Imię Pete’a było jedną z nielicznych rzeczy, jakie zdołał zapamiętać podczas swojej pierwszej podróży do Tajlandii – na koncert w Bangkoku w roku dwutysięcznym. Przez cały czas usiłował nie pamiętać o tamtej deklaracji, że przyjedzie tu na czterdzieste urodziny i że będzie z nim Meg. Zwalczał to wspomnienie kokainą, której dostarczał mu miejscowy organizator koncertu, szybko mówiący Chińczyk imieniem Jinn. Działała kapitalnie: nie tylko nie zawracał sobie głowy myślami o przyszłości bez Meg, ale dostał takiego kopa, że koncertował dwie noce, a trzeciej dał koncert innego rodzaju – z udziałem całego łańcuszka ślicznych, ciemnowłosych, niemożliwych do odróżnienia kobiet, które dla niego zwały się w jedną. To właśnie o nich wołał dziś nie wspominać Val.

Pete, spowinowacony z Jinnem przez jakiś skomplikowany łańcuszek małżeństw, szył już kiedyś dla niego frak, ten, który dwa lata temu miał na sobie podczas ceremonii wręczenia Oscarów. Frak z ciemnozielonego aksamitu, z czarnymi jedwabnymi wyłogami, był

absolutnym hitem i pisano o nim w niemal wszystkich plotkarskich szmatławcach, zajmujących się życiem gwiazd. Pete znalazł nawet jakąś wzmiankę w gazecie tajskiej, wyciął ją i przykleił do jednego z wielkich luster w swojej pracowni.

Sama pracownia nie sprawiała wrażenia, jakby spodziewano się tu znakomitości: pokój liczył sobie w najlepszym razie pięć metrów kwadratowych i wyglądał, jakby Pete przeniósł

go żywcem z którejś z peryferyjnych uliczek Bangkoku. Do tego dochodziły intrygujące wonie przypraw oraz patyna kurzu, wieku i wilgoci, które pomagały zapewne Pete’owi czuć się tu jak u siebie w domu. A jeśli chodzi o klientów, to któż miałby za złe pierwszorzędnemu krawcowi jego upodobania?

– Pani spojrz, panienko – zwrócił się Pete do Val, wskazując na zdjęcia, przytwierdzone do lustra w lewym kącie pokoju. – Idzie po czerwonym dywanie w moim fraku.

– Wszyscy idą po czerwonym dywanie – wtrącił Carson. – Ale frak był w

porządku.

Pete, niższy od Carsona o prawie trzydzieści centymetrów, ubrany w coś, co przypominało strój torreadora, spojrział na niego i zmarszczył brwi.

– Nie, nie, pan nosi ten frak tak, że od razu widać: znakomitość. Inaczej by pana nie rozpoznali, stałby pan za barierką jak zwykły śmiertelnik.

– Skoro pan tak mówi... W każdym razie frak był wspaniały. Ale na ślub panna Val wyobraża sobie inny. Val, wytłumacz panu, o co nam chodzi.

– Tak, tak, proszę bliżej. Napijemy się herbaty, opowie mi pani o swoich pomysłach, a Doreen weźmie miarę – powiedział Pete, gestem ręki zapraszając Val do pokoju na tyłach, oddzielonego od frontowego zasłoną z drewnianych paciorków, zwisających z futryny drzwi.

Val obejrzała się na Carsona, jakby licząc na ratunek, ale on uśmiechnął się tylko i skierował

ku małemu podium w kącie, gdzie Doreen, kubańska żona Pete'a, czekała już z centymetrem i malutkim notesem na spiralcie. Doreen, dorodna, rumiana niewiasta około pięćdziesiątki, miała na sobie turkusową marszczoną bluzkę z głębokim dekoltem i co najmniej dziesięć srebrnych bransoletek na każdym nadgarstku. Carson rzucił okiem na ojca, który z trwogą spoglądał na obnażony biust Doreen.

– Może ty pierwszy, tato – zaproponował.

– No dobrze – zgodził się ojciec. Widział pracownię po raz pierwszy i Carson był pewien, że i jej wygląd, i właściciele trochę zbili go z tropu. Tato nie był człowiekiem światowym; cztery miesiące temu trzeba było użyć niemal przemocy fizycznej, żeby przyjechał do Seattle.

Nie lubił zostawiać sadu, twierdził, że drzewa za nim tęsknią i że w przyszłym sezonie urodzą kwaśne owoce.

– Proszę tutaj – zachęciła Doreen z mocnym kubańskim akcentem, pogrążając bransoletami. – Nie garbić się, nie ruszać... jasne? – poleciała z marsem na okrągłej twarzy. – Jeśli weźmiemy miarę jak należy, garnitur będzie leżał jak ta lala.

– Rób, co ci każe – powiedział Carson. – Uczyła się zawodu u zakonnicy i nie w głowie jej głupoty.

Doreen rozciągnęła centymetr wzdłuż ramion ojca, a potem zmierzyła mu kolejno każdą rękę.

– A kto będzie pańskim družbą, panie muzykant? – zwróciła się do Carsona.

– Tato.

– Jakie to miłe. Dobry syn – zauważyła, przykładając centymetr do ojcowskiego krocza.

– Tak – przyświadczył ojciec, wzdrygając się tylko odrobinę. – Nie mogę się skarżyć. – Uśmiechnął się szczerze do Carsona i uśmiech ten mówił jasno, że nie ma już do syna żalu o jego dezercję. W początkach muzycznej kariery Carsona jego uśmiech nie był tak szczerzy; niejedno niedzielne popołudnie i wieczór w dzień powszedni spędzili obaj z telefonem przy uchu, kłócąc się zażarcie. Carson tłumaczył się z nieobecności i bronił swoich decyzji, ojciec twierdził, że zarabianie na życie śpiewaniem i pisaniem piosenek to jakby proszenie się o życie w nędzy. Nawet jeśli syn ma szansę na sukces, powinien wiedzieć, jak wygląda wirusowe zapalenie wątroby, opryszczka, uzależnienie od narkotyków i AIDS. „Kto ci o tym powie, jeśli nie ja! – krzyczał. – Nie masz chęci o tym myśleć, ale tam pełno tego świństwa”.

Ale Carson nie miał chęci myśleć o całkiem innej chorobie, endemicznej na rodzinnej farmie. Gdyby nie jeździł stale z miasta do miasta, od klubu do klubu, musiałby spędzać każdy dzień tam, gdzie przeżył praktycznie całe dotychczasowe życie z Meg u boku, łapiąc z nią świętojańskie ogniki i snując młodzieńcze marzenia w parne letnie noce. Gdyby nadal tam mieszkał, dręczyłoby go to o wiele bardziej – a w każdym razie tak myślał. W rzeczywistości ból rozdartego serca towarzyszył mu wszędzie: w Jacksonville, Durham, Pittsburghu, Cleveland. Przekraczał wraz z nim Missisipi w Minneapolis, ciągnął za nim do Denver, Vegas i San Diego. Był jednak stopniowo coraz słabszy i skrył się w końcu w ciemnym zakątku serca, gdzie światło codziennej rutyny na ogół nie sięgało. Zastanawiał się teraz, czy przypadkiem nie zakonserwował go przez tę ucieczkę. Może gdyby został i ułożył sobie życie na farmie, ból wygasłby doszczętnie?

Doreen skończyła z ojcem i szturchnięciem zepchnęła go z podium.

– Teraz pan – zakomenderowała, zwracając się do Carsona.

– Chyba pójdę zobaczyć, jak tam idzie Val – powiedział tato.

– Dobry pomysł. Napij się herbaty... Pete robi znakomitą herbatę – zachęcił Carson.

Wszedł na drewniane podium i uniósł lekko ręce na boki, a tato przeszedł między paciorkami do pokoju na tyłach, gdzie wyższy głos Val przeplatał się z niższym Pete'a w czymś, co sprawiało jak dotąd wrażenie miłej rozmowy.

– Chyba się specjalnie nie zmieniłem, jeśli chodzi o sylwetkę – powiedział Carson do Doreen. – Val uczy mnie surfowania... czy raczej

próbuję uczyć.

– Surfing! – zawołała Doreen. – Coś takiego! Widziałam taki film, z tym przystojniakiem Swayze'em. *O, Dios!* – Powachlowała się dłonią, udając namiętność. – A ten drugi też strasznie seksowny... Matrbc?

– Keanu Reaves – podpowiedział Carson. – Tak, widziałem ten film. Val jest zawodniczką światowej klasy... uprawia surfing zawodowo.

– No nie! – wykrzyknęła Doreen, przykucając. – To dziewczątko? Fale by ją pochłonęły.

Bez żartów, panie muzykant.

– Nie żartuję. Niech ją pani sama spyta. W przyszłym tygodniu ma zawody na Bali.

– Bali... co za życie – westchnęła Doreen, mierząc zewnętrzne i wewnętrzne szwy jego spodni. – Pan też pewnie pojedzie.

– Nie, muszę zostać. W przyszłą środę mam benefis w Nowym Orleanie. Doreen pokręciła głową.

– Wciąż w drodze. Jak ona ma panu gotować, skoro nie będziecie nawet w tym samym kraju? Nie rozumiem, jak można się żenić z kobietą, która stale gdzieś jeździ – prychnęła.

Carson wiedział, że nie ma sensu odpowiadać. Ostatnim razem utyskiwała, że pojechał na rozdanie Oscarów z aktorką, odtwarzającą w filmie bohaterkę, której Doreen nie cierpiała.

Wyliczyła wtedy chyba z pół tuzina lepszych aktorek, które, był tego pewien, też nie czekałyby na niego w domu z obiadem. Doreen miała humory, ale była szczerą, uczciwą i znakomitą w swoim fachu. Bardzo ją lubił.

Stał plecami do drzwi, gdy usłyszał gong dzwonka, zapowiadający czyjeś wejście.

Zobaczył jednak klientkę w lustrze. Zobaczył, zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemnego w porównaniu z panującym na zewnątrz słonecznym blaskiem wnętrza.

– *Hola*, pani Hamilton! – zawołała Doreen. – Zaraz się panią zajmę. Nie było gdzie się schować. Czuł się, jakby jego płuca stały się zbyt płytkie. Nie potrafił sklecić ani jednego sensownego zdania. Czy powinien się ujawnić, czy czekać, aż sama go zobaczy?

– Proszę sobie nie przeszkadzać, poczekam – powiedziała Meg, nadal nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Był dla niej w tej chwili anonimowym wysokim mężczyzną w ciemnych szortach i podkoszulku, zwróconym do niej

plecami. Widział, jak podchodzi do kontuaru i zakłada na włosy ciemne okulary, które dotąd trzymała w ręce.

– Skończone – oznajmiła Doreen, spychając go z podium. Zszedł na lewo i zobaczył

szansę ucieczki: mógł teraz szybko przejść do zasłoniętych paciorkami drzwi, prześliznąć się obok luster, zanim ona odwróci uwagę od wyłożonych na kontuarze kart wizytowych. Uciec czy nie? Serce mu waliło, nie wiedział, co zrobić.

Ale Doreen miała własny plan. Zanim zdążył coś wymyślić, wzięła go za ramię i zwróciła się do Meg:

– Garnitury pani męża są już gotowe, i dobrze się stało! Będziemy mieli pilną robotę: szyjemy weselne fraki dla naszej gwiazdy z Ocala... – Podprowadziła go ku Meg, tak jakby demonstrowała jej obsypanego nagrodami ogiera. Patrzył, jak Meg odwraca się w jego kierunku, a Doreen dokończyła: – No wie pani, dla Carsona McKaya!

Meg wlepiła w niego oczy, rozchyliła lekko usta, tak jakby miała coś powiedzieć, ale nie wydała żadnego dźwięku. Przez chwilę wpatrywała się w niego.

– W takim razie zdążyłam w samą porę. Gratuluje – zwróciła się do Carsona. Szeroko rozwarte brązowe oczy wyglądały na szczere.

Próbował odpowiedzieć, ale musiał odchrząknąć i dopiero wtedy zdołał wydobyć z siebie głos.

– Dziękuję, Meg.

– O, to wy się znacie?

Żadne z nich nie odpowiedziało od razu, każde liczyło, że odpowie to drugie. Wreszcie Meg zaśmiała się krótko, nerwowo.

– To było tak dawno temu.

Doreen, nieświadoma napięcia, które dla niego było tak wyczuwalne jak wówczas, gdy w powietrzu wisi burza, zwróciła ku niemu rozpromienioną twarz.

– Jego narzeczona jest zawodową surferką, czempionką – powiedziała powoli, rozciągając każdą sylabę.

– Słyszałam – odparła uprzejmie Meg.

– Chwileczkę, przyniosę garnitury pana H., dobrze? – I Doreen zniknęła za paciorkową zasłoną, a on został sam na sam z Meg po raz pierwszy, odkąd jej obiecał, że spotkają się w piekle.

To było nie do uniknięcia, że wcześniej czy później na siebie wpadną.

Nie przyjeżdżał do domu często, ale za każdym razem tkwiło w nim niejasne oczekiwanie, że spotka ją w sklepie spożywczym, w restauracji, obok świateł na przejściu... aż do zeszłego roku, gdy umarła jej matka, a Spencer sprzedał farmę. Nigdy nie planował, jak się zachowa, kiedy ją zobaczy, a nawet gdyby to planował, był pewien, że wszystko by spartaczył.

Słowa, które wypowiedział z taką pasją i przekonaniem rankiem w dniu wesela... W

ostatnich latach gryzł się trochę z ich powodu. Dlaczego był dla niej taki przykry? Czemu nie przyjął odrzucenia jak mężczyzna? Nie kochała go na tyle, żeby wybrać jego; wpadła na szybki numer, jakkolwiek bezdusznie to brzmiało. No i co z tego? Powinien odesłać ją do Hamiltona z życzeniami wszystkiego najlepszego, a nie z tą ponurą przepowiednią. No, ale był wtedy młody, uparty, zraniony... i naprawdę przekonany, że następne spotkanie będzie piekłem.

Ale nie było. Jezu... Na jej widok waliło mu serce i dygotały koniuszki palców, jakby miał w nich prąd.

Sprawiała wrażenie zmęczonej, a mimo to jaśniała, tak jakby miedź jej włosów i blad różową cerę rozświetlała od wewnątrz jakaś energia, której nawet męczący dzień nie był

w stanie do końca zagasić. Wiedział, że jest lekarką, że ma w mieście prywatny gabinet – matka wspominała o tych sprawach od czasu do czasu, tak jakby chciała wysondować jego uczucia. Wiedział, że ma kilkunastoletnią córkę o imieniu Savannah; wiedział, że je wybierze, jeśli przyjdzie na świat dziewczynka. I wiedział, że nie tracąc czasu, z miejsca zaszła w ciążę, tak jakby chciała scementować swój związek z Hamiltonem... pewnie po to, żeby zapewnić sobie dziedziczenie, gdyby coś się stało z Brianem. Nigdy wcześniej nie sądził, że jest sprytna, ale nigdy też nie przyszło mu do głowy, że zostanie żoną innego... no i mylił się, jak widać. No, ale sprytna czy nie, dla niego wciąż była piękna. To, że tu stała, o trzy metry od niego, stanowiło nieoczekiwane wielką przyjemność.

21

SPOTKANIE CARSONA U KRAWCA CAŁKOWICIE

ZASKOCZYŁO MEG. Był ostatnią osobą, o jakiej pomyślałaby dzisiejszego popołudnia, śpiesząc na umówione kwadrans po pierwsze spotkanie z dawną koleżanką ze studiów, neurologiem Brianną Davidson. Musiała załatwić po drodze jeszcze jedną sprawę dla Briana. To Manisha nalegała, by zadzwoniła do koleżanki i poprosiła o szybką konsultację. „Odpowiedzi są zawsze lepsze

niż pytania” – powiedziała.

Dzień zaczął się nerwowo. Brian obudził się skacowany i nie miał ochoty rozmawiać ani o pieniądzach, ani o tym, że wrócił do domu pijany. Potem jednak zadzwonił do niej piętnaście po dziesiątej i bardzo miło poprosił, żeby odebrała od krawca jego garnitury i podrzuciła mu szary do biura. Zaraz po pracy wyjeżdżał do Bostonu.

Słyszała, jak Doreen mówi w drugim pokoju do Pete’a: „Szukam garniturów pana Hamiltona – gdzie je położyłeś?” i modliła się w duchu, żeby znalazła je jak najszybciej.

Powinna coś jeszcze powiedzieć do Carsona, ale co? Od czego zacząć?

– Skąd wiedziałś o tym krawcu? – spytał Carson, a Meg poczuła ogromną ulgę, że jest w stanie rzucić tak niedbałą uwagę. Ona nie potrafiła wykrztusić słowa, czuła się w jego obecności okropnie niezręcznie.

– On... Brian... dowiedział się o nim od kogoś, nie wiem od kogo. Pete jest bardzo dobrym krawcem.

– Tak, od dawna do niego chodzę.

Wyglądał doskonale. Widywała jego twarz na kopertach płyt, okładkach magazynów, a ostatnio – dzięki Karze – w gazecie, i zawsze prezentował się znakomicie... no, ale od czego są fotografowie i styliści? Na żywo jednak emanował jakąś wibrującą energią, która udzielała się otoczeniu. Włosy miał dość długie, w lekkim nieładzie, tak jak wtedy, gdy oboje mieli po kilkanaście lat, i lekki zarost na podbródku, nie pełniejszym niż wtedy, gdy miał lat dwadzieścia. Potarł go teraz.

– A jak się ma twoja mama? – spróbowała z kolei ona.

– O, doskonale! To znaczy wiesz, wciąż ma tyle pracy... Zagrzechotała zasłona z paciorków. Meg spojrzała w tę stronę, sądząc, że to Doreen, ale zamiast niej zobaczyła Jamesa McKaya. Jak śmiesznie muszą wyglądać: ona przyciskająca do piersi torebkę niczym kamizelkę ratunkową, Carson zjedną ręką na podbródku, drugą pobrzękujący monetami w kieszeni spodni... Dwoje nieporadnych dzieciaków, z trudem szukających właściwych słów.

Jakichkolwiek słów. James podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– Jak się masz, Meg! Co słychać?

– Wszystko w porządku. Tata przyzwyczajają się do ośrodka. – O ileż łatwiej rozmawiało się z Jamesem!

– No to świetnie – odpowiedział James. – Pozdrów go od nas serdecznie.

– Dziękuję, na pewno pozdrowię. Dobrze wyglądasz. – Widziała go parę razy, odkąd zerwała z Carsonem, ostatnio na pogrzebie matki. Przyszli oboje,

i on, i Carolyn. James był

ciepły i współczujący, Carolyn współczująca, ale z dystansem, jak zawsze, ilekroć krzyżowały się ich drogi. Meg nie miała jej tego za złe. Rozumiała Carolyn, zdawała sobie sprawę, co musi myśleć o kobiecie, która bez skrupułów rozdarła serce jej synowi i podeptała je, bo tak to musiało wyglądać z zewnątrz.

Carson wysłał jej ojcu kondolencje. Przynajmniej tak słyszała. James podszedł do syna i objął go ramieniem.

– A ja tu mam zadanie – powiedział. – Pilnuję, żeby Carson na czas załatwił wszystko, co potrzebne do ślubu, zgodnie z planem.

Widziała, jak Carson zerknął na ojca. Była pewna, że teraz to James próbuje chronić syna.

Czy widział w niej jakieś zagrożenie? Pewne odruchy z trudem wygasają, to jasne – jej własne też. Nic nie mogła poradzić na to, że reakcja na Carsona była właśnie taka: nagły ucisk w piersi, nagłe pragnienie, by się do niego przytulić. Jej barki pod jego pachami, gdy ją przygarniał, blisko-blisko... Ileż razy ją tak obejmował, by pocieszyć, dodać otuchy, obronić przed niebezpieczeństwem, z pożądania... jego ramiona to było jej życie, w nich się wychowała!

Uśmiechnęła się swoim zawodowym uśmiechem, mającym stanowić gwarancję, że nad wszystkim panuje.

– No, to kiedy ten najważniejszy dzień?

– W przyszłym miesiącu – powiedział Carson. – W przeddzień Dnia Matki, na wyspie St.

Martin. Dziwnie to brzmi, wiem, ale jej mamie... to znaczy mamie Val... spodobał się pomysł

połączenia tych dwu uroczystości.

– Rozumiem – skinęła głową Meg. Pamiętała aż nadto dobrze, jak teściowa ustalała szczegóły jej ślubu, przejmując ster, tak jakby fakt, że Hamiltonowie finansowali – wesele, dawał jej prawo do zaplanowania go od początku do końca. Matka z wdziękiem przyjmowała to odwrócenie ról... a raczej z wdzięcznością, co wówczas irytowało Meg. Miała ochotę jej powiedzieć, żeby okazała trochę dumy; ona, Meg, też robiła im łaskę, pozwalając, by Brian poślubił dziewczynę, na której mu tak zależało. Te ciskane hojną ręką pieniądze, ten cały majątek Hamiltonów, wszystko to było zaledwie narzędzie, nie berło, i chciała, by matka zdawała sobie z tego sprawę. Ale jako młoda dziewczyna nie potrafiła spojrzeć na sprawę w

szerszej perspektywie i nie rozumiała dynamiki sytuacji. W gruncie rzeczy rodzice ją sprzedali, tak jak w innych kulturach rodzice sprzedają córki, by poprawić własną sytuację materialną. Sprzedający mógł wytargować wyższą cenę ze względu na jakieś pożądane przymioty towaru, ale to kupujący, który mógł sobie na tę cenę pozwolić, był stroną, która dyktuje warunki.

W przypadku Carsona i jego przyszłej żony sytuacja była oczywiście o wiele prostsza.

Valerie Haas raczej nie miała takiego majątku, jaki najprawdopodobniej zgromadził Carson, ale nie było tu mowy o sprzedaży. Meg poczuła ukłucie zazdrości. Valerie poślubi mężczyznę wyłącznie z jednego powodu: ponieważ go kocha.

Och, ona też była czuła dla Briana, kiedy się pobierali. Mówiła sobie, że gdyby nie to, nigdy by za niego nie wyszła. Wybaczyła mu jego główny defekt: że nie jest Carsonem. Ale go nie kochała. Miłość przyjdzie później, powiedziała do matki, tak samo jak to bywa w małżeństwach zaaranżowanych przez swata. „No oczywiście – zgodziła się matka. – Czemu by nie miała przyjść?”

Weszła Doreen, niosąc poszerzone garnitury Briana.

– Na pani konto? – spytała, podając jej naręczce.

– Tak, dziękuję – kiwnęła głową Meg. Właśnie miała powiedzieć obu panom, że musi już lecieć, kiedy drewniane paciorki znowu się rozdzieliły i pojawiła się szczupła młoda blondynka o niemal białych włosach.

– Chyba mamy!

Carson podskoczył jak dziecko, przyłapanie na łasowaniu ciastka przed obiadem.

– To dobrze – powiedział, patrząc na kobietę, niewątpliwie Valerie. Nie tylko wyglądała jak jego narzeczona na zaręczynowej fotografii, miała też gibkie ciało sportsmenki w rozkwicie młodości: długie, gładkie, muskularne nogi, szczupłe, umięśnione ramiona, znakomicie wyeksponowane przez skąpy strój: króciutkie szorty, jak te, w których sypiała Savannah, i obcisłą koszulkę z małyńkimi rękawkami, też takimi samymi, jak w koszulkach Savannah.

Carson patrzył na Valerie, jakby niepewny, jaki powinien być jego następny ruch.

Uratował go ojciec.

– Val, to jest Meg Hamilton, nasza stara przyjaciółka. Jej rodzice mieli farmę po sąsiedzku z naszą.

– Hej – powiedziała Val, wyciągając szybkim ruchem rękę. Przyjazny wyraz twarzy świadczył, że Carson oszczędził jej dotąd szczegółów ich młodzieńczej znajomości... a zwłaszcza jednego z nich.

– Miło mi panią poznać – odezwała się Meg najcieplej jak potrafiła, co w efekcie wypadło letnio. Nie najgorzej.

Val najwyraźniej miała w głowie głównie to, z czym przyszła, i nie zwróciła uwagi na ton Meg.

– Dogadaliśmy się z Pete'em co do fasonu fraka. Będziecie wyglądać super! – zawołała i uniosła z emfazą obie ręce z wystawionymi kciukami.

Super... Meg patrzyła, jak Val opasuje ramieniem talię Carsona. Wyglądała przy nim na mniejszą niż była, nie więcej niż jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, i węższą w ramionach pewnie o jedną trzecią. To ona była super, z tymi lśniącymi włosami i opaloną złociście skórą. Ale czy mogło być inaczej?

Nagle przypomniała sobie o swojej wizycie. Sprawdziła na zegarku: naprawdę musi już lecieć, jeśli ma zdążyć do Brianny.

– Przepraszam, muszę iść. Wyskoczyłam w przerwie na lunch.

– Jasne – powiedział Carson. Skończ to szybko, pomyślała.

– Cieszę się, że spotkałam was oboje. Jeszcze raz gratuluję. – Przełożyła naręczce garniturów na lewą rękę, bo prawa zaczynała jej słabnąć, i ruszyła ku wyjściu. James pośpieszył, aby jej otworzyć drzwi.

– Dziękuję – pożegnała się i wyszła w oślepiający słoneczny blask. Chciała sięgnąć prawą ręką do okularów, ale dłoń była jak z ołowiu, tak jak poprzednio.

James niczego nie zauważył.

– Uważaj na siebie – rzekł ciepło i cofnął się do środka, zamykając drzwi.

Meg, mrużąc od słońca oczy, podeszła do krawężnika i czekała na przerwę w ruchu, by przejść na drugą stronę jezdni, gdzie zaparkowała samochód. Coś kliknęło jej w głowie: wesele będzie w przeddzień Dnia Matki, tak powiedział Carson. Urodziny Savannah... Zbieg okoliczności, o którym nie chciała myśleć.

Spróbowała zwinąć prawą dłoń w pięść. Ręka pracowała, ale słabo.

– Szlag by to – mruknęła pod nosem.

Przeszła przez chwilowo pustą jezdnię, odmierzając ostrożnie każdy krok. Wystraszyła ją ta historia z ręką. Czuła, że powinna być teraz podwójnie ostrożna, żeby się nie potknąć, nie stracić równowagi, choć była na płaskich obcasach. Dotarła szczęśliwie do samochodu i położyła opakowane w plastik

garnitury na dachu, a na nich torebkę, zsuniętą z lewego ramienia. Lewą ręką pogrzebała w torebce, znalazła klucze i wcisnęła guzik autopilota. Potem podniosła torebkę, garnitury i spróbowała przerzucić je na prawą rękę, tak by otworzyć lewą drzwiczki. Ale nawet to zadanie było dla znużonego ramienia zbyt skomplikowane: pod ciężarem garniturów ręka opadła. Wszystko wylądowało u jej stóp na asfalcie.

– Szlag by to! – wykrzyknęła. Za dużo, za dużo tego naraz. Jakies głupie zlecenie, głupie garnitury... czy Brian nie może sam sobie odbierać swoich cholernych ciuchów? I Carson, i ta jego ładniutka narzeczona, i ich ślubne plany, i upał, i ta głupia, uparta, lek budząca ręka...

Stała na ulicy, ślepa od łez.

– Meg – rozległ się nagle tuż za nią głos Carsona. Nie wiedząc, jak długo już tu stoi, szybko przykucnęła, żeby pozbierać rzeczy.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział, schylając się. Czowała na twarzy jego wzrok, wiedziała, że spyta, czy coś się stało. I rzeczywiście spytał. Co ona miała mu odpowiedzieć?

Odsunęła się, żeby mógł otworzyć tylne drzwiczki i powiesić garnitury na haczyku. Cisza się przeciągała. Nie mogła mu powiedzieć prawdy; sama jej właściwie nie знаła. Jak mu wytłumaczyć słabość w ramieniu i emocje, które doprowadziły do tego, że straciła panowanie nad sobą? Jaką podać wymówkę, żeby poczuł się zwolniony ze swojej rycerskości, a być może po prostu zwykłej uprzejmości?

– Meg? – ponaglił ją Carson.

– Ja... – zaczęła. – Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Po prostu zakręciło mi się w głowie... z gorąca. – Nawet dla niej zabrzmiało to nieprzekonująco.

– Zakręciło ci się w głowie? Przecież ty płaczesz.

– Nie z twojego powodu – powiedziała szybko, pragnąc z góry odeprzeć podobne podejrzenie.

– Oczywiście... wcale tak nie myślałem. – Urwał; słyszała, jak zaczerpnął tchu. – Kiedy patrzyłem na ciebie tam w środku, wydawało mi się, że masz jakieś kłopoty z ręką.

– Miałam... miałam skurcz. To się zdarzyło parę razy. Wszystko będzie dobrze. Już przechodzi. – Musiała jak najszybciej stąd odejść, nie tylko po to, by zdążyć na wizytę, którą jeszcze pół godziny temu uważała za bezcelową z medycznego punktu widzenia i traktowała raczej jak okazję do spotkania z dawną koleżanką. Również dlatego, iż nie mogła znieść, że on stoi przy niej

tak blisko i zachowuje się jak dawniej. Ulga, jaką niosła jego obecność, uczucie, jakby został wymazany czas, budziły przerażenie.

22

JEDNĄ Z KORZYŚCI UPRAWIANIA ZAWODU LEKARZA BYŁY ZNAJOMOŚCI Z innymi lekarzami, którzy chętnie wpasowywali kolegę czy koleżankę w swój i tak przeładowany grafik. Brianna Davidson nie miałaby tak szybko czasu dla nowych pacjentów, ale dla Meg go znalazła.

Dzisiejsza wizyta miała być rodzajem konsultacji – właściwie rozmową. Należało się zastanowić, o co chodzi, i zdecydować, jakie ewentualnie trzeba wykonać badania.

Z wielką beżową kopertą pod pachą, zawierającą wynik prześwietlenia, Meg stanęła przed biurkiem recepcjonistki w Centralnym Ośrodku Neurologicznym Florydy.

– Doktor Meghan Powell – powiedziała.

Kobieta znalazła na ekranie komputera jej nazwisko, a potem spojrzała na leżącą na biurku notatkę.

– Chwileczkę... proszę pozwolić, że panią zapowiem. Poczekalnia, prosta i skromna, utrzymana była w kojących odcieniach błękitu i szarości. Siedziało w niej troje innych pacjentów, starannie ignorujących się nawzajem. Stanowiło to drastyczną różnicę w porównaniu z jej kliniką, gdzie każde wezwanie pacjentki do gabinetu przerywało żywą wymianę przeżyć i doświadczeń, związanych z ciążą i porodem. Tych troje ludzi – dwie siwowłose kobiety i mężczyzna mniej więcej czterdziestopięcioletni – sprawiało wrażenie, jakby porównywanie wyników badań, jakie każde z nich ze sobą przyniosło, było ostatnią rzeczą, która przyszlaby im do głowy. Położnictwo to obszar nadziei; neurologia nasuwała raczej skojarzenia z zabłąkanym statkiem, z trudem przedzierającym się przez mroczne, pokryte krą morza.

– W porządku, pani doktor, proszę wejść. – Pielęgniarka w chabrowym kitelku otworzyła drzwi do wewnętrznego holu. Poczekała, aż Meg weszła, i oznajmiła: – Doktor Davidson czeka.

Brianna, szczupła, poważna ciemnowłosa kobieta, która na studiach zdawała celująco każdy egzamin, siedziała przy biurku z drewna wiśniowego, tak pustym, że można było odnieść wrażenie, iż rozpoczęła praktykę dopiero dziś rano. Biurko Meg pełne było folderów, próbek, samoprzylepnych karteczek z zapiskami, zdjęć – głównie Savannah, choć miała też jedno, na którym widnieli i Savannah, i Brian, z roku mniej więcej

dziewięćdziesiątego czwartego.

Brianna wstała i wyciągnęła ku niej wąską dłoń o długich palcach.

– Cześć, Meg. Fantastycznie wyglądasz. Meg ujęła jej dłoń prawą ręką i uścisnęła.

– Dzięki. Ty też. Nie uwierzyłabyś, ale dziesięć minut temu byłam gotowa odciąć sobie to cholerne ramię.

– Ból? – spytała Brianna. Meg usiadła naprzeciw niej.

– Nie, to nie ból... to samo, o czym ci mówiłam przez telefon: uczucie słabości. Pojawia się i znika.

Porozmawiały chwilę o pracy i życiu każdej z nich. Brianna miała dziewięćmiesięczne bliźniaki, chłopców, pracowała w dwóch zespołach badawczych, a oprócz tego prowadziła badania na własną rękę; jej mąż, inżynier, stracił właśnie pracę i szukał nowej. – Prawie odpoczywam, przyjmując pacjentów – powiedziała. – Cały czas jestem w pędzie.

– Wiem, jak to jest. Jeszcze raz dziękuję, że zdołałaś mnie przyjąć tak szybko. Muszę jak najprędzej rozwiązać tę zagadkę... nie mam czasu do stracenia!

Brianna włożyła pozbawione oprawek okulary do czytania.

– Ty też musisz je nosić? Z każdym rokiem czuję się coraz bardziej jak własna matka.

Meg poczuła ukłucie żalu. Jak długo potrwa, zanim ból stępieje? Jak długo potrwa, zanim pierwszą reakcją na wzmiankę o matce będzie czułe rozrzewnienie, a nie smutek?

– Nie – odparła – ja nadal mam dobry wzrok.

– Szczęściara. Wracając do tematu... Pozwól, że rzucę okiem na opinię ortopedy.

Meg podała jej olbrzymia kopertę.

– Radził, żebym poszła do jasnowidza – powiedziała i skubiąc skórki od paznokci, czekała, aż Brianna przeczyta, co napisał Cameron Lowenstein.

Brianna wzięła zdjęcie i włożyła je do negatoskopu po prawej stronie Meg.

– Do jasnowidza, tak? Zabawne... jego opinia brzmi superprofesjonalnie.

– Jest trochę ekscentryczny. Ale myślę, że zna się na medycynie.

– Hm... – Brianna uważnie studiowała zdjęcie. Wreszcie wyłączyła światło i wróciła na miejsce. – Myślę, że jasnowidz ułatwiłby nam zadanie, bo na zdjęciu nic nie widzę.

– Ja też nie – zgodziła się Meg.

– Jego oficjalna opinia brzmi: przyczyna nieustalona, ale mówiłaś, że wspominał o ALS.

– Tak. W związku z tym przejrzałam trochę literatury. – Meg starała się mówić równym, profesjonalnym głosem, choć lektura potwierdziła tylko to, co już wiedziała o chorobie. – Przez cały czas nic się nie wydarzyło, dopiero przed chwilą. Byłam przekonana, że strzelał w ciemno.

– ALS strasznie trudno zdiagnozować... Tyle innych rzeczy daje podobne objawy.

Meg usłyszała pauzę w jej głosie.

– A zatem? – spytała.

– A zatem... Lowenstein odnotował w swoim raporcie brak objawów, które wykluczałyby ALS... Pełno tu różnych rzeczy, których brak – myślała na głos. – Bólu w szczególności, ale twierdzisz, że nie ma także drętwienia, obrzęku, kłopotów z kręgosłupem czy stawami, skrajnego zmęczenia czy fizycznej choroby. Od jak dawna mniej więcej odczuwasz to osłabienie mięśni?

– Trudno mi powiedzieć. Często bywałam zmęczona... nie śpiąca, rozumiesz, tylko po prostu miałam ochotę usiąść i nic nie robić. Przez cały czas jestem w biegu i od rana do nocy posługuję się w pracy rękami.

Brianna pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Gdybym jednak musiała podać jakiś termin, boja wiem? Od paru miesięcy – ciągnęła Meg. – Być może od zeszłej jesieni, kiedy umarła moja matka i musiałam do mojego zwykłego dnia pracy dołożyć sprawy ojca.

– Jasne – powiedziała Brianna. – Wobec tego... włóż koszulkę i powtórzmy badanie odruchów. Zobaczymy, czy potwierdzą się obserwacje Lowensteina. – Mówiła niemal wesoło, z ożywieniem, jak detektyw na tropie przestępstwa. Właśnie to, pomyślała Meg, jest jedną z przyczyn, dla których poszły w medycynie różnymi drogami: Brianna uwielbiała śledzić, dociekać, analizować, ona wolała być życzliwą pomocnicą twórczej natury. Położnik często jest po prostu świadkiem... instruktorem, przewodnikiem po jednym z podstawowych procesów życia. Starszą siostrą, przekazującą swoją mądrość i nadzorującą rezultaty nauki – tak przecież robiła przez całe życie.

Przeszły do drugiego pokoju, gdzie Brianna zrobiła jej tę samą serię testów, co Lowenstein, uderzając ciężkim młoteczką w ramiona, kolana i kostki. Potem kazała Meg zacisnąć zęby i przycisnęła dłonie do jej szczęki i szyi.

– Rozluźnij palce – poleciła, następnie ujęła jej prawą dłoń. Wzięła

środkowy palec Meg w dwa własne i przycisnąwszy kciukiem paznokcie, zaczęła schodzić nim w dół. Kiedy kciuk zeskokczył z paznokcia, pozostałe palce Meg się zgięły.

– Coś takiego – zauważyła Meg. Brianna w milczeniu powtórzyła test dwukrotnie, po czym zrobiła to samo z lewą ręką. W lewej reakcja była słabsza.

– Nie rozumiem tego testu – powiedziała Meg. Lata minęły, odkąd sprawdzała u kogoś odruchy... chyba kiedy robiła specjalizację.

– To się nazywa odruch Hoffmana. Podstawowe badanie neurologiczne, ale mogłaś się tego nie uczyć na medycynie ogólnej. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy się czego uczyłam. Całe studia widzę w kofeinowej mgle... A teraz połóż nogi – poleciła i Meg wyciągnęła się na stole. Brianna chwyciła jej prawą stopę, zgięła ją i przytrzymała.

Powtórzyła badanie, a potem zrobiła to samo z lewą nogą.

– Teraz będę ci wodzić kluczem po podeszwie, od pięty w górę... to się nazywa test Babińskiego. – Wyjęła klucz z kieszeni białego kitla. – Fascynujące, że te wszystkie sprawy zostały nazwane od nazwiska kogoś, kto był dostatecznie bystry, żeby uzmysłowić sobie ich znaczenie... prawda? Józef Juliusz Franciszek Feliks Babiński... jego rodzice musieli mieć kłopot z podejmowaniem decyzji. Rozluźnij nogę.

Meg wykonała polecenie, starając się nie zgadywać, co Brianna dostrzeże, a czego nie, kiedy wodziła jej ostrą metalową końcówką tam i z powrotem po podeszwie stopy, najpierw jednej, potem drugiej. Bycie pacjentem, a nie lekarzem stanowiło, łagodnie mówiąc, pewien dyskomfort.

– No dobrze, ostatnie badanie: leż po prostu z rozluźnionymi mięśniami. – Rozpięła Meg koszulę na piersiach. – Będę ci teraz wodzić kluczem po brzuchu, kilka razy.

Po zakończeniu badania kazała Meg usiąść i zaczęła sporządzać obszerne notatki. Meg zmusiła się, aby czekać w milczeniu.

– Ubierz się i przejdziemy do gabinetu – powiedziała w końcu Brianna.

– A może po prostu powiedz mi od razu, co masz do powiedzenia? Znam zasadę, żeby nie przekazywać złych wiadomości pacjentowi, który nie jest ubrany.

Brianna popatrzyła na nią, zaciskając usta.

– Zgoda. To nie jest pewna diagnoza – zastrzegła. – Ale rozumiem teraz, dlaczego Lowenstein był podejrzliwy. Odnotował spastyczność w badaniu ogólnym... Z mojego punktu widzenia najbardziej niepokojący jest odruch

Hoffmana: palce w ogóle nie powinny ci się zginać. Nie niepokoiłabym się też o zmiany w szyjce macicy, gdyby rozpatrywać je same w sobie, ale w połączeniu z odruchem klonicznym prawej łydki i słabą odruchową reakcją brzuszna...

Mówiła coś dalej, ale Meg nie starała się już dłużej koncentrować na słowach ani nawet na tonie głosu koleżanki. Myśl uciekła jej do tego, co czytała: żadna z tych nieprawidłowości sama w sobie nie jest wskaźnikiem ALS, ale połączenie objawów w zakresie stóp, dłoni i brzucha sugeruje to, co nazywa się diagnozą prawdopodobną.

– ... i elektromiografię, i rezonans magnetyczny – ciągnęła Brianna – żeby wykluczyć inne możliwości. Wiesz co, idź od razu do laboratorium na badanie krwi i moczu, a ja powiem Heidi, żeby cię zapisała na pozostałe badania.

– Dobrze – powiedziała beznamiętnie Meg.

– A nawet jeśli nam się nie uda ustalić czegoś bardziej optymistycznego, trzeba będzie pilnie obserwować i notować twoje objawy przez parę miesięcy, i dopiero wtedy będzie można postawić pewną diagnozę.

Brianna przekazywała informacje równym, rzeczowym głosem, tak jak robiłaby to na wykładzie czy podczas dyskusji panelowej. Meg ją rozumiała. Niezwykle rzadko się zdarza, by lekarz potrafił objąć pacjenta współczującym gestem i powiedzieć ciepło i z troską, że ma przed sobą trudną, bolesną drogę ku pewnej śmierci.

– Ilu miałaś takich jak ja? – spytała, przerywając Briannie, która radziła, by Meg skonsultowała się jeszcze ze specjalistą od ALS, jej znajomym z Orlando. Może udzielić jej bardziej fachowej porady.

– To znaczy jakich? Z ALS?

– Tak. Ilu zdiagnozowałaś, odkąd pracujesz?

– Trzech... w ciągu ilu lat? Dziesięciu? Prawie zawsze się okazuje, że to coś innego.

Meg skinęła głową.

– A jeśli objawy, jak u mnie, są dość jednoznaczne, jaka według ciebie jest szansa, że... – spojrzała Briannie w oczy – że to nie ALS?

– Posłuchaj, Meg, zawsze jest nadzieja...

– I akupunktura, i bioterapia, i zioła, i szansa, że spotkam jakiegoś cudotwórcę, wędrującego w długiej szacie i sandałach po ulicach Ocala. Bądź ze mną szczerą, dobrze?

Brianna patrzyła w dół, jakby nagle zafascynowały ją czubki butów.

– Jest parę innych, mniej poważnych chorób, które należy brać pod uwagę. Ale jeśli to ALS... standardowa prognoza to postępująca utrata sprawności fizycznej, choć nie psychicznej, prowadząca ostatecznie do całkowitego paraliżu płuc i śmierci. – Podniosła wzrok i spojrzała na Meg oczami pełnymi współczucia. – Ale podkreślam jeszcze raz, że możemy mieć do czynienia z całkiem innym przypadkiem zaburzeń neurologiczno-mięśniowych.

– Co za radość.

– Zrób badania, a ja sprawdzę, czy Andre Bolin będzie mógł przyjąć cię jutro.

– Jasne – powiedziała Meg. – Byłoby super.

23

CARSON STANAŁ PRZED DRZWIAMI SZOPY, rad, że Val i Wadę zaplanowali sobie dwugodzinny trening wytrzymałościowy. Musiał pobyć tu sam, zanim pokaże szopę Val – a będzie musiał w końcu ją pokazać. Niedługo się pobiorą, a to oznacza, że wprowadzi ją we wszystkie sekrety swego życia. W każdym razie tak sobie wyobrażał małżeństwo. Pytanie tylko, czy stać go będzie, aby pozwolić jej wejść do tych mroczniejszych zakamarków... To dzisiejsze dziwne, niezręczne spotkanie z Meg uprzytomniło mu, jak wielu rzeczy nie wie o nim Val. Nie wie nic o Meg, o tym, jak długo czekał bez nadziei, zanim zrobił krok naprzód.

Dwa lata. Nie znał ani jednego faceta, który, gdy już stracił dziewictwo, wytrwał w celibacie tak długo. Ale po prostu... nie miał ochoty. Nawet jego pierwsza randka po Meg, z Lisa Kline, ich wspólną szkolną koleżanką, nie była z jego inicjatywy.

Postawiła mu piwo w czasie przerwy, kiedy którejś sobotniej nocy grał w barze w Jacksonville ze świeżo skompletowanym zespołem.

– Tak myślałam, że to ty! – zawołała. Włosy miała jaśniejsze, a piersi większe, ale poza tym wyglądała całkiem tak samo jak wtedy, kiedy siedzieli na zajęciach z trygonometrii z Lou Davisem.

– No a kto? – powiedział. Strzelił już sobie parę drinków, jacka danielsa z coca-colą, i język mu się troszeczkę plątał.

Uśmiechnęła się tym swoim szerokim, przyjaznym uśmiechem, który w nadchodzących miesiącach miał się stać dla niego aż nadto znajomy.

– Świetni jesteście, chłopcy. O wiele lepsi niż to, co do tej pory tu słyszałam. – Pociągnęła ze swojej butelki o długiej szyjce i otarła usta. – Co robisz potem?

Miał zamiar wrócić z George'em do motelu, ale zamiast tego został z Lisa. Oboje mieli już całkiem maślane oczy. Całowali się od niechcienia, a potem Lisa zadarła dzinsową spódniczkę i nachyliła się, opierając dłońmi o drewniany podest.

Carson stał, patrząc na jej opalony tyłek z białą literą Y pośrodku, śladem po stringach.

– No chodź, mały... przecież wiesz, jak się to robi – zachęciła go.

Wiedział. Podszedł do niej i spuścił dzinsy.

Gdy tylko doszedł, upadł na schody i odpłynął. Taki był początek jego miłosego życia po Meg, pierwszy z licznych plugawych incydentów, spowodowanych przez alkohol i narkotyki. Dzięki Bogu, że z tym skończył.

Potężne ramiona prastarego cyprysu nad głową filtrowały blask późnego popołudniowego słońca. Planiki światła i cienia tańczyły na zarosłej ścieżce, na jego bosych stopach, na rękach, ramionach... stał nieruchomo, zapatrzony w tę grę, a w głowie formowała mu się nowa melodia, blada jeszcze i odległa, ale warta tego, by poświęcić jej uwagę. Piosenki przychodziły do niego w najrozmaitszy sposób: kiedyś zainspirował go huk silnika odrzutowego samolotu, a któryś z krytyków nazwał później tę piosenkę „hipnotyzująco erotyczną”. Innym razem kielkiem melodii okazał się szum kropel deszczu na płóciennej markizie, osłaniającej patio jego apartamentu w Seattle, który w przyszłym tygodniu miał opuścić na zawsze.

Melodie podzwaniały mu cicho w głowie przez całe dni, tygodnie, a nawet miesiące, narastały, nabierały dynamiki, a potem powoli pojawiały się słowa, jak gdyby w odpowiedzi na to, co poruszyła w nim muzyka. Komponował już melodie wystarczająco długo, by uświadomić sobie cały proces, zrozumieć, w jaki sposób piosenki stają się odbiciem jego psyche. Muzyk, który utrzymuje, że pisze melodie ot tak, od ręki, albo wciska kit, albo tworzy pozbawioną duszy muzyczną sieczkę, artykuł jednorazowego użytku, jak serwetka do otarcia ust.

Nucąc pod nosem, położył dłoń na klamce, przekręcił ją i popchnął drzwi. Framuga nieco spuchła od wilgoci i w pierwszej chwili drzwi stawiały opór. Wreszcie ustąpiły, ukazując mroczne, zalatujące zbutwiałością wnętrze. Najpierw zajrzał do środka, wspierając się ręką o ramę. Trudno powiedzieć, czy ktokolwiek tu zaglądał od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zostawił, jakby wyskoczył na chwilę do miasta po otrząsacz do drzew czy pizzę. Jeździli z Meg po pizzę mnóstwo

razy: wskakiwali do jego furgonetki, starego rangera z rdzewiejącymi drzwiami, i brali na wynos ekstraduzą, z pepperoni i pieczarkami, w małej pizzerii przy autostradzie, nie wiadomo dlaczego noszącej miano U Vladimira.

Boże, jaka ona była piękna, kiedy miała osiemnaście lat... Nie cierpiała swoich piegów, wolałaby mieć kręcone włosy i większe piersi – kobiety nigdy nie są zadowolone ze swojego wyglądu – ale on nie zmieniłby w niej nic, ani jednego znamienia, ani jednego pasemka włosów, w jego oczach była idealna. Zabierali pizzę na górę i podawali sobie nawzajem kawałki wprost do ust, a on nie mógł oderwać oczu, gdy ocierała kciukiem górną wargę albo zlizywała sos z kącików warg. Śmiała się z niego, że jest seksualnym maniakiem... i był, mając dziewiętnaście lat. „wierzył jednak niezachwianie, każdą komórką ciała, że ta namiętność jest nierozłączna z miłością do niej; obie zrodziła nieskazitelna harmonia jej ciała, serca i umysłu.

Zamknął za sobą drzwi. Stojąc na kolorowym szmacianym dywaniku, pozwolił, by opadły go wspomnienia. Meg przy stole, tylko w podkoszulku, zajada jajecznicę, którą przyrządził na późny obiad, i opowiada mu o swoim pierwszym dniu w college'u... tym jeszcze przed Brianem, zanim poszła na uniwersytet. Meg na drabinie, z młotkiem w ręce i gwoździem w ustach, przybija do okna świąteczną dekorację. Meg śpi na jego łóżku, a podręcznik księgowości – kwintesencja nudy – leży otwarty na jej piersi, grzbietem do góry.

Meg idzie po schodach rankiem w dniu ślubu, rozpalając, a potem gasząc w nim resztki nadziei... w pierwszej chwili miał wrażenie, że przywołał ją siłą woli, że jest widmem, wyczarowanym przez jego tęsknotę, zawód i gniew. I może naprawdę tak było. Pomyślał

teraz, że gdyby od razu wybił ją sobie z głowy, zamiast podtrzymywać płomień przez całe te osiemnaście miesięcy, być może nie miałaby nad nim takiej władzy, ani tego ranka, ani później.

Tego się właśnie obawiał: że kiedy wejdzie znowu do szopy, opadnie go kaskada wspomnień, lawina snutyh niegdyś we dwoje planów i wyobrażeń o przyszłości. Właśnie dlatego unikał tego miejsca, ilekroć odwiedzał rodzinny dom. Wiedział, że mama czekała na to, że je uporządkuje – a on nie był gotów. Ale ten dzisiejszy skok głową naprzód w przeszłość był zdrową rzeczą. Konieczną. Musiał oddać się całej Val; innej możliwości nie widział.

Jeśli tylko zdoła.

Przeszedł z frontowego pokoju do kuchni, przywołując dotykiem pamięć

tych czterech lat, kiedy tu mieszkał, zanim wyjechał na zawsze. Stół kuchenny, sporządzony z drzwi przyciągniętych z jakiejś innej farmy, wypolerowany i pomalowany przez Meg, późniejszy świadek tylu nocy spędzonych przy kawie i bourbonie, gdy podejmował pierwsze nieśmiałe próby spisywania melodii i tekstów, kielkujących mu w duszy. Kiedy zaczął sobie uprzytamniać swoje możliwości, wstawił tu pianino. Przedtem należało do wdowy, mieszkającej przy drodze kawałek dalej, za Powellami.

Pianino było jedyną *rzeczą*, jaką stąd zabrał – najpierw do małego mieszkanka w Los Angeles, potem do większego w San Jose, wreszcie do apartamentu w Seattle... Niedługo zostanie umieszczone w skrzyni i wysłane do domu w Malibu, tego, który kupowali z Val.

Uciekał z Florydy w pogoni za muzyką najdalej, jak tylko mógł. Tak jakby dziewięć tysięcy kilometrów mogło wyprzeć pamięć o Meg, ojej przysiędze złożonej innemu, że będzie go kochać, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Pootwierał kolejno drzwiczki od sześciu szafek, pomalowanych na turkusowy błękit, taki jak skorupki jajek rudzika. Meg uważała, że będą ładnie kontrastować z miodowym odcieniem sosnowych podłóg i ścian. Choć szafki były na ogół puste, gdzieniegdzie przetrwały szczątki jego kawalerskiego życia: opakowanie płatków Frosted Flakes, trzy puszki fasolki, słoiczki z przyprawami: curry, papryką, szafranem. Jego kuchnia w Seattle, wyposażona we wszystkie możliwe produkty i przyrządy, pokiwałaby z politowaniem głową na widok tego skromnego zestawu produktów oraz trzech aluminiowych garnków, które w owym czasie starczały za całe wyposażenie.

Będzie mu brakowało jego apartamentu, kojącego półmroku wilgotnych popołudni, szarobłękitnych, lekko podbarwionych złotem i czerwienią, gdy słońce zniża się ku zatoce Puget Sound. Słoneczny dom w Malibu, supernowoczesny w formie, z wychodzącymi na ocean ogromnymi oknami, był taki wyeksponowany, taki pełen energii. Idealnie pasował do Val.

Kochała miejsca, gdzie woda styka się z lądem, jakby miała je we krwi, jakby stanowiły część jej charakteru. Uwielbiała ukrytą wibrację domów, stojących zuchwale na skrawku wysokiego klifu – tak jak ona na grzbiecie potężnej fali. Zawsze była gotowa do podjęcia wyzwania, do przygody. Podziwiał to w niej, podobnie jak wiele innych rzeczy. Może i on stał się w jej towarzystwie bardziej dynamiczny? Z początku bieganie z nią i jej bandą odczuwał jako prawdziwy ciężar. Czuł, że nie potrafi go udźwignąć, i

powiedział jej to. „W

takim razie dołączysz do nas, kiedy będziesz w nastroju” – powiedziała, wcale się tym nie przejmując. To kolejna rzecz, jaką w niej podziwiał. Nie czepiała się go jak bluszcz – i było to dobre, choć musiał przyznać, że odrobina bluszczowatości od czasu do czasu mogłaby, owszem, być miła. Miałyby szansę poczuć się... niezbędny.

Zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu stoi i patrzy na szafki. Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że rozmyśla tak już ponad pół godziny. Pozamykał drzwiczki, podszedł do schodów i spojrzał w górę. No cóż, lepiej mieć to za sobą.

Piąty i dziesiąty stopień zaskrzypiały jak zwykle. Na szczycie schodów przystanął i ogarnął spojrzeniem łóżko, bielizniarkę, szafę, niewielką dwuosobową sofę. Wszystkie sprzęty były stare i zniszczone, ale jakże znajome. W pewnym sensie bardziej niż droższe, stylowe umeblowanie apartamentu w Seattle, choć mieszkał tam dwukrotnie dłużej niż w otoczeniu tych oto gratów.

Nie sposób było zapomnieć o Meg w łóżku, ale w tej chwili najbardziej obchodziło go niewielkie pudełeczko, leżące na blacie niskiej bielizniarki z czterema szufladami.

Sporządzone z kilku warstw grubego papieru i pomalowane przez jakiegoś domorosłego azjatyckiego artystę w delikatny czarnoczerwono-niebiesko-żółty wzorek, stanowiło gwiazdkowy prezent od Meg. Powiódł po nim palcami i zapatrzył się w okno. Widać stąd było jaskrawozielone wierzchołki drzew, jego dziedzictwo.

Westchnął głęboko, zrezygnowany, i otworzył pudełeczko. Zawierało tylko jeden przedmiot, maleńki fragment jego przeszłości, ich przeszłości, o której aż do dziś sądził, że czeka, zwinięta w kłębek, jak grzechotnik: jego złoty łańcuszek. Wyjął go i pod wpływem impulsu chciał natychmiast zbiec po schodach, wskoczyć w land rovera i pojechać do Meg, aby go jej zwrócić. Skończyłem z tym, powie. Albo: chyba teraz ty powinnaś go mieć. Albo: chciałbym, żebyś zachowała pamiątkę naszej wspólnej przeszłości, nie mam już do ciebie żalu. Na pewno nie ma nic z tamtych czasów.

Ale dzisiejsze zachowanie Meg wyraźnie świadczyło, że ponowne spotkanie nie byłoby dla niej miłe – i jego gest też pewnie nie zostałby dobrze przyjęty. Wymieniła już złotą obrączkę na inną, mniejszą, którą, jak zauważył, do tej pory nosi na palcu. Zerwała z przeszłością – i on też powinien z nią zerwać. Może wyśle jej łańcuszek pocztą? Niech sama

zdecyduje, co z nim zrobi. Na razie zamknął go w dłoni i wrzucił do kieszeni. Kiedy później przyjdzie tu Val, wewnątrz będzie •wolne od wszystkiego, czego nie powinny zobaczyć jej ciekawe, lojalne, oddane oczy.

24

W CZWARTEK PÓŹNYM POPOŁUDNIEM MEG STAŁA W
POKOJU

PIEŁĘGNIAREK, wkładając na miejsce kartę pacjentki, kiedy do kontuaru podszedł Clay.

– Trojaczki – powiedział.

– Co?

– Właśnie odebraliśmy z Johnem Bachmanem trojaczki, dwie dziewczynki i chłopca.

Powinnaś je zobaczyć. – Promieniał.

Melanie Harmon, znakomita, doskonale zorganizowana przełożona pielęgniarek, imigrantka z Haiti, zdziwiła się.

– To już drugi przypadek w tym miesiącu. Coś jest w wodzie czy co? Meg też to przychodziło do głowy, ale nie w związku z porodami mnogimi; wiedziała, że są one związane raczej z leczeniem bezpłodności. Ale ta choroba, która być może zaczynała się ujawniać w komórkach jej mięśni... skąd się wzięła? I dlaczego nie istniał sposób, żeby się jej pozbyć?

Clay sięgnął do kieszeni i wyjął receptariusz. Stał przy końcu kontuaru i pisał, a Meg zmusiła się, by z powrotem skupić się na pacjentce, która dopiero co została przyjęta.

– Akcja porodowa jeszcze się nie zaczęła, ale nie może się już doczekać, i jest tu z nią chyba cała rodzina, słowo daję. Jej brat próbował przed chwilą nagrać rozmowę ze mną na wideo.

– Pierwsze dziecko? – spytała Melanie.

– Skąd wiesz? Pierwsze dziecko, pierwszy wnuk i tak dalej. – Chciałaby dzielić z nimi to podniecenie, ale nie potrafiła przedrzeć się przez mgłę strachu. Od dwu godzin nie mogły jej wyjść z głowy słowa Brianny, powracały jak refren, kiedy tylko nie koncentrowała się na bieżącej pracy: „paraliż dróg oddechowych i śmierć”.

– Czyli zostajesz? – zagadnął Clay, podchodząc bliżej. Kto wie, może nie.

– Tak... ale mam nadzieję na szybkie postępy. – Niezależnie od tego, czy poród będzie szybki czy nie, znowu opuści mecz córki. Uzgodniła już z matką Rachel, że to ona podrzuci Savannah do domu.

Clay otarł się o nią ramieniem. Poczwała, że wsuwa jej coś do lewej kieszeni.

– Ja też zostaję – powiedział. – Mam spotkanie komitetu gotowości na wypadek huraganu. O siódmej.

Chyba że wylądujemy w sali operacyjnej, pomyślała Meg. Zniosła w duchu jeszcze jedną modlitwę, aby pacjentka urodziła bez problemów. Myślała o małej dziewczynce, śliskiej od śluzu, różowej i urażonej, która wkrótce powinna się pojawić na świecie. Miał ją „złapać” ojciec, pielęgniarz z pogotowia ratunkowego – taki był od dawna ustalony plan i bardzo odpowiadał on Meg. Dzięki Bogu... Jeśli wszystko dobrze pójdzie, niewiele będzie miała do roboty poza nadzorem.

– Dopilnuj, żeby była czekolada – powiedziała Melanie do Claya.

– Oczywiście – zaśmiał się Clay. – Dopiszę ją na samej górze listy, tuż po morfinie i wodzie w butelkach. – Położył rękę na ramieniu Meg. – Do zobaczenia, dziewczyno.

– Do zobaczenia! – zawołała za odchodzącym Meg. Pomacała wnętrze kieszeni: tkwiła tam złożona we czworo kartka. A więc przekazał jej jakiś liścik. Każdego innego dnia co najmniej by jej to pochlebiło, może nawet byłoby przyjemne. Brian nigdy nie zostawiał jej żadnych liścików, chyba że można by tak potraktować maile czy SMS-y z przypomnieniem, by coś kupiła czy załatwiła. Ujęła kartkę koniuszkami palców, myśląc: ciekawe, jak długo potrwa, zanim lewa ręka zacznie się zachowywać tak samo jak prawa.

– Mmm... – mruknęła Melanie, patrząc w ślad za Clayem. – Świetny facet.

Meg też za nim popatrzyła. Tak, był świetny – przypominał raczej tenisistę niż chirurga, z przydługimi blond włosami i silnymi ramionami, widocznymi spod podwiniętych rękawów.

Ale jako chirurg też był znakomity. Na pewno czeka go kariera, z tą prezencją, miłym obejściem i autentyczną troską o pacjenta. Szkoda, że nie będzie mogła być świadkiem jego sukcesów... ani towarzyszyć mu, nawet gdyby chciała, na ścieżce prowadzącej w ciemny las jej uczuć, którą próbował sobie wyrąbać. Jeśli to, co podejrzewają Brianna i Lowenstein – co podejrzewa obecnie także ona sama jest prawdą, niedługo nie będzie mogła ująć żadnej męskiej dłoni, ucałować żadnych męskich ust... ani wyciągnąć ręki, by odgarnąć Savannah pasmo włosów z twarzy. Na tę ostatnią myśl rozpacz ścisnęła jej wnętrzości. Nie! – O mało nie wyrwało się jej przez zaciśnięte zęby.

Tak jakby mogło ją to uratować, uczepliła się normalności.

– Melanie, czy muszę ci przypominać, że już masz męża... i to lekarza?

– Jasne, dziś – odparła Melanie. – Ale kto wie, co będzie jutro? Meg nie chciała wiedzieć.

– Idę do pokoju wypoczynkowego. Daj mi znać pagerem, kiedy będę potrzebna.

Po drodze zatrzymała się w sali intensywnej opieki neonatalnej. Trojaczki były maleńkie, ale wszystkie wyglądały na zdrowe i silne. Zbyt często przy porodach mnogich zdarzało się, że jedno czy więcej niż jedno z dzieci było w wyraźnie gorszym stanie; rywalizowały o matczyne zasoby już przed narodzeniem. Ta trójka jednak sprawiała wrażenie, że ma szansę na przetrwanie. Dziewczynka, w różowym trykotowym kapturku, pomachała piąstką i wydeła usteczka, już teraz domagając się należnych świadczeń. Słusznie, dziewczyno, pomyślała Meg. Chłopcy chyba bliźniaki jednojajowe – leżeli z otwartymi oczkami, chłonąc rozmyty obraz otoczenia nieostrym jeszcze wzrokiem noworodków. Meg dotknęła różowej jak różany pączek piąstki dziewczynki, myśląc o własnej córce i o dzieciach, które mogłaby mieć, gdyby została z Carsonem. Brian nie był pewien, czy w ogóle chce mieć dzieci. Po Savannah oznajmił, że to wystarczy – a jej nie zależało, aby zmienić zdanie.

Przypomniała sobie, jak leżąc na wznak na wodzie, dryfowali z Carsonem po gładkiej toni jeziora, mając nad głową czysty błękit nieba, i wymyślali imiona dla swoich przyszłych dzieci. Ona chciała, żeby dziewczynka nazywała się Savannah, a chłopiec Austin. „Jasne, a potem będzie Denver, Cheyenne i Sacramento” – kpił Carson. Podtopiła go wtedy i trzymała pod wodą, dopóki jej nie rozwiązał kostiumu kąpielowego. Z pośpiechem zawiązywała troczki na powrót, a on wynurzył się ze śmiechem, mówiąc: „No co? Myślałem, że chcesz zacząć od razu”.

Wspomnienie było tak żywe, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj, a jednak równie niedosiężne jak gwiazdy.

Kiedy znalazła się w maleńkim pokoiku, służącym lekarzom jako miejsce odpoczynku, sięgnęła do kieszeni i wyjęła liścik od Claya. Na kartce wyrwanej z receptariusza było napisane: „Zachodni dziedziniec, 17.30 – ? Mocna kawa i sałatka z tuńczyka, ja stawiam”.

Jaki on miły... Ale co mu przyjdzie z zainteresowania starszą od siebie, zamężną kobietą?

Zresztą to i tak bez znaczenia; cokolwiek mogła mu dać, wkrótce nie

będzie miał na to żadnej szansy.

– Innym razem – powiedziała. Złożyła liścik na powrót i schowała do kieszeni.

Ledwie zdążyła wyciągnąć się na leżance, gdy odezwał się sygnał pagera.

– O nie... Przecież chyba jeszcze nie rodzi – jęknęła. Ale nie, to była Savannah. Meg sięgnęła po leżący na stole telefon i wybrała numer jej komórki.

– Cześć, kochanie. No, co tam? Dzwoniłaś do mnie na pager.

– Musimy pojechać jutro do Orlando! Właśnie dostałam maila z fanklubu Carsona McKaya, że ma jutro występ. Tylko ten jeden raz!

– Kochanie, mam za sobą taki ciężki tydzień...

– Mamo! Powiedziałaś, że kiedy będzie następnym razem w okolicy, to pójdziemy.

Obiecałaś!

Targnęło nią poczucie winy. Każde dziecko przynosi chyba z sobą na świat umiejętność jego wywoływania u rodziców... Obiecała, ale myślała wtedy, że będą po prostu dwiema anonimowymi fankami pośród tłumu innych.

– Wiem, ale...

– Daj spokój, mamo, pomyśl, będzie superowo! To jest klub, a nie wielki stadion; usiądziemy blisko sceny. Może cię rozpozna? A skoro go znasz, może będziemy mogły pójść do niego za kulisy?

– Znałam – poprawiła Meg.

– Nieważne. Nie musimy się z nim spotykać. Ale tak fajnie byłoby pójść! Dobrze?

Proszę, proszę, proszę, proszę, proszę... Gdybym miała swój samochód, pojechałabym sama.

– Nie, do Orlando na pewno nie.

– W takim razie musisz mnie zawieźć. Zobaczysz, będzie super. Meg pomyślała o tym, jak niewiele rzeczy robią, a raczej robiły razem w ciągu tych szesnastu lat, które minęły nie wiadomo kiedy. Wierzyła, że uda jej się pogodzić naukę i pracę z obowiązkami matki i żony, wierzyła, że można mieć wszystko, w mit lansowany przez reklamę perfum Enjoli i połowiczny sukces Geraldine Ferraro* [Geraldine Anne Ferraro – amerykańska kobieta polityk, pierwsza i jedyna jak dotąd kobieta, która uzyskała nominację na stanowisko wiceprezydenta (w 1984 r., z ramienia partii demokratycznej) (przyp. tłum)] Pieniądze jej i Briana miały to ułatwić. Dobra niania, płatna

załoga do utrzymywania porządku w domu i w ogrodzie, usługi, prywatne szkoły... wszystko to miało jej umożliwić skupienie się po pracy wyłącznie na życiu rodzinnym.

Zabawne, że nic nigdy nie jest tak proste, jak wygląda.

Nie planowała specjalizacji z położnictwa. Widziała, że to jedna z najbardziej absorbujących, naruszających życie rodzinne dziedzin medycyny, ale kiedy zetknęła się z nią podczas studiów, poczuła, że właśnie to najbardziej jej odpowiada. Sądziła, że da sobie radę.

Ale koordynacja pracy ekipy, która dbała o dom, wymagała o wiele więcej czasu i wysiłku, niż się jej wydawało.

Były też różne zobowiązania zawodowe – spotkania, konferencje – i zobowiązania rodzinne, przede wszystkim wobec Hamiltonów, którzy byli niezadowoleni, jeśli nie przychodzili na niedzielny obiad. Musiała też uczestniczyć w życiu towarzyskim, gdyż Brian upierał się, że powinni przyjmować zaproszenia. Savannah zawsze była na pierwszym miejscu, ale często oznaczało to zapewnienie jej czyjeś opieki... Jeśli ALS niszczy w tej chwili neurony, które pozwalają jej chodzić, jeść i oddychać. Ile ma jeszcze czasu, żeby w ogóle móc robić cokolwiek wspólnie z córką?

– Dobrze. Pójdziemy. – I staniemy z tyłu, w możliwie najciemniejszym kącie, pomyślała.

– Naprawdę? Poważnie?

– Naprawdę poważnie. Możesz kupić bilety? W biurku w pokoju telewizyjnym, w środkowej szufladzie po lewej stronie znajdziesz moje karty kredytowe. Użyj jednej z nich.

– Jesteś najlepszą mamą na świecie!

– Zapamiętam to sobie. A Rachel idzie?

– Nie, ma zajęcia z savoirvivre'u i mama jej nie puści.

– Nadal masz zamiar spać u niej w sobotę?

– Tak... ale właśnie ci miałam powiedzieć: jej rodziców nie będzie w domu do jedenastej.

Idą na jakieś snobistyczne przyjęcie. Dalej nie masz nic przeciwko temu?

– A Angela będzie?

– Chyba tak. Właśnie zerwała z chłopakiem i zrobiła się nietowarzyska.

– No to w porządku – powiedziała Meg. – Myślę, że jesteś na tyle duża, że można ci zaufać na parę godzin.

– Od dawna ci to mówię.

– Wiem. Ale powiem ci tylko tyle: poczekaj, aż sama będziesz miała

kilkunastoletnią córkę, wtedy pogadamy o zaufaniu.

Jak łatwo powiedziała te słowa, tak jakby na pewno miała się kiedyś doczekać kilkunastoletniej wnuczki. Ile zarozumiałości tkwi w naszym sposobie mówienia o przyszłości... Jest taki optymistyczny, napawający otuchą – i taki fałszywy, skoro nikt nie zna przecież daty, jaka zostanie wyryta na jego nagrobku. Jutro wieczorem ona, Meg, może zginąć od pioruna. W prognozie mówiono o gwałtownych burzach. Savannah może za miesiąc czy za rok jechać swoją nową hondą i walnąć, nie daj Boże, w drzewo. Jakie to śmieszne, że tyle uwagi poświęcamy nieznanej i niepoznawalnej przyszłości, a tak mało każdej realnej chwili, którą przeżywamy.

– Kiedy będziesz w domu? – spytała Savannah. Ileż to razy Meg słyszała to pytanie.

– Koło dziesiątej, mam nadzieję. Mam pierworódkę. Pierwsze dziecko przeważnie zabiera trochę czasu.

– A ile czasu zabrałam ja?

Meg się uśmiechnęła. Savannah uwielbiała słuchać o swoich narodzinach, tak jakby dzięki temu mogła się wyróżnić spośród setek innych dzieci, które przyszły na świat dzięki Meg. Tak jakby się obawiała, że matka zapomni o szczegółach jej narodzin w powodzi tylu innych, z jakimi nieustannie miała do czynienia.

– Kilka dni – powiedziała Meg, powstrzymując nagły odruch płaczu. – Byłaś najpowolniejszym dzieckiem świata.

– Ale jak już byłaś w szpitalu, po tym jak ci odeszły wody?

– Dwadzieścia i pół godziny. Miałam już zamiar powiadomić pocztę, że zmieniam adres – zakpiła, a mimo to łza spłynęła jej po policzku.

– Mamo... Dobra, to kupię te bilety. I będzie nam potrzebny hotel, prawda?

– Wiesz, jak to załatwić?

– Mowa. Expedia, Travelocity... znajdę nam coś luksusowego, żebyś mogła odpocząć.

Będziesz miała masaż i co tylko się da.

– Cudownie – powiedziała Meg, podziwiając przedsiębiorczość i obrotność córki.

Nie upłynęły trzy minuty od rozmowy z Savannah, gdy znowu zapiszczał pager, tym razem z wiadomością, by zadzwoniła do Brianny. Ze stoickim spokojem wybrała numer.

Asystentka Brianny żywym, rzeźkim głosem przekazała jej informację o umówionej na piątek konsultacji z Andre Bolinem, w jego gabinecie w Orlando.

– W Orlando, jutro? – przerwała jej Meg.

– Tak. Doktor Davidson stanęła dla pani na rzesach. Palec losu, pomyślała Meg.

– W porządku. I tak muszę tam być.

Rano, o dziewiątej, miała mieć przeprowadzoną kolejną serię testów, a potem spotkać się z doktorem Bolinem, który miał wykonać kolejne badanie odruchów i przejrzeć wyniki badań, jakie będą gotowe do tego czasu.

– Ma pani szczęście – powiedziała asystentka. – Osoba bez takich znajomości musiałaby czekać na wizytę kilka miesięcy.

Meg zapisała adresy i godziny, po czym mruknęła z sarkazmem: – Mam szczęście?

Pielęgniarka powiedziała to w dobrej wierze – i w pewnym sensie miała rację. A jednak Meg nie umiała powstrzymać odruchu rozżalenia. Choć starała się jak mogła, tym razem nie dał się stłumić.

Przed wyjściem ze szpitala kwadrans po dziewiątej Meg zadzwoniła do Savannah.

– Załatwiłaś pokój?

– Tak, wszystko gotowe.

– Sprawdź, czy mają wolne miejsca już dzisiaj; okazało się, że muszę być w Orlando jutro rano.

– Super! Ominie mnie klasówka z matmy. Aha, mam... czy ty już jedziesz do domu?

Tato dzwonił do ciebie?

– Nie. A co?

– Nic. Zaparkuj na podjeździe, a nie w garażu, dobrze?

– W porządku – powiedziała po sekundzie milczenia.

Piętnaście minut później zrozumiała, o co chodzi. W chwili, gdy wysiadała z samochodu, jedne z trojga drzwi ich garażu zaczęły się podnosić. Stał w nich Brian z wyrazem twarzy kota, który dopiero co połknął kanarka, a tuż za nim błyskał ku niej światłami i chromowanym grillem lśniący lexus w kolorze szampana.

– Przecież miałeś być w Bostonie! – zawołała.

– Nałożyłem drogi, żeby ci kupić z wyprzedzeniem prezent urodzinowy – odparł. Za nim pojawiła się Savannah.

Wyglądało to raczej na spóźnione przeprosiny... Trochę przesadne, pomyślała. Nowy samochód nie był tym, na czym jej zależało, zwłaszcza teraz. Starła się jednak sprawiać wrażenie zadowolonej, a nawet wydobyła z siebie sztucznie ożywione: – No, no. Coś takiego.

Savannah przeciągnęła ręką po dachu.

– W zasadzie nie lubię tych pożeraczy paliwa... ale chyba są praktyczne. Połowa mojej klasy mogłaby tu wejść jednocześnie i dzięki temu może ktoś inny nie usiadłby za kierownicą.

– Mogliby też oglądać filmy podczas jazdy. – Brian podszedł do Meg i wziął ją za rękę. – No i jak? Podoba ci się?

– Jasne. – Co tu się mogło nie podobać? – Ale przecież mój samochód w zupełności mi odpowiada.

– Ma już sześć lat. Ja mam nowe auto, Savannah dostanie niedługo nowe... nie chciałem, żebyś się czuła zaniedbana. – Klan Hamiltonów musi się dobrze prezentować, pomyślała. – Poza tym daje nam to pewne dodatkowe możliwości. Będę go mógł od ciebie pożyczyć, jeśli, powiedzmy, zdarzy mi się duża grupa klientów.

Savannah otworzyła drzwi od strony kierowcy.

– Możemy pojechać nim dzisiaj? Proszę! Jest taki duży... a poza tym chciałam dziś wieczorem obejrzeć coś na DVD, ale musiałam się pakować. Obejrzę sobie po drodze.

Brian włożył Meg klucze do ręki.

– No a jak kolor? Nazywa się savannah metallic. Wspaniały, prawda? Wspaniały.

25

SAVANNAH PRZEWRÓCIŁA SIĘ NA BRZUCH i rozwiązała czerwone tasiemki biustonosza, świadoma, że dwóch łysiejących facetów o owłosionych brzuchach, zwisających im nad slipami, wciąż na nią popatruje. Ich spojrzenia z jednej strony ją peszyły, z drugiej – sprawiały przyjemność. Podobała się mężczyznom... Ta prawda zaskoczyła ją i mile polechtała. Ona nie patrzyła na nich; wolała zachować bezpieczny dystans od każdego, który nie był Kyle'em. Kyle'em, którego zobaczy za dwadzieścia cztery godziny! Jej podniecenie narastało z każdym ruchem wskazówki na zegarku Word Wildlife Federation, który miała na ręce. Nie była nawet w stanie jeść. No i dobrze: do jutra straci dodatkowo pół kilo. Jutro po południu to Kyle będzie ją pożerał wzrokiem.

Była czwarta po południu i brzeg basenu zaczął się zaludniać hotelowymi

gośćmi.

Savannah obserwowała grupki zbyt eleganckich starszych pań, w kapeluszach, płóciennych spodniach i bluzkach z długimi rękawami, ożywione, pewne siebie młode matki z dziećmi w wypchanych pampersami majteczkach, hałaśliwe, rozwrzeszczane dzieciaki, które darły się: „Marco!”, „Polo!”, „Marco!”, „Polo!” w płytkiej części basenu.

Mama zadzwoniła do niej przed godziną i powiedziała, że będzie o szóstej. Głos miała tak znużony, że Savannah tuż po rozmowie umówiła ją na wpół do siódmej na masaż. Może to ją trochę ożywi, pozwoli zrzucić stres, spowodowany jakimiś przeżyciami, obojętne co to było.

A jeśli masaż nie pomoże, na pewno pomoże koncert.

Zamknęła oczy, pozwalając, by popołudniowe słońce zabarwiło wewnętrzną stronę powiek na jaskrawy pomarańcz, kolor cynii, nagietka, pomarańczy... no jasne, pomarańczy.

Przypomniało jej się, że rodzice Carsona McKaya hodowali pomarańcze, grejpfruty i cytryny i że mama i ciotki mogły pobiec do sadu, kiedy chciały, zerwać owoc prosto z drzewa i zjeść go na miejscu. Kiedy ostatnim razem odwiedzała dom dziadków, tuż po śmierci babci, poszła przez pastwisko aż do ogrodzenia, za którym było widać gęste drzewa owocowe, stojące rzędem niczym żołnierze na warcie, broniący przed przeziębieniami i skorbutem... czy ktoś jeszcze w ogóle choruje na skorbut? Miała ochotę ukryć się między rzędami drzew, tak by zielony baldachim, niczym koc zarzucony na głowę, ochronił ją przed światem, przed stratą, jaka ją dotknęła. Niemal wierzyła, że znajdzie tam babcię, jej wyrozumiały, ten sam co zawsze uśmiech i serdeczny, kojący uścisk. Zabawne, że babcia zawsze miała dla niej czas.

Miała czas, żeby zadzwonić, odwiedzić ją, zabrać na spacer po parku czy na zakupy do centrum handlowego... Choć brzmiało to okropnie, wołałaby, żeby to dziadek umarł, skoro już ktoś musiał. Śmierć jest taka niesprawiedliwa.

Piosenka, którą próbowała skomponować, była poświęcona babci Annie. Starła się w niej osiągnąć równowagę między zabarwionym irytacją smutkiem a wdzięcznością. Nie wychodziło jej, bo złość i gniew, że ją straciła, wciąż były większe niż wdzięczność, że ją miała. Tak powiedziała w czwartek nauczycielka teorii muzyki. Leżąc teraz z pomarańczowym blaskiem pod powiekami, układającym się w dziwne geometryczne figury, coraz to inne, ciemnopomarańczowe, purpurowe, odtwarzała w głowie melodię i zastanawiała się, jak sprawić, żeby nie było w niej tyle gniewu.

Może mniej zmian akordów? A może większe interwały pomiędzy nimi? A gdyby tak rozwarstwić główną linię melodyczną, coś w stylu Sheryl Crowe? Starając się nie słyszeć wrzasku dzieci, sprawdziła w myśli kilka możliwości. Szkoda, że nie wzięła ze sobą gitary. Nie tylko mogłaby teraz przećwiczyć te pomysły, mogłaby też zabrać ze sobą gitarę na koncert! Może Carson by się jej na niej podpisał?

Jakiś nowy dźwięk wytrącił ją z zamyślenia. Dopiero po trzecim dzwonku zorientowała się, że to komórka, schowana w zielonej płóciennej torbie. Zapominając, że ma rozwiązana górę od kostiumu, wsparła się na łokciach i wyciągnęła rękę po telefon. Zorientowała się, że jest na wpół naga, gdy jakiś malec krzyknął: „O, cycki!”

Upokorzona opadła na ręcznik i wyjęła telefon.

– Słucham?

– Cześć, malutka!

– Kyle! Witaj! – Dźwięk jego głosu złagodził upiorny wstyd. – Poczekaj sekundę, dobrze? – Położyła telefon i zawiązała porządnie troczki stanika, po czym usiadła i okręciła się ręcznikiem. Dość golizny na dzisiaj, pomyślała, nie mając odwagi nawet zerknąć na swoich adoratorów.

– Przepraszam – powiedziała, biorąc na powrót telefon. – Wiesz... jestem na basenie i musiałam z powrotem włożyć kostium. – To przecież prawda, a podsyca jego zainteresowanie. Zależało jej, by mu się podobać z ważniejszych powodów niż wygląd, ale czyjej ciało i jej seksualność też nie były istotnym elementem jej tożsamości? Powinien kochać ją całą.

Kyle gwizdnął.

– No, to szkoda, że siedzę w tym błocie, naprawdę!

– Ale do jutra to już nie tak długo, prawda?

– Dla mnie nawet pięć minut to za długo.

Niski, zmysłowy głos sprawił, że poczuła radosny skurcz w dole brzucha. Poprawiła się na leżaku i uznała, że należy skierować rozmowę w bezpieczniejsze rejony, przynajmniej dopóki znajduje się w miejscu publicznym.

– A co u ciebie słyszać? – spytała wesoło.

– Mam dziś po południu wolne, więc się zdrzemnąłem... i mi się przyśniłaś.

– Tak? Opowiedz mi ten sen.

– Naprawdę chcesz, żebym ci opowiedział? Bo wiesz... on był trochę osobisty, jeśli wiesz, co mam na myśli. Intymny nawet.

Nadzieja na bezpieczną rozmowę przysła. Ale było to przyjemne.

– No to super.

– Pewnie, że super. Jeszcze jak.

Savannah, zakłopotana, utkwiała wzrok we własnych paznokciach, polakierowanych na ciemno-śliwkowo, tak by pasowały do koszulki, którą miała włożyć na koncert. Aluzyjne odpowiedzi Kyle'a budziły w niej takie same uczucia, jak poprzednio spojrzenia grubasów: była i skrępowana, i zaintrygowana zarazem. Gdyby miała więcej doświadczenia w tych sprawach... Co będzie, jeśli się spotkają, a on z miejsca zobaczy, że Savannah ma zero doświadczenia seksualnego? I że daleko jej do dwudziestki? Może się wścieknie albo zażąda, żeby mu pokazała prawo jazdy? Musi być śmielsza i nie dać mu powodu, by zaczął

powątpiewać w prawdziwość jej opowieści, ani teraz, ani jutro.

– W porządku – powiedziała, rozglądając się wokół, żeby się upewnić, czy nikt nie słucha. – Opowiedz mi.

– No więc byliśmy na plaży... chyba nad Zatoką Meksykańską, coś jakby Tampa. Miałaś na sobie ten kostium w kwiatki... ten, co masz na sobie na swojej stronie.

Wyobrazila ich sobie we dwoje: Kyle bez koszuli, łagodna fala z cichym pluskiem liże piach.

– No i co?

– Teraz też masz na sobie ten kostium?

– Nie, teraz mam inny, czerwony w malutkie białe gwiazdeczki.

– Kurczę, też musi być ładny, założę się. Wracając do snu... opowiadałaś mi o jakiejś krowie morskiej, którą nazywałaś... Melanie czy jakoś tak, nie pamiętam... starałem się słuchać, ale co mogę na to poradzić, że jestem facetem? – Roześmiał się. – Nie mogłem się skupić, bo miałem przed sobą twoje ciało, i wiesz... zrobiłem się twardy, rozumiesz. Objąłem cię i powiedziałem: „Nie mogę dłużej czekać ani chwili, muszę cię mieć już, natychmiast”.

Savannah, z oczami jak spodki, przełknęła ślinę. Dwie dziewczynki, może sześćioletnie, przebiegły obok niej, płaszcząc stopami po mokrej cementowej nawierzchni; gonił je młodszy od nich chłopczyk z pistoletem-sikawką niemal tak dużym jak on sam.

– Jesteś tam? – spytał Kyle.

– Tak. Ojejku... fajny sen.

– To jeszcze nie wszystko. Chcesz posłuchać dalej?

Nie była pewna. Czowała, że odpłynęła za daleko na nieznane wody i że nie wie, gdzie jest granica – i czy w ogóle jest. Czy dwudziestolatka zachęcałaby go do tej opowieści?

Przypomniała jej się reklama kamery wideo – o dziewczynach na wiosennych feriach. One na pewno spytałyby o szczegóły... i pewnie dołożyły sporo własnych.

Kyle nie czekał na jej odpowiedź.

– Powiem ci tyle, że było... no wiesz, pięknie. Romantycznie. Słowo daję.

Savannah westchnęła, oczarowana i pełna ulgi zarazem.

– O, jesteś – usłyszała za sobą głos matki. – Nic dziwnego, że nie mogłam się przebić. – Mama przysiadła na sąsiednim leżaku.

– Cześć, mamó! – zawołała Savannah, starając się wyglądać niewinnie. – Wcześniej przysłaś. Muszę kończyć, dobrze? – rzuciła do słuchawki. – Sorry... zadzwonię później. – I szybko zatrzasknęła klapkę telefonu.

– Nie zamierzałam ci psuć przyjemności.

Miała wrażenie, że lada moment twarz zapłonie jej żywym ogniem. Przyjemności? Czy mama w jakiś sposób wyczuła, o czym była ta rozmowa?

– Wszystko w porządku. Rozmawiałam... z Rachel. Powiedziała, że musimy jej dziś kupić koszulkę na pamiątkę.

– Rozumiem – powiedziała mama, najwyraźniej niczego nie podejrzewając. – Ale nie wiem, czy będą, to przecież występ zorganizowany w ostatniej chwili.

Savannah, unikając wzroku matki, z wystudiowaną swobodą zbierała do torby krem z filtrem, książkę, telefon.

– Tak... ale może klub będzie miał jakieś swoje.

– Może. To co, idziemy na obiad? – spytała mama, a Savannah wyczuła w jej głosie jakiś rys przesadnej pogody, przymus, napięcie, inne niż po normalnym męczącym dniu.

– Nie jestem jeszcze głodna. Dobrze się czujesz?

– Tak, doskonale. Tylko jestem zmęczona. Te spotkania są okropnie długie. – Wstała. – Wiesz co, mnie też się nie chce jeść.

– Dobra, to w takim razie... umówiłam cię o wpół do siódmej na masaż. Dobrze?

Matka uniosła brwi ponad ciemne okulary.

– Naprawdę? Miło, że o tym pomyślałaś, ale nie wiem...

– Nie musisz iść. Po prostu pomyślałam, że po męczącym dniu...

– Dzięki, kochanie. – Mama szybko pocałowała ją gdzieś koło ucha. – Dobrze, pójdę. A ty? Może i ty weźmiesz sobie masaż albo...

– Ja już sobie zrobiłam pedikiur. – Savannah wyciągnęła stopę w czerwonym gumowym klapku. – Wezmę w tym czasie prysznic i pooglądam telewizję.

Idąc za matką do hotelu, dostrzegła, że ma niestaranną fryzurę – po prostu włosy zebrane pośpiesznie w węzeł i spięte złotym klipsem. Do tej pory tego nie zauważyła. I czyżby odrobinę utykała? Dosłownie odrobinę... Zwolniła trochę kroku, gdy szły ku windom, i przyjrzała się matce dokładniej. Tak, coś było w jej chodzie... jakieś asymetryczne uniesienie lewego barku, podkreślane przez wznoszenie się i opadanie kremowego lnianego zakietu na ramieniu i niżej, na biodrze.

– Skaleczyłaś się w nogę? – spytała przy windzie.

– Co? Nie. To znaczy... tak, mam pęcherz. To te nowe buty.

Brzmiało to wiarygodnie, ale Savannah czuła, że chodzi o coś jeszcze. Włosy w nieładzie były u matki czymś bardzo nietypowym. Nagle przyszło jej do głowy, że może spędziła ten dzień w łóżku z jakimś mężczyzną. Nie, to bez sensu... to ta rozmowa z Kyle'em tak na nią wpłynęła. Nie mogła sobie wyobrazić, że mama kocha się z kimkolwiek, nawet z ojcem. Za to doskonale mogła sobie wyobrazić to, co opowiadał jej Kyle tuż przed jej przyjściem.

Pragnął

jej, marzył o niej... Czy może być większa radość?

Kiedy mama poszła na masaż, Savannah zadzwoniła do Kyle'a, żeby go przeprosić.

– Moja mama przyszła... przepraszam, że tak nagle przerwałam rozmowę.

Roześmiał się.

– Trzymasz mnie w tajemnicy, co?

– Nie! Dlaczego mam cię trzymać w tajemnicy? Po prostu nie było okazji, żeby o tobie pogadać, to wszystko. Mama wróciła zmęczona, zdenerwowana...

– Nie przejmuj się, malutka. Na to zawsze będzie dużo czasu. A teraz posłuchaj... żebyś mi się nie dała poderwać nikomu na tym koncercie. Masz być moja.

O tak, będzie jego. Słyszała, że młodzi chłopcy nie są za dobrzy w sprawach seksu. No, ale facet w wieku Kyle'a chyba wie, jak to się robi... Nie chciała być niczym królikiem doświadczalnym. Czy tato nie powtarzał

stale: „Jak już coś robisz, rób dobrze”?

– Jedynym facetem, z którym zamierzam dziś rozmawiać, jest Carson McKay – powiedziała.

– A on przy pierwszej okazji rzuci się na ciebie. Słyszałem, że się żeni z panienką niewiele starszą od ciebie!

– Przestań! On jest w wieku mojej mamy... a poza tym, oni się kiedyś znali! Mówiłam ci wczoraj wieczorem. Nie widzieli się od dawna, ale może uda się nam wejść za kulisy, jeśli powie, że są starymi znajomymi?

– Powinnaś go spytać, czy cię nie przyjmie do zespołu. Jesteś naprawdę dobra.

Savannah uśmiechnęła się szeroko. Grała mu już przez telefon i chyba naprawdę mu się podobało.

– On już ma stałego gitarzystę. Słuchaj, muszę się już szykować do wyjścia. Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

– Będę myślał o tobie – powiedział znacząco.

– Ja też. – Tym razem flirtowanie przychodziło jej łatwiej. To kwestia praktyki, jak w każdej innej sprawie.

Po zakończeniu rozmowy przycisnęła telefon do piersi. W końcu, w końcu zaczynało się prawdziwe życie! Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale miała uczucie, że wspięła się na szczyt wzgórza i że za moment wszystko w jej życiu się zmieni.

26

NOCNY KLUB JOHNNY’EGO SIMMONSA leżał w dobrej dzielnicy Orlando, w pobliżu największych atrakcji miasta. Zajmował niemal całą przecnicę i mógł się poszczycić trzema parkietami do tańca. Każdy był w osobnym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu i w każdym grano inny rodzaj muzyki. Pośrodku tego wszystkiego znajdowała się główna scena, gdzie przez pięć dni w tygodniu odbywały się występy na żywo. Johnny dokładał starań, by zapraszać dobrze zapowiadających się wykonawców, i stopniowo zyskiwał reputację kogoś, kto zapewnia przebicie się do głównej ligi. Carson słuchał Johnny’ego, gdy w piątek rano oprowadzał go po klubie, i nabierał pewności, że ten buńczuczny, jowialny przybysz z New Jersey o srebrzystej czuprynie, zbudowany jak zapaśnik, potrafiłby sprzedać lód Eskimosom, piasek pustynny nomadom, wodę delfinom... i to prawdopodobnie podczas jednego spotkania przy drinku. Nietrudno było się zorientować, dlaczego Johnny i Gene się przyjaźnią.

– Przy każdym wejściu i wyjściu stoją bramkarze i nikt dziś nie wejdzie

bez biletu.

Pewnie się nie zdziwisz, jak ci powiem, że wszystkie poszły wczoraj w trzy godziny. Ale dla mnie to bomba! Matko Boska, nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby sprzedać bilety tak szybko!

– Johnny objął Carsona ramieniem. – Zarobię na tobie kupę kasy, wiesz o tym, prawda?

I trochę niezręcznie się czuję, bo niewiele ci mam do zaoferowania. Co znaczy forsa dla faceta, który i tak śpi na pieniądzach? Pomyślałem sobie, że ty jeszcze nie włożyłeś karku w przysłowiowe jarzmo, a ja mam córkę, dwadzieścia dziewięć lat, twoja wielka fanka... no, co ty na to?

– Chcesz mi dać córkę za żonę w charakterze zapłaty? – roześmiał się Carson. – Dobrze, że moja narzeczona poszła na zakupy!

Johnny żartobliwie objął go za szyję ramieniem.

– Nie, bystrzaku. Mówię tylko, że moja córka jest ładną i miłą dziewczyną i że masz moje błogosławieństwo, żeby się rozerwać w jej towarzystwie, jeśli będziesz miał jeszcze siłę po występie. A jak mówię „rozerwać się”, to mam na myśli „rozerwać się”, jasne?

– To miłe z twojej strony. – Carson wyzwolił szyję z uścisku i wszedł po schodkach na podium. – Ale wystarczy mi zwykle honorarium.

Nie robił tego dla pieniędzy. Ani teraz, ani nigdy – i po to, żeby mieć łatwy dostęp do kobiet (jak również dostęp do łatwych kobiet), także nie. Pisał piosenki i śpiewał je, żeby odpędzić demony, a także dlatego, że uwielbiał tworzyć coś, co później zaczynało mieć znaczenie dla innych. Gdyby mógł coś zmienić w swojej karierze, to chyba tylko to, że wystrzeliła jak rakieta i dała się wtłoczyć w oczekiwanie i etykiety show-biznesu. Szkoda, że nie potrafił skuteczniej bronić swojego zdania... ale tak trudno było się wtedy zajmować czymś tak nieuchwytnym, skoro przychodzili do niego z walizkami pieniędzy, polepszającymi nastrój substancjami i kobietami, pozbawionymi jakichkolwiek zahamowań czy skrupułów...

Przespacerował się po podium, pomalowanym na matową czerń, aby odbite światło nie oślepiało, i spojrzał w głąb sali. W tej chwili było w niej jasno. Pracownicy krzatali się, poprawiali ustawienie stolików i krzeseł, sprawdzali poziom oleju w lampkach zapachowych ustawionych na blatach; czasem któryś zatrzymał się, by spojrzeć na niego. Podeszedł do fortepianu i odsunął taboret. Poprosił o zwykły instrument, a także o gitarę basową, gitarę rytmiczną i perkusję. Nie próbował ściągać swoich ludzi; wszyscy byli albo w domu, w Seattle, albo spędzali czas, tak jak on, w jakichś bardziej

słonecznych miejscach. Dziś będzie musiał sobie poradzić z miejscowymi muzykami, którzy za parę minut mieli się z nim spotkać na próbie.

Kiedy zobaczył wczoraj Meg, przeraził się: wyglądała na taką wyczerpaną, przygnębioną... I pierwszy szkic listy utworów na dzisiejszy wieczór zawierał wiele wczesnych kompozycji, które stworzył z myślą o niej. Kiedy jednak Val wróciła z treningu, znużona, przemoczona i ledwie powłócząca nogami – wyglądała doprawdy żałośnie w porównaniu ze swoim zwykłym, energicznym wcieleniem – Carson powrócił myślą do swojego tu i teraz. Nowa lista piosenek miała zadowolić słuchaczy i nie tkwiła tak dalece w odległej przeszłości. Włączył utwory uhonorowane nagrodą Grammy, a także przebój roku 2003 – *Rudzielec*. Ta kategoria obejmowała również Meg, ale tylko przypadkiem. Chyba w ogóle o niej nie myślał, kiedy ją pisał... choć przyparty do muru mógłby przyznać, że to ona stanowiła pierwotną inspirację.

– A jakby tak mała próbka koncertu? – zawołał Johnny od baru.

Carson podniósł klawisz fortepianu i przebiegł palcami po klawiaturze, od najniższych dźwięków do najwyższych.

– A to znasz?

Zaczął od pierwszych tonów *Piątej symfonii* Beethovena, po czym szybko przeszedł do swego szlagieru *Twarzą w dół*. Nastolatki myślały, że w piosence chodzi o seksualną pozycję kobiety, ale w rzeczywistości mówiła ona o jego pierwszych latach, gdy po nocy spędzonej na balandze budził się z twarzą na podłodze, trawniku... a raz nawet na dachu czyjśgo niebieskiego camaro rocznik sześćdziesiąt dziewięć.

Bez włączonego mikrofonu jego głos dochodził tylko do pierwszego czy drugiego rzędu stolików. Stopniowo, porzucając swoje zajęcia, zaczęła ściągać klubowa załoga.

Zawsze lubił tego typu występy, kiedy byli tylko on, fortepian i mały, przychylne grono słuchaczy. Komponowanie muzyki stanowiło terapię, ale jej przekazywanie było jak dar, który sprawia przyjemność, dodaje energii, koi, inspiruje. Czuł się mały i nieważny, gdy to robił. I potrzebny.

By jeszcze trochę przedłużyć przyjemność, po zakończeniu piosenki przeszedł do kolejnej, *Żywcem pogrzebany* – swojej ulubionej ballady, którą usunął z programu, bo tyle było w niej Meg i śpiewanie jej oznaczało rozkrwawianie ran na nowo. Teraz jednak, w otoczeniu przyjaznej, anonimowej widowni, poczuł, że to właściwa chwila, by wyrzucić ją z siebie i być może wypędzić kolejnego demona.

Zabrzmiały pierwsze akordy fortepianu, pełne smutku i słodczy. Pozwolił, by dźwięki zawisły przez chwilę w powietrzu. W sali było teraz cicho jak makiem zasiał. Ze ściśniętym sercem zaśpiewał pierwszy wers. Miał wrażenie, że serce stawia opór, że nie chce, by melodia i słowa wypłynęły na zewnątrz. Jak zagubiony w zamieci wędrowiec pragnęło zachować nadzieję, nawet jeśli nadziei nie było. Przymknąwszy oczy, pozwalał, by ballada narastała w nim i płynęła – w nadziei, że uwolni się od daremnej tęsknoty za przeszłością, której nigdy nie było, i przyszłością, której nigdy nie będzie.

Słowa przychodziły bez trudu, tak jakby piosenka stale brzmiała gdzieś w nim, cichutko, ale uparcie, czekając – na co? Żeby ją dostrzegł i coś z tym zrobić? Niczym dzikie stworzenie, trzeba ją było albo oswoić, albo wypuścić na wolność. Kiedy jednak śpiewał finałowe akordy, wiedział, że mu się to nie udało. Miłość do Meg, tak dawna, że niemal nie pamiętał czasów, kiedy jej nie kochał, nie dawała się usunąć z serca. Nie zniszczyły jej ani alkohol, ani narkotyki, ani seks dla rozrywki, ani świadomy wysiłek, ani nawet autentyczna, choć odmienna miłość do innej kobiety. Odchylił głowę do tyłu. Finałowym dźwiękiem fortepianu zawtórowały potężne oklaski.

Johnny podszedł do instrumentu.

– Jezus, człowieku! O mało się nie rozbeczałem jak dziecko! – Otarł oczy, naprawdę mokre. – Jak masz zamiar tak dzisiaj śpiewać, to chyba, kurwa, musimy dać każdemu przy wejściu chustkę do nosa!

27

w PIĄTEK, IDĄC NA UMÓWIONE BADANIA, Meg zabrała ze sobą pamiętniki matki, żeby poczytać w przerwach. Choć ilekroć czytała, żołądek zaciskał się jej w twardą kulę, ciągnęło ją to zagłębianie się w świat matczynych myśli. Każde słowo zwiększało tęsknotę za nią, każde nowe odkrycie czy przypomnienie o czymś, co wiedziała, raczej wzmagало smutek, niż go łagodziło. A jednak czytanie było jak lekarstwo o okropnym smaku, przyjmowane w nadziei, że w końcu pomoże.

30 listopada, 2001

Najniższa temperatura: 13 st. , najwyższa: 27 st. Rekord! Nie padało.

Czytałam w gazecie o tym, jak Carson został jednym z najpopularniejszych piosenkarzy.

Robili z nim wywiad przez telefon. Mieszka gdzieś daleko na Zachodnim Wybrzeżu. Jamesowi i Carolyn musi być ciężko.

Ale na pewno są też z niego dumni – kolejny platynowy album! I ta

piosenka na poprzedniej płycie, z której dochód został przeznaczony dla rodzin ofiar z jedenastego września. Matko Najświętsza, jak trudno zrozumieć dzisiejszy świat...

Wciąż się jeszcze nie ożenił i prowadzi szalone życie gwiazdy rocka – tak było napisane w tym artykule. Domyślam się, że nie ma się czym chwalić... Ale pewnie przesadzają, żeby sprzedaż była większa. Wspomniałam o artykule Meggie, kiedy zadzwoniła po obiedzie, ale nie chciała o tym rozmawiać. „To jego sprawa” – powiedziała i zaraz zaczęła mówić o jednej ze swoich pacjentek, która ma raka jajnika. Biedna kobieta... Doszło do tego, że poprosiła Meggie, aby jej pomogła się zabić, kiedy ból stanie się nie do wytrzymania. Dlaczego lekarze nie mogą pomóc człowiekowi w taki sposób? Co za idiotyczny system panuje w tym kraju! Ci sami ludzie, którzy nie chcą się zgodzić na miłosierdzie eutanazji, ochoczo wysyłają na wojnę zdrowych, młodych chłopców i nie mają z tym żadnego problemu, że giną i oni, i niewinni ludzie, którym bomby lecą na głowę.

Jezu, jaka ja się dziś czuję rozbita. Dzwoniła Beth z wiadomością, że ma nowego partnera, który jest wydawcą jakiegoś magazynu. Podała tytuł, ale nigdy nawet o takim nie słyszałam. Obraca się teraz wśród tego typu ludzi, uprawiających dziwne zawody, rozmawiających o światowej polityce i filozofii. .. Ja mam dla niej filozofię: znaleźć porządnego mężczyznę i się ustatkować! Ma dwadzieścia sześć lat i nie będzie coraz młodsza, tylko coraz starsza. Ale ona mówi, że najpierw musi zrobić doktorat z historii Azji. Czasem się zastanawiam, w kogo się wrodziła, bo nawet nie potrafię wymówić nazw tych miejsc, o których ona się uczy!

Meggie powiada, że trzeba jej dać spokój, niech robi, co uważa. Znajdzie swoje miejsce w życiu, tak jak my wszyscy. Co ja na to poradzę, że chciałabym, aby moje córki były szczęśliwe? A przynajmniej żeby ułożyły sobie życie. Meggie jest teraz taka poważna i tyle pracuje. Jest dobra w tym, co robi, ale słowo daję, mam wrażenie, że w ogóle przestała się uśmiechać.

To, że wspomniałam o Carsonie, niestety nie polepszyło sprawy. Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie wybaczyła, że złamała mu serce. Poczucie winy ma wielki apetyt, już ja coś o tym wiem – sama przecież ją namawiałam, żeby go zostawiła. A taki był dla niej dobry, taki w nią zapatrzony! To była najprawdziwsza miłość, drugiej takiej nie znajdzie, a ja próbowałam z tego zrobić szczenięce zaślepienie. Pozwoliłam, żeby przekonała samą siebie do małżeństwa z Brianem, bo naprawdę chciałam wierzyć, że tak będzie dla niej lepiej. Ile dobra z tego wyniknie, mówiliśmy wszyscy! Ale jedna Matka Boska

wie oprócz mnie, że Spencer stracił wszystkie pieniądze, które dostał. Nasza sytuacja jest w tej chwili niewiele lepsza niż w roku osiemdziesiątym dziewiątym.

No więc gdzie jest to dobro? Carson tłucze się po świecie, zmieniając kobiety jak rękawiczki, pije i w ogóle. Meg przesiaduje w szpitalu albo w gabinecie po osiemnaście godzin na dobę... Dobrze jest chyba tylko to, że mamy Savannah wszystko ma zawsze jakąś dobrą stronę, jak się lepiej przyjrzeć.

Pomodłę się dziś za Carsona, i za Jamesa, i Carolyn też. A już najbardziej za Meggie, żeby zdołała jakoś wyjść z tego smutku i zaznała trochę szczęścia. Spraw to, Matko Najlitościwsza, dopomóż jej – i nam wszystkim – znaleźć drogę ku światłu.

28

W PIĄTKOWY WIECZÓR MEG POZWOLIŁA się SAVANNAH HOLOWAĆ do wejścia, a potem do drugiego rzędu ponumerowanych stolików, na których widniały kartoniki z napisem: VIP. Z

tyłu za nimi ustawiono szeregi wąskich składanych krzeseł; pusta przestrzeń na końcu sali przewidziana była jako miejsca stojące. W powietrzu czuć było zastarzały tytoniowy dym i świeży pot podekscytowanych fanów i fanek. Stolik, przy którym się zatrzymały, oznakowany jako VIP 12, znajdował się tak blisko podium i fortepianu, iż Meg pomyślała, że zdoła policzyć wszystkie włoski na brodzie Carsona, jeśli od wczoraj się nie ogolił.

– To nasz – powiedziała Savannah. – O rany, ale będzie fajnie. – Stojąc, rozglądała się po podium, oczarowana widokiem mikrofonów, wzmacniaczy, gitar i wielkiego lśniącego fortepianu.

Meg usiadła na tym z krzeseł, które według jej oceny było najbardziej z brzegu pola widzenia Carsona. Miała słabą nadzieję, że podświetlenie sceny i ostry blask reflektorów uniemożliwią mu rozpoznanie kogokolwiek w sali, nawet osób siedzących mu tuż pod nosem.

Po tym, co przeszła dzisiaj, słaba nadzieja na pomyślne rozwiązanie mniejszego problemu to było wszystko, na co mogła się zdobyć.

Kwadrans po ósmej miała pierwsze badanie – rezonans magnetyczny – i od tej chwili przez cały dzień wciąż była oglądana, kluta i dżgana przez armię pielęgniarzy i techników, którzy traktowali ją z takim szacunkiem i życzliwością, że miała ochotę złapać każdego z nich za gardło. Nikt nie był dla niej tak serdeczny, gdy przed laty robiła sobie badania prenatalne, ani zeszłego lata, kiedy skręciwszy kolano przy zsiadaniu z konia, czekała na

pogotowiu siedem godzin, zanim w końcu udzielono jej pomocy. Ze swoim pospolitym urazem była dla przepracowanych lekarzy równie bezosobowa jak każdy pacjent. Dopiero gdy człowiek jest naznaczony, traktują go tak, jak ją traktowano dzisiaj. Sama też niejednokrotnie była taka miła – ostatnio dwa tygodnie temu, kiedy musiała powiedzieć trzydziestoczteroletniej pacjentce, że jej powiększona macica to nie ciąża, tylko złośliwy guz, i to tak zaawansowany, że szanse na przeżycie były mniej więcej takie, jak prawdopodobieństwo, iż w sierpniu na Florydzie spadnie śnieg. A jednak szansa istniała. Nieszczęsna pacjentka mogłaby z tego wyjść, gdyby hiperagresywna chemioterapia, radioterapia i zabiegi chirurgiczne się powiodły.

Współczesna medycyna dawała jej promyczek nadziei, choć tak nikły, że niemal niedostrzegalny. Dla Meg miała tylko nieprzeniknioną czerń – grób za życia.

Popatrzyła na Savannah, na jej śliwkowy podkoszulek i zblakłe džinsy biodrówki, przyozdobione na udach wzorkiem z imitacji diamentów. Załamywało się w nich światło, gdy stała, chłonąc wzrokiem scenę: była na pierwszym w życiu rockowym koncercie! Meg patrzyła na rozsypujące się po ramionach włosy, na błyszczące oczy. Jak dorośle wyglądała, z tą leciutką zieloną kreską na dolnej powiece, z przyciemnionymi, przedłużonymi rzęsami...

Śliczna dziewczyna, o niepowtarzalnej urodzie – i mądra także. Jak będzie wyglądało jej życie za dziesięć lat? Za dwadzieścia? Jak będzie się czuła bez matki, kiedy będzie miała tyle lat co Meg – trzydzieści osiem? Bo zostanie bez matki – doktor Andre Bolin, specjalista od ALS, nie był w stanie przedstawić innej diagnozy.

Wszedł do sali badań, gdzie czekała na niego, owinięta wzorzystym prześcieradłem, w skarpetkach, bo marzły jej stopy. Jak długo tak siedziała, machając nogami, na krawędzi stołu? Pięć minut? Pięćdziesiąt? Nie miała pojęcia, bo rozmowa z Bolinem nastąpiła pod sam koniec długiego, wypełnionego czekaniem dnia.

Koniec. Właśnie tak to widziała, już wtedy, gdy siedziała i czekała na niego w sali badań.

Niepotrzebny jej był specjalista, by zrozumieć opuszczone kąciki ust technika, który jej robił

rezonans magnetyczny, czy spłoszony wzrok pielęgniarki, wprowadzającej ją do sali. Mogła napisać na kartce, co powie Bolin – choć

rozpaczliwie pragnęła się mylić. Zrobił jej rozszerzone badania, sprawdzając każdy duży mięsień, szyję, twarz, ręce... poprosił, aby coś powiedziała, przełknęła ślinę, roześmiała się (żałosny był to śmiech), zakaszła, skinęła głową... Potem ubrała się, wyszła i usiadła obok niego w rozległym gabinecie, z półkami wypchanymi grubymi tomami książek medycznych, ale także powieściami – w jakim celu?

„Wątpliwe, żeby znajdował czas na czytanie w ciągu dnia. Czy były tu po to, żeby je pożyczać pacjentom, którzy jak ona wkrótce nie będą w stanie utrzymać książki w ręce, a cóż dopiero przewracać stron? Żeby mogli zaoszczędzić trochę bezcennego czasu i nie musieli iść do księgarni czy wypożyczalni? Jej ciekawość nie została zaspokojona. Jedyne, z czym opuściła gabinet, to stwierdzenie Bolina, że przykro mu, ale wyniki badań potwierdzają wcześniejsze rozpoznanie, oraz dwie broszury (*Informacje dla niedawno zdiagnozowanych i jak żyć z ALS*, pocieszny tytuł), a także notatkę na wyrwanej z receptariusza kartce z nazwiskami chorych na ALS, którzy być może będą mieli ochotę na spotkanie.

Jedyne pytanie, jakie zadała Bolinowi, dotyczyło stanu badań nad lekami.

– Nie ma nic, co by na pani zrobiło wrażenie jako na pacjentce – powiedział. – Jedynym lekiem, co do którego udowodniono pewną skuteczność, jest riluzol. Jeśli zaczniemy go stosować od zaraz, może pani przedłużyć życie.

– O ile? – spytała. Westchnął.

– Z badań wynika, że niektórzy pacjenci zyskują do sześćdziesięciu dni.

Roześmiała się wówczas, roześmiała naprawdę.

– Sześćdziesiąt nadprogramowych dni kompletnego paraliżu całego ciała, odżywiania przez sondę, oddychania przez respirator... Super! Koniecznie proszę mi wypisać receptę, panie doktorze!

Bolin pozwolił jej na sarkazm i na to, by zrezygnowała z leku... a teraz, choćby nie wiem jak była wstrząśnięta, musi być matką: zachowywać się normalnie, tak by jej dziecko nic nie zauważyło. Nie powie Savannah, jeszcze nie teraz, kiedy śmiertelna rana jest taka świeża.

Kiedyś jej powie, to jasne, ale nie miała pojęcia, kiedy nastąpi to „kiedyś”. Jak w ogóle można powiedzieć dziecku, że umieramy? I jak można nie powiedzieć?

– Ale świetne miejsca – powiedziała Savannah, siadając obok niej. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że kupiłam te bilety dla VIP-ów.

– Cieszę się, że tak zrobiłaś – skłamała Meg. Gdyby to ona decydowała,

usiadłaby gdziekolwiek, byle nie tu, o dziesięć metrów od Carsona, który będzie śpiewał piosenki napisane z myślą ojej zbrodni.

Kupując płyty z jego muzyką, słuchając jej, potrafiła zachować od Carsona bezpieczny dystans. Nie burzył jej spokoju fakt, że teksty niektórych piosenek opowiadały ich historię, uwzniośloną w ten sposób, bardziej romantyczną; czuła się nawet wyróżniona, wiedząc, że jest ich inspiracją. Dystans między przeszłością a utrwalonym na srebrzystej plastikowej płycie głosem Carsona był tak odległy, że pozwalał smakować słodycz i gorycz wspomnień bez szczególnego poczucia winy. Dzięki temu mogła zachować jakąś część Carsona, której nawet Brian nie mógł jej mieć za złe... zresztą on w ogóle nie interesował się muzyką. Nie włączała płyt Carsona, gdy był w pobliżu, a jego płytoteka składała się wyłącznie z książek na temat inwestowania, zarządzania i światowej ekonomii w wersji audio.

Odkąd Meg została jego żoną, przestał być zazdrosny o Carsona. Dlaczego miałby być zazdrosny? Wierzył w wyniki. Wybrała jego, była mu wierna – sukces i sława Carsona mogły co najwyżej stanowić materiał do zajmującej anegdotki, opowiadanej podczas przyjęcia.

Kiedy w dziewięćdziesiątym ósmym roku Carson – zgodnie z jakimś przestarzałym przepisem prawnym, obowiązującym w Karolinie Północnej – został oskarżony o kontakty seksualne z cudzą żoną, Brian ochoczo relacjonował ten fakt znajomym, dodając, że Meg miała szczęście: uratował ją od niesławy. Tak jakby Carson miał prowadzić podobne życie, gdyby z nim została... Nigdy nie powiedziała tego na głos, uśmiechała się tylko i wzruszała ramionami, uczestnicząc w tych kpinach, jak na lojalną żonę przystało. Gdyby zaczęła bronić Carsona, wzbudziłoby to tylko podejrzenia, skierowało uwagę na jej uparte, zdradzieckie serce – i postawiło w złym świetle Briana. Nie, dobrze wiedziała, że nie należy wychylać się spoza palisady, którą obwarowała swoje życie.

W klubie przybywało coraz więcej uszczęśliwionych fanów. Dwie dwudziestoparolatki przy sąsiednim stoliku wymieniały uwagi z trójką młodzieńców: kto zobaczył wiadomość na stronie www, kto dostał maila, co kto zrobił, żeby jak najszybciej dostać bilety... Savannah, która też słuchała, odwróciła się i włączyła do rozmowy.

– Jak to dobrze, że dostałam od taty Black-Berry na gwiazdkę, inaczej mowy nie ma, żebym się w porę dowiedziała! Zawsze mam sygnał, jak dostanę maila, więc od razu sprawdziłam i poczułam, że muszę, muszę mieć bilety! Moja mama go zna – dorzuciła.

– Niemożliwe! – zawołała jedna z dziewczyn, ufarbowana na rudo, z wizerunkiem twarzy Carsona na obcisłej podkoszulce, opinającej drobne piersi bez stanika.

– Tobycie weszły za kulisy! – oświadczyła druga, w identycznej podkoszulce, ujawniającej fałdę tłuszczu nad talią.

Savannah skinęła głową.

– Tak, wiem, ale nie chciała... no wiesz, odwoływać się do ich dawnej znajomości.

Pewnie spotkamy się z nim po koncercie. Prawda, mamó?

Meg z zainteresowaniem patrzyła na tę nową, ożywioną wersję Savannah, ale nie zaprzeczyła.

Przy stoliku zatrzymał się kelner, by położyć precle i odebrać zamówienia na drinki – kolejny przywilej związany ze statusem VIP-a.

– Gin, lód, twist z limonki – powiedziała Meg. Savannah zamówiła dietetyczną colę.

– Przyniosłam wszystkie płyty. – Savannah poklepała torbę, zawieszoną na oparciu krzesła. – Żeby Carson je podpisał. I muszę pamiętać o koszulce dla Rachel. Mają jakieś przy wejściu, widziałas? Może kelner by nam przyniósł? A może wezmę też dla siebie... i Carson by je podpisał, co?

– Nie wiem, kochanie... Savannah zmarszczyła brwi.

– Nie możemy przynajmniej spróbować?

Meg otworzyła usta, aby rzucić dydaktycznym tekstem w stylu: „to nieładnie się narzucać” czy „trzeba szanować ludzką prywatność”, ale ugryzła się w język. Ile jeszcze będzie miała okazji stać się bohaterką w oczach Savannah? Naprawdę nie chciała się narzucać Carsonowi: chciała zobaczyć występ, ale poza tym zdecydowanie wołała go unikać. Dla córki może jednak podjąć wysiłek.

I bądźmy szczerzy: jakaś jej część, ta sama, która uległa porywowi w dniu ślubu, pragnęła zobaczyć Savannah i Carsona razem, blisko siebie. Savannah była tak podobna do niej, że nie potrafiła powiedzieć, kto jest ojcem: Brian czy Carson. Kochała się tamtego dnia i z jednym, i z drugim... Kiedy zobaczy Savannah i Carsona na żywo, być może dostrzeże między nimi jakieś podobieństwo.

Uprawiała tę grę porównań od bardzo dawna, odkąd przypadkiem, podczas zakupów w supermarkecie Target w Gainesville, natknęła się na pierwszą płytę Carsona. Savannah, wówczas czteroletnia, siedziała przypięta w wózku, z malutkim tygrysem w jednej ręczce, a prosiaczką w drugiej.

Zwierzęta „rozmawiały” ze sobą wysokim i niskim głosem, pograżone w dyskusji, co lepiej zrobić na kolację: makaron z serem czy ser grillowany. Był to tydzień, w którym Savannah jadła wyłącznie rzeczy z serem. Kolejnym stadium miały być rzeczy fioletowe: zjadała wówczas mnóstwo sorbetowych lodów malinowych. Meg bardzo ją rozpieszczała ostatniego lata przed rozpoczęciem stażu: łagodziło to poczucie winy.

Na okładce płyty było zbliżenie twarzy Carsona, chmurnej, ale ze śladem enigmatycznego uśmiechu w kącikach ust. Oczy miał ciemnozielone, smutnawe; w lewym uchu nosił małe srebrne kółko. Ciekawe, jak zareagował na to jego ojciec, pomyślała Meg.

Jak dziecko, które cichcem wykrada erotyczne pisemko, szybko chwyciła płytę i wepchnęła ją do czerwonego sklepowego wózka – to nie jest ser, kaprysiła Savannah – pod opakowanie papierowych ręczników i stos letnich ciuszków dla córeczki, która nieustannie wyrastała ze wszystkich ubrań. Rozejrzała się, czy nikt nie widział, że wzięła płytę, tak jakby ten ktoś mógł zobaczyć i jej zdradzieckie serce. Nie powinna myśleć o Carsonie, nie powinna tu stać, zahipnotyzowana widokiem jego uszu, podobnych do uszu Savannah.

Gdyby słuchała teściowej i męża, nigdy by się tu nie znalazła. Brian i Shelley zawsze krytykowali jej upodobanie do zakupów w Targecie. Może sobie pozwolić na lepsze sklepy; czy nie chce, żeby to było widać? Ona jednak nie przywykła do wydawania dużych sum; sprawdzanie wyciągów z konta bankowego onieśmiało ją, nawet gdy jej studia medyczne zostały już opłacone. Stacją było na zakupy w luksusowych centrach handlowych, oczekiwano, że będzie tam chodzić, ale ona czuła się w nich jak ktoś, kto bezprawnie naruszył cudzy teren. Target był bezpieczniejszy. Zazwyczaj... Dopóki nie zaczęła kupować płyt Carsona McKaya.

Gdy tylko znalazły się w aucie, od razu włożyła płytę do odtwarzacza. Żołądek miała ściśnięty, twardy jak głaz: słuchała po raz pierwszy od pięciu lat głosu Carsona. Zanim skończyła się pierwsza zwrotka, wiedziała, że piosenka jest o niej; dźwięki nacierały jak burza, głos Carsona wypełniał przestrzeń, spowijając ją w jego melancholię. Dopiero gdy nad głową przeleciał jej pluszowy tygrys i wylądował na desce rozdzielczej, wyciągnęła rękę i szybko wyłączyła stereo.

– Mamo, tygrys jest głodny. Jedźmy już do domu, dobrze? Mówi, że chce na kolację chrupki i kawałek serowej polenty, *prontol* Zanim Meg posłuchała prośby tygrysa, wyjęła płytę z odtwarzacza i wrzuciła do stojącego przed

sklepem pojemnika na śmieci.

Pod koniec fioletowego tygodnia pojechała do Targetu sama i kupiła płytę jeszcze raz.

Jeśli zobaczy dziś Carsona i Savannah razem, może dostrzeże jakieś nowe sygnały tego, kto jest jej ojcem. Może dostrzeże... a może nie. Ale to nie będzie żaden pewny dowód, podobnie jak fakt, że Savannah zdawała się mieć owal twarzy i nos Briana, nie stanowił

dowodu, że jest jego córką – bo jak w takim razie wyjaśnić jej muzyczne zdolności? Czyjej oczy, zielone jak świeżo przekrojona limonka, uszy o niewielkich płatkach, faliste włosy to po prostu zbieg okoliczności?

Połączone geny Powellów i Hamiltonów?

– Dobrze, spróbujemy wejść – powiedziała głośno. Savannah impulsywnie pocałowała ją w policzek.

– Dzięki, mamoo! – I uśmiechnęła się uśmiechem Meg, tyle że z prawej strony miała klamrę, korygującą skrzywiony kieł.

Co za szczęście, że córka jest podobna przede wszystkim do niej. A gdyby się okazało, że jest żywym obrazem Carsona? Meg nie pomyślała o tym, gdy do niego poszła, co dowodzi, jaką była wtedy idiotką. We władzy emocji. Zawsze starała się unikać tego niebezpiecznego stanu.

Jeśli Carson był ojcem Savannah, to poślubienie Briana niewiele dało. Jak napisała w dzienniku matka, ojca po prostu nie można było wyciągnąć z dołka, który wykopał, bo zaledwie się go wyciągnęło, kopał następny. Tak, jej małżeństwo umożliwiło im pozostanie na farmie, i nie była to rzecz bez znaczenia. Ale jaką korzyść przyniosło w ostatecznym rozrachunku matce i siostrze?

Cóż, nie ma sensu teraz tego dociekać. Zbyt dużo pochłania to energii, a niczego już się nie da zmienić. Manisha zawsze powtarza: „Choćbyś się, człowieku, schował w myszą dziurę, i tak dosięgnie cię przeznaczenie”.

Światła przygasły, a wraz z nimi szmer podekscytowanych głosów. W chwili gdy przy stoliku pojawił się znowu kelner, przynosząc drinki, zainstalowany na balkonie reflektor rzucił na środek sceny snop światła. Niemal natychmiast w świetlnym kręgu pojawił się siwowłosy mężczyzna z wąsami.

– Witajcie! – zawołał do mikrofonu. Odpowiedziały mu radosne gwizdy i krzyki.

– Jestem Johnny Simmons... – kolejne gwizdy – ... a was czeka dziś uczta nie z tej ziemi!

Tłum wybuchnął, a Savannah wraz z nim. Meg ze zdziwieniem i zmieszaniem poczuła, że ściskają w gardle.

– Niektórzy z was wiedzą, że miał dziś grać nowy zespół, Frito Bandito, a są zajebiści, możecie mi wierzyć! Ale pana Bandito dopadła jakaś paskuda... nie, wcale nie kobieta ani aligator, mam na myśli paskudne przeziębienie. Moja wrodzona zdolność przekonywania, a może ślepe szczęście, że akurat był w rodzinnym mieście, planując ślub... – jęk zawodu wypełnił salę – ... ze światowej klasy surferką, Valerie Haas... – Johnny skierował spojrzenie w dół, na stolik oddalony nie więcej niż pięć metrów od Savannah i Meg – ... która jest tu z nami, żeby podziwiać swego mężczyznę. .. – krążek światła omiótł scenę i spoczął na Val, a ona zmrużyła oczy i pomachała – .. jednym słowem, mam zaszczyt i przyjemność zapowiedzieć tu, w najbardziej zajebistym muzycznym klubie Orlando... Carsona McKaya!

Krąg światła przemknął na lewo i na podium wskoczył Carson. Skłonił się krótko i usiadł

przy fortepianie. Z tyłu, za nim, scena zajaśniała niebieską poświatą, ukazując pozostałych muzyków.

Carson poprawił mikrofon.

– Dzięki, Johnny, i dzięki wam wszystkim, że zechcieliście przyjść, żeby nas posłuchać.

Znowu wybuchła burza oklasków i gwizdów. Jakie to dziwne, pomyślała Meg, widzieć go na scenie. Ubrany był w czarne dżinsy i białą koszulę; podwinięte mankiety ukazywały tatuaż na przedramieniu, a rozpięty pod szyją kołnierzyk z długimi rogami przypominał jej koszulę, którą miał na sobie na uroczystości rozpoczęcia roku, gdy zaczynała naukę w college'u. A więc to on – nagle większy niż cały świat. Czy i Val tak go widzi? Zerknęła na Val, zwróconą do niej tyłem, i pomyślała, jak to jest: znać tego Carsona.

Przebiegł lekko palcami po klawiaturze i radosny aplauz zamarł.

– Dziękuję. Dziękuję bardzo. A teraz, zanim rozpoczniemy występ, pozwólcie, że podziękuję także zespołowi i go przedstawię. Ci znakomici muzycy musieli ze mną wytrzymać przez cały dzień, ćwicząc piosenki, z którymi nie byli zbyt oswojeni, i pewnie się zastanawiali, co im do diabła strzeliło do głowy, że się zgodzili zastąpić tych szaleńców, z którymi normalnie występują... a pozwolę sobie dodać, że w porównaniu z tymi oto chłopakami to banda obiboków.

Przedstawił kolejno wszystkich członków zespołu, chwalać każdego i pozwalając, by powiedział parę słów o sobie. Na gitarze grała dziewczyna –

wysoka i gidiowata, w długich do kolan butach. Savannah szturchnęła matkę.

– To mogłabym być ja!

Meg przypatrywała się Carsonowi. Ten naturalny sceniczny wizerunek, to duchowe bogactwo, dzięki którym znajdował się teraz w świetle jupiterów... Valerie Haas była szczęściarą.

– No dobrze, w takim razie na początek piosenka, którą napisałem... pięć lat temu czy jakoś tak, kiedy wróciłem z Bangkoku, zmęczony po podróży samolotem i trochę...

powiedzmy, zdołowany. Może ją słyszeliście. Nazywa się *Nad poziomem morza*.

Dał znak zespołowi i piosenka się rozpoczęła. W jednej chwili Meg poczuła, że niejako wsysają energia tłumy i senna, uwodzicielska melodia. Przez parę słodkich chwil potrafiła zignorować lekką, ale dostrzegalną słabość w ręce, gdy unosiła kieliszek do ust. Przez parę słodkich chwil była po prostu jedną z niezliczonych fanek Carsona.

29

VINCE, NAJSTARSZY z TRZECH SYNÓW JOHNNY'EGO, znalazł Carsona za kulisami w chwilę po zakończeniu drugich bisów. Carson, obejmując ramieniem Val, rozmawiał z Alekssem, perkusistą.

– Panie McKay... przepraszam, że przeszkadzam, ale jakaś pani chciałaby z panem chwilę porozmawiać. Mówi, że jest dawną znajomą.

Żadnych dziewczyn, pomyślał Carson. Zawsze próbują tego tekstu, tak jakby go nie słyszał już tysiąc razy.

– A jaki ma rozmiar stanika? – spytał Alex. – Może jest też moją znajomą?

Vince wyszczerzył w uśmiechu zęby i pokręcił głową.

– Nie, to nie tak... O, tutaj mi napisała nazwisko. – Podał Carsonowi opakowanie po gumie do żucia. – Chyba nie miała przy sobie nic innego.

Meg i Savannah Hamilton, przeczytał ze zdziwieniem Carson. Val przeczytała to także.

Najwyraźniej nie pamiętała nazwiska kobiety, którą widziała przelotnie poprzedniego dnia, gdyż spytała:

– I co, to prawda?

Pomyślał, że mógłby powiedzieć: „Nie, pierwszy raz o nich słyszę”, i dalej robić swoje.

Miał nadzieję, że nie zobaczy już Meg przed opuszczeniem Florydy. Co ona tu robi?

Dlaczego przyprowadziła ze sobą córkę? Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że są jego fankami. Mógł teraz udać, że ich nie zna, i pojutrze leciałby sobie spokojnie do Nowego Orleanu. No tak, a potem czułby się okropnie... choćby dlatego, że rozczarował dziecko.

– Dawaj je tutaj – powiedział do Vince’a. – Tak, to znajoma. Pamiętasz, poznałaś Meg wczoraj, u Pingwina Pete’a – rzucił do Val.

– O Boże! Ale ze mnie gapa. Nie zwróciłam uwagi na nazwisko. No pewnie, pomyślał.

Dlaczego miałabyś zwracać uwagę?

Alex wyszedł, żeby poszukać „ciekawszych widoków”, jak się wyraził, a Vince po chwili wrócił, prowadząc najwyraźniej rozentuzjasmowaną, niezwykle urodziwą nastolatkę, za którą ze znacznie mniejszym zapalem szła kobieta. Wyglądała jednak lepiej niż wczoraj.

Savannah nagle się cofnęła – zawstydzila się? Meg wysunęła się leciutko przed nią i wyciągnęła rękę.

– Cześć, Carson. Miło cię znowu widzieć... Boże, po tylu latach. Co za wspaniały koncert!

Latach? I równie szybko jak pytanie przyszła odpowiedź: ona nie chce, żeby Savannah dowiedziała się o ich wczorajszym spotkaniu. Uścisnęła rękę Meg. Odwzajemniła uścisk słabo, dłoń miała wilgotną: była zdenerwowana.

– Dzięki. To prawda, minęło sporo lat. – Spojrzał na Val. – A to moja narzeczona. – Leciutko utknął mu w gardle ten tytuł, kiedyś przeznaczony dla Meg.

Milczenie Val świadczyło, że zrozumiała sygnał i podjęła grę.

– Val Haas, Meg Hamilton i jej córka... Savannah, tak? – podjął Carson.

Savannah skinęła głową i posunęła się odrobinę do przodu. Stała teraz ramię w ramię z Meg.

– Wyglądacie jak siostry – powiedział, nie po to, żeby sprawić im przyjemność, ale dlatego że była to prawda. Savannah wyglądała na doroślejszą, niż była... ileż mogła mieć lat, szesnaście?... a po Meg, w dzinsach i obcisłym podkoszulku, niespecjalnie było widać wiek, jeśli nie liczyć ciemnych półksiężyców pod oczami, dowodów wyczerpania.

Val uścisnęła rękę każdej po kolei.

– Jak siostry – potwierdziła. – Naprawdę.

– Jest pani bardzo miła – powiedziała Meg. – Mam nadzieję, że wybaczycie nam to najście, ale Savannah miała nadzieję...

– To byłby dla mnie wielki zaszczyt, gdyby pan podpisał te podkoszulki.

– Savannah wyciągnęła ku niemu dwa T-shirty, do tej pory przewieszane przez jej rękę. Wziął je. – I płyty też – dodała, grzebiąc w płóciennym torbie (Val miała taką samą, tylko żółtą), z której wyciągnęła kilka krążków. – I mam to. – Podana mu niezmywalny marker, wyrazisty jak wykrzyknik.

– No, skoro tak – zaśmiał się Carson, patrząc na Meg. Uśmiechała się tym swoim zakłopotanym uśmiechem, który tak dobrze znał. Pojawił się po raz pierwszy, jeśli go pamięć nie myli, gdy po raz pierwszy pocałował jej nagie piersi. Mogła mieć wtedy... mniej więcej tyle lat co Savannah. Jezu.

Położył wszystko na wzmocniaczu i wziął do ręki marker.

– Powiedz mi, jak się pisze twoje imię. Savannah powiedziała.

– Na tej czerwonej, dobrze? Różowa jest dla mojej przyjaciółki Rachel. Może pan podpisać się i dla niej?

– A ona jest tutaj?

– Nie, nie mogła przyjechać. Jej mama jest okropna... nie pozwoliła jej opuścić lekcji etykiety.

– Etykiety? – Carson spojrzał na Meg. Wzruszyła obronnie ramionami.

– Uczą się tańczyć walca, korzystać z różnych utensyliów na oficjalnej kolacji, pisać listy z podziękowaniem...

– Lamerstwo – skrzywiła się Savannah. – Ja to miałam w zeszłym roku. Carson, zabierając się do płyt, spojrzał na Meg i się uśmiechnął.

– Nie do wiary, że my dajemy sobie radę bez specjalnego treningu.

– Nigdy bym nie posłała dziecka na coś takiego – oświadczyła Val. – Nie chcę pani urazić, Meg, ale to takie... archaiczne.

– Nie zaszkodzi jej – odpowiedziała Meg.

Carson podpisał ostatni krążek i podał cały stosik Savannah, ale patrzył na Meg.

– Założę się, że teściowie są z tego powodu szczęśliwi – powiedział, nie mogąc się oprzeć, by nie wbić małej szpileczki. Pamiętał, że Hamiltonowie przywiązywali wielką wagę do form towarzyskich, do tego, by zawsze pokazać się z najlepszej strony. Ich synowie chodzili do prywatnych szkół, grali w golfa w ekskluzywnych klubach... aż dziwne, że pozwolili Brianowi ożenić się z kimś takim jak Meg. No, ale jeśli to, co słyszał, było prawdą, Brian zawsze robił, co chciał. I jego brat Jeffrey też. Meg to nie był zły wybór: nie była łatwą kelnereczką z nocnego klubu czy przesadnie opaloną instruktorką aerobiku, szukającą nadzianego faceta. Była inteligentną, ciężko pracującą młodą kobietą, która przypadkiem pochodziła z rodziny o niższym towarzyskim statusie. Na pewno bez trudu podbiła serca starszaków Briana.

A że Jeffrey poślubił Deirdre Smith-Harvey, której ojciec świeżo otrzymał stanowisko sędziego w Sądzie Najwyższym stanu, Hamiltonowie byli najprawdopodobniej zadowoleni z obrotu sprawy.

Zabrał się do podpisywania koszulek. Meg przyjrzała mu się uważnie i oddała ukłucie: – Tak... Bardzo dziękujemy, że pozwoliłeś nam wejść za kulisy. To dla nas prawdziwa przyjemność.

Co za znakomite maniery. Hamiltonowa w każdym calu... Sama mogłaby prowadzić lekcje etykiety, tak się upodobniła do rodziny męża. Nigdy nie zrobi żadnej aluzji do ich dawnej znajomości w obecności Val czy Savannah. Jakie to małostkowe z jego strony. Nie powinien jej prowokować.

Zadzwoniła komórka Val.

– Moja mama – powiedziała, rzuciwszy okiem na ekranik. – Za chwilę wracam... miło mi było się z wami spotkać, bo chyba już się nie zobaczymy – dodała, pomachawszy ręką Meg i Savannah, i wyszła, by porozmawiać na osobności.

– Jaka ona jest... rozwibrowana – zauważyła Meg, patrząc w ślad za nią. Carson skinął głową.

– Odmładza mnie. I jest niesamowita na desce.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Meg. Z przekąsem? Czy tylko tak mu się wydawało?

Savannah skończyła pakować płyty do torby.

– Jaki to świetny sport. Pokazują ją w telewizji?

– Czasami. Najbliższe zawody są na Bali, od poniedziałku. Sprawdź w programie.

– Ale mi Rachel będzie zazdrościć, że poznałam pana i Val!

– A mnie naprawdę jest bardzo przyjemnie, że poznałem ciebie – rzekł szczerze. – I bardzo się cieszę, że mogłem znowu zobaczyć twoją mamę. – To też było prawdą, w pewnym sensie. – Co za niespodzianka! Nie miałem pojęcia, że tracicie pieniądze na moje płyty.

– O Jezu, przecież to nie strata! – zawołała gorąco Savannah. – Pierwsza prawdziwa piosenka, jaką zagrałam na gitarze, była pana... a zresztą to wszystko jej.

– Co?

– Płyty. Wszystkie płyty są mamy, ja je sobie tylko przegrywam...

– Są wspólne, i moje, i... – próbowała wtrącić Meg.

– Grasz na gitarze? – przerwał. Zaskoczyło go odkrycie, że Meg kupuje jego płyty, ale tak jak ona, wolał uciec od tego tematu.

Savannah skinęła głową.

– Uhm. Ale strasznie chrzanię.

– Savannah...

– Sorry... Ale nie mam zbyt oszołamiających sukcesów – powiedziała, ironicznie przeciągając sylaby.

Roześmiał się.

– Ja też zaczynałem od gitary. A jaka to była piosenka? – Co za uroczy dzieciak. Jaka matka, taka córka. Tylko włosy miała kręcone, poza tym była właściwie taka sama jak Meg, kiedy miała szesnaście lat.

– Która? Ta, którą po raz pierwszy zagrałam?

Skinął głową.

– *W tunelu*. Podoba mi się wprowadzenie... nie jest takie ostre, jak w innych utworach.

Kolejna, którą stworzył z myślą o Meg. Zmusił się, by na nią nie spojrzeć. Skoro ma jego płyty, zna jego piosenki, to z pewnością potrafiła rozpoznać w nich siebie – i jego rozdartą duszę. No cóż, od początku wiedział, że istnieje takie ryzyko, prawda? Za każdym razem, gdy siadał w studiu nagrań, zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia ona może usłyszeć jego piosenki. Był jednak przekonany, że nie będzie ich kupować – nie zechce mieć go wokół

siebie, nie będzie odtwarzać, więc i nie wyłapie tekstu, zmieni stację, ilekroć natknie się na niego w radiu... Był pewien, że nie interesuje jej już nic, co by się wiązało z Carsonem McKayem. Czy małżeństwo z Brianem nie było tego niewątpliwym i niepodważalnym dowodem?

Najwyraźniej nie.

Czy są jeszcze jakieś sprawy, co do których się pomylił?

Zaświtało mu kilka możliwości, ale nie mógł poświęcić im uwagi, bo Meg wymownie popatrzyła na zegarek.

– Ojej, jak późno. Musimy już iść.

– Poczekaj chwilkę. – Savannah wyjęła z torby aparat fotograficzny. – Możemy sobie zrobić zdjęcie?

Meg wzięła aparat do ręki.

– No dobrze... stań obok. – Ustawili się, a ona długą chwilę patrzyła na ekranik aparatu.

Wreszcie pstryknęła.

– A teraz my – powiedział Carson, zaskakując i Meg, i siebie samego. – Savannah, będziesz tak miła? – I zanim Meg zdołała wyrazić protest, który

zobaczył w jej oczach, już stał obok niej, a Savannah trzymała w ręce aparat.

– Uśmiech! – zawołała Savannah.

– Prześlij mi odbitki, dobrze? – poprosił Carson, gdy było po wszystkim.

– Nie ma sprawy – odparła i wyciągnęła rękę. – Strasznie dziękuję za autograf... to znaczy, autografy. Wszyscy padną, jak przyjdę w poniedziałek do szkoły w tej koszulce!

Carson pod wpływem impulsu objął ją i krótko uścisnął.

– Jak będziesz chciała, żebym ci jeszcze coś podpisał, po prostu przyślij na adres podany na mojej stronie internetowej. Byłaś już na tej stronie?

– No jasne – odparła, uśmiechając się radośnie.

– Jest tam podany adres fanklubu... najpewniejszy. Nigdy nie wiadomo, gdzie mogę być w danej chwili!

Meg ścisnęła oburącz torebkę. Nie będzie pożegnalnego uścisku z jej strony, nie poda mu nawet ręki. Spojrzał jej w oczy, głębokie, tajemnicze. Sprawy wyglądały trochę inaczej, niż się na pozór wydawało, był tego pewien.

– Dbaj o siebie, dobrze?

Przygryzła wargę i skinęła głową, po czym szybko spojrzała w bok.

– Ty też. I poszła.

30

PRZYSZŁA RACHEL Z ANGELĄ. .. MUSZĘ IŚĆ – powiedziała Savannah do matki nazajutrz po południu, zmierzając przez kuchnię ku drzwiom. Minęły dwie godziny, odkąd wróciły z Orlando. Meg wpatrywała się w otwartą lodówkę, tak jakby mogła tam znaleźć lekarstwo na ALS – wypisane na odwrocie butelki z keczupem czy rosnące niczym pleśń na cebulowych krążkach.

– Dobrze. – Odwróciła się, zostawiając otwartą lodówkę. W tym momencie zadzwonił telefon.

Savannah zerknęła na numer i podała słuchawkę matce.

– Do ciebie.

– Kto to?

– Nie wiem. To do jutra!

I poszła. Meg nie miała innego wyjścia niż podnieść słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, Meg. Mówi Clay Williams. Dzwoni do niej w sobotę?

– Cześć, co za niespodzianka. – Pchnęła nogą drzwi od lodówki.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że dzwonię. Podobno chorowałaś i chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku.

Miał nadzieję, być może, że „choroba” oznacza małżeńskie kłopoty?

– Miło, że o mnie pomyślałeś – powiedziała, otwierając drzwi na patio.

Wiatr przyniósł

mocną, słodką woń kwitnącej magnolii. – Chyba muszę cię przeprosić, że nie byłam wtedy na dziedzińcu.

– Ale poród poszedł jak należy?

– Podręcznikowo. – Dziecko, dziewczynka, przyszło na świat łatwo: wysliznęło się prosto w nastawione ręce ojca. Meg płakała z radości razem ze świeżo upieczonymi rodzicami, gdy kurczowo chwyciło powietrze w płuca i zaczęło kwilić. Najbardziej znaczące, najgłębsze momenty życia były paradoksalnie najprostsze: pierwszy oddech – i ostatni.

– Ale teraz już czujesz się dobrze? – spytał Clay. – Sądząc po głosie...

– Tak. Nadal mam pewne problemy z ręką i... co tam, mogę ci powiedzieć: zamierzam na jakiś czas wziąć sobie wolne.

– O. Przykro mi. A kiedy wracasz?

Pytanie przebiło ochronną mgłę, którą się otaczała. Skrzywiła się.

– Nie jestem pewna. Muszę uprzedzić pacjentki.

– A o co chodzi... jeśli mogę spytać? Ja... martwię się o ciebie, wiesz o tym.

Przypomniała sobie, jak dobrze było trzymać go za rękę, gdy patrzył na nią ciepłym, pełnym troski spojrzeniem. Czuć, że ją rozumie. Dawno nie zaznała czegoś takiego.

– Wiem. Dzięki. To jakieś uszkodzenie nerwu – powiedziała.

– Chodzisz do dobrego neurologa?

– Tak. – Tak jakby to mogło coś zmienić.

– Słuchaj... pewnie sobie myślisz, że jestem trochę... to znaczy, zdaję sobie sprawę, że jesteś zamężna, ale mimo to... Do diabła. Co byś zjadła dzisiaj na lunch?

– A co proponujesz? – spytała, zaskakując siebie samą. Lekki wiatr zdawał się szeptać jej do ucha: dlaczego nie?

– Robię nie najgorszy omlet i możemy sobie posiedzieć na werandzie od ogrodu.

– Na werandzie... – przeciągnęła. – Brzmi cudownie.

– To doskonała ucieczka od zgiełku tego świata... pracuję nad nią z moim specem od krajobrazu już chyba z miesiąc i chętnie bym ci ją pokazał.

Przestało padać i nie jest upiornie gorąco...

Powiedział: ucieczka. Podobało jej się to określenie. Wymknąć się na godzinę czy dwie, uciec od własnego życia, które wibrowało teraz dziwną, nieprzyjemną energią, tak jakby rezonans magnetyczny i elektromiografia zainfekowały całą jej egzystencję. Brian, jak zawsze na golfie, nawet nie będzie wiedział, że wyszła.

– W porządku, przyjadę. Gdzie mieszkasz? Podał adres.

– Nie mam dziś dyżuru, przyjeżdżaj, kiedy zechcesz, choćby natychmiast. Mówiono mi, że moje akwaforty są warte obejrzenia.

– Też tak sędzę – powiedziała.

Wciąż czując się jakby na zewnątrz siebie, przebrała się – szorty zamiast spodni, jasnoniebieska lniana koszula zamiast różowego polo, zwykle płaskie sandały – po dwóch nieudanych próbach zmieniła też w końcu kolczyki i wyszła. Nie od razu udało jej się włożyć kluczyk do stacyjki i ruszyć, ale postanowiła, że nie będzie jej to martwić, powstrzymała myśl, która już galopowała ku dniowi, gdy nawet uporczywy wysiłek nie pozwoli jej na ucieczkę.

Po upływie czterdziestu minut od telefonu Claya parkowała za jego starym jaguarem ze składanym dachem, podrasowaną wersją klasyczną. Wyszedł na zewnątrz, żeby ją powitać, i z uśmiechem otworzył drzwi jej samochodu. W białych sportowych szortach i kolorowej koszuli był jeszcze bardziej atrakcyjny. Pachniał wodą kolońską, łagodną, korzenną wonią, która nie wiadomo dlaczego przywiodła jej na myśl hotel w Caracas.

– Lubię, kiedy kobieta nie traci czasu – powiedział, gdy wysiadła z auta.

– Lubię, kiedy mężczyzna nie nosi butów – odparła, spoglądając na jego białe stopy.

Zatrzasnął drzwiczki i pocałował ją w policzek.

– Z miejsca wyrzucę wszystkie buty przez okno.

Oprowadził ją po swoim przebudowanym wiejskim domu, znacznie większym niż ten, w którym się wychowała, i znacznie ładniejszym, rzecz jasna. Było tu przewiewnie, chłodno i jak powiedział, wszystkiego o wiele za dużo niż potrzeba kawalerowi, ale lubił przestrzeń, no a poza tym co jeszcze mógł zrobić z pieniędzmi? W wieku trzydziestu trzech lat wyrósł już z dotychczasowego życia singla, miał dość swobody i chciał trochę zapuścić korzenie.

– Jedyne, czego mi teraz potrzeba, to odpowiednia kobieta – spuentował.

– A co stoi na przeszkodzie? – spytała Meg, wchodząc do kuchni. Clay

otworzył lodówkę i zaczął wyjmować miseczki z posiekaną cebulą, pieczarkami, pomidorami, brokułami, papryką.

– Te najlepsze są już zamężne. ‘

– Trudno mi w to uwierzyć.

Clay przerwał swoją czynność i podszedł do niej bardzo blisko. Widziała ciemnoszare obwódki wokół niebieskich tęczy, jak gdyby podkreślające jego uczucia.

– Ta najlepsza jest już zamężna.

Każdego innego dnia cofnęłaby się i rzuciła jakąś lekką uwagę, by powstrzymać jego zainteresowanie. Dobrze wiedziała, że nie ma sensu go podsycać. Co komu przyjdzie z romansu? Komplikuje tylko ludziom życie: wcześniej czy później dla jednego z nich albo dla obojga staje się pozbawionym radości ciężarem. Dziś jednak pragnęła żyć, pragnęła być sam na sam z atrakcyjnym mężczyzną, który jej pożąda. Czy to aż takie złe? Takie niewłaściwe?

– Nie tak znów szczęśliwie zamężna – powiedziała, wzruszając lekko ramionami.

Clay podszedł jeszcze bliżej, ujął ją dłońmi w talii i pocałował lekko, z wahaniem – próbując. Wargi miał ciepłe i miękkie, ale nieznanne, i to jej przypomniało te, których nie całowała. I już wiedziała, że Clay zastępuje tylko kogoś, z kim chciała być, ale nie mogła.

Znowu ją pocałował, przywierając do niej całym ciałem. Zrobiła wysiłek, by poddać się chwili, wyłączyć poczucie nieszczerości. Co za różnica, jeśli będzie myślała o Carsonie, a nie o Clayu – ani o Brianie? Żaden z nich nie będzie o tym wiedział. Mogłaby pozwolić Clayowi na miłość i wyobrazić sobie, że oboje są kimś innym: on – Carsonem, a ona – sobą sprzed lat.

Clay nachylił się i zaczął jej rozpinąć bluzkę precyzyjnymi palcami chirurga. Robił bez wysiłku coś, co dla niej było teraz torturą. Patrzyła na jego ręce, po czym podniosła wzrok i spojrzała w obwiedzione szarymi obwódkami oczy.

– Clay.

– Za szybko? Przepraszam... – Przerwał rozpinanie. – Nie mogę się już doczekać.

– Może chodźmy do sypialni – szepnęła.

Zaprowadził ją. Z przymkniętymi oczami pozwoliła mu dokończyć rozpinanie guzików, zdjąć bluzkę, stanik i powieść dłońmi po jej nagim ciele. Pozwoliła, by jego pocałunki, szeptane komplementy, dotyk warg na szyi

stały się pocałunkami i szeptami Carsona. Ten fałsz – to, że on ją dotyka, to, że ona tu jest – był lepszy niż prawda.

– Powiedz mi, jeśli posuwam się za daleko – poprosił, zrzucając koszulę.
– Nie musimy...

– Jest dobrze. Ja też tego chcę.

Pociągnął ją za sobą na łóżko i pochylił się nad nią z uśmiechem, gładząc jej brzuch.

– Myślałem o tym chyba z pięćset razy. Ale nie martw się: nie jestem taki głupi, żeby sądzić, że to na zawsze.

Jak zwierzę w świetle samochodowego reflektora, Meg znieruchomiała. Słowo „na zawsze”, sposób, w jaki je wymawiał, wzbudziło w niej panikę. Tętno jej waliło – nie z namiętności.

– Muszę iść – powiedziała, wydobywając się spod niego i rozglądając za stanikiem i bluzką.

– Co? Chwileczkę, poczekaj... co się stało? Znalazła rzeczy, włożyła je i ruszyła do drzwi.

– Nie chodzi o ciebie – rzuciła, nie oglądając się. – Chodzi... o mnie.
Przepraszam.

Chciałam... – Zatrzymała się w drzwiach, zamknęła oczy, otworzyła i odwróciła się ku niemu.

– Mam dla ciebie mnóstwo czułości. Ale nie mogę zostać.

Wstał oszołomiony.

– Nie idź. Naprawdę miałem zamiar cię nakarmić, a nie uwieść. Proszę, zostań. A weranda... ?

– Przepraszam – powiedziała jeszcze raz.

Patrzył na nią z ganku, kiedy powoli cofała auto z podjazdu – może pomyślał, że jeszcze kiedyś... Odjechała, nie patrząc we wsteczne lusterko. Nie miała mu za złe, jeśli liczył na drugą szansę i na trzecią. Ona też by tego pragnęła. Ale to pragnienie było nie do spełnienia, tak samo jak inne, bardziej elementarne, do których miała takie samo prawo jak wszyscy.

Zęby zobaczyć, jak córka rozpoczyna pracę, wychodzi za mąż, rodzi dzieci... cokolwiek Savannah wybierze. Żeby być przy niej.

A ponieważ nie była w stanie stanąć twarzą w twarz z tą pozbawioną pragnień przyszłością, spróbowała od niej uciec.

31

NA SWOJĄ PIERWSZĄ RANDKĘ Z KYLE'EM Savannah włożyła koszulkę podpisaną przez Carsona. Na lewym ramieniu widniał napis

„Carson@Johnny”, poniżej zaś, na rękawie, wypisane wołowymi literami imię i nazwisko: „Carson McKay”. Rachel, która jechała z nią i Angelą do hotelu, gdzie Angela miała zostawić Savannah, też miała na sobie swoją.

– Jest cudna cudna cudna – zaśpiewała ze swego miejsca obok kierowcy – ale nie obawiasz się, że Kyle będzie zazdrosny?

– On nie jest taki. – Savannah oglądała złamany paznokieć na środkowym palcu. – Nie jest typem zazdrośnika. – Tak jakby wiedziała o nim coś pewnego. Ale i tak się tym nie przejmowała. Głównie chodziło jej o to, żeby Rachel się zamknęła.

– Mówiłaś mu już o poniedziałku?

– Zostawiłam mu wiadomość, ale jeszcze jej nie odebrał.

– Wiesz co, jakby na przykład wściekł się albo coś, to dzwoń do nas, dobra? Naprawdę.

Podjedziemy po ciebie, prawda, Angela?

Angela wzruszyła ramionami.

– Jasne.

– Nie wścieknie się – powiedziała Savannah. – Jest naprawdę bardzo miły i... no wiesz, wyrozumiąły. – A jak się okaże, że nie jest? Co tak naprawdę o nim wiedziała? A jeśli przyjedzie na miejsce i zobaczy, że nie jest tym, za kogo się podawał: na przykład ma czterdzieści lat, łysinę i brzuszek albo jeszcze gorzej, to nie będzie sobie zawracała głowy dzwonieniem do Rachel. Po prostu zawróci i wezwie taksówkę, czy coś.

Angela podjechała na okrągły podjazd przed hotelem.

– Miłej zabawy – rzuciła. – Nie rób nic, czego ja bym nie zrobiła.

– Czyli w ogóle nic nie rób – skomentowała Rachel, odwracając się w stronę tylnego siedzenia. Savannah już sięgała do klamki, ale Rachel złapała ją za ramię. – Może wejść i poczekam razem z tobą, co?

– Nie... dam sobie radę.

– W takim razie uważaj na siebie, dobra? To znaczy, zabezpiecz się i w ogóle. Jezu! Nie mogę uwierzyć, że będziesz to miała z głowy przede mną. W życiu bym nie myślała!

– Pewnie to przeznaczenie – stwierdziła Savannah, otwierając drzwi. W rzeczywistości wcale nie czuła się zbyt pewnie. – Nie martw się, niedługo i ty znajdziesz właściwego chłopaka.

Wysiadła i zatrzasnęła drzwiczki. Rachel wychyliła się przez okno.

– Zadzwoń jutro. Przysięgnij!

– Zadzwonię. I pamiętaj: jeśli moja mama zadzwoni do twojej, to właśnie

wysłałam i idę do domu... i natychmiast dryndasz do mnie, bez względu na porę.

Rachel skwapliwie pokiwała głową.

– Możesz na mnie liczyć. Na nas.

– Ale poza tym nie dzwoń. No dobra... to cześć. Dzięki, Angela. – Teraz, gdy pomogły jej wykiwać rodziców, będą ją kryć: musiały chronić własny tyłek.

Ze sztuczną swobodą weszła do środka, starając się wyglądać na dwudziestkę, na wypadek gdyby Kyle już czekał i ją obserwował. Wszystkie te zabiegi były jednak niepotrzebne: gdy tylko zsunęły się za nią drzwi, wiedziała, że facet przy recepcji to on. Stał

tyłem do niej, ale wiedziała. Coś w jego stroju – zmięta biała koszulka, karmelowe szortybojówki, czarne klapki, płócienna torba na podłodze u jego stóp, czarna kędzierzawa czupryna, wszystko to mówiło, że to ten facet, z którym stopniowo zbliżyła się – a może nawet się w nim zakochała? – w ciągu ostatnich paru tygodni.

Przystanęła i przyjrzała się mu. Na pewno nie miał czterdziestu lat ani nie był gruby.

Skórę miał w odcieniu kawy z mlekiem, łydki muskularne i owłosione, ale nie zanadto, szerokie ramiona i wąskie biodra. Był trochę niższy, niż się spodziewała, ale i tak prezentował

się znakomicie – w każdym razie z tyłu. A skoro z tyłu pasuje do zdjęcia i opisu, to z przodu też będzie pasował. To jedyny logiczny wniosek. W pamięci błysnął jej jego obraz: płaski, umięśniony brzuch, schodząca w dół linia włosów... i poczuła, że łaskoczą ją dłonie.

Podniósł torbę, odwrócił się i ją zobaczył. Ruszyła ku niemu swobodnym krokiem, tym samym, którego użyła przy wchodzeniu i który ćwiczyła w domu od tygodnia.

– O żesz – powiedział. – Znaczy, że jestem we właściwym miejscu!

O mało nie uległa impulsowi, by odwrócić się i uciec... nie ze strachu, choć troszeczkę się bała, ale dlatego, że poczuła się jak oszustka. Kyle nie wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciu; wyglądał... bardziej. Bardziej prawdziwy, bardziej męski, bardziej... dorosły. Nie zdawała sobie sprawy, jak wygląda mężczyzna dwudziestotrzyletni... czy знаła dotąd kogoś w tym wieku? Nikogo. Liczba ta niespecjalnie odbiegała od jej fikcyjnej dwudziestki, ale tak naprawdę nie miała pojęcia, jaki jest wówczas mężczyzna. Był taki, jak powinien; ona natomiast czuła się, jakby miała

dwanaście lat, a nie dwadzieścia, i bała się, że to po niej widać.

Ale jednak tu była, i on też... musi więc przynajmniej spróbować.

– Cześć – powiedziała. – Jeśli jesteś Kyle... to tak, we właściwym.

– Nie ma faceta, który by mi nie zazdrościł w tej chwili.

– Dzięki – wykrztusiła. Poczowała żar na policzkach, wiedziała, że się zaczerwieniła.

Spróbowała przybrać swobodną pozę. – To miłe z twojej strony. – Na coś się przydały lekcje etykiety.

Podszedł bliżej. Stali na środku hotelowego holu, na tyle blisko, że czuła jego lekko słonawy zapach, zmieszany z piżmową wonią jakby perfum... pewnie to był dezodorant.

Czyjego serce biło równie mocno i szybko jak jej? Sprawiał wrażenie spokojnego.

– Zamówiłem dla nas pokój.

– O... to dobrze.

– Spytali mnie, czy ma to obciążyć kartę kredytową pani Hamilton. Jasny gwint.

– Hm...

– Nie pękaj – powiedział, pociągając ją żartobliwie za kosmyk włosów. – I tak wiedziałem, że nie nazywasz się Rae, nie wiedziałem tylko, jak się nazywasz naprawdę. Nie ma sprawy... nie mam ci za złe, że nie ogłosiłaś tego publicznie, jasne?

– Przepraszam... nie cierpię kłamać. Ale nie chciałam, żeby moje nazwisko widział

każdy, kto tylko zechce.

– Całkiem słusznie. Lubię bystre kobiety.

No tak, jest bystra. Ale nie na tyle, aby przewidzieć, że mogą go spytać o kartę kredytową.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zaczął. – Tylko się nie przejmuj, że pytam... czy ty naprawdę jesteś studentką?

Wszystko schrzaniła, naprawdę. Dlaczego on przypuszcza, że nie jest? Czuła się osaczona – i tym pytaniem, i jego bliskością. Stał tuż-tuż, tak że, że widziała tętno na jego szyi. Żeby zyskać trochę czasu i przestrzeni, spytała:

– Możemy usiąść?

– Jasne!

Poczowała ulgę, że nie nalega, by poszli do pokoju. Nie była gotowa zostać z nim sam na sam. Podeszli do sof w kącie i Savannah stanęła, niepewna,

którą wybrać, co mu powiedzieć... i czy w ogóle poradzi sobie z tą sytuacją. Myślała, że to będzie łatwe, równie łatwe jak czat czy rozmowa przez telefon. Zanim go zobaczyła, przypuszczała, że go zna; teraz czuła się niezręcznie i głupio.

Kyle wziął ją za rękę i pociągnął, by usiadła wraz z nim.

– No więc? – spytał.

Położyła na sąsiednim fotelu zieloną torbę, która oprócz tego, co zawsze zawierała obecnie kostium bikini, świeże majtki, podkoszulkę i małą butelkę z roztworem soku cytrynowego. Trzymając w ręce pasek od torby, tak jakby to było koło ratunkowe, zebrała się w sobie. Jeśli zamierza ją odrzucić z powodu kłamstw, niech to zrobi od razu.

Wzruszyła ramionami.

– No dobrze. Nie jestem. Skinął przyjaźnie głową.

– Tak myślałem. Sprawdziłem najpierw listę studentów, na wypadek gdyby Savannah Rae to było twoje prawdziwe nazwisko. I nic. Popytałem ludzi, przemailowałem paru znajomym twoją fotkę... i okazało się, że nikt cię nie zna. Oczywiście nie muszą, ale pomyślałem, że takiej laseczki jak ty trudno nie zauważyć. No więc powiedziałem sobie, po prostu ją spytaj!

Nie, nie był zły. Absolutnie.

– Pewnie myślisz, że jestem okropna, ale naprawdę tak nie jest! Wiesz, jak to jest z Internetem... dziewczyna powinna być superostrożna.

Zamierzałam ci dziś powiedzieć. Po prostu uprzedziłeś mnie.

– Rozumiem doskonale – powiedział i po jego ciemno-piwnych oczach widziała, że faktycznie rozumiał. Uśmiechnął się i w lewym policzku pojawił mu się dołek. – Ale na imię naprawdę masz Savannah, tak?

Pokiwała z zapalem głową.

– Tak! Savannah Hamilton. I... i naprawdę mieszkam w Ocala.

– Doceniam twoją szczerość – powiedział, znowu biorąc ją za rękę. – To działa w obie strony, prawda? Wszyscy musimy zachować ostrożność. Muszę ci powiedzieć, że ja też nie jestem na studiach podyplomowych.

– Nie?

– Nie... prawdę mówiąc, rodzice odcięli mi kasę, zanim jeszcze zrobiłem dyplom.

Asystent coś im nałgał... brakuje mi paru zaliczeń. Po prostu nie chciałem, żebyś, no wiesz, pomyślała, że ze mnie jakiś przegrany typ. Naprawdę mnie interesuje oceanografia i naprawdę chcę wrócić na studia.

Savannah patrzyła na niego okrągłymi oczami.

– No dobrze... a gdzie naprawdę mieszkaś, w Naples?
– Nie. Wynajmuję z kumplem mieszkanie niedaleko Summerfield.
– Czyli że oboje nałgaliśmy, ile wlezie. – Roześmiała się. – No, to teraz czuję się całkiem nieźle!

Wyciągnął rękę i powiódł palcami po jej wargach. Poczła radosny skurcz w dole brzucha.

– I wyglądasz też całkiem nieźle – powiedział, nachylając się ku niej. – To może pójdziemy zobaczyć nasz pokój, skoro już wszystko jest jasne?

Nie wszystko było jasne: nadal myślał, że pojedzie z nim w poniedziałek do Miami, i nadal wierzył, że ma dwadzieścia lat. Ale z tym można poczekać. Najwyraźniej był łatwy w kontakcie, równie miły i ciepły, jak się wydawał od początku; prawdopodobnie inne jej kłamstwa też nie zrobiłyby na nim wrażenia. Ale na wszelki wypadek przyzna się do nich później... może jutro? O właśnie, jutro. Tak będzie w sam raz.

32

Po CZTERECH GODZINACH OD ROZSTANIA z CLAYEM Meg znajdowała się na autostradzie w głębi południowocentralnej Florydy, pod białym od żaru niebem. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się bladoszara wstęga jezdnii, otoczona porośniętą zblakłą trawą pustkowiem. Tu, setki kilometrów od czegokolwiek, co mogło przyciągnąć dolary turystów, krajobraz wyglądał na bezludny. Od co najmniej godziny nie dostrzegła innego samochodu – poza rdzewiejącymi wrakami porzuconych na poboczu.

Była jakaś otępiająca prostota w tym obrazie i szumie opon na asfalcie. Była nigdzie, była nikim, była bezpieczna.

I zagubiona.

Droga się rozwidlała. Meg zwolniła, a potem przystanąła, niepewna, w którą stronę skręcić. Potrzebne jej były jakieś znaki drogowe – choćby słupy z przyszpilonymi do nich plakatami, strzałki z napisami: „Ratunek”, „Wyleczenie” czy „Powtórka z życia”. Ale jedyne, co widziała, to wysokie trawy i przerażone, samotne, pozbawione konarów drzewa, usiłujące dosięgnąć nieba. Walający się pojemnik po płynie chłodnicowym. Wrak pralki kilka metrów dalej. Zgasła silnik lexusa i wysiadła.

Otoczył ją żar jak z paleniska. Wyglądało na to, że ta część stanu była swoistym piekłem, z drogami donikąd, spiekotą i kurzem. Momentalnie zaczęła się pocić; zwróciła twarz ku zbielałemu niebu, żeby strumienie potu ściekały we włosy, za uszy. W powietrzu wisiał jakiś przykry zapach, jakby w niewidzialnym bagnie rozkładały się drobne rybki czy skorupiaki, a

jedynym dźwiękiem był szelest traw i leciutkie poświstywanie ledwie wyczuwalnych podmuchów wiatru.

Miała ochotę wrzeszczeć na cały głos, spytać: „Boże, dlaczego?” Składać obietnice, wytargować sobie powrót do zdrowia. Powitałaby nawet diabła, gdyby jej zaproponował

złagodzenie wyroku. Wszystko, tylko nie ten upadek ciała i porażka jej wysiłków, by słusznie wybierać, słusznie żyć.

– Proszę – szepnęła. Nic.

33

POKAŻ MI SIĘ W KOSTIUMIE – powiedział Kyle, gdy tylko znaleźli się w hotelowym pokoju. – Przywiozłaś ten w kwiatki, prawda?

– Jak to, teraz?

– Tak, teraz. – Położył jej ręce na ramionach i żartobliwie ją popchnął, przypierając ciałem do ściany. I pocałował – najpierw samymi wargami, potem z językiem. To było fantastyczne, takie jak trzeba. Przerwał pocałunek. – Po prostu chcę cię w nim zobaczyć...

myślałem o tym cały dzień. – Ciaśniej przywarł do niej biodrami, poczuła jego twarde członek, większy niż u jej kolegi Jonathana. Może dlatego, że Kyle był starszy?

Podobało jej się to, co robili, jednak myślała, że miałyby się przebrać w kostium i paradować przed nim jak modelka, a on by się jej przyglądał, budziła jej zmieszanie.

– Zobaczysz mnie w nim, jak pójdziemy na basen.

– Nie, nie... – Pocałował ją w szyję. – W miejscu publicznym to nie to samo. No, malutka... dobrze? Proszę. – Znowu pocałował ją w usta. – Zrobisz to dla mnie?

– Wstydzę się – zaprotestowała.

– Ach, wstydzisz się, tak? – Cofnął się lekko i spojrzał jej w oczy. – Nie wyglądasz na wstydliwą... ale niech ci będzie. Dobra, chyba wiem, co z tym fantem zrobić.

Wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka.

– Siadaj – zaprosił. Zrzucił koszulkę i cisnął na komódkę. – Wiem dokładnie, co ci jest potrzebne.

W mrocznym pokoju jego skóra wydawała się ciemniejsza, brodawki miał małe, twarde. Miała ochotę powieść po jego piersi rozpostartymi dłońmi, tak by każdym nerwem poczuć te zwarte mięśnie, szerokie barki...

– O, proszę – powiedział, wyjmując z kieszeni plastikową torebkę. –

To jest lekarstwo na uspokojenie.

Sekundę zajęło Savannah zrozumienie, co jej proponuje.

– Ja nie... to znaczy, nigdy dotąd...

– Nie? No cóż, zawsze jest jakiś pierwszy raz, prawda?

Nie dla niej. Nie jest taka głupia. Narkotyki zmieniają umysł, a ona akurat lubiła własny.

Ale... prawdę mówiąc, trawa nie jest tak groźna jak rozmaite inne świństwa. Podobno w ogóle nie uzależnia... a w Kanadzie, przypomniała sobie, została nawet zalegalizowana. Może powinna spróbować, dosłownie jeden raz, żeby wiedzieć z własnego doświadczenia, czy chce tego na przyszłość unikać czy nie?

– Dobra, niech będzie – powiedziała. – Fakt, zawsze jest jakiś pierwszy raz. – Skoro to pomaga się zrelaksować, to znaczy, że jest dobre. Później, kiedy... kiedy będą się lepiej znać, nie będzie potrzebowała takiego wsparcia.

Kyle wyjął z torebki cienkiego białego jointa, zapalił go i usiadł obok niej.

– Cały trik polega na tym, żeby zaczynać od niewielkich ilości, jasne? Weź to do ust, o tak – pokazał jej – a potem zaciągnij się troszkę. No, spróbuj.

Zrobiła to, co on. Czowała się głupia, ale i odważna zarazem.

– Po prostu wciągnij dym i trzymaj go w płucach najdłużej, jak możesz – powiedział

Kyle. Poczowała satysfakcję, kiedy udało jej się to zrobić bez kaszlu i krztuszenia się.

Wydechając dym, zaśmiała się.

– To nie takie trudne. I naprawdę podoba mi się ten zapach.

– Słodka marycha – rzucił. – Dobra, spróbuj jeszcze raz, tylko tym razem weź większy haust.

Zakaszła trochę przy wdychaniu, ale za drugim razem się udało. Kyle powiodł ręką po jej gołym udzie, podsuwając w górę cygańską spódniczkę. Była pewna, że widać było majtki.

Potrzymała dym w płucach jak najdłużej i wydmuchała. Kaszka z mlekiem.

– Jeszcze raz – nakazał Kyle, i tym razem czowała się już jak profesjonalistka. Dym był

gorący, ostry, ale zarazem jakoś dziwnie łagodny. I wcale nie czowała się inaczej.

- Nie wydaje mi się, żeby to w ogóle miało jakieś działanie – zauważyła.
- Poczekaj chwilkę, dziewico. To dobry towar, gwarantuję ci.

„Dziewico”, powiedział.

Jeśli to faktycznie działa, jeśli ją rozluźni, może będzie mogła udawać doświadczoną? Nie będzie wtedy wiedział, że jest dziewczicą także w sensie erotycznym.

Kiedy z kolei Kyle wziął jointa, żeby się zaciągnąć, położyła mu rękę na plecach, tak na próbę, a potem przesunęła wyżej, na ramię, szyję i zaczęła pieścić miejsce tuż za uchem.

Słyszała, że faceci lubią, żeby ich w tym miejscu dotykać... kto to jej o tym powiedział? Nie mogła sobie przypomnieć, nie wiedziała też, czy Kyle to lubi czy nie, ale wiedziała, że ona lubi to robić.

Złapał ją za drugą rękę i położył sobie na piersi, a potem pociągnął w dół, na brzuch...

miął inne pomysły niż ona, lepsze. Pozwoliła, by poprowadził jej dłoń aż do śladu zarostu, o którym myślała tak często, że wydawał jej się znajomy.

– Twoja kolejka. – Podał jej jointa i oparł się o ścianę. Pomiedzy jego brzuchem a paskiem szortów zrobiła się luka. Savannah wzięła skręta lewą ręką, włożyła do ust i zaciągnęła się, nie spuszczać oczu z prawej. Może to zrobić, może wsunąć dłoń w tę lukę, kiedy tylko zechce...

- Uważaj – powiedział.

W pierwszej chwili pomyślała, że chodzi mu o rękę, ale on mówił o skręcie, który zrobił

się bardzo krótki. Wziął go od niej, zaciągnął się jeszcze raz i szybko wstał, żeby wyrzucić niedopałek. Kiedy na powrót usiadł, złapał za dół jej koszulki i pociągnął w górę. Odruchowo podniosła rękę i koszulka była ściągnięta.

– To teraz idź się przebierz – polecił. – Czekam tu na ciebie. Prawie nie zdawała sobie sprawy, że wstaje, idzie do łazienki i wyciąga z torby kostium, ale nagle się okazało, że właśnie to zrobiła. Tak ją to zaskoczyło, że się roześmiała. W lustrze wyglądała tak samo jak zawsze, ale czuła się lekka i swobodna.

– Działa! – krzyknęła. Błyskawicznie ściągnęła resztę rzeczy i sama nie wiedząc kiedy, już była w kostiumie. Chyba mu się spodoba... Uśmiechnęła się do swego odbicia. Kto by powiedział, że trawa daje taką pewność siebie? Popatrzyła na torbę, na butelkę z roztworem soku cytrynowego, który miał zapobiegać zapłodnieniu, o ile użyje się go jako płukanki bezpośrednio przed

seksem, i uznała, że nie ma po co zawracać sobie tym głowy. Spyta go, czy zabrał ze sobą prezerwatywy... a jeśli nawet nie, to wielkie rzeczy. Nikt nie zachodzi w ciążę od pierwszego razu. Połowa pacjentek mamy to kobiety, które nie mogły począć, choć starały się ze wszystkich sił.

– No, malutki, jestem – mówiąc to, wyszła z łazienki... i stanęła zaskoczona. Kyle wciąż siedział na łóżku, ale teraz opierał się o wezglowie – i był nagi.

– O rany – powiedział. – Postój no chwilę.

Savannah stała bez ruchu. Czuła, że tylko na to może się zdobyć.

– A teraz rozwiąż górę... o tak. – Patrzył, a potem podniósł wzrok i się uśmiechnął. – Zobacz – wskazał na swoje krocze. – Nie mówiłem ci? Właśnie to ze mną robisz. A teraz wsuń rękę w dół kostiumu.

Jakaś jej część była równie podniecona, jak on, ale zarazem czuła się dziwnie odłączona od całej sytuacji. Miała wrażenie, że ta część jej umysłu znajduje się poza nią, na zewnątrz, i zastanawia, czy tak właśnie ma wyglądać gra wstępna. Była podekscytowana, ale też troszkę zmieszana.

– Kyle, ja nie...

– Chodź no tu do mnie – poprosił. – Wystraszyłem cię? Sorry. Savannah podeszła ochoczo, gotowa do namiętnych pocałunków i głaskania, do bliskości ciał, co było jej pomysłem na grę wstępna. Kyle wciągnął ją pod siebie i przez minutę – a może dłużej, trudno jej było zwracać uwagę na czas – całowali się, a on gładził ją po plecach, potem po piersiach, potem niżej.

– Lubisz to, prawda? – spytał ostrym szeptem.

Jego dotyk też był trochę za ostry i nie była pewna, czy go lubi, czy nie, ale szepnęła: – O, tak.

– Jesteś taka namiętna... wiedziałem, że tak będzie. A teraz chodź tu, chcę poczuć twoje słodkie usteczka.

Położył się na wznak, złapał ją za głowę i pociągnął w dół, tak że musiała się przytrzymać, żeby nie stracić równowagi? – Miała go teraz tuż przed oczami, jego męskość, której była tak ciekawa. A więc to tak... Ale nie wiedziała dobrze, jak zrobić to, czego od niej oczekuje. Czuła się przymulona, troszkę onieśmielona i troszkę rozbawiona... ale dobrze, czy to w końcu aż taki twardy orzech do zgryzienia? – pomyślała i zachichotała. Twardy... do zgryzienia... Przykucnęła z dłońmi na ustach, usiłując stłumić kaskady niepowstrzymanego śmiechu.

Kyle też ukląkł.

– Normalnie laski się z niego nie śmieją – powiedział i popchnął ją lekko.

– Kładź się.

Zaczęła się kłaść na plecach.

– Nie, na brzuchu.

Zrobiła to, wciąż trochę chichocząc. Ściągnął jej dół od kostiumu i rozwarł nogi.

– Co za widok...

Znowu poczuła jego rękę między nogami, i nagle był na niej całym ciężarem, prąc w dół i w głąb tak gwałtownie, że przestała się śmiać i jęknęła z bólu.

– Nie do śmiechu ci teraz, co? – szepnął jej prosto w ucho. Na pewno żartował, na pewno chciał, żeby jej było przyjemnie... bo przecież to ma być przyjemne, o to chodzi w tym wszystkim, prawda? Ale nie było. Zabolało ostro w pierwszej chwili, a potem bolało za każdym pchnięciem.

– Bierzesz pigułkę? – spytał po chwili, nie miała pojęcia jak dłużej.

– Nie – wydyszała, starając się po prostu wytrzymać. Za drugim razem będzie lepiej, na pewno. Powinna mu powiedzieć, że jest dziewicą, może robiłby to wolniej, delikatniej...

– Niegrzeczna dziewczynka! – Wyszarpnął się z niej, a po chwili wydał z siebie serię krótkich jęków. Poczula na sobie gorący płyn... lepiej tutaj niż w środku.

Opadł bezwładnie obok niej.

– O rany... doprowadzasz mnie do szaleństwa – powiedział, a ona patrzyła, jak pogłębia mu się dołek w policzku, kiedy się uśmiecha. – Zapominam przy tobie o bożym świecie. A teraz powiedz, ile masz naprawdę lat?

– Dwadzieścia, nie pamiętasz?

– Nie wciskaj kitu, dobra? Skąd wie?

– No dobrze... osiemnaście.

– Jesteś pewna? – Przeciągnął palcem po jej brzuchu.

Znowu zaczęła się śmiać. Ta jego uniesiona ciemna brew i ten drwiący uśmiezek, pogłębiający dołek w policzku...

– No dobrze... za parę tygodni skończę szesnaście. – Powiedziała to. Teraz Kyle zna prawdę.

– Piętnaście lat? – spytał z niedowierzaniem. – Piętnaście? Nie ściemniasz?

Pokręciła głową.

– Jezu. Piętnaście. – Twarz mu zmierzchła, a ona przestraszyła się nagle,

że posunęła się w oszustwie za daleko. – To twój pierwszy raz? – spytał. – No wiesz... ze mną?

– Przepraszam, powinnam ci powiedzieć...

– Dobra, malutka, nie ma sprawy. – Uśmiech powrócił. – Tylko nikomu nie mów, jasne?

– Ale Rachel i jej siostra wiedzą. Przywiozły mnie tutaj.

– Wiedzą, ile mam lat?

– Uhm.

Przyciągnął ją do siebie. Stykali się teraz ciasno biodrami.

– W takim razie – pocałował ją w szyję – życie nie jest takie złe.

Choć głupia wydawała jej się ta myśl, Savannah sądziła, że kiedy w sobotę po południu wróci do domu, mama spojrzy na nią i już będzie wiedziała. Nie miała doświadczenia w jawnym oszustwie. Poczucie winy na pewno da się wyczuć, jeśli nie wręcz zobaczyć gołym okiem. Ale zanim weszła do środka, wiedziała, że ma czas, aby zatrzeć wszelkie ślady: żadnego z rodziców nie było.

Tak jak to miała zrobić, natychmiast zadzwoniła do mamy. Włączyła się poczta głosowa i Savannah zostawiła wiadomość, że wróciła. Jak wszyscy wokół wiedzieli, zadzwoniłaby nawet z Islandii, żeby złożyć oświadczenie. Rodzice byli tak irytująco pewni, że jest uczciwa i odpowiedzialna. .. czemu sama była winna, skoro przez cały czas zachowywała się właśnie tak. A jednak fakt, że nadużyła tego zaufania, był niemal równie dziwny jak to, że spędziła całą noc z facetem, kochając się z nim i paląc trawę. Oszukiwanie nie było w jej stylu, podobnie jak narkotyki i seks. W kogo ona się zmieniła w ciągu tych raptem dwudziestu godzin?

Rzuciła się na łóżko i leżała, wpatrując się w sufit. Bolały ją mięśnie ud, w środku, między nogami, miała żywą ranę, a w głowie mgłę. Ale serce było pełniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Tak, okłamała rodziców, paliła trawę i spełniła niemal każde erotyczne życzenie Kyle'a, i być może wszystko to nie było w jej stylu... ale to dotyczyło dawnej Savannah. Ta nowa miała fajnego, seksownego, starszego od siebie chłopaka, który uważał, że ona jest wulkanem seksu i powiedział, gdy wysiadała parę przecznic od domu, że obawia się, iż nie potrafi o niej zapomnieć. Sposób, w jaki na nią patrzył – tak jakby była kimś najważniejszym w jego życiu – sprawiał, że nawet teraz, na samo wspomnienie, czuła motylki w brzuchu.

Ta nowa Savannah była wystarczająco mądra, by wykorzystać wszystko co trzeba, aby osiągnąć to, czego chce, tak samo jak dawna; tylko stawka się

zmieniła. Leżąc na kwiecistej narzucie, poprzysięgła sobie, że nie będzie kłamać więcej, niż to konieczne, że nie będzie brała żadnych drągów (choćby po to, by lepiej pamiętać szczegóły) i że będzie najlepszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek miał Kyle. I z tą radosną myślą w głowie zamknęła oczy i zapadła na parę godzin w sen, którego tak strasznie jej brakowało.

34

MEG WRÓCIŁA DO DOMU W NIEDZIELE WIECZOREM Z uczuciem, jakby przez ostatnie dwa dni nadużywała valium. Wypadły jej z pamięci całe fragmenty poprzedniej nocy, pamiętała tylko, że wylądowała w końcu na parkingu jakiegoś podrzędnego motelu, o mało co nie doprowadziwszy przedtem do czołowego zderzenia. Drzemała zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu lexusa, budząc się za każdym razem, gdy ruszała któraś z parkujących wokół

gigantycznych osiemnastokółowych ciężarówek. Dzisiejszy dzień też był dla niej stracony: miała w głowie tylko mgłę obrazów i zgiełk autostrady. Sama nie wiedziała, jak znalazła drogę do domu.

Kiedy weszła, z ulgą stwierdziła, że Savannah jest zajęta własnymi sprawami: rozmawiała w sypialni przez telefon. Z ulgą przyjęła, że Brian nie poświęcił szczególnej uwagi mglistej opowieści o długim i trudnym porodzie, jaki zatrzymał ją w szpitalu przez półtora dnia. A może jej się tylko wydało, że przyjęła to z ulgą? Nie, jednak z ulgą, bo nie miałyby dla niego żadnej odpowiedzi, gdyby przypatrzył się jej baczniej i spytał z troską: co się stało? Była zadowolona, że nie musi improwizować, nawet jeśli uwaga z jego strony stanowiłaby dla niej pociechę. Owszem, zdołał dostrzec, że utyka, ale uciekła się znowu do wymówki z pęcherzem na pięcie. Powiedział, że zostawił dla niej pizzę w lodówce i poszedł

do swojego gabinetu, żeby pograć w pokera online. Meg wypiła wielką szklankę wody, poszła do ich pokoju i padła na łóżko.

Z początku nie mogła zasnąć. Wciąż myślała o tym, jak niewiele znaczy dla tych dwojga ludzi, którzy mieli być dla niej najbliżsi na świecie. Stała wobec największego kryzysu w życiu, a oni kręcili się jak zawsze wokół własnych spraw. Jeśli nie potrzebowali, żeby coś dla nich zrobiła, była nieważna. Stanowiła wyposażenie domu. Jedną z jego wygód. Równie dobrze mogła spędzić tę noc w agencji towarzyskiej czy przewożąc broń na Key Largo. Nie zrobiliby to im żadnej różnicy. To prawda, że ich uwaga byłaby dla niej kłopotliwa i że nie wiedziałyby, jak sobie z nią dać radę. Ale przecież stanowili rodzinę: powinni wyczuć jej udrękę. Wszystko było nie

tak, od początku do końca.

Po jakimś czasie znużyło ją samoużalanie się. Leżała, słuchając jednostajnego szumu wentylatorów, nawiewających chłodne powietrze do wnętrza. W końcu zapadła w ciężki, pozbawiony marzeń sen. Przez całą noc nic jej się nie przyśniło, tak jakby wiedza o tym, że ma ALS, sparaliżowała jej mózg.

W poniedziałek rano obudziła się zdezorientowana. W pierwszej chwili nie pamiętała, że los ma ją już na celowniku, niczym mierzący z pistoletu morderca. Szum wody w łazience, energiczne ćwierkanie czyżka za oknem, złocisty blask porannego słońca, wszystko to mówiło, że zapowiada się zwykły dzień. Ale amnezja nie trwała długo. Pamięć wróciła jak uderzenie w twarz. Musiała się zmusić, aby wstać i się ubrać.

Starając się zachowywać możliwie normalnie, wyprawiła do szkoły i pracy Savannah i Briana, wypila dwie filiżanki mocnej kawy i powoli, powoli wróciła jej ostrość widzenia.

Mgła zaczęła się rozwiewać. Nie do końca, ale na tyle, by zobaczyła, że nie ucieknie od złych nowin ani w ramiona innego mężczyzny, ani w jakiegokolwiek miejsce na świecie.

Mogłaby liczyć na cud, ale ona nie wierzyła w cuda. Skoro zatem miała zamiar przeżyć życie, jakie jej pozostało, należy zacząć od razu.

Wykonała parę telefonów, aby zorganizować sobie dzień, i wyszła do sklepu papierniczego. Wróciła z grubym, oprawnym w skórę zeszytem. Trwałym, bo miał trwać. Tak trwałym, jak nietrwała była ona.

Usiadła w swoim ulubionym miejscu, na osłoniętym moskitierą ganku, i zabrała się do pisania.

Poniedziałek, 1 maja 2006

Piszę to dla ciebie, Savannah. Dziś' rano zadzwonił mój lekarz i potwierdził wcześniejszą diagnozę: choruję na coś, co nazywa się ALS, inaczej choroba Lou Gehriga. Powiem ci o tym – nie wiem dokładnie kiedy, ale na pewno zanim będziesz czytać te zapiski. Zostaną z tobą, kiedy mnie już nie będzie. Przedtem będziemy rozmawiać na ten temat, ale słowa są ulotne, nie zostaną z tobą zbyt długo. Pogubisz je, zbledną, stracą wyrazistość. Wiem, bo tak było ze mną, kiedy umarła babcia Anna. Kilka tygodni temu dziadek dał mi stos zeszytów, w których babcia robiła notatki, coś w rodzaju dzienników, i one pomogły mi odtworzyć i zapamiętać różne ważne rzeczy z przeszłości. Ty też potrzebujesz czegoś takiego, a ja chcę ci to dać, piszę więc ten dziennik dla nas obu.

Co to jest ALS? Neurodegeneracyjna choroba mięśni. Jest nieuleczalna i śmiertelna.

Kiedy sobie uświadamiam, że piszę ci te dwa słowa, płaczę...

Przerwała pisanie. Odruch płaczu w końcu ustąpił, i zaczęła na nowo.

Żadne dziecko nie powinno nigdy usłyszeć takiej nowiny. Nie wiem, dlaczego choruję na ALS. Nie można się nim zarazić, nie jest to też zaburzenie dziedziczne (z wyjątkiem naprawdę bardzo rzadkich przypadków, aleja do nich nie należę, tak że nie obawiaj się o siebie). Po prostu... to się zdarza. Przez wszystkie te lata, odkąd zaczęłam studiować medycynę, nauczyłam się, że nie zawsze istnieje odpowiedź na pytanie „dlaczego?”, zwłaszcza gdy chodzi o nagłą chorobę czy śmierć. Mam nadzieję, że nie będziesz w kółko analizować tego pytania i że ten dziennik pomoże ci przyjąć to, co jest. Manisha może ci służyć radą. Żałuję, że zbyt rzadko korzystałam z jej rad przez te wszystkie lata.

ALS paraliżuje mięśnie w całym ciele, w końcu nawet te, które odpowiadają za oddychanie. Nie wpływa jednak w żadnym stopniu na umysł. Wszystko, co przeczytasz w tym dzienniku, będę pisać w pełni przytomnie, w każdym razie nie mniej przytomnie niż dotąd.

Wydaje mi się, że chciałabym przekazać ci trochę mojej życiowej mądrości... poradzić, jak wyrosnąć na świadomą swojej wartości kobietę, która dokonuje właściwych wyborów, nie pozwala, aby ktokolwiek decydował za nią, jak ma wyglądać jej życie. Ja popełniałam błędy, i to wielkie. Teraz to wiem, ale za późno, żebym mogła wiele zmienić w tej sprawie. Chcę się jednak podzielić z tobą tą życiową lekcją i po prostu... porozmawiasz Tobą... Łatwiej mi będzie odejść, wiedząc, że zostanie Ci jakaś częśćka mnie, żebyś mogła... powiedzmy, odwiedzać ją od czasu do czasu. Może przekażesz ją kiedyś swoim dzieciom?

Odłożyła pióro: ręka była już zmęczona. Doktor Bolin powiedział, że być może miała szczęście, iż pierwszy rzut objawów był stopniowy, teraz jednak najwyraźniej weszła w okres akceleracji. Choroba miewała rozmaity przebieg, tak jak rozmaici byli ludzie, których dotykała: mężczyźni i kobiety, o każdym kolorze skóry, niemal w każdym wieku, choć zwykle omijała osoby bardzo młode. Jej objawy mogły szybko narastać, a potem znowu się ustabilizować – mógł się nawet zdarzyć dłuższy okres remisji. Albo nie. Gdyż ALS nie było chorobą w ścisłym sensie, a raczej wąskim spektrum klinicznie podobnych stanów; jak powiedział Bolin, tylko bardzo nieliczni chorzy mieli odmianę, która opierała się standardowej prognozie. Kilku z

jego pacjentów od momentu diagnozy żyło jeszcze dziesięć lat, a nawet więcej. „Większość jednak – siedemdziesiąt pięć procent – umierała w ciągu pięciu lat: jedni, późno zdiagnozowani, padali jak muchy po paru tygodniach, nielicznym udawało się odciągnąć kres aż do granicy owych pięciu lat. Gdyby jej objawy narastały w tempie jeszcze szybszym, niż zdawało się obecnie, wózek inwalidzki był kwestią tygodni. W

każdej chwili mogła stracić władzę w ręce.

Wzięła ponownie długopis i z uporem podjęła pisanie.

Mam się dziś spotkać z Manishą, żeby jej przekazać złą wiadomość. Będę musiała natychmiast porzucić praktykę. Za duże ryzyko dla pacjentek i dla dzieci. W tej chwili moim głównym problemem jest prawa ręka, a jeśli miałabym odwagę się przyznać – a chyba mam ją w tej chwili – to również prawa noga. Teraz, kiedy już wiem, o co chodzi, nie mogę dłużej wyszukiwać pretekstów, dlaczego coś upuściłam, potknęłam się, zaczęłam o krawężnik i co tam jeszcze. Teraz ta wiedza towarzyszy mi cały czas, niczym zrzędząca teściowa.

Czy należało tak napisać? „Zrzędząca teściowa”? Savannah pomyśli, że to aluzja do Shelley. Co tam, już zostało napisane, a ona nie miała ochoty zaczynać jeszcze raz. Najlepiej, kiedy dziennik jest szczery, nieocenzurowany. W większości nieocenzurowany. Nie będzie pisała na przykład o swoich sprawach z Brianem, nic, co mogłoby wprowadzić w zażenowanie jego albo Savannah. Shelley dosyć lubiła i dopilnuje, żeby to napisać. Savannah zrozumie, że ten tekst o teściowej to po prostu figura retoryczna. Pisanie dziennika okazywało się nie takie łatwe, gdy przeznaczony był dla kogoś innego – ale była pewna, że chce zostawić Savannah tę pamiątkę, nawet jeśli miałaby się okazać niedoskonała. Niewiele poza tym miała do przemilczenia, co stanowiłoby realną wartość.

Nie wiem, jak zdołam odejść z pracy, porzucić zawód, który tak dalece stanowi część tego, czym jestem... którego zdobycie kosztowało mnie tyle wysiłku. Gdybym wiedziała, że czeka mnie nagły koniec, nie zawracałabym sobie tym głowy; czas, który poświęciłam na wykłady, pisanie prac, praktyki zawodowe, pacjentów, spędziłabym z Tobą.

Tyle że brzmi to tak, jakbym żałowała, że jestem lekarką, a ja nie żałuję. Chciałabym móc cofnąć czas, wiedząc to, co wiem obecnie. Chciałabym mieć obie te rzeczy: i pracę zawodową, i więcej czasu dla Ciebie. No, a skoro już mowa o pragnieniach, chciałabym nie być chora na ALS i mieć przed sobą przyszłość, którą mogłabym dzielić z Tobą, tak jak zawsze na to liczyłam.

Wychodzi na to, że przyszłość w ogóle nie istnieje. Jedyne, co naprawdę mamy, to chwila obecna.

Palce tak jej osłabły z wysiłku, że trudno było utrzymać prosto długopis; odłożyła go i wsunęła dziennik pod poduszkę, na której siedziała. Będzie mogła po niego sięgnąć w każdej chwili, nie zwracając niczyjej uwagi. Aczkolwiek uwagi ze strony domowników raczej nie miała powodu się obawiać.

Poszła do swojego pokoju i spięła włosy klipsem; zmęczona ręką ledwie sobie z tym poradziła. Miała się spotkać na lunchu z Manishą, a potem pojechać do Silver Springs na spotkanie z jedną z pacjentek Bolina, nazwiskiem Lana Mathews. Lana miała trzydzieści pięć lat i czworo dzieci, z których najstarsze nie skończyło jeszcze dziewięciu lat. Na samą myśl o tej kobiecie Meg wprost pękało serce. Kiedy dzwoniła do niej dziś rano, żeby sprawdzić, czy nie mogłyby się spotkać, by pomóc jej, Meg, radzić sobie z jej własną diagnozą – a dopiero po pięciu podejściach zdołała się zmusić do tej rozmowy – nie wiedziała o niej nic, znała wyłącznie jej nazwisko. Telefon odebrała siostra Lany, Penny, która opiekowała się nią i dziećmi. Opowiedziała Meg szczegóły i zaprosiła ją do nich.

– Niech pani przyjedzie i zobaczy się z Laną. To nie jest takie straszne, jak pani myśli – powiedziała.

35

SKONSULTUJ SIĘ Z INNYM LEKARZEM – poradziła Manisha przy azjatyckiej sałatce z kurczaka.

– Już to zrobiłam. Byłam u trzech, z czego jeden specjalizuje się w chorobach neuro-mięśniowych.

Manisha zamachała ręką.

– Idź do następnych! Nie rezygnuj! Są jeszcze inne możliwości... borelioza na przykład!

Na pewno masz boreliozę! Dam ci ten antybiotyk, pobierzesz trzy miesiące, a potem sprawdzimy twoje objawy...

– Manisha.

– No co? Nie poprzestawaj na jednej diagnozie!

– Po pierwsze, nie mam żadnych innych objawów boreliozy. Po drugie, robiłam wszelkie możliwe badania, diagnoza jest pewna. Tuż przed wyjściem z domu zadzwonił Bolin i powiedział, że nie znaleziono w mojej krwi *borelia burgdorferi*. Nie mam ani boreliozy, ani niczego innego. Mam ALS.

Manisha skubała leżącą przed nią mandarynkę. Meg była pewna, że

próbuje znaleźć bardziej przekonujący argument. Taka właśnie była Manisha: uparta jak ona sama, ale zarazem pełna troski – praktycznej, wyrażającej się w działaniu. Przez te wszystkie lata, gdy wspólnie prowadziły klinikę, Manisha troszczyła się o nią tak samo, jak ona troszczyła się o siostry. Manisha zmrużyła oczy.

– Powiedz mi: skąd oni mogą wiedzieć na pewno już teraz? Czasem upływają miesiące, zanim postawi się ostateczną diagnozę.

To było dobre pytanie i Meg żałowała, że może na nie odpowiedzieć niezwykle łatwo.

– Byłam laboratoryjnym szczurem dla Bolina. Oprócz zwykłych testów zrobił mi też badanie płynu mózgoworodzeniowego na obecność dopiero co odkrytych biomarkerów ALS. I znalazł je. Moja dobra przyjaciółka powiedziała, że to moje przeznaczenie: wiedzieć od razu.

– Co za przyjaciółka? Nie wie, co mówi. Meg wzięła Manishę za rękę.

– Wie. Myślę, że jest jakiś powód, dla którego jestem nietrudnym do zdiagnozowania przypadkiem. Może po prostu mam pod tym względem szczęście: mniej dramatu, mniej stresu w radzeniu sobie z różnymi „być może”. Nie lubię niejasnych sytuacji i tak się szczęśliwie składa, że ta jest w pełni jasna. – Starła się mówić równym głosem, ale zadrżał i Manisha to usłyszała. Schyliła głowę, aby ukryć łzy.

– Meg... nie. – Pociągnęła nosem, po czym wytarła go serwetką. – Co... co na to Brian?

– Jeszcze mu nie powiedziałam.

– A kiedy... ?

– Wkrótce... Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie mogę ukrywać tego zbyt długo, jak widać.

Co nie znaczy, żeby cokolwiek zauważył – dodała.

Manisha nie zganiła jej, że krytykuje Briana, tak jak zrobiłaby to kiedy indziej – kilkakrotnie skarciła ją, gdy Meg w przystępie gniewu czy irytacji wypowiedziała uczucie na głos, zamiast zatrzymać je dla siebie, zamiast nosić je niczym włosienicę, mającą jej przypominać o uprzywilejowanym życiu, jakie prowadziła. Był jakiś powód, że za niego wyszłaś, mogłaby powiedzieć Manisha. Na swój sposób cię kocha, dodałaby prawdopodobnie. Manisha, której małżeństwo zostało zaaranżowane, od dawna przywykła do takich racjonalizacji. Tym razem powiedziała jedynie: – A Savannah... ?

– Powiem i jej. Niedługo.

Manisha wyprostowała się i westchnęła.

– Zatrudnisz kogoś do opieki? A może przyjedzie twoja siostra Beth i zostanie na dłużej?

Ja też zrobię wszystko, co będę mogła. Proszę, Meg, powiedz mi tylko, jak mogę ci pomóc.

Meg nie potrafiła odpowiedzieć. Sama jeszcze nie wiedziała, co zrobi, czy kogoś wynajmie czy nie. Ten rodzaj planowania był na razie poza nią; rzeczywistość tego, co oznacza jej diagnoza, była wciąż nie do przeniknięcia, niczym mgła spowijająca odległe brzegi Styksu. Czuła się ogłuszona, jak wtedy, gdy idziemy ulicą i minie nas z rykiem wielotonowa ciężarówka. Ta choroba była taka zmienna, a jej przebieg tak kapryśny.

Najlepsze, co mogła zrobić, to stawiać jedną stopę przed drugą i ufać, że dojdzie tam, dokąd chciała dojść.

– Powiem ci. Dzięki. A tymczasem... czy znamy kogoś, kto mógłby przyjść do nas do pracy? Za tydzień opróżniam gabinet.

Dom Lany Mathews w Silver Springs był inny, niż oczekiwała Meg. Wyobrażała sobie duszną atmosferę zaciemnionego pokoju, gdzie całkowicie bezwładna Lana patrzy godzinami w telewizor lub śpi, gdy jej młodsza siostra, trzydziestotrzyletnia Penny, zajmuje się domem i dziećmi, zaglądając od czasu do czasu, żeby zmienić kanał czy podać basen. Zobaczyła natomiast całkowicie bezwładną Lane w epicentrum zwykłego codziennego chaosu, stwarzanego przez czwórkę małych dzieci.

– Ta tutaj to Colleen – powiedziała Penny, wskazując na chudą, mniej więcej pięcioletnią blondyneczkę, siedzącą po turecku w nogach szpitalnego łóżka, ustawionego w pobliżu okna salonu. Za oknem było widać małe domki, dokładnie takie jak ten, w którym się znajdowała: trzy pokoje, winylowy siding, wszystkie beżowe, kremowe, jasnożółte lub białe. Młode, niewyrośnięte grusze i klony sterczały żałośnie z gołej ziemi, niektóre otoczone białym plastikowym płótkiem ze sztachetek, inne – tak jak Lany – kolorowymi plastikowymi dziecięcymi zabawkami. Na wąskim podjeździe parkowały dwa nieduże i nienowe auta.

– Po drodze spotkała pani Melisę i Ashleigh... to te małe... z Nicole, tą największą. A to jest oczywiście Lana.

Meg spojrzała na leżącą w łóżku kobietę i ujęła jej rękę. Jak to dobrze, że miała za sobą lata lekarskiego treningu, na którym mogła się teraz wesprzeć.

– Dzień dobry, Lano. Nazywam się Meg Hamilton. – Bezwładna dłoń Lany była chłodna, choć przez okna bił słoneczny blask i było dostateczne ciepło, by dzieci chodziły w koszulkach bez rękawów i szortach.

Lana, blondynka o niebieskich oczach, która jeszcze do niedawna musiała być bardzo ładna, leciutko zwróciła ku niej głowę, może o pół centymetra, i lewie dostrzegalnie nią kiwnęła. Jej twarz była maską zwiotczących mięśni. Z ust, odrobinę rozchylonych, sączyła się w kącikach ślina.

– Już nie mówi – rzekła Penny – ale słyszy doskonale. Colleen właśnie czytała mamie książeczkę, prawda, Colleen?

– *Kot Prot* – oznajmiła Colleen; podnosząc książkę. – A potem mam jej przeczytać *Dobranoc, księżycu...* to ulubiona książka mamy, czytała mi ją co wieczór.

– Colleen całkiem dobrze czyta... sama się nauczyła, słowo daję! A jak potrafi pomóc!

Nawet w tych brudniejszych sprawach, jeśli wie pani, co mam na myśli.

– Mama musi nosić pieluchę – oznajmiła wesoło Colleen – ale to nie jej wina. Jest chora na tę samą chorobę, co ten słynny bejsbolista.

– A może byś tak poleciała do sióstr, co? – Penny zgoniła Colleen z łóżka. – Pora na jakąś przegryzkę.

– Cztery dziewczynki – powiedziała Meg, patrząc, jak Colleen biegnie w podskokach do drzwi. Nad drzwiami wisiała tabliczka z białym napisem na czarnym tle: „Jezus żyje” i cztery owalne zdjęcia w błyszczących mosiężnych ramkach. Na każdym widniała buzia małej dziewczynki. – Nas też było cztery w rodzinie... mam trzy siostry.

– Co za pociecha z tych dzieci – stwierdziła Penny z uśmiechem i Meg mogła sobie wyobrazić, jak wyglądała kiedyś twarz Lany. – Colleen cały czas kręci się przy mamie, ale to Nicole pomaga najwięcej... ma osiem lat i jak tylko trzeba, wyręcza mnie przy małych. To anioł.

– A gdzie jest ich ojciec?

Penny ujęła Meg za łokieć i skierowała do kuchni.

– Zaraz wracam, złotko, naleję tylko soku dziewczynkom – rzuciła w stronę Lany.

Kuchnia była ciasna, ale zaskakująco wolna od nieładu, jeśli nie liczyć niezliczonych dziecięcych rysunków, zdobiących drzwi lodówki i szafek.

– Rob zginął w wypadku drogowym, zaraz po tym, jak urodziła się Melisa. Był kierowcą ciężarówki. Nie uwierzyłaby pani, jak świetnie Lana dawała sobie ze wszystkim radę, nawet w żałobie... aż do jesieni zeszłego roku, kiedy ją to dopadło. Jakie to straszne, że nie może już wziąć na ręce tego dzieciątka, mówię pani... – Penny otarła oczy. – Ale już niedługo, a będzie mogła piastować w niebie inne dzieci. Nie uważa pani, że w niebie

jest właśnie tak? Te wszystkie maleństwa, co odeszły, muszą mieć kogoś, żeby się nimi zajmował... Więc Pan Jezus powołuje do siebie kobiety, które są wyjątkowo dobrymi matkami, i zleca im to zajęcie.

Jasne, pomyślała Meg, i zostawia sierotami ich własne dzieci.

Niespecjalnie to pocieszające z jej punktu widzenia... Przypuszczała jednak, że Penny uważa się za zdolną matkę zastępczą. Może wszyscy mamy w życiu jakąś misję do spełnienia... iw śmierci też, choć nie da się przewidzieć, co to za misja.

– Ma pani dzieci? – spytała Penny, stawiając na blacie cztery plastikowe kubki, każdy w innym jaskrawym kolorze.

– Jedną córkę. Za dwa tygodnie skończy szesnaście lat.

– Boże, jaki okropny dostałyście obie wyrok... ale niech pani spojrzy na Lane, nigdy się nie skarży. No tak, teraz oczywiście nie może, to znaczy na głos, ale wyczułabym, gdyby była niezadowolona. Może raz czy dwa widziałam, jak płacze, odkąd ją to dopadło, nigdy w obecności dziewczynek, rzecz jasna. A tak to głównie dziękowała Panu Jezusowi za czas, jaki jej jeszcze pozostał.

– A pani? – spytała Meg. – Jak pani sobie z tym radzi?

Penny pomyślała chwilę. Dzbanek z sokiem zawisł nieruchomo nad czerwonym kubkiem.

– To kosztuje, nie powiem. Nie mam własnego życia... mój mąż, Lee, zdał się z koleżanką z pracy, jak wyjechałam na tak długo. – Ponalewała soku i podjęła: – Ale po prostu uważam, że muszę to zrobić dla mojej siostry i tyle. To nie będzie trwało wiecznie – dodała rzeczowo. – A od czasu do czasu przychodzą panie z opieki nad chorym w domu i z kościoła, żeby mnie wyręczyć... i matka Roba też raz przyszła.

– A wasza matka?

– Ach, nasza mama... Odeszła, kiedy byłyśmy małe.

– Umarła?

– Nie, odeszła od nas... z jakimś facetem z Los Angeles. To Lana się mną zawsze opiekowała, a teraz moja kolej.

Meg spojrzała na Lane. W tym niewielkim domu znajdowała się tak blisko, że musiała wszystko słyszeć. Co teraz myśli? Jakie to przykre, ale i zrozumiałe, że Penny kompletnie nie liczy się z uczuciami Lany. Łatwo traktować całkowicie bezwładnego człowieka jak mebel...

Lana leżała bez ruchu, wsparta o lekko uniesione wezgi łóżka, niczym duża szmaciana lalka; czerwona plastikowa końcówka sondy, przez

którą ją karmiono, zwisała niedbale z rąbka różowej koszuli. Może i ona chciałaby wziąć udział w rozmowie, sama opowiedzieć swoją historię, powiedzieć, czy rzeczywiście jest zadowolona, że jest tu z siostrą i córeczkami, czy może raczej pragnęłaby ze wszystkich sił, aby im oszczędzić tych wszystkich upokarzających czynności, tego wlewania jej płynów wprost do żołądka, zmieniania pieluchy, niczym małej Melissie... Dorosła kobieta, jeszcze niedawno piękna i pełna życia, teraz musiała czekać, aż ktoś uniesie jej nogi i podetrze tyłek jak niemowlęciu! Może chciałaby coś skorygować lub dodać do tego, co mówiła Penny, ale nikt nie umiałby powiedzieć, czy tak jest czy nie.

Wpadły dziewczynki i wyglądało na to, że z przyjemnością opowiadają Meg o swoich ulubionych zajęciach – skakanie przez skakankę, rysowanie kredą, jeżdżenie na hulajnodze, zabawa w dom – i o tym, jak pomagają cioci Penny opiekować się mamusią, o której wiedziały, że niedługo pójdzie z powrotem do nieba, „do Pana Jezusa i do tatusia”. Meg miała ochotę je zapytać, czy będzie im brakować matki, czy nie czują się oszukane przez Boga, ale naturalnie nie potrafiłyby na to odpowiedzieć, a ona nie odważyłaby się powiedzieć czegoś takiego przy Lanie. Zadała Penny kilka praktycznych pytań dotyczących opieki nad Laną, przyjęła kubek soku od Colleen i najszybciej jak mogła, na ile pozwalały na to względy uprzejmości, uciekła z małego, słonecznego domku, w którym jak w pułapce tkwiła umierająca kobieta.

Powrót do Ocala zdawał się trwać bez końca. Czy naprawdę prowadzenie było teraz trudniejsze, czy tylko tak jej się wydawało? Czy naprawdę musi mocniej naciskać pedał, aby utrzymać równe tempo jazdy, myśleć o tym, by utrzymać samochód na pasie, a nie, jak dotąd, robić to automatycznie? Kiedy prowadzenie przestanie być bezpieczne? Gdy podjeżdżała do domu, miała uczucie, że spada jej z piersi wielki ciężar. Zginąć na autostradzie to byłaby skrajna ironia, no a poza tym miała jeszcze coś do zrobienia, zanim powróci do Jezusa czy kto tam jeszcze ewentualnie może rządzić.

W domu zrobiła sobie szklankę mleka czekoladowego – co też zdawało się ją kosztować więcej wysiłku, niż powinno – i zabrała ze sobą na patio, gdzie zamierzała kontynuować pisanie. Obraz Lany Mathews nie opuszczał jej ani na chwilę.

Odwiędziłam dziś pewną kobietę chorą na ALS, młodszą ode mnie, której obecny stan to niemal kompletny paraliż. Leży na szpitalnym łóżku, wstawionym do salonu, i spędza w nim cały czas. Są z nią dzieci i siostra, ale

to nie jest życie, tylko czekanie, aż zostanie jej odebrana praktycznie jedyna funkcja, do jakiej jeszcze jest zdolne jej ciało – oddychanie.

Urwała. Znowu jej się przypomniała tamta noc, kiedy była uwięziona w stajni z Panną Młodą. W pewnym sensie dobrze wiedziała, jak musi się czuć Lana... jakie to okropne i smutne! Zobaczyła siebie na miejscu Lany, ale w nie tak pogodnym otoczeniu – Brian nie zniósłby, gdyby była stale na widoku – a Savannah... Savannah musi żyć, a nie tkwić w pułapce. Jakie długie byłyby dni, jakie nudne... Czy Savannah czytałaby jej podczas odwiedzin? Nie, śpiewałaby. No cóż, przynajmniej te chwile byłyby dobre.

Zdumiewa mnie, że Lana chce żyć w ten sposób – bo zakładam, że chce. (Aczkolwiek nie jest w stanie ani tego potwierdzić, ani temu zaprzeczyć). Rozumiem religijne argumenty przeciwko samobójstwu i szanuję tych, którzy wierzą. Jezus jest bardzo wyraziście obecny w domu Lany Mathews, co wiele wyjaśnia. Kiedy wychodziłam, Penny, jej siostra, powiedziała: „Pan Jezus czuwa nad panią, proszę o tym nigdy nie zapominać”.

Przerwała i spojrzała ponad migocącą powierzchnią basenu na cienistą dolinę, porośłą sosnami o długich igłach. Miała ochotę spytać Penny: „Skąd pani wie?”, ale nie spytała. To przecież wiara skłania ludzi do takich słów. Oni nie wiedzą. Wierzą.

No cóż, ona też w coś wierzyła. Wierzyła w tajemną moc życia i wszechświata – można to nazwać Bogiem, jeśli ktoś ma ochotę. Wierzyła, że jest jakieś miejsce, gdzie żyje duch, zanim zamieszka wcielenie płodu, i później, gdy opuści ciało, bez względu na wiek. Wierzyła, że istnieje królestwo mądrości, piękna i pokoju, które istnieje wokół każdego z nas, choć tylko nieliczni wiedzą, jak do niego wejść, Nie bała się śmierci.

To jałowe, bezradne życie ją przerażało.

Nie będzie tak żyła.

Napisała to.

36

WE WTOREK PADAŁO. W milczącym, posępnym domu Meg czuła się jak odcięta od świata. Kiedy zagrzmiało, raptownie jej myśli cofnęły się w przeszłość – może tak jest zawsze, kiedy człowiek wie, że jego kres jest już blisko? Pomyślała o sobie szesnastoletniej, o swoim ówczesnym życiu, tak różnym od życia Savannah. Zabierając ze sobą dziennik, wyszła na tylny ganek, wyciągnęła się na szeszlunku i przymknęła oczy. Przeszłość była tak zniewalająco wyrazista, że choć wchodzenie w nią mogło otworzyć rany, nie potrafiła się oprzeć.

Wieczór jej szesnastych urodzin. Było to zwykłe rodzinne przyjęcie: tort czekoladowy z białą masą na wierzchu, na której, ułożone z kawałeczków czekolady, widniały jej imię i wiek, skrzynka oranżady, którą mogła pić bez ograniczeń, zielone plastikowe talerzyki (jej ulubiony kolor, ze względu na oczy Carsona), prezenty, własnoręcznie sporządzone przez siostry i opakowane w stare gazety, ułożone w stosik na komódce, tak żeby przy stole było miejsce dla całej rodziny, Carsona i jej przyjaciółek Libby i Christine. Zazdrościła Libby, że ma klamry na zębach; tak się wówczas wstydziła tego krzywego kła. Ale nie było pieniędzy na klamry i nawet o to nie prosiła. Jedynym, czego pragnęła, był album grupy The Police, *Synchronicity*. Kupił go Carson. Od rodziców dostała kolczyki z perełek hodowlanych i powieść Jane Austen *Perswazje*, o której mama słyszała, że podoba się dziewczętom.

Po torcie, prezentach i wielokrotnym przegraniu albumu przyjaciółki poszły, a oni z Carsonem zaczęli grać w scrabble. Kara zaglądała im przez ramię i podsuwała obojgu własne sugestie, co rzecz jasna przeszkadzało w grze. Dali więc spokój i wyszli. Był duszny czerwcowy wieczór. Poszli przez wilgotne pastwisko, wśród skrzeczących ropuch i śpiewających miłosną pieśń cykad, na swoje zwykłe miejsce spotkań. Kiedy myślała teraz, ile swobody mieli z Carsonem, była zdumiona beztróską rodziców. Nigdy jej nie śledzili, nigdy nie spytali, dokąd i po co idzie. Ona wiedziała o każdej chwili Savannah, mogła do niej zawsze zadzwonić na komórkę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że pozwala jej na taką swobodę... i to z chłopakiem! Jak wielkim zaufaniem obdarzali ją rodzice... zbyt wielkim, jak się okazało. Starła się ich jednak nie winić – chcieli dobrze, tak samo jak ona.

Tego wieczoru, w dniu urodzin, była taka pewna swej przyszłości z Carsonem. Miał

wtedy siedemnaście lat, jego ciało było ciałem mężczyzny, uformowanym przez twardą, uczciwą pracę syna farmera. Tam, w cieniu porastających zbocze drzew, zdjęli z siebie wszystko i poznawali nawzajem swoje ciała z tą niepowstrzymaną radością, jaką daje młodość, bliskość i swoboda. Smakowała go całego, a on ją, i rozmawiali ściszonymi, schryplymi głosami o tym, jak to będzie, kiedy będą się kochać naprawdę. Chcieli, żeby to było coś wyjątkowego, wierzyli, że są wyjątkowi, że ich miłość jest czymś niezwykłym.

Wtedy powiedział, że powinni w przyszłości pomyśleć o wybudowaniu domu na zboczu, tak by zawsze mogli być blisko rodziców i pomóc, gdy będzie trzeba.

Zburzyła to wszystko, wychodząc za Briana. Wówczas nie widziała tego w ten sposób.

Była przekonana, że postępuje słusznie, wierzyła, że takie poświęcenie w imię rodzinnej miłości nie może być czymś złym. Ze samą mocą moralnej słuszności czynu jego wyniki będą korzystne dla wszystkich. Że Carson się otrząśnie i w końcu znajdzie kobietę, która naprawdę jest mu przeznaczona. I być może właśnie znalazł... Ciekawe, czy on tak uważa, pomyślała.

No jasne, że tak. Był zachwycony Val; czy mogło być inaczej?

Ale wyniki nie były tak dobre, jak liczyła, dla tych, co mieli na tym skorzystać: z farmy wciąż wyciekały strumieniami pieniądze, Julianę zaszła w szkole średniej w ciążę, Beth straciła zainteresowanie dla małżeństwa i życia rodzinnego, a Kara... no cóż, z Karą było wszystko dobrze, Kara była szczęśliwa, ale ona byłaby szczęśliwa i tak. Odziedziczyła najlepsze cechy obojga rodziców, samo pszeniczne ziarno bez śladu kłokolu. A ona, Meg, miała Briana – i chłód uprzywilejowanego życia. Miała też Savannah – aleją mogłaby mieć tak czy owak. Choć widok jej i Carsona stojących obok siebie niczego nie wyjaśnił.

A Carson... szczęśliwie miał wkrótce poślubić młodą, zdrową, piękną kobietę, która go uwielbiała. Jego rodzice nadal dobrze sobie radzili, choć wyjechał z domu. Może wcale nie powinna się czuć winna? Nieświadomie uchroniła go przed tym, z czym najwyraźniej będzie musiał radzić sobie Brian: z umierającą żoną, nad którą opieka, zanim umrze, pochłonie wiele wysiłku i pieniędzy, o ile będzie czekała z zakończeniem sprawy aż do czasu, gdy znajdzie się na wózku; z żoną, która odbierze sobie życie – choć w jaki sposób to robi, jeszcze nie wiedziała. Wiedziała bardzo dobrze, czego nie chce; sprecyzowanie, czego chce, było jednak trudniejsze.

Wzięła długopis i zaczęła pisać:

Wtorek, pada. Czy powinnam potraktować ten deszcz jako znak? Nie grasz dziś po południu w softball, tato nie pójdzie na golfa. Mogłabym przyrządzić coś dobrego na obiad, nakarmić was, a potem powiedzieć wam obojgu, co się ze mną dzieje. Może to zrobię, jak wrócimy z odwiedzin u dziadka Spencera. A może nie. W tej chwili czuję się jak uciekinierka, ukrywając prawdę za fasadą normalnego życia – naszego życia, gdzie wszyscy jesteśmy tak zajęci, że nikt nie dostrzega, co się naprawdę dzieje z innymi.

Urwała i zastanowiła się nad ostatnim zdaniem. Czy to podświadomość przez nią przemówiła? Czego ona nie dostrzega u męża i córki, gdy tak

intensywnie patrzy w głąb siebie? Czego nie dostrzegała, być może, od samego początku? Nie potrafiła powiedzieć, zwłaszcza w wypadku Briana. Nie zadawała sobie trudu, by przyglądać mu się wnikliwie, bo nie chciała być zmuszona do czegoś, co wydawałoby się reakcją konieczną, gdyby – powiedzmy – miał romans.

Pomyślała też o sekretach, które ona zachowywała przez lata. Wobec Briana – co do możliwego pochodzenia Savannah. Wobec Savannah – co do tego, jak dobrze znała kiedyś Carsona. Wobec Carsona i sióstr – dlaczego zaczęła chodzić z Brianem... to była cała spirala przemilczeń, wciągająca jak bagno, i nie czuła się już z tym wygodnie.

Co z tym wszystkim zrobić? Nie miała pojęcia.

Długo siedziała i patrzyła, jak krople deszczu dziurkują powierzchnię basenu, jak ściekają po zasadzonych w donicach palmach. Przy całej pośpności słotnego dnia lubiła woń deszczu, mgiełkę, nasycającą powietrze boskim, pierwotnym aromatem. Matka mówiła, gdy padało, że to Matka Boska płacze z radości, odświeżając ziemię, aby lepiej się żyło wszystkim jej dzieciom. Meg nie była tak przywiązana do niebiańskiej patronki swej matki, nigdy nie potrafiła dostrzec przejawów jej łaskawości w twardym, ubogim życiu, jakie prowadzili.

Może gdyby chodziły do kościoła, tak jak matka, gdy była mała... ale ojciec mówił, że kościół

prędzej nauczy ich złego niż dobrego. Teraz przyszło jej do głowy, że być może prawdziwa przyczyna była inna: wolał uniknąć oceniających oczu, nie chciał, by ludzie przyglądali się jego córkom, żalowali ich... Wzięła pióro i napisała: *Bądź dzielna w życiu, Savannah, ale nie głupio dzielna. Zawsze czegoś żałujemy, bywa, że smutki i zgrzyoty narastają jak kamienny kopiec – ale nie pozwól, by urósł tak wysoko, że przestoni ci świat.*

Jak piosenkę, zbyt cichą dotąd, by mogła rozpoznać słowa, usłyszała nagle własną radę w stukocie deszczowych kropeł. A ona – czy pozwoliła, aby jej kopiec urósł zbyt wysoko?

Widziała swoje nietrafne wybory jak głązy, widziała własne dobre intencje pogrzebane pod ciężarem nieprzewidzianych konsekwencji. Ale może nie było jeszcze za późno, aby to naprawić, przynajmniej częściowo.

Wstała i poszła po telefon.

37

BYŁ TO JEDEN Z TYCH RZADKICH DNI, KIEDY CARSON NIE BYŁ Z VAL, Gene'em ani z żadnym z przyjaciół, nie miał też w bliskiej

perspektywie żadnego występu. Organizator odwołał w ostatniej chwili koncert w Nowym Orleanie, ze względu na remont sali; termin mieli ustalić później, mniej więcej na koniec lata. Carson wrócił do Seattle i wyprawił Val na Bali samą. Będzie mógł wykorzystać ten czas na posprzątanie apartamentu, zanim wejdzie firma przeprowadzkowa. Z doświadczenia wiedział, że pakują wszystko jak leci, nawet śmieci, o ile nie dostaną szczegółowych instrukcji.

Właśnie nalał sobie szklankę japońskiego piwa, kiedy zadzwonił telefon. Zerknął na ekranik, ale bez okularów do czytania nie widział, kto dzwoni.

– McKay, słucham. Chwilę trwała cisza.

– Mówi Meg. Czy u was pada?

– Jaka Meg? – spytał. Do głowy mu nie przyszło, że jego Meg mogłaby zadzwonić, a cóż dopiero zacząć rozmowę tak niedbale.

– Powell. Hamilton. Powell-Hamilton.

– Meg?!

– Tak. Czy dzwonię w nieodpowiedniej chwili?

– Nie! Miałem... nie, skąd! Tak, pada. Czemu pytasz?

– Bo tutaj też pada – odparła. – Od samego rana. Ale jest ciepło i w pewnym sensie przyjemnie, naprawdę.

Dziwnie to brzmiało. Czy jest pijana? Spojrzał na zegar, fałszywy antyk ze starannie podniszczonego drewna, wiszący na ceglanej ścianie między wysokimi, czterometrowymi oknami. Dwadzieścia pięć po jedenastej; na Florydzie jest o trzy godziny później. Trochę za wcześnie na picie... On też nie powinien, skoro już o tym mowa, ale był na nogach od szóstej rano, porządkując dobytek.

– Tu nie jest aż tak ciepło, ale w sumie nieźle. Co prawda jestem w mieszkaniu, i...

– Twoja matka powiedziała, że będę miała szczęście, jeśli zastanę cię w domu. Podobno trudno się do ciebie dodzwonić.

– Czyli, że to mama dała ci mój numer.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Powiedziałam jej... – Westchnęła. – Powiedziałam jej, że muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego... i zgodziła się, choć nie wyjaśniłam, o co chodzi. Właściwie... powinnam się była bardziej zastanowić, zanim zadzwoniłam. Przepraszam...

Przysiadł na barowym stołku, zdumiony i zaintrygowany. Mówiła spokojnie, ale w jej głosie słychać było coś dziwnego.

– Nie przepraszaj. Wszystko w porządku. To znaczy... miło mi, że

dzwoniysz. – I rzeczywiście było mu miło. Dziwne.

– Nie wiem... Boję się, że obciążam cię swoimi sprawami, a tak naprawdę chcę odciążyć siebie. No, i ciebie też... Powinieneś być zadowolony, kiedy się o czymś dowiesz...

– Wyduś to w końcu z siebie – powiedział i przypomniało mu się, że dokładnie tak samo było w dniu, kiedy zerwali: wahanie w jej głosie, jego słowa: „wyduś to w końcu z siebie”.

Jednak niewiele się zmieniło.

– Gdyby to był film, zrobiłabym teraz dramatyczną pauzę i powiedziała: Carson, ja umieram.

– W takim razie bardzo dobrze, że to nie film – zauważył, pociągając łyk piwa.

– ... Carson?

Na dźwięk jej głosu przeszedł go mróz.

– Nikt jeszcze o tym nie wie. Tylko lekarz, u którego byłam w zeszłym tygodniu, i moja współpracownica Manisha... musiałam jej powiedzieć, bo... cóż, nie mogę wrócić do pracy. Ale poza tym nikt... tylko ty.

Wstał i rozejrzał się po pokoju, tak jakby jej szukał. Czuł, że musi ją zobaczyć. To nie może być prawda. Ukochana sprzed lat nie może tak po prostu zadzwonić i powiedzieć, że umiera. To jakiś obłąd. A może właśnie po prostu jest obłąkana?

– Poczekaj – rzekł. Wyjrzał przez okno na zatokę Pudget Sound, ale jej nie widział. – Jak to: umierasz?

– Przepraszam. Wiem, że okropnie jest zwałać ci to na głowę, ale muszę ci powiedzieć, bo wtedy zrozumiesz, dlaczego do ciebie dzwonię.

– Jak to umierasz? Kiedy... kiedy masz umrzeć? – Nie mógł się oderwać od tej jednej sprawy.

– Nie wiem kiedy... ani w jaki sposób; ciągle się nad tym zastanawiam. Choruję na ALS.

Choroba Lou Gehriga, słyszałeś o niej?

– Nie. – Nie przyjmował tego do wiadomości. – Przecież nikt już na to nie choruje...

wynaleźli jakiś lek po tych telewizyjnych imprezach charytatywnych Jerry'ego Lewisa.

– To chodzi o dystrofię mięśni... inną chorobę, na którą zresztą też nie ma lekarstwa. Ale nie zawsze jest śmiertelna, dzięki Bogu.

– Zaraz... a co to znaczy, że ciągle się zastanawiasz, w jaki sposób?

– Chodzi o to... nieważne, zapomnij o tym. Po prostu się przejęczyłam. Ważne jest co innego. Muszę ci coś wyjaśnić, żeby... wydaje mi się, że łatwiej mi będzie umrzeć, wiedząc, że znasz prawdę. O tym, co się stało... o tym, dlaczego wyszłam za Briana.

No tak. Chciała się wypowiedzieć, wyznać, że chodziło o to, co Hamilton mógł jej dać, a on, Carson, nie – wtedy. Powie, że jest jej przykro i że gdyby wiedziała o jego karierze, toby z nim została... czy coś równie idiotycznego. No cóż, zrozumiał to już wiele lat temu.

– Tak? No, słucham.

– Wydaje mi się, że jesteś zły.

– To całkiem chyba nie jest żaden wielki sekret, prawda?

– Wiesz o tym? Skąd? Przecież nikt nie wie... myślałam, że trzymali to w tajemnicy...

– To jasne, Meg. On miał kasę. Ja nie. Przez chwilę milczała.

– Tak – odezwała się w końcu. – Oczywiście, mogłeś dojść do takiego wniosku. W

pewnym sensie, jeśli sprowadzić wszystko do najprostszego wspólnego mianownika, mogę się nawet z tym zgodzić. Ale nie tak to widziałam w tamtym czasie.

I powiedziała mu, jak było. Że to nie majątek Hamiltonów ją zwabił, lecz to, co byli gotowi zrobić z jego częścią. I jak rozpaczliwie wyglądały interesy jej rodziców: – Pamiętasz, jak pod koniec osiemdziesiątego siódmego roku chodziły słuchy, że farma ma przejść na własność banku? Niewiele pomogło to, że dokładałam się do opłacania rachunków – rodzice tonęli w długach. .. a Brian o tym wiedział, bo to Hamiltonowie mieli hipotekę, a rodzice spłacali raty z opóźnieniem, czasami w niepełnej wysokości... niemal co miesiąc.

Urwała na chwilę.

– Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale on się do mnie zalecał... a ja go zawsze zniechęcałam.

Tym razem... cóż, okazało się, że jeśli dam mu szansę, wybaczą nam te opóźnienia, a jeśli za niego wyjdę, wykreślą hipotekę z ksiąg. A jeśli nie... praktycznie stracilibyśmy farmę... w najlepszym razie. Po prostu nie mogłam... Och, Carson – westchnęła. – Moi rodzice powtarzali, jakie to wspaniałe, że w ogóle o tym pomyślałam, i jaki straszny ciężar zdjąłabym im z pleców... nigdy mnie nie namawiali, ale wiedziałam, jak jest. I zmusiłam się, żeby uwierzyć, że jakoś przez to przejdziemy, ty i ja. Zwłaszcza ty. Pomyślałam, że mnie znienawidzisz i że to wystarczy.

– I faktycznie cię znienawidziłem – odparł.

Pomyślał o tym, co teraz mówiła: Hamilton był w stanie skreślić prawie czterysta tysięcy dolarów długu. Czy mógł ją winić, że wzięła pod uwagę coś takiego? Łatwo było ją potępić, zakwestionować jej moralność: mógł powiedzieć, że się sprzedała, i nie byłoby to całkiem nieprawdziwe. Ale prawdziwe też by nie było.

– Pozwól, że powiem wprost: Hamilton poczekał, aż twoi starzy będą na krawędzi bankructwa, po czym ustawił cię w roli wybawczyni, tak? Co za skurwysyn.

– Carson...

– No co? To jest skurwysyństwo, Meg. Jezu, przecież ty w ogóle nie miałaś wyboru!

– Nie dzwonię po to, żebyś się wściekał na Briana. To nie zbrodniarz. Po prostu...

skorzystał z okazji, która się nadarzała. Gdyby moi rodzice spłacali dług jak należy, nie miałyby szansy mnie zdobyć. To nie jest wyłącznie jego robota.

Nie miał ochoty rozgrzeszać Hamiltona, ale faktycznie, musiał przyznać, że i jej rodzice mieli w tym swój udział. Najmniej winna była sama Meg. Co za ulga – wiedzieć, że go nie odrzuciła... Nie uwiodły jej pieniądze, była owieczką prowadzoną na rzeź.

– Nienawidziłem cię chyba całe dziesięć minut – powiedział. – A potem, przez te półtora roku, zanim wyszłaś za mąż, byłem po prostu kompletnie rozbity. Dopiero kiedy się okazało...

kiedy wzięłaś ślub, uznałem, że muszę coś zrobić ze swoim życiem i pójść naprzód.

– Szkoda, że nie mogłam ci wtedy powiedzieć... To po prostu nie do pomyslenia.

Śmieszne. Nie mogę uwierzyć, że taką właśnie decyzję podjęłam... powinnam była poszukać innego rozwiązania. Mogę tylko powiedzieć, że strasznie mi przykro, że musiałeś przez to przejść. Okazało się... – Znowu westchnęła. – To był zły wybór. Pomyliłam się i przepraszam cię... z całego serca. – Ostatnie słowa niemal wyszeptęła.

– Boże, Meg...

Zapadł się we wspomnienia, rewidując swoją ocenę tego wszystkiego, co zaszło przed laty. Powiedzmy, że odrzuciłaby propozycję Hamiltona, zostałyby z nim i pobraliby się, tak jak zamierzali – a tymczasem jej rodzice straciliby farmę, dom, miejsce na ziemi... I tak by im nie wyszło, to jasne jak

słońce.

I wtedy, jak boja wypchnięta przez falę, nowina Meg znów wypłynęła na wierzch.

Powiedziała, że umiera. A może...

– Poczekaj. Czy ty myślisz o samobójstwie? – Może wcale nie jest chora, może jest w depresji i szuka pomocy. Albo po prostu usiłuje uporządkować swoje sprawy, zanim uporządkuje je wewnątrz siebie?

– Naprawdę jestem chora na ALS – odparła. – Mam przed sobą w najlepszym razie parę miesięcy, zanim zostanę przykuta do łóżka... To nie jest przyjemny widok, Car. I... i... po prostu nie wiem, jak mam to powiedzieć Savannah, jak ona to przeżyje...

Pląkała teraz cicho, ale on słyszał jej płacz, jej ból i bezradność. Rozpaczliwie zapragnął

być przy niej, gdziekolwiek teraz jest. Nie powiedziała nawet Brianowi; boryka się z tym samotnie, tak jak niegdyś, była w rodzinnym domu. Spencer i Anna zawsze liczyli na swoją dobrą, odpowiedzialną, dojrzałą Meggie: że dopilnuje obiadu, sprawdzi dziewczynkom lekcje, zadba, żeby padoki zostały na noc zamknięte... Liczyli na jej pracę w banku, na jej zarobki, wreszcie na to, że uratuje ich przed skutkami ich własnej nieudolności i uporczywej, niepoprawnej nieodpowiedzialności i beztroski Spencera.

Czy ktoś kiedykolwiek zatroszczył się o nią? On chciał, próbował... Boże, byli tacy młodzi. Był przy niej wtedy, ale to nie wystarczyło – nie zdołał jej uchronić przed niebezpieczeństwem. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jak pomóc jej rodzicom, nie przychodziło mu to nawet do głowy. To przecież była ich sprawa, prawda? A mimo to miał uczucie, że i on ją zawiódł.

– Meg, słuchaj... powiesz o tym swoim siostróm? Może będą mogły ci pomóc albo...

– Tak, powiem. Niedługo powiem wszystkim. Sama wiem dopiero od piątku. Tuż przed twoim koncertem. Wtedy się dowiedziałam.

Przypomniał sobie, jak źle, jak krucho wyglądała. A on... co z niego za dupek... Robił

aluzje na temat Hamiltonów i ich pozycji towarzyskiej. Co ona sobie o nim pomyślała?

– Na pewno będziemy mogli porozmawiać o tym dłużej, ale teraz... muszę kończyć. Jadę po Savannah do szkoły, rozumiesz... Dziękuję, że pozwoliłeś mi to z siebie zrzucić. Wiesz...

zawsze chciałam ci wszystko powiedzieć, ale najpierw byłam jak w pułapce: nie mogłam ryzykować, że Bruce wycofa się z układu. No a później, kiedy mogłam już zwrócić mu go sama, myślałam: Carson mnie nienawidzi, jaki to ma sens? – Zaśmiała się z zażenowaniem. – Nawiasem mówiąc, tato spłacił Bruce’a, kiedy sprzedał farmę.

– Bruce zażądał zwrotu? – To był jedyny sensowny wniosek... jeśli cokolwiek z tego wszystkiego miało jakiś sens.

– Nie... możesz wierzyć albo nie, ale tato sam uznał, że tak należy zrobić. – Głos Meg, wciąż chropawy od płaczu, odrobinę zmiękł.

Spencer oddał pieniądze z własnej woli. Coś takiego. Odkręcił układ – w przystępie spóźnionych wyrzutów sumienia. Hamilton pewnie ucieszył się, że dostał kasę z powrotem, Spencer uspokoił sumienie, ale czy miało to jakieś znaczenie dla Meg? Uwolniona z okowów, nadal tkwiła w tym samym układzie, bo sądziła, że on, Carson, jej nienawidzi...

Zaraz. Jeśli to był jedyny powód, to czemu nie zostawiła Briana i nie zaczęła żyć sama?

Pewnie dla dobra Savannah, pomyślał. Bez względu na przyczynę, nie mógł jej potępiać: to, że została z Brianem, nie było bardziej naganne niż to, co robił on, sypiając z kim się da przez dwanaście lat.

– Muszę już jechać – podjęła. – Cieszę się, że porozmawialiśmy... i cieszę się, że cię widziałam i... i poznałam Val. Życzę ci wszystkiego najlepszego, Carson. Wam obojgu.

Chciał jej powiedzieć coś równie miłego, krzepiącego, niosącego nadzieję, ale zanim zdążył cokolwiek wymyślić, odłożyła słuchawkę, nie mówiąc nawet „cześć”.

38

WE WTOREK PO SZKOLE Savannah przebiegła tylko kilkanaście metrów, dzielące front budynku od samochodu matki, ale i tak przemokła. Wsiadła, cisnęła torbę na tylne siedzenie i uniosła ręce, żeby zebrać mokre włosy w koński ogon.

– Muszę się zatrzymać po drodze, żeby zajrzeć do dziadka, zgoda?

– Nie. Znowu? Podrzuc mnie najpierw do domu.

– Podrzuciłabym, tylko po prostu nie chcę prowadzić w tym tłoku ani chwili dłużej niż to absolutnie niezbędne. Nie będziemy tam długo.

Savannah spojrzała na matkę. Dopiero teraz zobaczyła, że ma worki pod oczami, a między brwiami dwie pionowe zmarszczki.

– Czy z dziadkiem wszystko dobrze?

– Tak sędę. Czemu pytasz?

– Wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.

Skręciły z parkingu i włączyły się w strumień samochodów. Wycieraczki pracowały pełną parą.

– Jestem zmęczona – powiedziała matka. – Nie mogę spać, a poza tym muszę przejrzeć i dokończyć raport na temat dziecka, które straciliśmy w zeszłą niedzielę... pamiętasz? To niewesołe.

– Jak ty to możesz robić? – spytała Savannah. – Kiedy dziecko umiera w czasie porodu...

to musi być straszne.

– Bo jest straszne. Kiedy pierwszy raz mi się to zdarzyło, chciałam zrezygnować z położnictwa. Ale z czasem człowiek uczy się, że ktoś musi być wtedy przy rodzącej; nie można uciekać tylko dlatego, że coś się nie udało albo że natura jest przeciw tobie. Trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś miał większą satysfakcję z zawodu, niż miałam ja.

– Niż masz, chciałaś powiedzieć.

– Tak powiedziałam.

– Nie, powiedziałaś: miałam.

– Skądże.

– Właśnie, że tak. Słyszałam.

– Chyba twój i-Pod trochę ci nadwerżył słuch.

– Nieważne.

Obie miały parasolki, ale parasolka nie jest w stanie uchronić stóp. Savannah w czerwonych klapkach ruszyła prosto przez kałuże, ale mama, w nowych skórzanych mokasynach, które miała na nogach w piątek, szła powoli, nadal oszczędzając prawą nogę.

Savannah obserwowała ją, stojąc przy wejściu.

– Jeśli ci w tych butach niewygodnie, czemu ich nie zmienisz? Matka strząsnęła parasolkę.

– Czemu? – Spojrzała na nią i uśmiechnęła się. – No wiesz... zapomniałam. Głupie, co?

Savannah nie kupiła tego kitu.

– Daj spokój.

– No co? – spytała matka niewinnie, ale ze skruchą w oczach. – Dobrze – poddała się. – Już dobrze. Nie mówiłam o tym nawet tacie, ale tobie mogę powiedzieć: mam coś z nerwem.

Coś tam sobie naciągnęłam w czasie trudnego porodu i chodzę do

specjalisty, ale przez to ręka i noga. .. czasem mam w nich silny kurcz. No i...

Savannah spoważniała.

– To niefajnie... Będiesz miała operację czy coś?

– Nie, nie. Powinna wystarczyć fizykoterapia, a poza tym muszę na jakiś czas wziąć sobie wolne.

– Czemu nie powiedziałaś tacie?

– Wiesz, jaki on jest. Stale zajęty.

I krytyczny, pomyślała Savannah, kiwając głową.

– W takim razie, no wiesz... powiedz, jak będziesz potrzebowała pomocy.

– Dzięki, kochanie. Powiem.

Drzwi się otworzyły.

– Cześć, dziewczyny! Zdawało mi się, że słyszę wasze głosy. A ja właśnie wróciłem od mojego przyjaciela Clifforda Aimesa... który miał dla mnie wyłącznie złe wiadomości, wyłącznie złe. – Spencer wpuścił je do środka: – Jest frappacino, które tak lubisz, Vannah, tu, w lodówce... częstuj się.

Sięgnęła do lodówki, spodziewając się, że mama jej zabroni albo przynajmniej powie, że psuje sobie apetyt przed posiłkiem, ale matka nie zwróciła na to uwagi.

– Jakie złe wiadomości? – zapytała dziadka.

– Wiesz, Meggie, matka na pewno śmieje się teraz ze mnie w niebie.

Aimes powiedział, że mam w nerkach dwa wielkie kamienie i że „właśnie to powoduje ból... a mama ciągle powtarzała, że powinienem się zbadać... tylko zawsze byłem zbyt zajęty, żeby iść do lekarza.

– Westchnął i sięgnął po kieliszek, a potem wziął stojącą na blacie butelkę wina.

Mama usiadła przy stole.

– I co chcą z tym zrobić?

– Małą operację... dziwnie się nazywa, gdzieś tu sobie zapisałem... –

Poszukał w kieszonce koszuli, potem w spodniach, wreszcie wyciągnął skrawek papieru z tylnej kieszeni.

– Nefrolitotomia przezskórna. Ile to liter, wyobrażacie sobie? – Urwał, żeby policzyć. – Dwadzieścia pięć... cały alfabet, ja cię kręcę! Lekarze to potrafią, psiakrew, wszystko skomplikować. Po dwóch dniach będę z powrotem na nogach. Musisz oczywiście odbierać moją pocztę, podlewać

kwiatki, no i przynieść mi kieliszek czy dwa tej szkockiej, którą tak lubię.

– Tato, będziesz musiał od tej pory uważać na zdrowie. Nie możesz biernie czekać, aż sytuacja stanie się krytyczna. Twoja cukrzyca wszystko komplikuje.

– Od tego mam ciebie – powiedział dziadek. Przeszedł do pokoju i usiadł w fotelu, tym samym, z którego korzystał przez całe życie, odkąd Savannah mogła sobie przypomnieć.

Fotel babci stał obok, po drugiej stronie stolika. Przykro było widzieć, że jest pusty. Wyglądał

na taki... osamotniony.

Mama pokręciła głową.

– Nie, nie licz na to, że cię będę pilnować. Będziesz musiał wydorosnąć i albo zadbać o siebie sam, albo zdać się na personel. Nie możesz tak po prostu... to przecież twoja sprawa, nie sądzisz?

– Ależ ty dzisiaj jesteś cięta! Czy to twój mąż ci dopiekl, czy pogoda cię dołuje? Podobno ma padać do końca tygodnia. Z softballu nici, co, Vannah?

– Pewnie tak – odparła. Dlaczego mama nie powie dziadkowi o swoich kłopotach z nerwem? Usiadła w fotelu babci i wyciągnęła z końskiego ogona pasemko włosów, żeby je zaplatać. – Nie przeszkadza mi deszcz. Mam już dosyć softballu, jestem zmęczona.

Teraz, kiedy miała Kyle'a, szkoda jej było czasu na piłkę. Wszystko w dotychczasowym życiu wydawało się bez znaczenia; chciała pójść naprzód, zrobić coś więcej niż tylko wkuwać fakty do egzaminów i godzinami podbijać piłkę z bandą rozpuszczonych nastolatków, którym się w głowie przewracało od dobrobytu. Chciała pomóc Kyle'owi stanąć na nogi, może nawet wrócić na studia?

W tej ostatniej sprawie opuściła wczoraj ostatnią lekcję: poszła do banku i przelała na konto, które jej podał, pięćset dolarów ze swoich oszczędności. Powiedział, że to konto jego brata; po prostu się obawiał, że pieniądze zginą, gdyby go akurat nie było w domu.

Zadzwoił, kiedy tylko je dostał, i powiedział:

– Malutka, jesteś niesamowita. To duża sprawa. Będę cię kochał zawsze! Kochał!

Zawsze!

– Nie z powodu kasy – dodał. – Dlatego, że masz taki wspaniały charakter. Taki szczery.

To piękne!

Wróciła do rzeczywistości. Dziadek mówił o swojej operacji. Miała się odbyć za dwa dni, w czwartek.

– Może byś zadzwoniła do dziewczynek i powiedziała, że się kładę na stół? – Sięgnął po ciemną buteleczkę, która stała na blacie.

– Co tam jest? – spytała mama.

– Jakiś lek przeciwbólowy.

– Od kiedy go bierzesz?

– W ogóle jeszcze go nie brałem.

Mama wzięła do ręki buteleczkę, przeczytała etykietkę, wysypała tabletki na dłoń.

Przeliczyła je i wsypała na powrót.

– Dobrze, od dziś wybierasz: albo wino, albo pigułki. Dziadek złapał buteleczkę.

– Daj spokój! Gadasz, psiakrew, jak lekarz.

Mama wzięła kieliszek z winem i poszła z nim do kuchni. Utykanie było coraz wyraźniejsze.

– A ja się dziwiłam, skąd te nerki! Od tej pory nie ma mowy: żadnego popijania pigułek alkoholem. I zapisz sobie godzinę, kiedy je bierzesz, żebyś nie zapomniał.

– Co ci się stało w nogę? – spytał.

– Nieważne... słyszałeś, co mówię?

– Słyszałem, słyszałem. W takim razie przynieś mi wody, żebym miał czym popić te piguły.

Savannah zerwała się z fotela.

– Ja przyniosę. – Nie chciała, żeby mama musiała kuleć tam i z powrotem.

– Dzięki, kochanie. Słuchaj, tato... zadzwonię do ciebie później. Pilnuj się, żeby nie było kłopotów, dobrze? Na dziś mam dosyć.

Dziadek wstał, trzymając się za lewy bok.

– Weź, Meggie, to pudełko, które leży na blacie. To wasze zdjęcia, jak byłyście małe.

Groch z kapustą... znalazłem je w tej starej szafce w przedpokoju. Pojęcia nie mam, czemu matka je tam wsadziła.

Mama zajrzała do pudełka.

– Pewnie chciała je uporządkować któregoś dnia.

– Pewnie tak. Czeka... mam tu jeszcze coś dla was. – Poszedł do sypialni i wrócił z plastikową torbą na zakupy. Podał ją Savannah.

- Co to jest?
- Parę książek, trochę skarpetek.
- No dobrze, dziękuję. Odprowadził je do drzwi.
- I nie mów, że nigdy nic ode mnie nie dostałaś – powiedział na pożegnanie.

Savannah się uśmiechnęła. Nie był taki zły... Prawdę mówiąc, zabawny. Nie zwróciła na to uwagi wcześniej, kiedy żyła babcia. I to miłe, że kupił jej ulubione napoje, które babcia zawsze trzymała specjalnie dla niej. Zwłaszcza ten z dużą ilością kofeiny; przez ostatnie noce tak długo rozmawiała z Kyle'em, że potrzebna jej była dawka energii. Dzięki kofeinie przeżyła też jakoś ostatnią sobotę, kiedy tato obudził ją z drzemki i przypomniał, że ma nieodrobione lekcje.

Na zewnątrz padało trochę mniej i mama pozwoliła jej prowadzić. Jechały do domu w milczeniu. Mama prawdopodobnie myślała o operacji dziadka i o tej historii z uszkodzonym nerwem czy co tam to było. Miejmy nadzieję, że szybko wróci do zdrowia. Czy to nie dziwne, że właśnie teraz, kiedy mama będzie miała dla niej trochę więcej czasu, ona, Savannah, w ogóle tego nie pragnie? Odkąd miała Kyle'a, nic więcej nie było jej potrzebne.

Jak to dobrze wiedzieć, że ktoś cię akceptuje, docenia... Ze cię kocha za to, kim jesteś, a nie ze względu na więzy krwi czy z obowiązku. Uśmiechnęła się do siebie. Przyzwyczaję się, pomyślała.

Część III

Każdy powinien pilnie zważać, dokąd ciągnie go serce, po czym wybrać tę drogę i trzymać się jej ze wszystkich sił.

mądrość chasydzka

39

MEG ZAMIERZAŁA POWIEDZIEĆ BRIANOWI o SWOJEJ CHOROBIĘ we wtorek wieczorem, kiedy Savannah była na lekcji muzyki, ale zamiast tego rozmawiała dłuższy czas przez telefon, szczegółowo informując siostry o stanie zdrowia ojca.

– Kamienie to nic poważnego – powiedziała do Beth. – Zrobią mi operację laserową i za parę dni będzie w domu.

Beth westchnęła.

– Co za ulga. Ale chyba i tak przyjadę... mogłybyśmy urządzić sobie babski dzień, dobrze? Potrzebuję jakiejś odmiany po tym semestrze. Dopiero co skończyłam sesję.

„właśnie na to liczyła Meg. Chciała się zobaczyć z siostrami – wszystkimi, jeśli to będzie możliwe, zanim powie im otwarcie o swoim stanie. Chciała побыć z nimi chociaż przez chwilę normalnie, jak dawniej – bez duszącego oparu współczucia.

Kiedy Juliannę usłyszała, że przyjeżdża Beth, też nabrała ochoty na wizytę. Ale krucho u nich z pieniędzmi, powiedziała.

– Nawet z żalobnym upustem wydaliśmy z Chadem fortunę na bilety, kiedy lecieliśmy na pogrzeb mamy. Nie pozwoli mi teraz na nowy wydatek.

– Stawiam ci bilet – zaproponowała Meg. – I Karze też. I Beth. – Zęby było sprawiedliwie. – Potraktuj to jako miniurlop od dzieci.

– I od Chada! – podchwyciła Juliannę. – Odkąd ma tę nową pracę, siedzi w domu o wiele za długo.

Skończywszy rozmowę z Juliannę, zadzwoniła do Kary, która chętnie przyjęła zarówno zaproszenie do przyjazdu, jak i propozycję sfinansowania przez Meg podróży.

– Dzięki, sestro. Przynajmniej Todd będzie miał mniej powodów do narzekania, że wyjeżdżam! Przy okazji rzucę okiem na jedną nieruchomość, kiedy już będę na miejscu – dodała. – Widziałam ogłoszenie w niedzielnej gazecie i chciałabym sprawdzić... może się przyda na przyszłość.

Potem Meg zadzwoniła jeszcze raz do Beth, by powiedzieć, że pokryje koszty jej biletu, skoro płaci za pozostałe siostry.

– Dzięki – powiedziała Beth. – Ale nie musisz wciąż się dla nas poświęcać.

Nie, nie muszę, pomyślała Meg. Miło jednak było zrobić dla nich coś, co się liczy – ten ostatni raz.

Zanim zamówiła bilety lotnicze, przemailowała trasy przelotu, a potem obdzwoniła wszystkie siostry, by potwierdzić załatwienie sprawy. Brian musiał wyjechać po Savannah.

Czekała na jego powrót, zamierzając porozmawiać w łóżku. Ale długi dzień zrobił swoje i zasnęła, nie doczekawszy się, aż umyje zęby.

Nazajutrz rano stanęła w drzwiach łazienki, gdy Brian się golił. Jeśli nie powie mu teraz, nie wiadomo, kiedy będzie miała kolejną szansę: kilka minut po piątej przylatywała Beth, o szóstej Kara, a o ósmej pięćdziesiąt Juliannę.

Patrzyła na niego w lustrze. Używał żyletki i kremu do golenia; przeciągał ostrzem od kości policzkowej do szczęki z wieloletnią wprawą, zerkając zarazem jednym okiem w mały telewizor plazmowy, który zainstalował tu w ubiegłym roku. Dobrze, że ona nie musi się golić – a co

dopiero sprawdzać wyniki giełdy podczas tej czynności! Z taką ręką poharatałaby sobie twarz.

– Czy możesz zostać chwilę po wyjściu Savannah?

– Po co? – spytał Brian, prowadząc żyletkę po podbródku.

Meg spojrzała na prysznic. Musiała dziś użyć lewej ręki, żeby go zakręcić, co najpierw ją przygnębiło, a potem rozgniewało. Wszystko zaczynało już sprawiać kłopot.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– A nie możesz teraz? – rzucił, nie zauważając drżenia w jej głosie.

– Nie – odparła i wyszła, aby uniemożliwić dyskusję na ten temat. W kuchni Savannah wsypywała cukier do kubka kawy ze śmietanką;

już teraz, za piętnaście siódma, miała słuchawki w uszach. Jak ona to wytrzymuje? Meg lubiła rano ciszę, jechała do pracy z wyłączonym radiem i siedziała w pokoju wypoczynkowym najdłużej jak się da, zanim ruszała w obchód. Nigdy jednak nie przeszkadzał jej płacz noworodków, który witał ją nieraz, gdy wchodziła na piętro porodówki.

Te krzyki były miłe; sprawiały, że czuła się potrzebna.

No cóż, więcej tego nie usłyszy.

Ubrała się jak do pracy, jak każdego innego dnia. Brian nie miał pojęcia, że nie wyjdzie z domu tuż po nim, zgodnie z wieloletnią rutyną. Niektórzy jej współpracownicy mieli zmianę popołudniową i parę dni temu Meg zastanawiała się przez chwilę, czy nie pozostać w piżamie i skłamać, że zmieniła swój grafik. Szybko jednak porzuciła ten pomysł, podobnie jak inne kłamstwa: dlaczego wciąż kuleje albo po co jej temblak, który zamierzała kupić, żeby ukryć grozący jej wkrótce bezwład ręki. Nie wiadomo było, czy i kiedy równia pochyła zmniejszy kąt nachylenia; kłamstwa są bezcelowe. Musi powiedzieć im prawdę – Brianowi i Savannah.

Najpierw Brianowi. Powinien był dowiedzieć się pierwszy, przed kimkolwiek innym, zanim jeszcze umówiła się z Brianną. Powinna była mu powiedzieć o swoich obawach i zamierzeniach; tymczasem pozwoliła, by w piątek rano poleciał do Bostonu, przekonany, że nadal jest zła o tę sprawę z pieniędzmi, mimo przeprosin z lexusem. Nie zadzwoniła do niego później w ciągu dnia, po wizycie u Bolina, ani w sobotę, gdy błędziła po drogach i bezdrożach Florydy. To, że złapała za telefon i zrzuciła ciężar na Carsona, zanim powiedziała o wszystkim własnemu mężowi, było niewłaściwe, ale prawdę mówiąc, nie czuła się na siłach, aby poświęcać temu zbyt wiele uwagi.

Na zewnątrz rozległ się klakson. Meg poklepała Savannah po ramieniu i wyjęła jej słuchawkę z jednego ucha.

– Przyjechała Angela. Nie zapomnij, że dziś wieczorem będą tu wszystkie ciotki; nie planuj nic innego.

– Wiem. – Savannah złapała rogalik z pojemnika na pieczywo, docisnęła przykrywkę na kubku, zarzuciła torbę na ramię i wyszła.

Skoro mowa o zdrowiu... Savannah wygląda na dziwnie zmęczoną, bardziej niż zwykle.

Uczyła się do późna? A co z tym zadaniem z biologii? Zamęt w jej własnym życiu sprawił, że niewiele poświęcała uwagi codziennym sprawom córki. Niedługo egzaminy, urodzinowe przyjęcie Savannah... Chryste, nie może zwalić na nią tej wiadomości przed urodzinami!

Brian wszedł do kuchni ubrany w jasnoszary garnitur, białą koszulę i czerwony jedwabny krawat w ciapki. Podszedł do ekspresu, żeby dolać sobie kawy.

– Chodzi o Spencera, tak? O te pieniądze? – Spojrzał na nią przenikliwie.
– Słuchaj, Meg... prawdę mówiąc, wyszedłem wtedy i upiłem się, bo myślałem, że wszystko skończone.

Przez te kilka tygodni, odkąd twój ojciec spłacił mojego ojca, czekałem. Sądziłem, że jak się o tym dowiesz, powiesz, że wszystko skończone i zażadasz rozwodu. A więc dlatego to przed nią ukrywał?

– Żartujesz – powiedziała. Pokręcił głową.

– Przysięgam. Kiedy się okazało, że Spencer milczy, powinienem był ci powiedzieć, ale...

– Tak, powinieneś być!

– Przepraszam. – Wyglądał na skruszonego, ale nie wiedziała, jak głęboka jest ta skrucha.

Przy całym swoim powierzchownym uroku, prawdziwe uczucia Brian trzymał w ukryciu, nawet przed nią.

– No wiesz... spójrz tylko na siebie – podjął. – Atrakcyjna, spełniona zawodowo... i nie dość, że jesteś dobrym lekarzem, na dodatek wspaniale prowadzisz dom! Po co miałbym ci być potrzebny? Spencer dawał jasno do zrozumienia, że jego zdaniem będziesz natychmiast gotowa odejść...

– Nie o to chodzi, Brian. Gdyby chodziło o pieniądze, dawno bym odeszła.

– Nie masz zamiaru występować o rozwód? – Głos mu drżał. Bał się.

– Nie – powiedziała z nagłym współczuciem. To, czego się obawiał, było

niczym w porównaniu z tym, co miała mu powiedzieć.

Brian wsparł się o blat, bardziej już teraz swobodny, pewny siebie, żywy obraz wpływowego biznesmena. Sprawiał wrażenie nieprzemakalnego. Dobrze wiedzieć, że to pozór, ale było jej go żal. Nie potrafił sobie radzić z kłopotami życia. Czy kiedykolwiek się zdarzyło, by coś wokół niego było nie w porządku? Przez całe życie niańczono go, ochraniano, ulegano jego zachciankom, podsuwano pod nos... Najpierw robili to rodzice, potem podwładni, a w końcu nawet ona.

Poruszyła ręką.

– Nie, chodzi o to, że... mam ostatnio trochę kłopotów.

– W pracy?

– Nie. Z pracą wszystko w porządku. To znaczy, było w porządku... nie wiem, czy nadal będzie ... – Lawirowała wokół tego, co istotne.

– A co, Manisha odchodzi?

– Nie... ja.

– Świetnie! Właśnie to chciałem usłyszeć. Do przodu i wzwyż. –

Odwrócił się i postawił

kubek w zlewie, jak zawsze. Kiedy będzie go znowu potrzebował, znajdzie go w szafce, jak zawsze. Tak właśnie wyglądało życie Briana. Jakie to okrutne, że będzie musiała zburzyć ten ład – choć czasem planował chłodno, nie licząc się z uczuciami innych, nie zasługiwał na to, by dźwigać ciężar jej pieskiego szczęścia.

Spojrzała na niego, w ostatniej chwili, gdy jeszcze nie wiedział, i powiedziała: – Nie jest tak, jak myślisz. Jestem chora. Choroba nazywa się ALS i jest śmiertelna.

Zamrugnął i cofnął się o krok, jakby ktoś go pchnął.

– Powtórz?

– Być może słyszałeś o niej jako o chorobie Lou Gehriga.

– Meg... – wyjąkał, unosząc błagalnie ręce, jakby chciał powiedzieć: jak mogłaś do tego dopuścić?

– Wiem... – Wzruszyła ramionami. Czuła się jak kiepska aktorka. Tekst brzmiałby pewnie lepiej, gdyby odśpiewała go operowym altem czy sopranem. Muzyka pasowała do tragedii, rozgrywającej się w jej życiu.

– Lou Gehriga? Nie przypominam sobie – powiedział. – Co... co to właściwie znaczy dokładnie?

Co to znaczy dokładnie? Sama jeszcze nie wiedziała. Odwołała się do podręcznika.

– Jest to postępująca choroba nerwów i mięśni. Zostałam zdiagnozowana w piątek przez pewnego specjalistę z Orlando... nie miałam wtedy zjazdu, miałam badania.

Brian przetarł obiema dłońmi twarz i opuścił je bezwładnie.

– Jezu... Jesteś pewna, Meg? Przecież... wyglądasz świetnie. – Zmrużył oczy, tak jakby oznaki były obecne, tylko ich nie dostrzegał.

Miała sobie za złe, że tak dobrze wszystko ukrywa.

– Wiem, ale już teraz prawe ramię z trudem funkcjonuje, a dłoń jest słaba – oznajmiła lekarskim głosem. – Mam też kłopoty z nogą. Już niedługo przestaniesz słyszeć, jak mówię.

Ile czasu to potrwa? Tego nie potrafię ci powiedzieć. W tej chwili najwyraźniej nastąpił etap przyspieszenia objawów. Mój stan... pogarsza się w dość szybkim tempie. Ale dokładna prognoza jest trudna: każdy przypadek jest trochę inny.

Męczyło ją słuchanie własnych słów. Czytała je i wypowiadała już tyle razy. Myśl o tym, że będzie musiała powtórzyć to siostrze, a potem ojcu, a potem córce – o Boże, sama myśl o odklepywaniu tej litanii osłabiała ją.

Brian wpatrywał się w wypolerowane czubki półbutów. Współczuła mu. Odtąd już zawsze ludzie będą go kojarzyć z jej historią. Będą szeptać na przyjęciach i piknikach: to ten, którego żona, lekarka, choruje na Lou Gehriga. Gorzej, musi wymyślić jakiś sposób na to, aby poradzić sobie z trudami codziennego życia, swojego i Savannah – choć przewidywała, że zda się w tej sprawie na matkę, która pewnie bardzo się ucieszy, że znowu będzie mogła go kontrolować.

Podniósł wzrok i pokręcił głową.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze? Idź do pracy, postaraj się o tym nie myśleć. Wiem, że to niemożliwe, ale spróbuj. Powiem moim siostrze... przed wyjazdem. Nie dzisiaj, dobrze? Nie wspominaj przy nich o tym. Kiedy tato będzie po operacji i wszystko skończy się dobrze, wtedy im powiem.

– A Savannah... ?

– Powiedziałam jej, że mam kłopot z nerwem. Nie wie, że to nieuleczalne... i nie może się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz. Po prostu... chcę poczekać, przynajmniej do jej urodzin.

– A co z leczeniem? Musi coś być...

– Nie ma nic – oświadczyła, a on wzdrygnął się lekko.

– Czy będziesz musiała iść do szpitala... ?
– Nie. Większości pacjentów wystarcza opieka domowa i hospicjum. –
Przez głowę przemknął jej obraz Lany Matthews. Nieruchomej. Czekającej.
– Wiem, że nie potrafisz powiedzieć dokładnie, ale... jak sądzisz, jak długo... ?

Podeszła i ujęła jego zimne dłonie.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – Prawdopodobnie nie dłużej niż kilka miesięcy. – Węzeł krawata lekko się przekręcił. Poprawiła go.

– Nie mogę w to uwierzyć...

– Idź do pracy – rzekła i popchnęła go delikatnie. – Dzisiaj nic się nie stanie.

Kiedy wyszedł, Meg zrobiła sobie dzbanek herbaty i zabrała go do pokoju telewizyjnego.

Otworzyła okno, żeby wpuścić wilgotne poranne powietrze, przywołać do siebie świat zewnętrzny, i zaczęła obdzwaniać pacjentki, aby poinformować je osobiście, że ze względu na stan zdrowia przekazuje je innym lekarzom. Większości zostawiła wiadomość na sekretarce, z kilkoma porozmawiała osobiście, nie wdając się w szczegóły, i mniej więcej po godzinie miała odhaczone wszystkie pacjentki, które miały umówione wizyty. Pozostałe dowiedzą się, gdy zadzwonią, żeby ustalić termin. Załatwiwszy ostatni telefon, powiedziała do siebie:

– No. Zrobione.

Dziwne, że tak niewiele czuła. Zegnała się z Allison Ramsey na przykład, z Candace Banner czy z Jill Jabronsky bez szczególnej przykrości. Troszczyła się o ciężarne i o wszystkie pacjentki, a jednak kiedy musiała ustalić priorytety, przecięcie więzów okazało się zdumiewająco łatwe.

Otworzyła dziennik i zaczęła pisać.

3 maja 2006

Pozwól, że powiem ci o tym, jak to jest, kiedy się umiera w średnim wieku. Po pierwsze, czuję się oszukana przede wszystkim z jednego powodu: bo jestem ci winna o wiele więcej, niż dałam do tej pory. Nie chodzi o rzeczy materialne – lecz o mój czas. Powinnam była dać ci więcej czasu i jestem wprost chora, kiedy oglądam się wstecz i myślę o tych wszystkich dniach, kiedy pracowałam do późna, a mogłam być w domu i oglądać z tobą Discovery albo słuchać, jak ćwiczysz nową piosenkę. O weekendach, kiedy odbierałam porody, zamiast piec twoje ulubione ciasteczka dyniowe z rodzynkami czy jeździć z tobą konno u dziadków. Zawsze sobie wyobrażałam,

że znajdziemy dla siebie więcej czasu, kiedy będziesz starsza, skończysz szkołę. Ja wtedy przestałabym pracować i podróżowałybyśmy razem. Albo może wyjechałabyś jako wolontariuszka Korpusu Pokoju, a ja bym Cię odwiedzała na twoich posterunkach i pomagała w miarę moich umiejętności. Ty umilałabyś nam czas grą na gitarze i śpiewem, a my śpiewalibyśmy razem z tobą; nauczyłybyśmy słów miejscowe dzieci, zostawiłybyśmy im po sobie coś, co przetrwałoby głód, chorobę, ból serca.

Gdybym to ja miała dla ciebie taką piosenkę.

40

CHOĆ MEG MUSIAŁA SIĘ TERAŻ BARDZO STARAĆ, aby ukryć objawy choroby, w środowy wieczór, gdy przyjechały siostry, czuła się lepiej. Usiadły wszystkie cztery na patio i popijając wino, plotkowały ze śmiechem o torturach macierzyństwa. Beth nie mogła w pełni uczestniczyć w tej wymianie doświadczeń, ale miała własne opowieści – o studentach i ich naiwnych próbach wyłgania się z pisania prac zaliczeniowych.

– Myślą, że nigdy nie miałam dziewiętnastu lat i że nie znam się na Internecie i tych wszystkich elektronicznych gadżetach. Czyja tak staro wyglądam?

– Mając trzydziestkę? – Kara parsknęła śmiechem. – Sama jeszcze jesteś dzieciakiem!

Jeszcze nie wysechł atrament na twoim ostatnim dyplomie!

– Nie, mam już troszkę zmarszczek wokół oczu... widzisz? – Beth nachyliła się ku siostrze, ale Meg, siedząca z lewej strony, widziała wyłącznie nieskazitelnie gładką cerę. Ani śladu zmarszczek, i piegów też nie. Beth była podobna do matki, do rodziny Jansenów, południowców o jasnej cerze, których przodkowie przyjechali niegdyś ze Skandynawii. Miała ciemne włosy, podobnie jak Savannah, ale proste, przycięte równo na wysokości brody.

Interesująca fryzura podkreślała piwne oczy Beth.

– Nie widzę żadnych zmarszczek – powiedziała Meg. – To te literki przed nazwiskiem sprawiają, że wyglądasz inaczej niż twoi studenci. Doktor Powell...

– Możliwe, doktor Hamilton – zaśmiała się Beth. – Gdyby jeszcze moje literki oznaczały, że robię coś dobrego, tak jak ty. Mam jednak wrażenie, że tylko oceniam kiepskie prace i uczestniczę w horrendalnie długich sporach... czyli radach wydziału.

– Możesz to przeliterować? – roześmiała się Kara.

- Co?
- Horrendalnie.
- Nawet nie wiem, jak to się pisze – wyznała Juliannę. – Czy takie słowo w ogóle istnieje?
- A mnie się wydawało, że to ja mam ograniczone słownictwo. – Kara szturchnęła łokciem Juliannę, która siedziała z lewej strony. – Gdybyś zdała maturę, tobyś znała trudne słowa.
- Juliannę odrzuciła ruchem głowy długie włosy, złocistorude jak u Meg.
- Zdałam GED* [General Education Development – egzamin przeznaczony dla osób dorosłych, którego zaliczenie jest równoznaczne z dyplomem ukończenia szkoły średniej (przyp. tłum.)] Zresztą co to za różnica? Zamiast oceniać prace, wychowuję dzieci.
- Kara, jedyna z czwórki, która odziedziczyła po ojcu płomienny kolor włosów, wyciągnęła ku siostrze rękę z rozstawionymi czterema palcami.
- O, tyle ich mam. Umiesz policzyć? Ale nie używam ich jako usprawiedliwienia dla nieuctwa. Może byś tak wzięła od czasu do czasu książkę do ręki?
- Gdybyś tyle nie siedziała na pupie, może nosiłabyś mój rozmiar. – Juliannę uśmiechnęła się szeroko niczym Kot z Cheshire. Zawsze drażniła się z Karą, której nie przysługiwał, jak Meg, autorytet najstarszej siostry, nie była zaś na tyle bliska wiekiem, by ją traktować jak koleżankę.
- Mam ten sam rozmiar co Marilyn Monroe – odcięła się Kara i pokazała Juliannę język.
- Spokój, dziewczyny. – Meg, jak zawsze, pospieszyła z interwencją. – Zachowujcie się przyzwoicie. Jules, weź to pudełko, które stoi za tobą. Tato dał mi trochę naszych starych zdjęć. Pomyślałam, że może będziecie chciały się nimi podzielić.
- A ty już sobie wzięłaś? – spytała Beth i Meg zdała sobie sprawę, że o mało co nie wygadała się przed czasem. Jeszcze nie była gotowa, żeby powiedzieć im o swojej chorobie.
- Tak, wzięłam. Ale tylko kilka, tam gdzie jestem sama.
- Juliannę otworzyła pudełko i wyciągnęła bezładny plik zdjęć, większych i mniejszych.
- Niektóre były podklejone grubym papierem, inne miały zaokrąglone nożyczkami rogi.
- Większość była zblakła i pomięta.
- Czy jest w tym jakaś kolejność? – spytała.

– Nie – odparła Meg. – Najwyraźniej mama po prostu wepchnęła je jak leci.

Wszystkie cztery nachyliły się nad stołem i zaczęły grzebać w zdjęciach. Beth wyciągnęła jedno.

– A to? Ty z Carsonem... – przeczytała datę na odwrocie – w osiemdziesiątym czwartym.

– Rozdanie matur u niego w szkole – powiedziała Meg, biorąc fotkę lewą ręką. Poczula, że prawy kciuk jej drga. Włożyła rękę pod udo, żeby siostry nie zauważyły. – Potem był ten wielki piknik u nich nad jeziorem.

– Pamiętam! – zawołała Kara, zaglądając Meg przez ramię. – Spójrz na swoją fryzurę!

Typowe lata osiemdziesiąte.

Meg przypomniała sobie, ile się namęczyła, żeby postawić proste włosy na sztorc.

– Na samą grzywkę poszedł mi cały pojemnik lakieru.

– A potem wszystko popsukaś, bo poszłaś pływać.

– Carson jest taki wesoły na tym zdjęciu – powiedziała Beth.

– Właśnie się przeprowadził do tej szopy, którą remontowaliśmy. – Jego uśmiech był

oczekiwaniem tego, co planowali na później: że ona wymknie się z domu, przyjdzie do niego i że będą się po raz pierwszy naprawdę kochać. Ona też się uśmiechała, ale nie tak jawnie: zdjęcie robiła matka i nie chciała wyglądać zbyt ochoczo. Co innego Carson – to była jego matura.

Beth odchyliła się na oparcie krzesła.

– Co się właściwie stało? Wyglądało na to, że ty i on to pewniak, i nagle było po wszystkim. Miałam wrażenie, jakby wyjechał albo umarł... Nigdy więcej go nie widziałam.

To dziwne.

– Wiesz przecież, co się stało – wtrąciła się Julianę. – Zostawiła go dla Briana.

– Wiem, ale zastanawiam się dlaczego. Przecież Carson był niemal członkiem rodziny.

Nie pamiętam, żebyście się pokłócili.

Meg odłożyła zdjęcie. Mogła im powiedzieć prawdę – teraz, kiedy wszystko to nie miało już znaczenia, ale po co? Nie chciała, żeby się czuły w jakikolwiek sposób odpowiedzialne czy winne. Nie chciała, żeby myślały źle o rodzicach. No tak, zawsze opiekuńcza najstarsza siostra... To się już nie

zmieni.

– Nie pokłóciliśmy się – powiedziała. – Po prostu... poszliśmy każde własną drogą.

– On chciał zostać muzykiem – podsunęła Julianę – a ty wolałaś być blisko domu i studiować medycynę. Tak?

– Coś takiego – zgodziła się Meg. Kara i Beth rzuciły jej baczne spojrzenia. Kara pamiętała, że oboje – i ona, i Carson – wybrali zawód później; Beth po prostu wyczuwała nieprawdę. Nie przypierały jej jednak do muru i była im za to wdzięczna. Nie istniało żadne inne kłamstwo, które mogłaby wypowiedzieć z przekonaniem. Na użytek Beth dorzuciła: – Brian miał mi wiele do zaoferowania, a ja w tamtych czasach myślałam, że to ma znaczenie.

– Kasa – powiedziała Beth, kiwając głową. – Czasami człowiekowi lepiej bez tego.

– Jak możesz tak mówić? – zaprotestowała Julianę. – Rozejrzyj się tylko! Nie chciałybyś tak mieszkać? – Ona sama mieszkała w Quebecu w zwykłym dwupoziomym domku z lat sześćdziesiątych, z jedną tylko łazienką.

Beth wzruszyła ramionami.

– Gdyby się przypadkiem zdarzyło, czemu nie? Ale wolę być szczęśliwa.

– Szczęśliwa – powtórzyła Julianę. – Właśnie dlatego nadal jesteś sama. Nikt nie jest szczęśliwy na stałe.

– A właśnie że nie! – zaprotestowała Kara. – Ja jestem szczęśliwa, i Todd też. Nic bym nie zmieniła w naszym życiu... poza powrotem w nasze strony.

– „wyszłaś za męża z miłości – zauważyła Beth. – Ty jedna zrobiłaś to jak należy. Jak dotąd.

– Uważasz, że ja nie kocham Chada? – zawołała Julianę, tym razem z oburzeniem. Nie lubiła nie mieć racji, nie lubiła oddawać pola którejkolwiek z nich.

Beth uśmiechnęła się drwiąco.

– Wyszłaś za niego, bo zrobił ci brzuch. Jak długo go znałaś? Trzy miesiące?

– Cztery poprawiła Julianę.

Meg wyciągnęła kolejne zdjęcie. Stały na nim w szeregu wszystkie cztery, ubrane w odświętne sukienki, rajstopy i białe skórzane pantofelki. Julianę była taka mała, że ledwie umiała stać o własnych siłach.

– Patrzcie, to Wielkanoc. – Meg podała zdjęcie Beth, starając się

skierować rozmowę na inne tory. – Pamiętacie? Żyła jeszcze babcia Alice. Przyjechała i kupiła nam te stroje, a potem zabrała nas do kościoła.

Beth rzuciła jej spojrzenie, z którego jasno wynikało, że wie, o co jej chodzi, i dopiero wtedy popatrzyła na zdjęcie.

– Nie, w ogóle tego nie pamiętam. Jesteśmy takie wystrojone i śliczne. ...inna rzeczywistość. Ach, gdyby tak było naprawdę...

Meg skinęła głową. Powab innej rzeczywistości rozumiała aż nadto dobrze.

41

W CZWARTEK WIECZOREM, po spędzeniu większej części dnia z ojcem w szpitalu, Meg znowu siedziała z siostrami na patio. Popijały wino i gawędziły. Było tak, jakby ich połączona pamięć, energia zgromadzonych w jednym miejscu ciał i umysłów stworzyła wehikuł czasu. W jednej chwili udzielały rocznej Juliannej lekcji konnej jazdy na narowistej szetlandzkiej klaczce, Ginewrze; w następnej były już w Disney World w Orlando i wirowały na Mad Hatterze, wrzeszcząc, gdy Kara zwróciła zjedzoną przed chwilą watę cukrową.

Wystarczyło, że któraś rzuciła: „A pamiętacie?”, i już wszystkie tam były. Meg chłonęła ten klimat i zdumiewała się, że ich wspomnienia nie zawsze się pokrywają. Beth na przykład nie mogła sobie przypomnieć, że w ogóle mieli klacz imieniem Panna Młoda, gdy tymczasem Kara pamiętała nie tylko imię, ale i to, że się przyglądała, jak matka wyciąga Meg drzazgi z rozoranych do krwi pleców i smaruje je jodyną.

Brian przyszedł na patio, by powiedzieć, że zabiera Savannah i Rachel na lody. Ustalili to wcześniej, żeby Meg mogła zostać z siostrami sama. Meg dołała do kieliszków wina, a gdy wszystkie były już rozluźnione – czy mógł być lepszy moment? – zapytała, czy myślały kiedykolwiek o tym, aby wrócić na Florydę. To, że pisała dla Savannah dziennik, złagodziło trochę jej niepokój, jak córka sobie poradzi – nie mówiąc już o tym, że dzięki temu miała poczucie, iż zaczyna panować nad sytuacją. Byłoby jednak dobrze, gdyby któraś z sióstr mogła wrócić i pomóc w opiece nad Savannah i ojcem.

Wiedziała, że to Kara myśli o powrocie, ale jak zawsze zadała pytanie tak, by żadna nie została wykluczona, na wypadek gdyby pozostałe też miały jakieś mgliste na razie czy nieuświadomione pomysły w tej sprawie. W ten sposób uniknie protestów: „Dlaczego z góry zakładasz, że tylko Kara chce się przeprowadzić? Ja myślę o tym od lat!” Zwłaszcza Juliannej zawsze się bała, że zostanie wyłączona z gry, zawsze walczyła, żeby ją traktowały jak

równą.

Pierwsza odezwała się Kara. Powiedziała, że Todd nie miałby nic przeciwko przeprowadzce, ale dopiero gdy minie mu dwadzieścia lat służby, czyli nie wcześniej niż za trzy lata. To wywołało dyskusję, jakim problemem byłaby dla Evana i Keiffera zmiana szkoły, w związku z czym Kara, choć niechętnie, doszła do wniosku, że może raczej powinni poczekać, aż chłopcy zdadzą maturę. Juliannę, choć jej dzieci były młodsze, miała podobne opory – zresztą Chad nie przejawiał żadnego zainteresowania tym, by zamieszkać w Stanach.

Zaskoczyła za to Meg odpowiedź Beth: powiedziała, że po dwunastu latach w Kalifornii myśli o jakiejś odmianie.

– Mam dosyć mgły – roześmiała się. – A poza tym któraś z nas powinna pomóc Meg przy tacie. Pracę mogę znaleźć wszędzie... i brakuje mi Florydy, a poza tym... kto wie, jak długo tato jeszcze z nami będzie?

To był trop, jakiego Meg potrzebowała.

– Słusznie – powiedziała. – Życie jest nieprzewidywalne. Jego zdrowie, podobnie jak i zdrowie każdej z nas, może się załamać bez ostrzeżenia.

Weźmy na przykład mnie. – I wyrzuciła z siebie gorzkie słowa raz jeszcze: ALS. Śmiertelna. Niemożliwa do przewidzenia.

Paraliż. Podtrzymywanie życia.

Siostry zaniemówiły.

„wstrzymała oddech, patrząc na ich osłupiałe, wstrząśnięte twarze, gdy usiłowały pojąć sens tego, co powiedziała. I nagle Juliannę zaczęła szlochać, przerywając napięcie w typowy dla siebie melodramatyczny sposób.

Kara przysięgła, że natychmiast przeprowadza się na Florydę, z Toddem czy bez. Beth podeszła i objęła Meg ramionami. Po raz pierwszy od chwili, gdy robak ALS zagnieździł się w jej głowie, Meg poddała się smutkowi. Położyła głowę na ramieniu Beth i zapłakała.

Kiedy otarły oczy i nosy, Beth spytała, co zamierza zrobić z życiem, jakie jej pozostało.

Beth zawsze mówiła prosto z mostu.

– Zamierzam opróżnić gabinet – powiedziała Meg. – I spotkam się z prawnikiem, żeby uporządkować moje sprawy. Tak myślę.

Kara zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Zawsze chciałam... no wiesz, trzeba dokończyć zdanie: zobaczyć wodospady Niagary, skoczyć ze spadochronem, przespać się z Antonio Banderasem... Coś takiego.

Meg patrzyła na ich wyczekujące twarze. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tyle zrobiła w życiu, była w tylu miejscach, zaznała tylu radości. Mało czego jej brakowało.

– Zamierzam codziennie rozmawiać z córką – powiedziała w końcu. Jedyne pragnienie, jakie miała poza tym, było niemożliwe do spełnienia.

Ta sama scena powtórzyła się w piątek rano, z ojcem. Siostry czekały na korytarzu, żeby ją wesprzeć. Ojciec wpatrywał się w nią długą chwilę, po czym zakaszłał w chybionej próbie powstrzymania łez.

– Nie trać czasu, Meggie – powiedział.

Stracony czas... była, zdaje się, taka piosenka grupy The Eagles?

Gdybym potrafił nie myśleć o przeszłości i nie żałować straconego czasu.

42

Po RAZ PIERWSZY, ODKĄD POZNAŁ VAL, CARSON NIE UCIESZYŁ SIĘ, słysząc w telefonie jej głos. Zadzwoiła w piątek w południe, gdy siedział w kuchni z trzema robotnikami, jedząc wspólnie z nimi zamówioną pizzę, „wyszedł porozmawiać na rozległy balkon i z miejsca musiał zmrużyć oczy przed słonecznym blaskiem, przesianym przez wiszącą w powietrzu mgiełkę. Zatoka lśniła błękitem, poznaczona trójkątami żagielków; ludzie korzystali z pięknej wiosennej pogody. Chętnie dzieliliby z nimi tę radość, ale jego entuzjazm dla wiosny, Val, przeprowadzki do Malibu, był jakby zamknięty w kartonowym pudle, razem z jego rzeczami.

– Już po wszystkim – powiedziała Val, a do niego dopiero po ułamku sekundy dotarło, że ma na myśli zawody na Bali. – Wyrolowałam ją! Szkoda, że nie widziałeś tej wody... nie byłam pewna, czy dam radę utrzymać się na fali, ale się udało!

Zmusił się, by wzbudzić w swoim głosie entuzjazm, którego nie odczuwał.

– To świetnie! Gratuluję!

– Dzięki. Szkoda, że cię tu nie ma... O cholera! Muszę kończyć na razie... idzie ten facet z ESPN, obiecałam mu trzy minuty przed wręczeniem nagród. A jak tam pakowanie? O rany, idzie też jakaś panienka z ABC... przepraszam! Zadzwonię później!

Później. Później na pewno będzie lepiej; nie będzie się czuł taki poraniony. Ale czy da radę z nią rozmawiać? Cały jego świat przyćmiła wiadomość Meg, a im dłużej z nią żył, tym bardziej go przytłaczała.

Co ona musi przeżywać... Czy powiedziała Hamiltonowi? Spędził trochę czasu w Internecie, szukając wiadomości na temat ALS, ale samo myślenie o

chorobie było przerażające. A ona mówiła tak spokojnie... Zbyt spokojnie. Dlaczego z tym nie walczy?

Czuł, że musi z nią porozmawiać jeszcze raz, zachęcić, żeby próbowała coś zrobić. Przecież jest lekarką, na litość boską! Powinna wiedzieć coś więcej, niż on zdołał wygrzebać w Internecie. Może jest jakiś eksperymentalny lek, a jeśli nie lek, to przynajmniej coś, co mogłoby spowodować remisję... Fakt, że Hamilton ją mu odebrał, był przykry, ale bladł w porównaniu z czarną dziurą, jaka otwierała się w jego życiu, gdyby miało mu ją odebrać jeszcze i to. Musi się z nią zobaczyć! Wrócił do kuchni.

– Słuchajcie, chłopaki... coś mi wypadło. Na dzisiaj kończymy. Popatrzyli po sobie i wzruszyli jednocześnie ramionami. Ernesto, kierownik grupy, powiedział: – Będzie pan musiał ustalić w biurze nowy termin, żebyśmy mogli skończyć tę robotę.

Cały przyszły tydzień mamy zajęty.

– W porządku. – Carson już pakował dla nich pozostałe kawałki pizzy. Wyjął z lodówki ostatnie cztery puszki piwa i podał im. – Tylko nie pijcie w czasie jazdy.

Kiedy wyszli, odsunął na bok parę pudeł i usiadł na sofie, pocierając ręką usta. Nie miał

wyboru – zadzwonił do agentki nieruchomości i powiedział, że musi na razie odłożyć likwidację mieszkania, nawet jeśli będzie to oznaczało, że kupujący się wycofają.

– Proszę im powiedzieć, że wypadła mi ważna sprawa rodzinna.

To właściwie nie jest kłamstwo. Meg była dla niego jakby daleką... siostrą? O tak, pomyślał, siostrą. Kimś więcej niż daleka krewna... i nawet kimś więcej niż siostra, chociaż niełatwo było ustalić, kim dla niego jest... a kim nie. Nie była ani jego dziewczyną, ani narzeczoną, ani żoną. Nie była już nawet przyjaciółką. Może połówką jego duszy? I zaraz uciekł od tego stereotypu... po czym zastanowił się nad nim głębiej. Połówka duszy... Czy coś takiego istnieje? Nie był pewien. Ale połówka serca... o tak, tu nie miał wątpliwości: Meg była połówką jego serca. Co nie znaczyło, że nie kocha Val. To było zupełnie inne uczucie.

Meg zawłaszczyła tę jego część, której Val nigdy nie zobaczy, nie dotknie, nawet nie pojmie.

Powinien był walczyć o Meg, przezwyciężyć ból zranionej dumy i pokazać jej, że się myli...

Ach, ta mądrość po niewczasie.

Zadzwoił do biura podróży. Kiedy wieczorny lot był już załatwiony, zatelefonował do rodziców. Odebrała mama.

– Cześć, mamu. Kiedy niedawno wyjeżdżałem, powiedziałaś, że chciałabyś widywać mnie częściej, pamiętasz? Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale gdyby któreś z was położyło się dzisiaj trochę później, moglibyśmy wypić razem drinka na dobranoc.

Cisza.

– Carson... czy to ma coś wspólnego z Meg? – spytała matka po chwili. – Jeśli tak, to pozwól, przypomnę ci, że rzuciła cię bez żadnych skrupułów dla Briana Hamiltona, bo miał

pieniądze.

– To nie tak, mamu.

– Nie? A nie dzwoniła, żeby ci powiedzieć, że się rozwodzi? Przymknął oczy. Gdyby tylko o to chodziło... Powtórzył to, co powiedziała mu Meg.

– Nie wiem, co mogę dla niej zrobić i czy w ogóle coś mogę – dodał. – Po prostu... po prostu muszę tam być.

Począł chwilę, by matka przetrwała wiadomość.

– No dobrze – odparła w końcu. – Mogę to zrozumieć. A co z Val? Czy ona wie?

– Porozmawiam z nią jutro. To... to nie powinno dla niej stanowić problemu. Val jest bardzo wyrozumiała.

– Och, synu... – Matka westchnęła. – Przykro mi z powodu Meg. To musi być okropne dla nich wszystkich... Zadzwoń, jak wylądujesz, żebyśmy wiedzieli, kiedy się ciebie spodziewać.

– Dzięki – powiedział z ulgą, że go rozumie. I w tym momencie podjął decyzję. – Wiesz co, będzie już późno... nie chcę wam przeszkadzać.

Przebiegł się w szopie.

– Kochanie... domyślam się, co czujesz, ale nie spałeś tam od tak dawna. Nawet nie wiem, czy klimatyzacja działa... Śpij w pokoju gościnnym, jak zawsze. Będziesz się lepiej czuł. A my się położymy, nie będziemy na ciebie czekać.

– Będę... będę się lepiej czuł w szopie. Jeśli wam to nie przeszkadza.

– Najważniejsze, że w ogóle z nami będziesz – odparła.

43

W PIĄTEK SAVANNAH SIEDZIAŁA W SZKOLNEJ KAFEJCE PRZY LUNCHU, jak Zawsze z Rachel i Miriam, drobną, śliczną dziewczyną, której ojciec grał kiedyś w bejsbol w Minnesota Twins.

Rozmowa toczyła się wokół tego, czy powinny wyjść po południu do miasta na festiwal Cinco de Mayo, ale Savannah z trudem mogła skupić na niej uwagę. Jej myśli wciąż biegły ku temu, co mówił Kyle zeszłej nocy. Znowu rozmawiała z nim do późna, leżąc już w łóżku... Słodkie, intymne obietnice, co będą robić, kiedy się znów zobaczą nazajutrz.

Z głową wypchaną Kyle'em uzyskała na teście z trygonometrii tylko siedemdziesiąt dwa punkty, z historii powszechnej osiemdziesiąt jeden, a wczoraj na lekcji wiedzy o sztuce zasnęła podczas projekcji filmu – ale jakoś szło. Tylko ciocia Beth zwróciła uwagę, że prawie wcale się nie pokazuje. Kiedy wczoraj wieczorem wrócili z tatą z lodów, Beth przyszła do jej pokoju i przysiadła na chwilę na łóżku.

– Zachowujesz się jak myszka w domu pełnym kotów – powiedziała z uśmiechem. – Chodzi o chłopaka, prawda?

Savannah z satysfakcją przyznała, że się z kimś spotyka.

– Ale mama o niczym nie wie – dodała. – Ma teraz tę historię z nerwem i w ogóle... na razie nic jej nie mówiłam.

Twarz Beth zmierzchła. Mizerna wymówka.

– Rzeczywiście ma dużo na głowie – przyznała – ale myślę, że ucieszyłaby się z tej nowiny.

– To nic takiego – spróbowała zbagatelizować sprawę Savannah. – Jeśli chcesz, możesz jej powiedzieć.

Beth uznała jednak, że zostawi to jej.

– Nie bój się rozmawiać z mamą o swoich sprawach. Jesteś dla niej najważniejsza, wiesz o tym.

Savannah przypomniała sobie teraz te słowa i zastanowiła się nad nimi jeszcze raz.

Brzmiały dobrze, ale miała wrażenie, że na szczycie maminej listy jest teraz dziadek Spencer – co, musiała przyznać, było uzasadnione. Operacja poszła dobrze, ale wszystko go teraz bolało i przez to był wymagający i kapryśny. Ciotka Jules powiedziała: „I on się dziwi, że uciekłam z domu przy pierwszej nadarzającej się okazji!”

Savannah doskonale rozumiała ciocię Jules. Jej rodzice nie byli aż tak okropni, ale prawie nigdy ich nie było w domu i ledwie zwracali uwagę na to, czy ona tam jest, czy nie. Tak mało mieli wspólnego z tym, co stanowiło istotę jej życia... I zdecydowanie nie czuła się centralnym punktem ich życia. Miała raczej wrażenie, że stanowi dla nich żmudny obowiązek: wciąż musieli ją odwozić do szkoły, na trening, na muzykę – i z powrotem... Nie mogła się

już doczekać, kiedy będzie miała własny samochód.

Dziś wieczorem Kyle znowu się miał zatrzymać w hotelu, który w myślach nazywała „naszym”. Chciała pójść z nim na kolację, a potem do kina.

– Super plan – powiedział – pod warunkiem, że uda mi się nie rzucić na ciebie. – Twierdził, że nie może się już doczekać, żeby poczuć znowu jej smak.

– Savannah. – Rachel pomachała jej przed nosem kanapką z tuńczykiem.
– Gdzie jesteś?

Odepchnęła jej rękę.

– Nigdzie. A co?

– Idziesz dziś z nami do miasta czy nie?

Parę tygodni temu poszłaby z nimi wszędzie bez zastanowienia – a dziewczyna, która nie chciałaby spędzać czasu z przyjaciółkami z powodu chłopaka, budziłaby w niej pogardę.

Przed Kyle'em nie rozumiała, jak można woleć chłopaka od koleżanek. Teraz jednak wiedziała: po prostu niektórzy chłopcy są tego warci. Żaden z tych, z którymi spotykały się znajome dziewczyny, ale na tym właśnie polegała różnica między nimi – ona miała wyższe wymagania.

– Nie, nie mogę. Mam randkę.

– Mówiłam ci, że tym razem nie mogę cię kryć – szepnęła jej na ucho Rachel.

Następnego dnia wyjeżdżała z całą rodziną na wesele.

– Wiem. Nie ma sprawy. Nie zostaję na noc.

Miriam rzuciła w nie skórka od chleba, trafiając Savannah w ramię.

– Co to za sekrety w towarzystwie?

– Rachel zwierzyła mi się, że bardziej jej się podoba ciało Michaela Jacksona niż Ashtona Kutschera. No i po sekrecie – powiedziała Savannah do Miriam.

Miriam kwiknęła z obrzydzeniem. Savannah roześmiała się i uchylila przed żartobliwym kuksańcem Rachel.

– Wydaje ci się, że mam zły gust? – podjęła grę Rachel. – A Savannah czuje miętę do Marilyn Mansona!

– Najdroższy! – jęknęła z udaną namiętnością Savannah, myśląc zarazem, że obie nie mają najmniejszego pojęcia, jak to jest naprawdę. Ona wiedziała.

wieczorem przed śmiercią, znajdował się w dwunastym zeszyście, niedawno rozpoczętym. Meg unikała go dotąd, czując opór przed nieodwołalnością faktu, że to ostatnie słowa matki. Nie chciała wchodzić w tamtą przeszłość i w ból, jaki nieuchronnie ze sobą niosła. Im dłużej czytała, tym bardziej nie chciała, by jej wizyta u matki dobiegła końca. A jednak pisząc własny dziennik, odkryła, że koniec nie jest ostateczny dla tego, kto czyta – może przecież wrócić do pierwszego wpisu i złożyć matce wizytę jeszcze raz.

Gdy więc w piątek wieczorem siostry wyjechały we łzach, Savannah poszła do kina, a Brian na kolację z klientem, zamówiła sobie chińskie danie na wynos i otworzyła białe wino.

Gdy poczuła, że potrafi stawić temu czoło, odważyła się otworzyć ostatni dziennik.

10 października 2005

Najniższa temperatura: 18 st. , najwyższa: 31 st. Bezchmurnie, gorąco, wiatr.

Wciąż boli mnie dziś głowa. To chyba przez tę wilgoć w powietrzu, a może szykuje się burza i spada ciśnienie, i to dlatego.

Spencer poszedł na wystawę orchidei, umówiłam się więc z Meggie na lunch, tylko we dwie. Może jestem głupia, ale mam dziwne uczucie, jakby anioł siedział mi na ramieniu i szeptał: pogadaj ze swoim najstarszym dzieckiem, zrzuć ciężar z piersi. Nie wiem, czy to dobrze czy źle, ale zdecydowałam się to zrobić, po prostu żeby zadowolić anioła.

Meggie przyjechała po mnie autem. Zauważyłam, że koło McKayów zwolniła. „Podobno tej zimy zapowiada się u nich doskonały urodzaj na grejpfruty” – powiedziałam, ot tak, żeby cos powiedzieć. Z drogi było widać uginające się pod dojrzewającymi owocami gałęzie, co nie każdego roku się zdarza. Nie zawsze pogoda jest tak sprzyjająca... Meg przyspieszyła, tak jakbym ją złapała na czymś niewłaściwym.

Zacząłam więc mówić to, co sobie przygotowałam, choć planowałam, że powiem to dopiero jak zjemy. Chciałam tylko, aby wiedziała, że się o nią martwię i że żałuję tego, że nakłanialiśmy ją, aby wyszła za Briana. Wiem, jest dobrym zięciem, troskliwym, grzecznym, gotowym do pomocy, ale to nie jest człowiek, z którym mogłaby być szczęśliwa. Czegoś mu brakuje. Wiele się nad tym zastanawiałam i gdybym miała określić jednym słowem, co to takiego, powiedziałabym: pasja. Ma aż za dużo energii, zaangażowania i ambicji, i niektórzy by powiedzieli, że to właśnie jest pasja, ale nie. Mówię o tym rodzaju energii, który łączy człowieka z potęgą natury i życia. Tacy są i

Spencer, i Savannah. Taka była przedtem Meggie.

I Kara, daj jej Boże zdrowie, z tą czwórką łobuzów i z wszystkimi swoimi pomysłami!

Spencer nie zawsze był rozsądny, to prawda. Ale mimo że tyle musiałam przejść z powodu jego szalonych pomysłów, błędnych decyzji, mojej własnej krótkowzroczności czy co tam jeszcze, zawsze cieszyłam się, że jestem jego żoną. Meggie dobrze się żyje z Brianem, ale ja wiem – wszyscy wiemy – że czegoś między nimi brakuje. Brian ją paraliżuje, wysusza. Mam wrażenie, że ten ich sposób życia, choć ładnie wygląda, odciął ją od tego wszystkiego, co kochała jako dziecko i młoda dziewczyna.

Chciałam jej powiedzieć o moich zmartwieniach – że niedługo jej gniazdo opustoszeje, a ona zostanie samotna i smutna, jeśli wszystko będzie dalej jak dotąd ale ledwie zdążyłam powiedzieć: „Ostatnio trochę się martwię o ciebie, kochanie”, od razu zaczęła opowiadać, jak dobrze idzie Savannah w szkole i że planują kupić jej w przyszłym roku na urodziny samochód. Dałam się zbić z pantafelów jak głupia i dołożyłam swoje trzy grosze o tym, jak to dzisiejsze dzieciaki mają wszystko, czego dusza zapragnie. Nie krytykowałam jej i Briana, skąd – mam jeszcze w sobie odrobinę dyplomacji – tylko że dziecko, które nigdy na nic nie musiało zapracować, jest pozbawione ważnej życiowej lekcji. Meg się temu nie sprzeciwiła.

W restauracji próbowałam wrócić do tematu, ale starałam się być bardziej subtelna.

„Inaczej by było – powiedziałam – gdybyście pobyli przez parę lat z Brianem tylko we dwoje.

A ponieważ od razu zaszłaś w ciążę, nie mieliście czasu, żeby stać się parą”. Zgodziła się z tym, więc pomyślałam, że to postęp, ale zaraz potem zaczęła mi opowiadać o pięćdziesięcioletniej kobiecie, która niedawno wyszła za mąż i jest w ciąży. Jakoś nie potrafiłam skierować rozmowy z powrotem na nią i Briana. Podałam się. Chyba źle zrozumiałam to, o co chodziło aniołowi.

Miło spędziłyśmy razem czas i bardzo to sobie cenię. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak po prostu siedziałyśmy i gadały, bez żadnego celu (w każdym razie takiego, o którym ona by wiedziała). Chyba powinnam zająć się swoimi sprawami, a ona niech pilnuje swoich, albo poczekać na chwilę, kiedy będzie skłonna porozmawiać o własnych kłopotach.

O ile w ogóle kiedyś będzie skłonna – w każdym razie ze mną. Możliwe, że obwinia za nie w duchu mnie i Spencera, i nie mogłabym mieć jej tego za

złe. Powinnam zebrać się na odwagę, zapytać ją o to wprost i powiedzieć, jak strasznie mi przykro z tego powodu. Ale Matko Najświętsza, Ty wiesz, jak nie lubię mieszać w garnku... W tej chwili jednak muszę iść sprawdzić, czy nie zostały jeszcze te mocne pigułki przeciwbólowe, które dostał Spencer, jak miał kanałowe leczenie zęba z dwoma korzeniami. Jak nie przestanie mnie boleć głowa, to nie zasnę tej nocy, a tak potrzebuję wypoczynku.

Długie, drżące westchnienie uniosło pierś Meg.

Tak, w pewnym stopniu winiła matkę. Dobrze by zrobiło im obu, gdyby trochę pomieszała w garnku. Ona, Meg, powiedziałyby: tak, mamo, źle zrobiłaś, że zachęcałaś mnie do małżeństwa z Brianem, i tak samo źle zrobił tato. I dodałyby: ale rozumiem was, i jest to także moja wina, i Briana też. Gdyby rozdzielić winę na wszystkich, nie czułyby się tak przytłoczone – ani ona, ani matka. Gdyby tylko nie unikała z takim uporem rozmowy o swoim małżeństwie... Gdyby matka nie poddała się tak łatwo...

Gdyby.

Czy istnieje smutniejsze słowo?

45

SAVANNAH PATRZYŁA, JAK KYLE PODJEŻDŻA DO KRAWEŹNIKA przed kinem, gdzie parę minut temu podrzucił ją tato.

– Słodka Savannah! – zawołał śpiewnie przez odsunięte okno. Jego samochód to był

pontiac z końca lat dziewięćdziesiątych, z tapicerką z szarej tkaniny, wytartą i poplamioną – zbyt często zostawiał opuszczoną szybę, kiedy padało – ale mało ją to obchodziło.

– Nie zamierzasz zaparkować?

Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, ukazującym dołek w policzku.

– A może byśmy darowali sobie kino? Tak długo na ciebie czekałem... chyba nie będę umiał skoncentrować się na tym, co jest na ekranie.

Czy mogła nie ulec prośbie, skoro się tak uśmiechał? Wsiadła i odjechali. Gdy tylko znaleźli się na drodze, Kyle zapalił skręta i podał jej.

– Ja się dobrze czuję – powiedziała. – Ale ty pal, jeśli masz ochotę. Nie cofnął ręki.

– Przecież się nie uzależnisz. Podobało ci się w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

Byłaby hipokrytką, gdyby się wzbraniała, skoro tydzień temu paliła razem z nim. A poza tym nie chciała, by pomyślał, że go osądza czy że zachowuje się jak małolata.

– Dobra, sztachnę się raz.

Zaciągnęła się, oddała mu skręta z powrotem i powiedziała: – A ja mam coś dla ciebie. – Wyciągnęła z torby grubą kopertę i położyła mu na kolanach. – Na opłatę za letnią sesję. Zapisaleś się już?

– Malutka! Jesteś niesamowita! Co za gest... Ile? Nachyliła się i szepnęła mu na ucho: – Tysiąc.

– Nie! O ja cię kręcę! – Jego radość ją podnieciła; ugryzła go figlarnie w ucho. – Słuchaj, ale naprawdę możesz sobie na to pozwolić?

– Tak, to z moich oszczędności, jak poprzednio. Mówiłam ci, nie są mi do niczego potrzebne. Lepiej, jeśli je przeznaczę na coś pożytecznego. – Na przykład na to, żeby Kyle był szczęśliwy... a może też i wdzięczny. Żeby myślał o niej jak o partnerce. Zanim ona skończy szkołę, on dokończy studia na Uniwersytecie Stanowym Florydy i będą mogli wynająć sobie jakieś naprawdę fajne mieszkanie w Tallahassee. A potem ona też pójdzie na uniwersytet, a on będzie pisał pracę magisterską. Kto wie, może nawet rodzice pomogą im finansowo... Polubią go do tego czasu, kiedy się już oswoją z różnicą wieku. A jak nie, to trudno.

Podawali sobie nawzajem skręta, jadąc przez miasto, i kiedy dotarli do hotelu, czuła się tak, jakby miała ulecieć w powietrze. Kyle poszedł ich zameldować, a ona czekała w samochodzie. Podśpiewując do wtóru z grupą No Doubt, grzebała w jego schowku. Zamiast tekstu piosenki nuciała: „Ołówek, dowód rejestracji, ciśnieniomierz do opon, malutka latarka, malutka latarka, malutka latarka... paczka chipsów, prezerwatywy!” Na samym spodzie leżały trzy prezerwatywy w podniszczonym opakowaniu.

– Odkryłaś moje sekrety – powiedział Kyle. Drgnęła, zaskoczona. Przecież dopiero co wszedł do hotelu. Czas zachowuje się bardzo dziwnie, kiedy człowiek jest narąbany Wyciągnęła opakowanie.

– Musisz być skautem czy co... Zawsze gotów! – Nie licząc zeszłego tygodnia, kiedy nie zawracał sobie głowy prezerwatywami. Powiedział, że to fajne: znaleźć inne miejsce, żeby dokończyć sprawę. Co tam, byleby nie zaszła w ciążę, poza tym było jej wszystko jedno.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Kyle położył płócienny plecak na łóżku i usiadł.

– Jak każdy porządny skaut, mam i to... Kupiłem w Miami. – Wyjął z plecaka aparat cyfrowy. Zamierzała usiąść koło niego, ale uniósł dłoń. – Poczekaj... zrobimy zdjęcie. – Skierował na nią obiektyw i pstryknął.

Jak to dobrze, że miała na sobie nową żarówiasto-zieloną spódniczkę i

białą koszulową bluzkę. Strój był bardziej trendowy niż to, co nosiła zazwyczaj; ciotki, które właśnie miały jechać na lotnisko, jednogłośnie go zaakceptowały. Mama zdołała zapomnieć na chwilę o swoim smutku i powiedziała, że w nowych ciuchach wygląda „naprawdę świetnie”, co sprawiło, że poczuła się winna wobec niej. Ciotka Beth miała chyba rację – powinna powiedzieć mamie, że podobaj jej się pewien chłopak, choćby po to, aby ją przygotować do następnego kroku: że się z nim spotyka.

– Rozepnij bluzkę – powiedział Kyle. – Będziesz mi pozować. Zaczęła rozpinać, ale coś ją tknęło.

– Poczekaj. To tylko dla ciebie, tak?

– Wyłącznie – potwierdził, wymierzając w nią obiektyw.

Skoro tak, to bez dalszego oporu rozchyliła bluzkę, ukazując biały koronkowy biustonosz, też nowy nabytek, który obciążył – do spółki ze spódniczką, topem i kilkoma innymi koronkowymi fatalaszkami – kartę kredytową mamy. Wyjaśni jej to za jakiś czas, i nawet miała pomysł, żeby wykorzystać pretekst z płaceniem jej kartą za hotel, jak się wszystko wyda: powie, że to kradzież danych. Proste.

– A teraz spódniczka.

Rozpięła haftkę, zamek i zsunęła spódniczkę, a on w tym czasie wyjął małą fiołkę pigułek. Savannah czuła się śmiała i dorosła. Przybrała wyzywającą pozę.

– Podobam ci się?

Wstał, złapał ją za rękę i przyciągnął do łóżka. Poprowadził jej dłoń do swego krocza.

– Zobacz, jak mi się podobasz. – Podobała się, i to bardzo. Kyle wyjął z fiołki małą żółtą pigułkę.

– Świetne są. Możesz spróbować, jak chcesz, ale żebyś nie myślała, że cię zmuszam czy coś. Po prostu dają lepszego kopa, to wszystko. – Włożył pigułkę do ust i połknął bez popijania. – Ale nie ma sprawy, możesz po prostu nie być jeszcze gotowa do tego towaru.

Spróbowała ocenić rozsądnie propozycję. Przed chwilą sam wziął jedną, chyba więc nie mogą być takie złe? Tak, była gotowa. I żeby to udowodnić, złapała fiołkę, wytrząsnęła pigułkę na dłoń i połknęła tak jak on. Taka mała tabletką na pewno nie może jej zaszkodzić.

Po chwili jednak narkotyk zrobił swoje i później błyskały jej w pamięci tylko oderwane obrazy. Pozuje w bieliźnie. Pozuje bez bielizny. Erotyczne gadzety z plecaka Kyle’a. Pukanie do drzwi, kiedy leży z luźno związanymi,

tak dla zabawy, rękami i nogami – „kolega”, mówi Kyle, idąc do drzwi. Potem Kyle w niej na wszelkie możliwe sposoby. Czy kolega wciąż tam był? Nie mogła sobie przypomnieć, nikogo też nie było, gdy działanie narkotyku zaczęło słabnąć.

Czas zwolnił do uchwytniej prędkości. Savannah spojrzała na ścienny zegar.

– O Boże – jęknęła. – Jestem potwornie spóźniona! – Była prawie pierwsza w nocy.

Ubrała się szybko, znalazła komórkę. Miała nieodebrane telefony od obojga rodziców, i od Rachel też. Ogarnęła ją panika. Co teraz powie rodzicom?

– Musisz mnie odwieźć – rzuciła nerwowo. Kyle, wciąż nagi, podszedł do niej.

– Sorry, malutka... trochę przedawkowałem. Ale co to była za jazda... ja cię kręcę! – Powiódł dłońmi po jej piersiach, w dół, sięgnął pod spódniczkę. – Takiej ostrej laseczki jak ty w życiu nie widziałem – szepnął jej do ucha.

Wilgotne, gorące wargi połaskotały ją w ucho, a słowa sprawiły przyjemność – ale i zawstydziły zarazem. Jak mogła to wszystko robić z własnej woli? Czy naprawdę taka jest?

– Słuchaj... a te zdjęcia...

– Będą moim skarbem. – Odgarnął jej włosy i pocałował w kark.

Niepewna, co się zdarzyło naprawdę, a co jest tylko wytworem jej wyobraźni, chciała spytać, czy naprawdę w pokoju ktoś był i na nich patrzył. A może Kyle tylko mówił, jakie by to było podniecające, gdyby ktoś patrzył? Ale nie spytała. Lepiej dać teraz spokój. Pomyśli o tym później, kiedy wróci jej równowaga i trzeźwa myśl.

Kyle pociągnął jej dłoń ku swemu kroczu. Znowu? Wszystko w środku ją bolało, czuła się jak poraniona.

– Naprawdę muszę już iść – wyszeptała z oczami pełnymi łez.

– Pięć minut – powiedział, popychając ją na kolana. Nie wiedziała, jak powiedzieć „nie”.

46

SŁYSZĄC, ŻE SAVANNAH WRACA, MEG POCZUŁA GWALTOWNĄ ULGĘ. Wsparła się na zdrowej ręce i wstała z sofy.

– Gdzieś ty była, na litość boską? – Gdy zobaczyła swoje dziecko całe i zdrowe, ulga momentalnie ustąpiła miejsca gniewowi.

Savannah nie patrzyła na nią, tylko w kąt pokoju, który zdobiły trzy

palmy w donicach.

– Ze znajomymi.

– Ale nie z Rachel – powiedział Brian, który też nie spał i czekał.

– Nie mówiłam, że z Rachel. – Savannah miała spiętą twarz; wyglądało, jakby płakała.

– Coś się stało? – spytała Meg, podchodząc. Savannah unikała matczynego wzroku, ale cała jej postawa mówiła o klęsce. – Chcesz ze mną porozmawiać w cztery oczy?

– Nic się nie stało, jasne? Czuję się super. Jestem po prostu zmęczona i to wszystko.

– Wyżęta, a nie zmęczona – mruknął Brian i poszedł do kuchni wyłączyć światło. – Nawet nie myśl o jakichś planach na resztę weekendu.

– No i super! – krzyknęła Savannah, stojąc na krawędzi chińskiego dywanu z czystej wełny, tak jakby dywan wyznaczał granice pola, na które nie wolno jej było wejść – albo na które nie chciała – wchodzić, pomyślała Meg. Tak jakby w tym polu czekały ją pytania, wyzwania i konsekwencje gorsze niż kara, którą wyznaczył Brian.

– Kochanie? – Meg podeszła i wzięła córkę za rękę. Teraz gniew ustąpił miejsca trosce.

Zdarzało jej się widywać kobiety, które padły ofiarą przemocy czy gwałtu... wyglądały niemal dokładnie tak jak jej córka. Rozbiegane oczy, przygarbione plecy... i aura traumy, niemal wyczuwalna powonieniem, jak zapach skunksa.

– Idę spać – powiedziała Savannah, wyrwijąc rękę. – Wszystko jest super – powtórzyła, a Meg pomyślała, że być może usiłuje przekonać o tym samą siebie. Coś się stało, to pewne; ile razy w ciągu minuty powtórzyła: „super”? Jej słownictwo było znacznie bogatsze. Chociaż z drugiej strony... Była za piętnaście druga. Kto bywa rozmowny o tej porze? Może jest po prostu wyczerpana... może się pokłóciła z koleżanką czy z jakimś chłopakiem? Może właśnie zachowała się odpowiedzialnie, na przykład odmówiła jazdy z kimś, kto był pijany, i wróciła do domu piechotą? Meg starała się uwierzyć, że największym problemem są jej podejrzenia, a z Savannah wszystko jest, jak powiedziała, super.

Patrzyła w ślad za córką idącą przez hol do sypialni. Poczekała, aż trzasnęły drzwi, i dopiero wtedy powiedziała Brianowi o swoich podejrzeniach.

– Widziałam podobne oznaki u innych kobiet... może ktoś ją napadł albo

jej groził, czy...

czy coś w tym rodzaju. – Samo powiedzenie tego na głos było przerażające. Gdzie ta Savannah była, Boże święty?

Brian przysiadł na poręczu sofy.

– A może specjalnie stara się wyglądać tak żałośnie, żeby kara była mniejsza.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Mówię tylko, że może tak być. Słyszałaś, jak się odszczekuje. Pewnie sobie wykombinowała, że będziemy zajęci twoimi siostrami i nawet nie zauważymy, że nie wróciła na czas.

– Wiedziała, że dziś wylatują. – Meg w zamyśleniu pokręciła głową. – To do niej niepodobne. – Popatrzyła w głąb holu. Jej uwagę przyciągnął potrójny gzyms ze złotych listków, biegnący wzdłuż sufitu; kosztował trzy razy tyle, ile płaciła za semestr swojej nauki.

Tyle pieniędzy, i po co?

– Pogadajmy o tym rano – rzekł Brian. – Muszę odpocząć po tym wszystkim... i ty też – dodał. Czy miał na myśli ALS, jako dodatek do operacji jej ojca, wizyty sióstr, pierwszego pogwałcenia przez ich córkę zakazu przebywania poza domem po określonej godzinie? Jeśli tak, była to pierwsza aluzja do tej sprawy od czasu ich rozmowy w środę rano. Będą musieli porozmawiać, jak wpłynie to na ich życie, przedyskutować wszystkie trudne, przykre szczegóły... nie teraz oczywiście, ale już niedługo.

– Idź – powiedziała. – Ja chyba jeszcze troszkę posiedzę, żeby się odprężyć. Nie chce mi się na razie spać.

– Zostanę z tobą, jeśli chcesz, ale o ósmej mam być na polu golfowym.

– Nie nie, idź się położyć. Nastaw sobie budzik.

Wstał, ruszył w kierunku sypialni, przystanął, tak jakby chciał coś powiedzieć – ale najwyraźniej się rozmyślił i poszedł.

Meg zabrała na ganek kieliszek, butelkę ginu, długopis i swój dziennik. Savannah potrzebowała trochę czasu, żeby wrócić do równowagi – i ona także. Usiadła w ulubionym fotelu i wciągnęła głęboko w płuca wilgotne nocne powietrze, starając się nie myśleć o tym, że i one słabną, tak samo jak ręka i noga.

Savannah – zaczęła pisać – jestem w tej chwili rozdarta: chciałabym pójść do twojego pokoju i dowiedzieć się, co ci się stało, a zarazem pamiętam, jak chroniłam swoją prywatność, kiedy byłam w twoim wieku. Czy przyjąłabyś moją troskę, czy raczej byś ją odrzuciła? Chociaż się martwię, że

mogło cię spotkać coś złego, zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie reaguję przesadnie. Jakie to trudne – pozwolić ci, żebyś była tą prawie dorosłą osobą, jaką się stajesz...

Z powodu wizyty moich siostr, a twoich ciotek w ogóle nie miałam czasu na pisanie.

Czuję ciężar potrzeby, aby uczynić z tego dziennika coś, co będzie miało dla ciebie znaczenie; piasek w mojej klepsydrze zdaje się przesypanywać z każdym dniem coraz szybciej, a ja dotąd powiedziałam ci tak niewiele z tego, co istotne. Potrzebuję całego życia, aby być twoją przewodniczką – tak to odczuwam. Kiedy jednak miałam szesnaście lat, byłam pewna, że matka w ogóle nie jest mi potrzebna, i pomyślałam, że miałyby być moją przewodniczką, nawet kiedy już będę dorosła, uważałabym za śmieszny. Dziwiłabym się, że nie chce pozwolić mi się odłączyć, poradziłabym jej, żeby przekazała mi to, co najważniejsze, a resztę pozwoliła odkrywać samodzielnie. Nie przyszłoby mi do głowy, że sama nadał się uczyć.

Lewą ręką nalała sobie ginu, żeby oszczędzić prawą, potrzebną do pisania. Drobne niedogodności towarzyszące postępowi choroby narastały, ale starała się trzymać przygnębienie na wodzy. Wiedziała, że to, co nadejdzie, o ile wytrwa dostatecznie długo, będzie znacznie gorsze – a jeśli nie potrafi poradzić sobie z drobnymi sprawami, jak zdoła stawić czoło większym?

Upiła łyk. Pałący płyn spłynął powoli z gardła do żołądka, niczym długi knot, który zajął

się ogniem. Delektowała się przez chwilę tym żarem. Kiedy i to uczucie będzie musiała dopisać do listy utraconych przyjemności? Stop, powiedziała sobie. Musi skupić się na córce i na zadaniu, jakie przed nią stoi.

Podjęła pisanie.

– Sporo czasu minęło, zanim babcia dostrzegła niektóre swoje błędy – a ja dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy przeczytałam jej dzienniki. Próbowала mi powiedzieć o tym, co uważała za swoją największą pomyłkę, ale ja nie byłam gotowa, żeby tego wysłuchać. Ty też możesz nie być gotowa, żeby wysłuchać tego, co ci chcę przekazać; wiem o tym. Ale spróbuj, córeczko. I nie odrzucaj pomocy, kiedy będziesz zdezorientowana, przygnębiona czy zła, kiedy nie będziesz potrafiła zrozumieć, dlaczego zrobiłam to, co zamierzam zrobić. Moje starania, aby ci to wytłumaczyć, będą być może potrzebowały... uzupełnienia. Ciocia Kara pamięta wiele z mego dzieciństwa i z naszego wspólnego dorastania. Manisha jest dobrym

źródłem wiadomości na temat mojej pracy i choroby – a ciebie kocha jak własne dziecko, wiesz o tym.

Tato też może być pomocny – chociaż i on będzie cierpiał.

Przez chwilę, pomyślała. A potem strząsnie z siebie ciężar jej choroby i samobójstwa i pójdzie, cholera jasna, naprzód i wzwyż, jak zwykle.

– Samobójstwo – powiedziała na głos. Czemu to słowo ma takie negatywne, desperackie znaczenie? Większość lekarzy uznaje to rozwiązanie, choć nie wszyscy są skłonni przyznać się do tego publicznie. Ale środowisko Briana uważa je prawdopodobnie za akt szaleństwa.

Czy on też?

A może to rzeczywiście szaleństwo? Może należy do tych przypadków, o których wspominał Bolin – kiedy choroba opiera się konwencjonalnej wiedzy medycznej? Nadzieja podniosła w niej głowę, ale tylko na chwilę. Choroba narastała w niej jak pożar – ale Boże, jak trudno się było z tym pogodzić! Dlaczego nie może być jedną z tych, co mają szczęście?

Kiedy opadła fala rozzalenia, powrócił trzeźwy pragmatyzm. Jeśli nie należy do szczęściarzy, może przynajmniej decydować o własnym życiu. Niewielka to pociecha, ale zawsze.

Niektórzy ludzie mogą kwestionować sposób, w jaki poradziłam sobie z chorobą i śmiercią, być może również ty. Twój znajomi mogą tego nie zrozumieć. Niektórzy powiedzą, że to egoizm, inni, że popełniłam grzech śmiertelny. Pozwól, że powiem wprost: nie wierzę w chrześcijańskie piekło. Piekło jest tu, na ziemi – w błędach, jakie popełniamy, w ludzkim cierpieniu, w przelanej krwi, wojnach, głodzie. .. iw uporze, z jakim nasza kultura odmawia osobie umierającej prawa do skorzystania z legalnej pomocy, by mogła odejść bez cierpienia.

ALS to więzienie, z którego nie ma ucieczki. Degraduje człowieka, odziera go z tego, co w nim ludzkie: z poczucia godności, ze zdolności do istnienia w sposób, który stanowi definicję bycia żywym. Kiedy to zrozumiesz, być może zrozumiesz także, dlaczego postanowiłam, że uchronię od tego i siebie, i ciebie.

A teraz powiem to, co najważniejsze.

Wyciągnęła rękę, roztarła słabnące mięśnie. Spojrzała na rękopis i zmarszczyła brwi: jakie nieporządne stało się jej pismo... Niedługo już będzie w stanie utrzymać w dłoni długopis; no cóż, najwyżej przestawi się na pisanie lewą ręką. Zrobi wszystko, byle pozostawić po sobie Savannah jak najwięcej. Tylko w takiej postaci będzie ją miała.

Co i jak pisać dalej? Pomyślała o swojej historii z Carsonem. Czy powinna zachęcać Savannah, by i u niego szukała odpowiedzi na pytania? Gdyby wiedziała, jak daleko może się posunąć ... Savannah niewiele wiedziała o tym, co ich łączyło. Ale czy to dla niej ważne, aby miała jasny obraz ich relacji? Tylko wówczas, gdy Carson jest jej ojcem. Nie była pewna, czy warto otwierać to pudełko, które mogło stać się puszką Pandory. Ale trzeba też pamiętać, że oprócz rozmaitych niemiłych rzeczy, jakie wypuściła z puszki Pandora, znalazła w niej także – na samym dnie – nadzieję. Na dnie tego pudełka także mogła czekać nadzieja – jeśli nie dla niej, to dla Savannah.

Po spotkaniu z Carsonem w ubiegły piątek Meg nabrała przekonania, że nawet jeśli nie jest on ojcem Savannah, może mieć na nią dobry wpływ. O ile będzie chciał mieć coś wspólnego z jakąś nastolatką, jeśli nie będzie w żaden sposób zobowiązany do utrzymywania z nią znajomości. .. Wypiła duży łyk ginu. Szkoda, że alkohol nie pomoże jej rozwikłać tego problemu, przepalić zapętlenia w umyśle i sercu. Czy Carson nie ma prawa wiedzieć, że ma dziecko – jeśli je ma? Czy Savannah nie ma prawa wiedzieć, że jest jej ojcem, jeśli jest? Czy nie wydaje się słuszne, aby Brian wiedział, że Savannah nie jest jego dzieckiem, o ile taki przypadek ma miejsce? Ryzyko bólu dla wszystkich trojga było duże, a jednak nie miała chyba prawa zabierać tej tajemnicy do grobu.

Ale jak ustalić prawdę? Musiałaby mieć wyniki testu DNA Savannah i Briana. Co do Savannah, może to zrobić bez jej wiedzy – wystarczy rutynowe pobranie krwi, jak do morfologii. Brianowi musiałaby powiedzieć. .. musiałby wyrazić zgodę – chyba że... chyba że zdołałaby uzyskać bez jego wiedzy coś, co mogłoby stanowić materiał do analizy. Krew jest idealna, ale może być także coś innego. Nasienie na przykład. Które może mieć, nie mówiąc mu ani słowa...

Czy byłaby zdolna do takiego podstępu? A czy sama przyczyna podstępu nie jest gorsza niż on? Prawdopodobnie powinna się wstydzić tej gotowości do oszustwa... ale czy pierwsze oszustwo wyrządziło Brianowi jakąś krzywdę? Żył tak, jak chciał. Jeśli zrobi w sekrecie badania DNA i okaże się, że istotnie to on jest ojcem Savannah, nigdy się nie dowie, że w ogóle miała jakieś wątpliwości. A jeśli wynik okaże się inny? Będzie wściekły, to oczywiste.

Sposób uzyskania materiału badawczego będzie wówczas najmniejszym problemem.

Naprawdę, nie ma sensu zakładać mu pętli na szyję, dopóki – i o ile – nie musi.

Co nie znaczy, że uzyskanie próbki będzie dla niej rzeczą przyjemną. Nie włożyła w to serca. Wcześniej też zresztą nie wkładała go zbyt wiele.

Zostawiła rzeczy na ganku i pokuśtykała w głąb domu, żeby zobaczyć, czy Savannah już śpi. Podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać, choć przez szpary nie przenikało żadne światło.

Po chwili dosłyszała cichutkie pobrzękiwanie gitary – Savannah grała – i sięgnęła do klamki.

Zawahała się: a może powinna pozwolić córce, żeby sama poradziła sobie z tym, co ją spotkało? Tak niewiele zostało im czasu... po co tworzyć między nimi szczelinę niechęci?

Zanim podjęła decyzję, dobiegł ją odgłos metalicznej melodyjki – zadzwoniła komórka Savannah. Zbliżyła ucho do szczeliny w drzwiach.

– Cześć... nie, przepraszam, że zareagowałam przesadnie... wiem, że nie miałeś zamiaru...

tak, też myślę, że to trochę za dużo... po prostu byłam zmęczona... tak?... Oczywiście, że ja też cię kocham...

Meg zrobiła wielkie oczy. Kogo kocha Savannah?

– Nie, zatrzymaj to. Chcę ci pomóc... urodziny w następną sobotę... j Teraz już nic nie mogła wyłapać; Savannah musiała się rozłączyć albo może poszła do łazienki czy we. Meg stała zdumiona. Savannah ma chłor paka. Na poważnie! A jej nawet to do głowy nie przyszło.

Jak bardzo się oddaliła od życia swojej córki... Na tę myśl poczuła się chora.

Savannah ma chłopaka i miał on swój udział w tym, co zaszło wcześniej – a ona nadal go kocha. Musieli się pokłócić. O co chodziło z tym „trochę za dużo”? Czy Savannah piła? To by wyjaśniało te czerwone oczy, aurę poczucia winy. Dzięki Bogu, że nie jest tak źle, jak myślała, dzięki Bogu, że Savannah jest w domu, cała i zdrowa.

Odeszła od drzwi. Poczekaj na lepszy moment, żeby wypytać córkę. Może jutro albo za kilka dni. Nie ma sensu zaczynać rozmowy, kiedy obie są zmęczone i nie w humorze. Będą też musiały porozmawiać o antykoncepcji, tak jak to planowała w zeszłym tygodniu.

Nie do wiary. Savannah zakochana.

Meg wróciła na ganek i sięgnęła po dziennik.

Chcę ci opowiedzieć, jak to było, kiedy byłam nastolatką – i zakochałam

się. Wydawało mi się, że byłam zakochana już wcześniej – w siódmej klasie był Kubańczyk imieniem Rico, później, w ósmej, taki jeden strasznie zabawny chłopak, Neil... Spotykałam się też z innymi, ale żaden tak naprawdę mi nie odpowiadał I wtedy, tuż przed ukończeniem szesnastu lat, dostrzegłam w końcu to, co miałam przed oczami przez cały czas. Moją miłością stał się mój najlepszy przyjaciel – Carson McKay.

W owym czasie gotowa byłabym przysiąc, że oddycham tylko dla Carsona, i nie potrafiłabym wyobrazić sobie przyszłości, która nie byłaby wypełniona jego śmiechem, jego czułością, która byłaby czymś innym niż nieskończonym ciągiem cudownych dni bycia razem.

Nie myślał jeszcze wówczas o muzyce, a ja byłam przekonana, że nie ma sensu myśleć o medycynie – ale było nam dobrze. Sądziliśmy, że pomożemy rodzicom w prowadzeniu farm.

Nie miałam wówczas żadnych wątpliwości, że ta wizja się spełni.

Czy fakt, że się o tym dowiadujesz, wprawia cię w zakłopotanie lub przygnębienia? Dla mnie tamte wspomnienia są jak piękny sen, który śniłam dawno, dawno temu – ale dla ciebie to pewnie jak wybuch bomby. Jak mogłam tak kochać Carsona i nigdy ci o tym nie powiedzieć?

Dlaczego wychowałam cię w kulcie dla jego muzyki, a mimo to nie ujawniłam prawdy? Być może będziesz się zastanawiała, czy wie o tym tata. Bądź spokojna – wie. Bądź również spokojna, że kiedy wyszłam za tatę, zamknęłam za sobą przeszłość. Dopiero teraz powraca z taką siłą, że nie potrafię jej powstrzymać.

Pamiętaj o jednym: pewnych prawd nie da się stłumić na zawsze. Czasem mi się wydaje, że ALS to jakaś kosmiczna kara za wybory, jakich dokonałam przed laty.

Wszystko było nie tak, nie tak.

Meg włożyła długopis do notatnika i zamknęła go. Przed oczami miała mgłę, ręka zaczynała odmawiać posłuszeństwa. Choć bardzo chciała pisać dalej, nie poddając się senności – nie było czasu na sen, kiedy godziny sączyły się nieubłaganie jak krew ze śmiertelnej rany – wiedziała, że upór nic nie da. Naciągnęła sweter na ramiona, położyła się na szezlongu i zamknęła oczy.

47

CARSON PODJECHAŁ WYNAJĘTYM SAMOCHODEM POD DOM RODZICÓW i zaparkował. Silnik tykał, stygnąc, a on siedział i patrzył na bielejący w ciemności zarys szopy. Oto – w końcu – jego przystań. Co będzie

robił dalej, jutro i w następnych dniach, nie wiedział. Teoretycznie powinien załatwić to, co ma tu do załatwienia, i w następny piątek odlecieć na St. Martin.

Teoretycznie historia z Meg nie powinna mieć żadnego wpływu na jego plany.

Najprawdopodobniej spotka się z Meg, zaoferuje jej – co? Pocięgę? Co jeszcze mógłby jej ofiarować, poza własnym pragnieniem, żeby znalazło się jakieś wyjście? Nie potrzebowała jego pieniędzy, nie przywiózł ze sobą cudownego leku w czarnej walizeczce, nie był nawet zbyt pobożny, aby się za nią modlić. Po prostu chciał, by wiedziała, że on tu jest, że wciąż jest dla niego ważna. Ze nie musi radzić sobie ze wszystkim sama.

Ale, rzecz jasna, miała męża, żeby ją wspierał, pomagał jej. Miała teściów, ojca, siostry, dziecko... Przegarnął dłońmi włosy. Co on tu, na litość boską, robi?

W szopie było chłodniej, niż przypuszczał; pewnie ktoś włączył klimatyzację. Nie zapalając światła, wszedł na strych. Lepiej było przebywać tu w ciemności, kiedy ostre krawędzie prawdy rozmywały się i nikły. W ciemności mógł sobie wyobrazić, tak jak w noc przed ślubem Meg, że jest jeszcze jakaś nadzieja. Że ona wciąż należy do niego i że nie opuści go na zawsze.

Pojawiła się, kiedy miał siedemnaście lat, a ona prawie szesnaście. Jeśli nie liczyć nieśmiałych dziecięcych eksploracji, ich związek ograniczał się do przyjaźni. Bardzo bliskiej – najbliższej – ale nie była to romantyczna miłość. I wtedy, jakby mocą jego pragnienia, wszystko się zmieniło.

Od roku był świadkiem, jak zaczyna się kimś interesować, potem traci zainteresowanie i przenosi je na kogoś innego. Kilka razy twierdziła nawet, że jest zakochana. Opowiadała mu o tych innych chłopakach i o swoich uczuciach, z zamglonymi oczami, z przechyloną głową, jakby nasłuchiwała dzwonka, którym matka wzywała ją do domu... tylko że wsłuchiwała się w coś innego. Może oczekiwała kosmicznego potwierdzenia, że jej zauroczenie jest zgodne z tym, czego pragnie Wszechświat? A on już wtedy słyszał prawdę w szmerze liści pomarańczowych gajów i wiedział, że jeśli tylko będzie cierpliwy, ona też dostrzeże to, co dla niego było jasne jak słońce: że są sobie przeznaczeni.

I dostrzegła.

To był maj. Na podwórzu za jej domem, zarazem wybiegu dla kur, siedzieli na schodkach i jedli sorbetowe lody na patyku. Meg miała na sobie

podkoszulek w paski i krótkie frotowe szorty. Włosy, związane w koński ogon, opadały jej na plecy jak blado-miedziany sznur. Miał

ochotę przeciąć frotkę i patrzeć, jak rozsypują się po ramionach. Chciał poczuć ich dotyk na skórze, wyobrażał sobie, jak skryłyby jego twarz niczym wodospad, gdyby pochyliła się nad nim, leżącym na wznak. Chciał, by i ona pragnęła tego samego.

Julianne, wówczas siedmioletnia, bawiła się z Beth węzem ogrodowym. Meg patrzyła, jak dziewczynki gonią kurczaki po mokrej trawie, i pokręciła głową.

– Spójrz tylko, jak Jules przez ten rok wyrosła z kostiumu. – Naciągnięta, skąpa dzianina niemal odsłaniała pośladki Julianne, a u góry chudą klatkę piersiową i łopatki.

– Mogę to naprawić – powiedział. – Potrzyj. – Podał jej swojego loda, winogronową kulkę, w połowie już zjedzoną, i wyjął scyzoryk, który Spencer podarował mu na trzynaste urodziny. Nie zwracając uwagi na sikającą z węża wodę, podszedł do Julianne.

Zobaczyła nóż i jej oczy zrobiły się okrągłe.

– Stój spokojnie – powiedział i kilkoma szybkimi ruchami przeciął napiętą różową dzianinę pośrodku, tworząc dwuczęściowy kostium o wystrzępionych brzegach. Dolna część dopiero teraz osłoniła jak należy bioderka dziewczynki. – No. Powinno być lepiej.

Julianne popatrzyła na swój odsłonięty brzusek, potem uniosła głowę i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Hej, Beth, mam bikini! – wrzasnęła.

Carson, ociekający wodą, wrócił do Meg. Patrzyła na niego, przechyliwszy głowę.

Wziął od niej swojego loda, zauważył, że na rękę ściekło jej parę fioletowych kropli, i się uśmiechnął.

– Jakie to pomysły – powiedziała, nie spuszczać z niego oczu. – A ja chciałam ją po prostu rozebrać i niech biega na golasa. Podoba mi się twój sposób myślenia.

– A mnie się podoba, kiedy twoje oczy zmieniają kolor zależnie od tego, co na sobie masz.

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę? A mnie się podoba, jak twoje robią się ciemnozielone, kiedy... kiedy patrzysz na mnie tak jak teraz.

Nachylił się i bez zastanowienia ją pocałował. Usta miała słodkie i lepkie

od pomarańczowego lodu. Ich pierwszy prawdziwy pocałunek. Kiedy się od niej oderwał, otworzyła oczy i skinęła głową.

Gdyby wszystko nadal było takie jak wtedy...

Siedział na wąskiej kanapce, wyciągnąwszy przed siebie nogi, i nasłuchiwał, czy nie skrzypną otwierane i zamykane drzwi, czy nie zatrzeszczą zdradziecko schody. Czekał, dopóki przez żaluzje nie zaczęło się przesączać słońce. Wtedy zakrył twarz dłońmi i zapłakał.

Ze snu wyrwał go odgłos pukania. Właśnie kopali z Meg na brzegu jeziora w poszukiwaniu skarbu piratów, tak jak trzydzieści lat temu. Wcisnął jej szpadel do rąk i powiedział: „Kop dalej!”, a ona się roześmiała: „Aleś ty głupi, tu nie ma żadnego złota”.

Włosy, rozczochrane i splątane, świeciły jak miedziany relief. Ściągnęła przez głowę niebieską sukienkę na ramiączkach, z oberwaną z tyłu szydełkową koronką, i wciąż się śmiejąc, pobiegła goła do jeziora. Patrzył, jak płynie, i chciał się rzucić do wody w ślad za nią, ale ktoś zawołał go po imieniu. Obudził się, by stwierdzić z rozczarowaniem, że to matka.

Zapukała ponownie.

– Wstawaj, Car. Kiełbaski i jajka czekają na kuchni, gorące.

– Już idę! – zawołał i dźwignął się z kanapki, gdzie zasnął, skulony, może godzinę temu.

Przeciągnął się; trzasnęło mu w ramieniu.

Shep, matczyiny kundel, podreptał za nim do domu. Rodzice siedzieli jak zawsze przy kwadratowym kuchennym stole, mama z prawej strony ojca. Wiele rzeczy zmieniło się w domu przez te lata – blaty, podłoga, nawet sama wielkość domu, bo do tradycyjnego piętrowego budynku dodano niewielkie skrzydło boczne – ale stół był ten sam, przy którym jadał przez całe dzieciństwo. Czwarte miejsce często zajmowała Meg.

Ostatnio siedziała tu Val. Dziś na krzesło wskoczył Shep: usiadł i grzecznie czekał na datki. Pies przy stole to była zmiana; dawniej tato by tego nie zniósł. A dziś to on pierwszy nakarmił Shepa: podał mu odgryziony kawałek kiełbasy gestem, który jasno mówił, że robi to często. Zmiękli starszycy, i miło na nich popatrzeć: wciąż razem, wciąż zadowoleni – a nawet bardziej zadowoleni, niż gdy był dzieckiem. We wrześniu minie czterdziesta trzecia rocznica ich ślubu... Podziwiał ich i im zazdrościł. Jeśli pobiorą się z Val za tydzień, szansa, że przeżyją czterdzieści trzy lata w małżeńskiej harmonii, była skromna. Mężczyźni w jego rodzinie nie cieszyli się długowiecznością, wszyscy umierali przed osiemdziesiątką. Wiedział

jednak, że to nie liczba lat jest najważniejsza. Ważne, jak żyjemy, a nie jak długo. I co po sobie pozostawimy.

– Planujesz coś w najbliższym czasie? – spytał tato, kiedy Carson dołączył do nich przy stole.

– Coś oprócz ślubu i miodowego miesiąca? – nie zrozumiała mama.

– Mam na myśli muzykę. Kiedy znowu wybierasz się w trasę? Carson zanurzył rozek tosta w żółtku i odgryzł kawałeczek.

– Tym zajmuje się Gene. W firmie fonograficznej wspominali coś o nowej płycie z moimi najlepszymi piosenkami. Sam je wybiorę, pod koniec roku... prawdopodobnie byłyby to nagrania na żywo. Pewnie będę ją musiał promować, jak złożą wszystko do kupy.

– A piszesz coś nowego? Dla Val?

– Daj mu spokój – syknęła mama.

– A co ja takiego powiedziałem?

– Nie, nie piszę – powiedział z naciskiem Carson, przyglądając się bacznie rodzicom.

Najwyraźniej rozmawiali wcześniej o Meg i jego nieoczekiwanym powrocie do domu. – Ale byłem ostatnio dosyć zajęty... nie zauważyliście?

– Jasne, żeśmy zauważyli. – Mama podała Shepowi całego tosta, a on poniósł go do miski, stojącej koło drzwi. – Powiedz nam po prostu, czy jest coś, co możemy zrobić za ciebie. Ja pilnuję sprawy kwiatów, tatuś odbiera w środę fraki.

– No dobrze – powiedział tata. – A jaki masz plan na dziś? Carson wstał i zaniósł talerz Shepowi. Jakoś nie miał apetytu.

– Nie wiem, tato. Cały czas próbuję to ustalić.

Przede wszystkim musiał ustalić, co powiedzieć Val. Zadzwoił do niej nieco później tego ranka, gdy wrócił do szopy z długiej przechadzki po pomarańczowych gajach. Farma była zadbane jak zawsze, ojciec starał się jak mógł – ziemia zaorana, drzewa poprzycinane, jezioro wolne od aligatorów. W tym ostatnim pomagał Shep, do spółki z grupą studentów wolontariuszy, którzy przyjeżdżali tu co jakiś czas, aby przeczesać grunty pod kątem „ratowania” tych niebezpiecznych dzikich stworzeń. W całym stanie wzrosła ostatnio liczba aligatorów, w związku z czym coraz śmieiej i bardziej desperacko poszukiwały dostępu do wody. Znajdowano je nawet w basenach przydomowych. Nic dziwnego, że odnotowano ostatnio serię groźnych napadów na ludzi: był to przecież sezon godów. Tak samo jak, teoretycznie, dla niego i Val.

Wybrał numer jej komórki. Odebrała.

– Cześć, przystojniaku. Jak tam leci? „wszystko popakowane?

– Nie do końca – powiedział, przysiadając na schodach. – Ale... niedługo skończą. Jak tam było wczoraj, po twoim telefonie?

– Próbowałam zadzwonić jeszcze raz; nie odebrałeś mojej wiadomości? Poszliśmy wszyscy na *luau*... wiesz, taką hawajską imprezę. Wade wygrał zawody limbo* [limbo – taniec, w którym tańczący odchylają się coraz bardziej do tyłu, tak by zmieścić się pod coraz niżej opuszczanym poziomym drążkiem (przyp. tłum.)]. Można się było spodziewać!

Szczupłe, muskularne ciało Wade'a było anatomicznym ideałem. Wyglądali jak bliźnięta.

– Cieszę się, że miło spędziłaś czas.

– Ale tęskniłam za tobą. Zobaczymy się przed piątkiem? – Nie mieli dokładnych planów na ten tydzień; wszystko zależało od tego, kiedy Carson zakończy sprawę w Seattle.

– Nie... Prawdę mówiąc – zaczął, ściągając skarpetki – jestem znowu w Ocala.

– W Ocala? Po co?

– Moja znajoma... pamiętasz, Meg Pow... Hamilton?

– Ta, którą spotkaliśmy na koncercie? I u krawca? – W jej głosie pojawiła się nutka nieufności.

– Tak. – Starał się mówić łagodnie. – Właśnie się dowiedziałem, że ona... – urwał i odchrząknął – że choruje na Lou Gehriga. – Nie wyjaśniało to do końca nagłej zmiany planów, ale miał nadzieję, że wystarczy.

– To straszne – powiedziała Val. – Ale... co to ma wspólnego z tobą? Nie chciałabym być gruboskórna, ale... Odwiedzasz ją w szpitalu czy jak?

Potarł brodę. Jedno tylko było usprawiedliwienie na to, że rzucił wszystko i pojechał. Nie chciał o tym mówić, ale nie chciał też kłamać.

– Nie – westchnął – to nie tak.

– A jak?

– Widzisz... byliśmy z Meg bliskimi przyjaciółmi. Dorastaliśmy razem, wiesz o tym?

– Tak, ale powiedziałaś, że nie widzieliście się od prawie dwudziestu lat. W tej chwili nie możesz być dla niej kimś bliskim.

– No tak... masz rację. Teraz nie. Ale wtedy... posłuchaj. – Wstał i zaczął chodzić po domu, z kuchni do pokoju i z powrotem. – Mieliśmy zamiar się pobrać. Nie ustaliliśmy daty ani nic... nie dałem jej nawet

pierścionka – dodał w nadziei, że to złagodzi cios, którym niewątpliwie musiała być ta opowieść dla Val.

– I co się stało?

– Nie wyszło.

– Jak widać.

– Jak widać. – Zatrzymał się przy stole i wsparł o niego rękę. – Znalazła kogoś innego.

Ale kiedy się dowiedziałem, że... że umiera, poczułem, że powinienem się z nią zobaczyć. I dlatego tu jestem.

– Ach tak... – powiedziała Val. Najwyraźniej starała się ogarnąć całość. – O rany... – westchnęła – co to dla niej za kanał... Dobrze, że pomyślałeś, aby ją odwiedzić.

– Chyba tak. – Chciałby jej opowiedzieć, jaki jest przygnębiony, jak się czuje bezradny.

Chciałby poczuć, że może zrzucić z siebie ciężar, a ona chętnie pomoże mu go dźwigać. Ale ich związek nie był taki. Val to chodzący optymizm, jej zmagania miały wyłącznie fizyczny charakter: z wodą, wiatrem, żywiołem. Zły dzień oznaczał dla niej spokojny ocean, lepszą niż ona zawodniczkę albo matkę, która skrytykowała fryzurę, jaką Val wymyśliła sobie na ślub.

Ten brak urazów był jedną z rzeczy, które go w niej pociągały, ale stojąc teraz z telefonem przy uchu, wiedział także, że nie ma sensu oczekiwać od niej współczucia.

– Co byś powiedziała, gdybym ci oznajmił, że chciałbym zostać tu, w Ocala... albo gdzieś w okolicy?

– Cały tydzień?

– Nie. Na stałe. Zamieszkać tutaj.

– Bądź poważny, Car. – Roześmiała się. – To ład, nie wybrzeże.

Dlaczego miałoby ci na tym zależeć? Przecież nie z powodu tej Meg... nie chodzi o nią, prawda? Ona przecież, no wiesz... niedługo umrze.

Żołądek Carsona zmienił się w twardą jak głaz kulę.

– Nie, nie z powodu Meg. Moi starszycy...

– Mogą się przeprowadzić do Malibu.

– Po prostu chciałbym być w domu – powiedział, nie zdając sobie sprawy, jak prawdziwe są te słowa, dopóki ich nie usłyszał na głos. Kiedyś stąd uciekł, teraz jednak wracał, modląc się, żeby nie było za późno na odzyskanie... czego? Nie, nie Meg. Jej nie mógł mieć. A więc swojej przeszłości? Ich przeszłości. To coś znaczyło.

– Carson, co się dzieje? – spytała Val, najwyraźniej zirytowana. Nic dziwnego – miała do tego prawo.

Sięgnął do kieszeni, wyjął złoty łańcuszek od Meg i położył go na stole.

Łańcuszek ułożył

się w kółko.

– Jestem ci winien przeprosiny – powiedział, wodząc palcem po delikatnym metalowym splocie. – Powinienem był ci powiedzieć... o Meg. Powinienem był ci powiedzieć, że tak naprawdę nigdy mi nie przeszło.

48

MEG ZDECYDOWAŁA SIĘ ZAŁATWIĆ SPRAWĘ PRÓBKII DO TESTU GENETYCZNEGO we wtorek wieczorem.

Tego dnia zlikwidowała swój gabinet, po czym postanowiła wracać do domu okrężną drogą i popatrzeć na okolicę – na ich dawną farmę, na farmę Carsona. Na przeszłość. Zanim nadejdzie moment, kiedy nie będzie już mogła usiąść za kierownicą i pojechać ani tam, ani nigdzie indziej. Okrążała właśnie posiadłość McKayów, gdy dostrzegła nadjeżdżającego z przeciwnej strony niebieskiego sedana, który sygnalizował skręt. Minęli się – i wówczas, zerknąwszy na kierowcę, ze zdumieniem rozpoznała w nim Carsona.

Dlaczego wrócił?

Spieszyła się, żeby odebrać Savannah, i dlatego się nie zatrzymała, ale później przez cały czas miała w pamięci to spotkanie. Świadomość, że Carson jest w pobliżu, dodała jej odwagi, by zająć się zagadką, która czekała na rozwiązanie.

Gdy nadeszła pora spoczynku, Brian przyszedł do sypialni i położył się obok niej. Miała na sobie atlasową nocną koszulę – niezbyt seksowną, ale jednak inną od zwykłej żółtej z bawełnianego trykotu. Brian, zgodnie ze zwyczajem, był w spodenkach z dzianiny, ściąganych sznurkiem – jasna wskazówka, że nie w głowie mu seks. Jeśli pragnął miłości, wskakiwał do łóżka nagi. Racjonalny jak zawsze – zaoszczędzał w ten sposób jeden krok.

Wśliznął się pod kołdrę i wsparł na łokciu.

– No i co... załatwiłaś sprawę z gabinetem? – Napięcie w jego głosie zadawało kłam niedbałym słowom.

Skinęła głową.

– Tak. Wszystko jest uporządkowane i zapakowane... zostawiam tylko meble. Nie mówiłam ci jeszcze, że Manisha ma dwoje kandydatów do pracy? Wszystko będzie szło jak należy.

– To dobrze – odparł z odrobiną sztucznym ożywieniem.

I dla niej temat był niezręczny, choćby dlatego że taki trudny dla niego. Rozmowa o zakończeniu pracy zawodowej nie jest, być może, najlepszym wstępem do romansu... czy seksu, wszystko jedno... ale może przestanie być taki spięty, jeśli mu pokaże, że panuje nad sytuacją i nie będzie dla niego ciężarem.

– Wiesz już – powiedziała – że człowiek chory na ALS staje się z czasem całkiem niedołączny, ale chyba powinieneś też wiedzieć, że nie będziesz musiał się mną zajmować.

Prawdopodobnie nie będziesz nawet musiał patrzeć na mnie. – Nadal była zdecydowana sama zorganizować własne odejście, choć jeszcze nie potrafiła powiedzieć, jak i kiedy.

Brian opadł na poduszkę.

– Meg, nie mogę o tym rozmawiać.

– Co to znaczy: nie mogę? Musimy o tym rozmawiać. Dopóki nie odejdę.

– Jak ty tak możesz?

– Mówić o tym rzeczowo? Nie wiem... Ale wiem, że muszę. Musimy. Posłuchaj... Prędzej czy później wszyscy stajemy wobec tego problemu i musimy się z nim uporać. Po prostu sądzimy, że to wydarzy się później.

– Mężczyzna powinien umierać wcześniej niż żona – powiedział niebezpiecznie drżącym głosem. – Nie wiem... to nie jest w porządku. – Odwrócił się twarzą do komody o podwójnych drzwiach, większej niż pokój, który zajmowały w dzieciństwie do spółki z Karą, pełnej półek, szuflad i skrytek na wszystko, co tylko może człowiekowi przyjść do głowy.

Czy od razu ją opróżni, kiedy ona odejdzie? A może ona sama opróżni ją zawczasu, by zaoszczędzić tego Savannah i siostrom... I Carsonowi, którego koszulka John Deere, starannie złożona, spoczywała pod stosem jedwabnych piżam.

Dotknęła ramienia Briana.

– Hej... wszystko będzie dobrze. Zrobię to tak, żeby dla ciebie było możliwie najłatwiejsze.

– Nie gadaj głupstw. To nigdy nie może być łatwe, sama wiesz. – Kiedy odwrócił się do niej, miał mokre oczy.

– Chodź do mnie – powiedziała i wyciągnęła do niego ręce.

I równie proste jak te słowa było ich złączenie. O wiele prostsze niż przypuszczała – i o wiele prawdziwsze. Nie myślała o Carsonie, tylko przez chwilę, kiedy poczuła, jak inaczej przeżywa to z Brianem. Nie było w niej namiętności, było współczucie i troska. W

pierwszych latach małżeństwa starała się wzbudzić w sobie pożądanie. Jej ciało tęskniło za intensywnością doznań, które łączyły ją z Carsonem. Brian nie był jednak inspirujący w łóżku. Wystarczało mu, że jest atrakcyjna, czysta i chętna do zwykłego, elementarnego seksu – więcej nie potrzebował. Dzisiejsza noc była podobna do wcześniejszych, zjedną różnicą: wiedziała – i być może wiedział także on – że to ostatni raz.

Kiedy Brian zasnął, przysiadła na brzegu marmurowej wanny i za pomocą jałowej gazy i szkiełka sporządziła próbkę do testu DNA. Zaskakujące, ale w tej chwili czuła się z tym wszystkim o wiele lepiej. Nie przespała się z Brianem na chłodno. Przyszła do niego jak przyjaciółka, żeby się pożegnać. I test DNA też wydawał się jej w tej chwili właściwym posunięciem. Krok bliżej w kierunku prawdy. W końcu.

Następnego popołudnia Meg włożyła fiolkę z materiałem genetycznym Briana do torebki i powiedziała Savannah, że jadą do kliniki na rutynowe badania kontrolne. Prowadziła Savannah. Z kliniki pojechały do laboratorium.

– Po co mi to badanie krwi? – spytała Savannah po drodze. – Przecież robili mi niedawno.

Nie jestem chora.

– Na obecność narkotyków – powiedziała z kamienną twarzą Meg. Savannah podskoczyła, jakby ktoś dźgnął ją nożem.

– Jak to... przecież ja nie...

– Nie? To dobrze. Test to potwierdzi. – Meg uśmiechnęła się do siebie leciutko. Dobrze jest potrząsnąć dzieckiem od czasu do czasu. – No, a jeśli chodzi o piątkowy wieczór...

Tu, w samochodzie, z którego nie było ucieczki, nareszcie była w dogodnej sytuacji, aby wrócić do tego, co zaszło. Przez chwilę trwała przepychanka: „coś” kontra „nic”, aż w końcu Meg powiedziała:

– Kochanie, nie jestem taka tępa, jak ci się wydaje. Nie pytam po to, żeby cię ukarać; pytam, bo się niepokoję. Jeśli przestaniesz robić ze mnie głupią, wówczas ja spróbuję cię traktować jak osobę dorosłą, za którą chcesz uchodzić. Ojej... skręć teraz w lewo.

Savannah skrzyła.

– W porządku. Powiem ci. Mam chłopaka... i pokłóciliśmy się. W końcu jakiś postęp.

– Chłopaka? – Meg starała się wyglądać na zaskoczoną. – Czy to ktoś, kogo znam?

- Nie.
- Do jakiej szkoły chodzi?
- Wiesz co, mamó? Ja chcę ci powiedzieć, ale wiem, że będziesz zła.

Jesteście tacy...

staroświeccy, ty i tato. Tak strasznie się przejmujecie tym, czy ktoś chodzi do właściwej szkoły, czy ma właściwych sąsiadów, właściwych rodziców...

Meg zmarszczyła brwi.

– To nieprawda. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, jeśli tylko chłopak jest... no wiesz, przyzwoitym człowiekiem. Może być fioletowy i pochodzić z Saturna...

– Na Saturnie nie ma życia – wtrąciła Savannah, momentalnie stając się w oczach Meg dziewięciolatką. Ach, gdyby...

Zamrugła, odpędzając tę myśl.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedziała.

– No dobrze, ale tato taki jest. Nawet jeśli ty podeszłabyś do sprawy na luzie, to tato w życiu, i po prostu... nie wiem. Ale chyba ci jednak w końcu powiem... kiedyś.

Szkopuł w tym, że kiedyś mogło być za późno.

– Dobrze. To mi wystarczy. Chcę, żebyś wiedziała, że ja... że jest we mnie więcej, niż może ci się na pozór wydawać, podobnie jak w tobie. Nie jestem tylko lekarką, matką i żoną.

Byłam bardzo czynna w tych rolach, odkąd pamiętasz, wiem... ale jestem też istotą ludzką, równie skomplikowaną jak ty... jak każdy. Ze mną można rozmawiać, rozumiesz?

Savannah wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy na miejscu. – Meg wskazała lewą ręką przysadzisty szary budynek. Prawą, spoczywającą dziś w temblaku, oszczędzała do ważniejszych celów. Teraz już cały czas ręka była słaba, obawiając się więc, że wkrótce będzie gorzej, Meg spisała różne rzeczy ze swego dzieciństwa i dorastania, historię rodzinnej farmy, niepowodzenie z orchideami, a nawet w skrócie to, co zapamiętała z opowieści na temat narzeczeństwa rodziców. Zapisała też numery telefonów Kary, Beth i Julianę, ich adresy, daty urodzenia, szczegóły na temat ich mężów i dzieci, swoje obawy, czy Beth kiedyś znajdzie właściwego mężczyznę. Przykro jej było widzieć siostrę samą, choć Beth twierdziła, że w wieku trzydziestu lat jest jej w pojedynkę zupełnie dobrze. Wczoraj zadzwoniła z wiadomością, że za półtora miesiąca

przeprowadza się do Ocala, żeby doglądać ojca i pomagać Meg, w czym tylko będzie trzeba. Meg pomyślała o siostrze Lany Mathews, Penny, i przysięgła sobie, że choć wiele razy zmieniała pieluchy Beth trzydzieści lat temu, pod żadnym pozorem nie pozwoli, aby miała się jej teraz odwdzińczyć. Zadba, by do tego nie doszło. Wymknie się wcześniej, wszystko jedno jak.

Podjechały na parking przed laboratorium. Za chwilę jakiś anonimowy mężczyzna czy kobieta pobierze z przedramienia Savannah rozwiązanie szesnastu lat liczącej zagadki, ktoś inny po upływie pięciu roboczych dni prześle to rozwiązanie Meg do gabinetu. Co wykaże test? Savannah myślała prawdopodobnie w tej chwili, czy ujawnić własne sekrety, ale najistotniejsze odkrycie, jakie mogły ze sobą dzielić, miałyby znacznie bardziej dramatyczne skutki niż to, do jakiej szkoły chodzi chłopak Savannah. Gdyby tak mogła jej powiedzieć: cokolwiek cię dręczy, to tyle co nic w porównaniu z moimi tajemnicami, więc może po prostu mi powiedz?

Savannah zatrzasnęła drzwiczki samochodu.

– No i po co to wszystko? Naprawdę nie musisz sprawdzać, czy brałam narkotyki, mam, słowo daję.

Może Savannah miała coś do ukrycia, ale Meg wiedziała także, że po prostu nie cierpi igieł. Gdy miała dziewięć lat i skaleczyła sobie kolano, jeżdżąc na desce ze swoim kolegą Jonathanem, dwie pielęgniarki z pogotowia musiały pomagać Meg, żeby lekarz mógł

wstrzyknąć jej środek znieczulający, bo trzeba było szyć. W zeszłym roku, kiedy miała szczepienie przeciwko tężcowi, wyszła z gabinetu zabiegowego we łzach.

– Zwykła morfologia. Poziom hemoglobiny, liczba ciałek krwi, funkcjonowanie niektórych gruczołów. Po prostu nie patrz na igłę i zanim się spostrzeżesz, będzie po wszystkim.

– Nazywa się Kyle – powiedziała Savannah, otwierając drzwi.

– Poczekaj. – Meg złapała ją za rąbek bluzki. – A o coście się pokłócili? Savannah się zawahała.

– O głupstwa. Lepiej chodźmy, żeby mieć to z głowy, dobrze? Puściła ją. Patrzyła jednak na córkę, gdy wchodziła. Jej zachowanie nie zmieniło się od piątku, mimo przeprosin, które podsłuchiwała Meg. Tak, może chodziło o lęk przed ukłuciem, a może o coś więcej.

„Głupstwa”, o które jakoby pokłóciła się Savannah z tym Kyle’em, nadal jej ciążyły.

Zapisały się i niemal natychmiast poproszono Savannah do gabinetu.

„Meg zatrzymała się na chwilę, żeby zostawić do analizy materiał Briana, po czym dołączyła do córki.

Usiadła naprzeciwko niej i patrzyła, jak ciemny płyn wypełnia pierwszą z trzech probówek. Dwie były do badań, o których powiedziała Savannah, trzecia do znacznie bardziej ważkiego celu. Meg wyobraziła sobie, że widzi, jak w naczyniu roi się od skreconych podwójnych łańcuchów DNA, gotowych ujawnić, że ostatnie godziny, jakie spędziła z Carsonem, zaowocowały tą oto wspaniałą istotą, która przed nią siedziała. Cóż, przed sobą mogła się przyznać: chciała, żeby Savannah była dzieckiem Carsona.

To egoistyczne pragnienie nie liczyło się z uczuciami Savannah, nie brało pod uwagę zmieszania, gniewu, zranienia, poczucia straty, które bez wątpienia przeżywałaby jej córka, gdyby poznała taką prawdę. Carson był jej idolem, ale w ogóle nie знаła go jako człowieka, a tym bardziej jako czyjegokolwiek ojca. Brian, na dobre czy na złe, był jej prawdziwym ojcem. Żaden test DNA nie wymaże szesnastu lat zamieszkiwania pod jednym dachem.

Tak, pragnienie Meg było egoistyczne, ale wywodziło się z uczucia, jakie wciąż miała dla Carsona. Z miłości, którą – być może – będzie mogła ujawnić przed Savannah, podzielić się nią w jakiś sposób.

A jednak... istniało ryzyko, że może zranić córkę. Bała się tego. No dobrze... Jeśli się okaże, że Carson jest ojcem, nie będzie musiała nikomu tego mówić – ani Savannah, ani Carsonowi, ani Brianowi.

A może, tak jak Savannah, która siedziała teraz z zaciśniętymi powiekami, boi się stanąć twarzą w twarz z czymś, co wcale nie jest straszne? Dziewczyna mogłaby równie dobrze skorzystać na tym, że zna prawdę.

Zabawne, pomyślała. Patrzy bez lęku w otchłań śmierci, a drży na myśl, że mogłaby zrobić krzywdę córce... Patrzyła na Savannah i starała się przekonać siebie samą, że decyzja, jaką koniec końców podjęła, będzie dla niej pożyteczna.

Laborantka odłożyła trzecią probówkę i przycisnęła kwadracik gazy do ramienia Savannah.

– Gotowe – powiedziała. – Możesz otworzyć oczy.

49

CARSON SIEDZIAŁ W SAMOCHODZIE, zaparkowanym za kwitnącym żywopłotem gardenii, i czekał, aż Meg i Savannah wyjdą z laboratorium. Czuł się jak prześladowca. Liczył na ich obecność tutaj, a

poprzednio w klinice; sądził, że Meg jakoś się leczy. Pewnie powiedziała rodzinie o chorobie, a oni ją przekonali, żeby wypróbowała, co się da. Oczywiście dopóki leczenie nie jest gorsze od samej choroby – nie mógł znieść myśli, że Meg miałyby cierpieć.

Od dnia przybycia wciąż za nią jeździł, tak jakby fakt, że znał jej trasę, miał mu pomóc w podjęciu decyzji, w jaki sposób – i czy w ogóle – do niej podejść. Od sobotniej rozmowy z Val przelatywał jak cyrkowiec na trapezie z jednej skrajnej emocji w drugą. Val była zraniona, ale gotowa trwać przy nim, dopóki nie załatwi swojej sprawy z Meg – tak on to nazwał, „moja sprawa z Meg”. Czuł się zobowiązany do tego, by szanować swój związek z Val – nie widział żadnego rozsądnego powodu, by tego nie robić. I już po chwili leciał w stronę przeciwną: ku temu, co nazywał w myśli swoją ciemną stroną. Ku miejscu, gdzie wciąż należał do Meg i był przekonany, że tak będzie zawsze.

Honor nakazywał mu ożenić się z Val, a zarazem honor zabraniał mu to zrobić.

I w rezultacie jeździł po Ocala w wynajętym aucie, zbyt małym i słabym jak na jego gust, niezdolny do tego, żeby zamienić tego przeklętego grata na coś lepszego. Wciąż myślał, że trzeba by zobaczyć się z Meg, a potem oddać samochód, wrócić do Seattle i zabrać się do kończenia pakowania. Mimo to była już środa po południu, a on wciąż nie był bliższy jakiegokolwiek decyzji niż w piątek wieczorem, kiedy tu przyjechał.

Wczoraj nie szukała go wzrokiem, po prostu... patrzyła. Tak jak on patrzył w tej chwili, jak wychodzi z córką z szarego betonowego bloku laboratorium i idzie, kulejąc, z ręką na temblaku, do samochodu, który wyglądał na luksusową terenówkę, prosto z fabrycznej taśmy.

Długą drogę przeszła od czasów, gdy jeździła do spółki z całą rodziną starym fordem rodziców... A teraz miała przed sobą koniec drogi. Każdego czeka ten los – bez względu na to, jakie auto ma w garażu – ale ludzie starają się o tym nie myśleć. To inni umierają, nie my.

Wszyscy przecież tak uważamy, prawda?

Pod wpływem impulsu wysiadł z samochodu i pomachał ręką.

– Meg! – zawołał głośno, by go usłyszały mimo dzielącej ich odległości.

Odwróciły się z Savannah jednocześnie i go zobaczyły. Zamachał jeszcze raz i podbiegł.

– Cześć! Tak myślałem, że to wy – powiedział.

Savannah wyglądała na znacznie bardziej zaskoczoną niż Meg.

– Coś takiego! Czy pana też jakiś okropny lekarz zmusił do badania krwi? – Odchyliła ramię i zobaczyła płatek gazy w zgięciu łokcia. Miał wrażenie, że uszło z niego powietrze: a więc to nie Meg robi badania.

– Nie, ja... po prostu musiałem przystanąć, bo... – Nie mógł znaleźć stosownego pretekstu. – Zrobiłem kółko i wróciłem w to samo miejsce... Dawno nie byłem w tej części miasta i trochę się pogubiłem. Właśnie miałem zamiar wejść tam – wskazał niewielką stację benzynową w odległej części parkingu – i poprosić o pomoc. – Brzmiało to dość wiarygodnie, ale spojrzenie Meg mówiło jasno, że nie kupiła tej bajki.

Savannah jednak uwierzyła.

– A dokąd pan jedzie? – spytała. – Całkiem nieźle znam okolicę... teraz, kiedy sama trochę prowadzę. Nie jest całkiem legalnie, bo prawo jazdy dostanę dopiero w sobotę.

– W poniedziałek – poprawiła Meg – kiedy otworzą ośrodek egzaminacyjny. Ale Carson nie musi o tym wszystkim słuchać. – „wyglądała na rozbawioną. To dobrze, że nie opuściło jej poczucie humoru. – Savannah po prostu ulżyło, że jakoś przeżyła to pobieranie krwi.

– Jasne – skinął głową, patrząc na Savannah. Była taka ładna, taka podobna do matki. – Lekarze są okropni. Masz szczęście, że jeszcze żyjesz.

Dopiero gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, jak zabrzmiały.

– Pewnie, że ma szczęście – powiedziała szybko Meg. – Zwyczajnie każemy laborantom wyssać krew do ostatniej kropelki.

Roześmieli się i wyglądało na to, że nikt nie wie, co powiedzieć dalej. Szukali po omacku jakiegoś tematu; tropem mogła być uwaga Savannah na temat prawa jazdy.

– A zatem w sobotę kończysz szesnaście lat?

– Tak... urządzamy przyjęcie... – Coś w jej tonie sugerowało, że niespecjalnie na nie czeka, a on pomyślał: ciekawe, dlaczego. – Gdyby pan miał ochotę, może pan przyjść...

jestem pewna, że rodzice się ucieszą.

Teraz powinien podziękować i zniknąć. Wiedział o tym, a mimo to rozpaczliwie pragnął, aby było inaczej. Chciał włączyć się w życie Meg, spędzić parę godzin w jej towarzystwie, być tam, gdzie ona. Ale nawet gdyby to było możliwe, Brian Hamilton na pewno nie będzie zachwycony jego widokiem. Już sobie wyobrażał, jak go przedstawia: „Hej, Preston...

pozwól, że ci przedstawię dawnego absztyfikanta Meg, faceta, który w styczniu był w ukrytej kamerze na MTY w *Punk'd*... „, Rzecz jasna,

Hamilton nie miał czasu, żeby oglądać *Punk'd*, kiedy byli nastolatkami. Musiał czytać „Wall Street Journal”. Mógł się dowiedzieć o tym programie tylko z przypadkowego klikania pilotem, podczas reklam na kanale golfowym.

Bardziej jednak niż różnice kulturowe i towarzyskie, które dzieliły jego i Hamiltona, przeszkadzałyby mu wiedza, że Meg była kiedyś jego i że Brian praktycznie wymusił na niej zaręczyny. Mężczyźni nie zapominają takich rzeczy. Do głowy by mu normalnie nie przyszło, by z własnej woli znaleźć się w jednym miejscu z Hamiltonem – zbyt duża byłaby pokusa, żeby mu dołożyć. Ale normalnie Meg nie byłaby śmiertelnie chora.

– Wiesz co – powiedział – naprawdę bardzo sobie cenię twoje zaproszenie, ale nie mogę z niego skorzystać. Mam inne zobowiązania.
– No to trudno – westchnęła Savannah, wyraźnie rozczarowana.
– Carson bierze w sobotę ślub – przypomniała Meg.
– Żeni się pan w dniu moich urodzin? To super!
– Mam nadzieję, że będziesz pamiętała o rocznicy i wyślesz mi życzenia – zażartował, choć nie było mu do śmiechu.

– Jasne, nie ma sprawy. – Savannah wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Meg się zastanawiała. Zaczynało mu powoli świtać, co planuje.
– Być może będziemy mogli się jeszcze z tobą zobaczyć, zanim wyjedziesz.

Zaproszenie. Raczej je wyczuł, niż usłyszał.

– Oczywiście. – Skinął głową. – Wyjeżdżam dopiero w piątek. – To niecałe czterdzieści osiem godzin, licząc od tej chwili, ale z radością odda je Meg. Czy Val będzie zła o niełojalność... jeśli w ogóle do niej dojdzie? Nie musi jej o niczym mówić. Zostawiła mu, jak widać, spory zakres swobody. Ale nie oszuka jej. Meg ma córkę, którą musi się zajmować, ma na głowie organizację przyjęcia... Da mu w najlepszym razie platoniczną godzinę czy dwie, to wszystko.

A on je przyjmie.

– No dobrze, to jedziemy. Musimy znaleźć urodzinową kreację – powiedziała Meg. – Zaraz... Savannah, wyjmij mi notes z torebki.

Savannah podała jej notes, a Meg wzięła go i zaczęła w nim kreślić, posługując się ręką na temblaku.

– Proszę, to mapka dojazdu do głównej drogi. – Wyrwała kartkę i mu podała.

Zamiast nazwy ulicy, która była mu doskonale znana, a ona wiedziała o

tym, widniał

numer telefonu i godzina: dziesiąta wieczorem. Podniósł na nią wzrok.

– Wielkie dzięki, uratowałaś mnie. – Wyraz jej oczu: ulga, taka sama, jaką zapewne miał

w oczach on, sprawił, że ugięły się pod nim kolana. Z trudem przełknął ślinę. Świadomy, że patrzy na nich Savannah, dodał: – Wiecie, jacy są faceci, jeśli chodzi o kierunki. Krążyłbym w kółko do wieczora.

Pożegnali się. Wsiadł do swojego wypożyczonego auta, wstukał numer w komórkę i zaczął liczyć minuty, dzielące go od chwili, kiedy będzie mógł z niego skorzystać.

50

TELEFON MEG ZADZWONIŁ MINUTĘ PRZED DZIESIĄTĄ. Była sama w pokoju. Cienie słały się po wywoskowanym parkiecie, a ona trzymała w ręce artykuł Jafe *i dlaczego żyć z ALS*.

Czytała go już wcześniej, i to nie raz. Jedyną rozsądną rzeczą, jaką tam znalazła, było to, co sama poradziłyby kilku swoim mniej szczęśliwym pacjentkom, które stanęły twarzą w twarz z diagnozą nieuleczalnej choroby: upewnij się, że wiesz, co robisz, obojętne jaką decyzję podejmiesz – powiedzieć do widzenia czy zostać.

Wzięła do ręki telefon i z radością zobaczyła za ekraniku imię Carsona.

– Carson, tak się cieszę, że dzwonisz. Przepraszam cię za te sztuczki.

– Nie, ja... tak, oczywiście.

– Pewnie pomyślałeś, że oszalałam.

– Nie bardziej niż facet, który rzekomo zgubił się w mieście, w którym się wychował i które regularnie odwiedza.

A więc jej podejrzania były słuszne: to, że pojawił się przed laboratorium, nie było zbiegiem okoliczności. Nie była jednak na tyle szalona, by wyobrażać sobie, że kierowały nim inne motywy niż troska o dawną przyjaciółkę. Miejmy nadzieję, że nie zwyczajna litość.

– Gdzie teraz jesteś? – spytała.

– W domu. U moich staruszków. Zwykle mieszkam u nich, ale tym razem uzgodniłem, że zatrzymam się na tydzień w szopie – powiedział miękko. – A ty jesteś w domu?

– W pokoju telewizyjnym.

Wyobraziła go sobie w szopie, w otoczeniu przedmiotów, które były świadkiem ich młodzińskich marzeń: niebieskie szafki, wzorki, które namalowała przez matrycę nad każdym parterowym oknem, kolorowy

dywanik z gałganków, utkany przez Beth i Juliannę pod okiem Kary wszystkie chciały mieć wkład w romantyczną przyszłość starszej siostry.

Gdyby znowu mogła się znaleźć w tej niewinnej przeszłości...

– Możesz rozmawiać? – spytał.

– Tak, jestem sama. – Brian pojechał na noc do Jacksonville i miał wrócić dopiero jutro wieczorem. – Zastanawiałam się, czy chciałbyś... czy nie miałbyś ochoty wpaść.

– Żeby odnowić znajomość z tobą i Brianem? – roześmiał się niewesoło.

– Nie, oczywiście że nie. Brian wyjechał, a Savannah nawet się nie dowiedzie, że jesteś. O tej porze nigdy nie wychodzi ze swojego pokoju. Ale jeśli nie masz ochoty...

– Już jadę. Przyda mi się twoja mapka.

Czekając na przyjazd Carsona, Meg raz jeszcze rzuciła okiem na artykuł. Trzeba przyznać autorowi, że nie lukrował rzeczywistości ALS i nie używał religijnych argumentów przeciwko samobójstwu. W części „dlaczego” wymienił „ważne wydarzenia rodzinne” i „szansę postępu w badaniach nad leczeniem choroby”. Nie padły słowa: „już niedługo zostanie wynaleziony skuteczny lek”. Nawet najbardziej optymistyczny lekarz nie mógłby powiedzieć czegoś takiego. Tekst przypominał pacjentowi o rzeczach, które ewentualnie chciałby przeżyć, czekając na koniec, czy chociaż być ich świadkiem. „Pamiętaj, że masz prawo do zrealizowania wszelkich pragnień czy ambicji, jakie znajdują się w zakresie Twoich możliwości” – to zdanie było myślą zasadniczą artykułu.

I to właśnie zrobiła, zapraszając Carsona do siebie. Jak to dobrze, że on też chciał się z nią zobaczyć, a przede wszystkim, że nie chował w sercu nienawiści. Dobrze, że nie zapytał, czego oczekuje po tym spotkaniu, bo nie potrafiłaby odpowiedzieć. Ścieżkę, jaką miała przed sobą, spowijała mgła, a jedynym przewodnikiem był instynkt.

Podeszła na wszelki wypadek do drzwi Savannah. Były zamknięte; dziewczyna śpiewała cicho, akompaniując sobie na gitarze. Na urodziny Meg miała jej podarować kolekcję płyt Joni Mitchell. Samochód to wspaniały prezent, trudno zaprzeczyć, ale niezbyt osobisty. Brian nie pozwolił nawet Savannah wybrać koloru: uparł się, że kupią biały, ze względu na maksymalną widoczność. Zależało mu, żeby była możliwie najbardziej bezpieczna na drodze, i trudno go było o to winić, szkoda tylko, że znacznie mniej uwagi poświęcał innym ważnym sprawom córki. Kiedy ostatni raz był na meczu? Kiedy słuchał, jak śpiewa? Jeśli tak, to wyłącznie przypadkiem.

A swoją drogą... kiedy ona jej słuchała?

Dzięki Bogu, że Beth niedługo wraca do Ocala. Przez te dwa lata, a miejmy nadzieję, że nawet dłużej, zaopiekuje się Savannah. Beth jest znacznie mniej zajęta niż Meg. Dziewczyna potrzebuje wsparcia i pomocy znacznie dłużej, niż jej się wydaje, wiedziała to po sobie.

Przeszła do holu, skąd przy wyłączonym świetle widać było drogę. Wkrótce ukazały się światła reflektorów; powoli nadjeżdżał samochód. Wyszła na zewnątrz i poczuła, że brakuje jej tchu; teraz, kiedy Carson już tu był, nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć.

Zaproszenie było impulsem, a teraz nie miała pojęcia, jak sobie z nim poradzić.

Za późno jednak, aby zawrócić. Spojrzała po sobie, nagle zażenowana. Była ubrana w spodnie nad kostkę z jedwabnej dzianiny w kolorze czerwono-brunatnym – zachód słońca w kanionie, tak się nazywał ten odcień – i białą jedwabną bluzkę, ręcznie haftowaną; strój, o którym kiedyś powiedziałyby: „ciuchy bogatej suki”. Zdjęła przynajmniej buty; bosy czuła się bliższa tamtej młodej kobiecie, którą niegdyś była – i pewnie jej się chodziło bez butów, nawet jeśli to były sandały na całkiem płaskiej podeszwie.

Trudno ukryć temblak, który teraz już ciągle nosiła. Choć Carson widział go wcześniej, zdjęła temblak i upuściła koło krzaka kamelii.

Carson otworzył drzwiczki i wysiadł. Widziała, jak patrzy na fachowo oświetlony kamienny fronton, na miedziane rynny, kryty dachówką dach, podjazd z ułożonej we wzór kostki... Kiedy spojrzał na nią, spodziewała się, że powie coś o tym, jak wysoko zaszła, jak dobrze urządziła się w życiu. Miała na to gotową odpowiedź, że jemu żyje się równie dobrze albo nawet lepiej – on jednak nie powiedział nic, tylko podszedł, położył jej ręce na ramionach, a potem ją objął i przygarnął.

Zamknęła oczy i przywarła policzkiem do jego ramienia, silnego i ciepłego pod koszulą.

Jego zapach, dotyk, szczupła talia, gdzie spoczywały jej dłonie, były dla zmysłów jak powrót do domu. Objął ją ciaśniej i zanurzył twarz w jej włosach, mruczając coś cicho, kojąco. To, że nie słyszała słów poprzez bicie jego serca, nie miało żadnego znaczenia.

Powoli zwolnił uścisk i puścił ją.

– No, teraz lepiej – powiedział.

– Zdecydowanie. – Głos miała ochrypy; odchrząknęła. – Wejdz do

środka. Dostaniesz coś do picia.

Weszli do pokoju i usiedli z kieliszkami amaretto w ręce na przeciwległych końcach aksamitnej sofy. Kieliszki miały im pomóc przeciwyczyć niezręczność. Żadne z nich nigdy nie planowało czegoś takiego: że któregoś dnia będą siedzieć w pokoju takim jak ten, z oknami przyozdobionymi poczwórną draperią, na kanapie pokrytej miękkim aksamitem, z obciążonymi adamaszkiem podłokietnikami. W pokoju, gdzie będzie stało sześć drogich likierów w antycznych kryształowych karafkach. Należeli do innego wnętrza, gdzie w oknach wisiały kretonowe zasłony, a wokół stały używane sprzęty – przy czym słowo „używany” nie oznaczało w tym wypadku antyku. Do wnętrza z prostą sosnową podłogą z desek, gdzie podwórkowe koty ocierały się im o nogi, a przez metalowe siatki w oknach napływała woń kwiatu pomarańczy. Gdzie stały niebieskie szafki i leżały dywaniki z gałganków. Pokój, w jakim się teraz znajdowali, zdawał się pochodzić z życia innej osoby; czuła się w nim zdezorientowana, tak jakby około roku osiemdziesiątego siódmego skręciła w niewłaściwym kierunku i aż do tej chwili jechała, nie zauważając znaków ostrzegawczych.

– To karafki babci Briana – powiedziała, żeby zacząć rozmowę. Uniosła w lewej ręce kryształowy kieliszek. – I kieliszki też. Próbowalam je dać mojej mamie, ale nie chciała. „Za wymyślne do naszego domu”, powiedziała. Dla mnie też są za wymyślne, ale jak można nie używać czegoś, co jest takie ładne? Mam zamiar dać je w prezencie Beth, kiedy przyjedzie.

– Z wizytą?

– Przeprowadza się na stałe. Zęby pomóc tacie... i mnie, chociaż mam nadzieję, że nie będę potrzebowała wiele pomocy.

Carson spojrział w bok i wziął do ręki kieliszek z trunkiem.

– Niezły – powiedział.

Pozwoliła mu na ten unik. Na razie.

– Kupiłam ten rum na St. Bart, ale myślę, że na St. Martin też go znajdziesz. Rum na Karaibach to rzecz równie pospolita jak woda.

– Dokładnie tak – potwierdził. – Ja też miałem w tym swój udział, kiedy byliśmy tam ostatnio... choć od jakiegoś czasu staram się utrzymać na rozsądnym poziomie.

Przypomniała sobie artykuł w gazecie na temat jego sposobu życia i próby matki, by o tym porozmawiać.

– Cieszę się, że to słyszę.

Było nieco lepiej, mniej niezręcznie. Carson też sprawiał wrażenie, jakby

się trochę odprężył, choć pocierał brodę tym samym gestem, co u krawca. Mimo wszystko dobrze wiedzieć, że nie straciła go do końca i że nawet w tym surrealistycznym miejscu ma do niego dostęp... przynajmniej na chwilę.

– Cieszę się, że Beth wraca – powiedział. – Nie bardzo wiem, jak cię o to spytać, ale...

poczytałem o tym ALS, po twoim telefonie w zeszłym tygodniu, i wiem, że niektórzy ludzie żyją całkiem nieźle przez dłuższy czas.

– Niektórzy tak. – To świetnie, że sam porusza ten temat, a nie udaje, że nie widać go niczym słonia w pokoju. – Chociaż definicja tego, co to znaczy „nieźle”, jest raczej subiektywna.

– Ty na przykład jesteś w niezłej formie – zauważył ostrożnie.

– Jakoś funkcjonuję. Ale prawa ręka jest coraz gorsza. Lewa też słabnie, choć na razie działa. Mogę się sama ubrać, prowadzić, jeść... i pić. – Upiła łyk. – Robię co mogę, żeby napisać dziennik dla Savannah. Mój ojciec dał mi trochę zeszytów, w których mama robiła różne notatki, i nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczą. – Nie powie mu, że ostatnio zauważyła, iż zaczyna się pogarszać także mowa: na razie leciutko, po prostu czasem mniej wyraźnie wypowiadała jakieś słowo albo opuszczała dźwięk, ale był to wystarczający wskaźnik, że choroba przyspiesza. Mogła się przyzwyczaić do tej myśli, mogła nawet na parę błogosławionych chwil o niej zapomnieć, ale teraz już była pewna, że nie należy do tych pacjentów, którzy mieli „szczęście”.

– Boże, Meg. Jakie to okropne... – Głos mu się załamał. – To po prostu... nie wydaje mi się realne. Ani uczciwe. To nie jest fair.

Westchnęła.

– A kto nam zagwarantował, że będzie fair? Cieszę się, że miałam w życiu córkę. – A może mieliśmy, pomyślała. – I pracę. I... i farmę, i cytrusowe gaje, i jeziora... I ciebie – dodała cicho. – Gdybym mogła zdecydować jeszcze raz, postąpiłabym inaczej... ale nie mogę.

Więc...

– Więc się cieszę, że pozwoliłaś mi spędzić ze sobą troszkę czasu. Mam nadzieję... to znaczy, bardzo by mi pomogło, gdybym mógł cię nadal widywać od czasu do czasu. Jeśli chcesz, oczywiście.

Nie odpowiedziała od razu. Carson ma chyba na myśli sytuację, w której ona przez dłuższy czas będzie tylko lekko upośledzona fizycznie, a on – z Val? – przyjedzie do niej w odwiedziny. Jak mu odmówić, skoro patrzy z taką nadzieją? Chciała się z nim widywać, ale musi zrozumieć, co ona czuje.

– Carson – powiedziała – sprawa wygląda następująco. Nie należę do

osób, które byłyby gotowe znieść wszystko, co im szykuje ALS, tylko po to, aby żyć do ostatniego możliwego tchnienia. Nie chcę być więźniem zamkniętym we własnym bezwładnym ciele. Moja wrażliwość nerwowa nie zniknie, nie znikną przytomne myśli. Będę wszystko widzieć, słyszeć i czuć, ale nie będę mogła zareagować. Ja tak nie chcę, Car. Nie mogę... istnieć w taki sposób.

– Nie... rozumiem cię... – Przyłożył na moment rękę do ust. – Ale musi być jakiś sposób leczenia. Powinnaś spróbować...

– Można tylko chwilowo złagodzić objawy, poza tym nie ma nic, co dałoby znaczący efekt. W każdym razie nie w przypadkach najcięższych, takich jak mój.

– A eksperymentalne metody leczenia? Może w innych krajach... ? Pokręciła głową.

– Trudno w to uwierzyć, prawda? Przy takim postępie medycyny liczymy, że będziemy mieli przynajmniej szansę walki. Istnieje jednak wiele obszarów, gdzie lekarze są bezradni...

znacznie więcej niż przypuszczasz.

– Ależ to jest... – Westchnął ciężko. – Jezu. Co masz zamiar zrobić? Wzruszyła ramionami i obróciła kieliszkiem, tak by złapał promień światła. Skierowała go na kolana – skrawek tęczy na rdzawej tkaninie spodni.

– Jeszcze nie wiem. Ale przecież jestem lekarką... mogę załatwić sobie wszystko, co zechcę, jeśli zdecyduję się na tę drogę.

– A inne... ?

– Możliwości? Metody? Na pewno nic gwałtownego. Żadnej broni palnej, żadnych żyłek... Nie przepadam za krwią.

Roześmiał się, mimo powagi chwili.

– Ja na przykład nie przepadam za lataniem... a mimo to połowę życia spędzam w samolocie. Pewnie dlatego nie przepadam.

– Ale dzięki temu widziałeś kawał świata, prawda? Ja jestem zadowolona z jednego: z tego, że podróżowałam. Nie tylko dla przyjemności, ale widziałam Europę, Meksyk, Kanadę... Park narodowy Banff jest niesamowity. Byłeś tam?

– Nie. Zawsze chciałem... bo to niedaleko od Seattle, w porównaniu z Florydą, prawda?

Ale zawsze musiałem jechać gdzie indziej. – Opróżnił kieliszek i wstał, żeby go ponownie napełnić. – Dolać ci?

– Nie, dziękuję. – Po kolejnym kieliszku mogła mieć kłopoty z mową, a

poza tym nie chciała czuć się senna, dopóki on tu jest. To taka przyjemność: dzielić z nim przestrzeń, rozpoznawać na nowo jego sposób poruszania się, głęboki tembr głosu, bardziej wyrafinowany po latach scenicznych występów. Nie chciała, by cokolwiek zmałało tę przyjemność, chciała przeżyć w pełni każde wrażenie.

Carson patrzył na swoje ręce, skubał stwardniałą skórę na palcu. Była pewna, że myśli o tym, jak zadać następne oczywiste – ale trudne – pytanie. Czekala, pozwalając, by zyskał tyle czasu, ile potrzebował, choć wiedziała, że odpowiedź go nie zadowoli.

– Kiedy? – spytał w końcu. – I skąd będziesz wiedziała, że jesteś... gotowa?

– Nie umiem powiedzieć na pewno. Przypuszczam, że wtedy, gdy pocuję, że zrobiłam wszystko to, co powinno być zrobione. Na razie nie powiedziałam nawet Savannah całej prawdy. Myśli, że mam po prostu uraz nerwu... tak jej wytłumaczyłam moje problemy z ręką.

Nie mogę obciążyć jej tym przed urodzinami.

– Boże, Meg. Nie wiem, jak potrafisz to wszystko ogarnąć. Ja bym się rozsypał.

– Przyzwyczajenie – powiedziała.

Jeszcze parę tygodni temu wszystko, co robiła, całe jej życie, nawet to, co myślała, było w ogromnym stopniu określone przez przyzwyczajenie. Łatwiej było pozwolić, by miejsce świadomego życia zajęła rutyna – lękała się tego, co mogłoby się stać, gdyby przyjrzała się sobie zbyt uważnie. Ale nie można iść za daleko w tym unikaniu konfrontacji z błędami przeszłości. Chciała wyrąbać sobie ścieżkę przez gąszcz, a nie spostrzegła, że ta ścieżka prowadzi donikąd.

Choć dziwnie to brzmiało, zaczynała odczuwać swoją chorobę jako przepustkę do wyjścia z koleiny i robienia tego, na co ma ochotę. Widziała teraz, że do tego właśnie próbował zachęcić ją ojciec, tego oczekiwały po niej siostry, gdy zapytały, co zamierza jeszcze w życiu zrobić. Wszystkie oczekiwały, że skoncentruje się na sobie, skoro koniec jest tak blisko, i uważały, że odrobina egoizmu będzie usprawiedliwiona i słuszna.

Dawniej nazwałaby taką postawę nieodpowiedzialną. Dziś rozumiała.

– Masz chyba oparcie w Brianie – powiedział Carson tonem, który sugerował coś wręcz przeciwnego.

– Jest pogubiony. W jego planie gry nie mieści się choroba. Ale wiesz... nie mogę go sądzić zbyt surowo. Zawsze miał szczęście. Jego strategie

zawsze okazywały się skuteczne, ale tym razem strategia, która prowadziłyby do zwycięstwa, nie istnieje.

– Trudno, żebym mu współczuł. Zastawił na ciebie pułapkę, Meg... wtedy, w przeszłości.

Skinęła głową.

– Chciał mieć jakąś przewagę nad tobą. Inaczej bym go przecież nie wybrała... Nie usprawiedliwiam go ani mnie to nie cieszy, ale go rozumiem: użył takich narzędzi, jakie były dostępne.

– Szkoda, że ich nie użył wobec kogoś innego. Długą chwilę siedzieli w milczeniu.

– Afryka – rzucił nagle Carson. – Byłaś kiedyś w Afryce?

– Nie – odparła, uśmiechając się na wspomnienie tego, jak kołysał się na huśtawce z opony – ale pamiętam twoją obietnicę... której nie pozwoliłam ci dotrzymać. Byłeś w Tajlandii?

– Kilka lat temu. Moja ostatnia trasa dookoła świata obejmowała też Bangkok.

– Tak, wspomniałeś o tym na koncercie w Orlando. Skinął głową.

– Ale to nie to... Nie było tak, jak chciałem.

– Nie smakowały ci krewetki z trawą cytrynową?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Ciebie tam nie było. Pamiętał, tak samo jak ona.

– Tak mi przykro, Car – szepnęła.

Chwila przedłużała się i trwała, ponadczasowa chwila wybaczenia. A potem Carson wstał

i sięgnął do kieszeni džinsów.

– Przyniosłem ci coś.

W ręce miał jej złoty łańcuszek.

– Boże – szepnęła. Zachował go...

Usiadł tuż obok i zapiął jej łańcuszek na karku, a potem wygładził wzdłuż obojczyków, tak jak za pierwszym razem.

– No – powiedział. – Teraz jest jak trzeba.

Meg otarła oczy ręką bluzki, nie dbając o to, że na jedwabnej tkaninie zostają smugi tuszu. Jakiś szmer w holu sprawił, że podniosła wzrok. Do pokoju weszła Savannah w długiej luźnej koszulce.

– Hej, mam... – zaczęła i zatrzymała się jak wryta na widok Carsona.

– Savannah! Kochanie! Przepraszam, powinnam ci powiedzieć, że Carson ma wpaść...

Carson odsunął się, a Savannah obciągnęła podkoszulek, żeby przykryć uda.

– Dobry wieczór. Hmm... mamó, chciałam tylko zapytać, czy Rachel może u mnie zostać po imprezie. Jej mama powiedziała, że może.

– Jasne, dlaczego nie?

Savannah nadal nie spuszczała z nich wzroku.

– Czyli że... co wy właściwie robicie?

– No wiesz, Carson musiał...

– Znalazłem coś, co należy do twojej mamy, i pomyślałem, że jej oddam, zanim znowu zostanie zgubione. – Wstał, jakby chciał udowodnić, że nie dzieje się nic niestosownego.

– O, to naprawdę miło z pana strony. A co zgubiłaś? – zwróciła się do matki.

– To. – Meg dotknęła łańcuszka na szyi.

– Znalazłem go dawno temu, ale minęło trochę czasu, zanim mogłem go zwrócić. Ładnie jej w nim, prawda?

– No. Mama nigdy nic nie nosi na szyi... Czasem jest beznadziejna. Meg, zaskoczona tym, że Savannah w ogóle zwraca uwagę na to, co ona nosi, wzruszyła tylko ramionami, ale Carson się uśmiechnął. Wiedziała, że zrozumiał to, co umknęło Savannah: jej szyja i dekolt nieprzypadkowo były zawsze bez ozdób.

– Robi się późno. Powinnaś wracać do łóżka – powiedziała, a Savannah zmarszczyła brwi, niezadowolona. – Poza tym jesteś dosyć niewyjściowo ubrana, powiedziałabym.

– Chyba trudno mi z tym dyskutować – mruknęła Savannah. – Dobranoc. – Meg wyszła za nią do holu i poczekała, aż usłyszy odgłos zatraskiwanych drzwi.

Kiedy wróciła do pokoju, Carson z powrotem siedział na brzegu sofy.

– Nie wygląda to dobrze – zauważył.

– Raczej nie... ale specjalnie się nie przejmuję. I tak niedługo będzie musiała poznać moją przeszłość, dowiedzieć się, że przed Brianem miałam jakieś życie i że ty byłeś jego istotnym elementem. – Usiadła obok niego, udo przy udzie. Jak dobrze było robić to, co wydawało się takie słuszne. I naturalne.

Dotknęła jeszcze raz naszyjnika.

– Dziękuję, że go przyniosłeś.

– Meg... Ja... słuchaj, zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś

wcześniej, że nie masz zamiaru czekać, aż... no wiesz... że nie chcesz być...
– Przeganiał ręką włosy, bardziej teraz faliste, bo potargane. – Chciałbym...
Mam zamiar odłożyć ślub. Odwróciła się gwałtownie.

– Nie. Powinieneś trzymać się tego, co ustalone. Nie zamierzam być odpowiedzialna za zmianę waszych planów. To nie tak miało być.

– Nie jesteś za nic odpowiedzialna, Meg. Wyłącznie ja. Nie chodzi tylko o ciebie... Sam miałem trochę wątpliwości od czasu do czasu.

– Ona cię uwielbia.

– Wiem. Ale zasługuje na coś lepszego. Na kogoś, kto odplaci jej uczuciem w stu procentach. A ja próbowałem, ale potrafię najwyżej w siedemdziesięciu pięciu.

– W sobotę masz ślub. Nie możesz teraz wszystkiego odwołać. Już i tak jesteś spóźniony.

– Odłożę ślub. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Nie... do diabła, odwołam go. Nie będę jej trzymał w niepewności.

Mówił pewnym tonem, a na twarzy miał wyraz... ulgi. Ale bała się, że podejmuje tę decyzję pod wpływem chwili i choćby nie wiem jak ją to upajało – a prawdę mówiąc, upajało ją tak, że aż kręciło jej się w głowie – mógł popełnić poważny błąd.

– Carson, ja nie mam żadnej przyszłości, wiesz o tym. Żal ci mnie teraz, ale to minie.

Odejdę, a przed tobą praktycznie całe życie. Nie ryzykuj ... nie ryzykuj własnego szczęścia.

Usiadł z powrotem, złożył dłonie na kolanach i spuścił głowę.

– Nie ma dla mnie szczęścia tam, gdzie nie mogę oddać siebie całego. Rozumiesz, Meg?

– Spojrzał na nią. – To ciebie chcę. Na pięć minut, pięć godzin, pięć dni... nieważne. Wezmę je i będę zadowolony. Pozwól mi, proszę.

Te słowa były nieoczekiwane jak oaza. Spojrzała mu w oczy, takie czułe, znajome – podobne do oczu Savannah – i uśmiechnęła się tak radośnie, że uśmiech przeszedł w śmiech.

– Dobrze – powiedziała.

51

ZDAWAŁO SIĘ, ZE DWIEŚCIE KOLOROWYCH BALONÓW uniesie za chwilę w powietrze namiot, pod którym w sobotę wieczorem dwadzieścioro nastolatków jadło pizzę. Oczywiście pepperoni, ale było też wiele innych rodzajów, z avocado, czosnkiem i sosem pesto na przykład, czy

kukurydzą i liśćmi kolendry. Savannah nawet nie zadawała sobie trudu, żeby poznać ich nazwy. Były też sałatki: kartoflana, jedna z czerwonych ziemniaków, druga z sosem musztardowym, włoska, z pieczarkami, oliwkami, pimento i świeżym serem asiago, z różnych sałat i zielonych liści z dodatkiem truskawek i mandarynek. A ponadto przenośna lodówka pełna lodów o rozmaitych smakach i pięć wielkich galwanizowanych pojemników z wszelakimi dopuszczalnymi dla nastolatków napojami, jakie tylko mogły wymyślić firmy cateringowe. Pośrodku tego wszystkiego królował, niczym przesadnie wystrojona dziewczyna bez partnera, wielki trzypiętrowy tort czekoladowy z koronkowym śnieżnobiałym przybraniem.

Obok namiotu stała lśniąca biała honda, obraz przepychu. Do obu bocznych lusterek miała przywiązane pęki balonów, a na dachu pyszniła się wielka czerwona kokarda. Choć w odczuciu Savannah, stojącej w grupce rozświetlonych koleżanek, kokarda była obciachowa, a co do koloru, to wołałaby żarówiasto-zielony czy coś równie żywego – to nie mogła powiedzieć, że jest niezadowolona. Teraz będzie mogła ustalić własne zasady funkcjonowania, przynajmniej do pewnego stopnia. Caitlin, która przyszła na imprezę z maciupęnkim brązowym pieskiem w torbie na ramieniu, samochód bardzo się podobał.

Powiedziała, że jej mini jest super, ale czuje się w nim trochę jak cyrkowy klaun. Zamierzała go zamienić na bmwX3.

Savannah popatrzyła po gościach, wśród którym przeważali koledzy ojca ze swoimi dziećmi. Chociaż przyjęcie wydano na jej cześć, mimo gór jedzenia, tortu, prezentów i tego, że znajdowała się w centrum uwagi, wołałaby być teraz gdzie indziej. Ciekawe, że nawet Caitlin, która ma wszystko, nie była zadowolona ze swego życia tak, jak powinna. Dlaczego?

Dlaczego dosyć to nie* dosyć? Savannah czuła, że to ją dręczy – nie ze względu na Caitlin, ale na nią samą. Miała równie dobre życie jak każdy inny – przypuszczała, że nawet lepsze niż większość rówieśników – a mimo to stała tu, na własnych szesnastych urodzinach, pośród tłumu gości, nie czując z nimi żadnej łączności. Była na zewnątrz.

Wszystkie te bachory w drogich markowych ciuchach... Mieli właściwie zagwarantowany życiowy sukces, tak samo jak ich rodzice – jeśli tylko starzy nie odwrócą się do nich plecami, tak jak to było z Kyle'em. Wszystko im podano na talerzu. Nigdy nie będą musieli łamać żadnych zasad ani przepisów prawa... podobnie, niestety, jak ona. No cóż, ona przynajmniej starała się pomagać innym – po pierwsze Kyle'owi, a po drugie krowom

morskim – i zamierzała jak najszybciej zorganizować sobie życie po swoim, na własnych warunkach.

Najbliższe dwadzieścia cztery miesiące będą się dłużyć jak nigdy w całym jej dotychczasowym życiu.

Rachel, w piętrowej falbaniastej spódniczce i bluzce z marszczoną bawełny, podała jej szklankę napoju, wrywając z rozmyślań.

– No, jesteś, solenizantko. Dzwonił już?

Savannah od samego rana czekała na telefon od Kyle’a i bała się go zarazem. Wyjaśnili już sobie co prawda to, że w pewnym sensie zmusił ją w zeszły piątek, żeby została dłużej, ale nadal czuła się z tym wszystkim dziwnie. Pozowała mu do zdjęć nago, robiła nie wiadomo co – bo była zanadto zażenowana i wystraszona, żeby zaprotestować. Przez trzy dni nie dzwonił ani nie rozmawiał z nią na czacie, a ona, prawdę mówiąc, niespecjalnie na to czekała.

W tej chwili cała sprawa nie wydawała jej się już taka jasna. Dragi, seks – to nie to, czego pragnęła, w każdym razie nie w taki sposób... nie wiedziała jednak, jak się sprzeciwić, nie obrażając go jednocześnie. No bo tęskniła za nim, nie mogła się doczekać, kiedy go wreszcie znowu zobaczy. To, że dotąd nie zadzwonił, bolało.

– Nie – odpowiedziała. – Ale wiesz, komórkę ma wyłączoną, i...

– Jonathan pytał mnie o ciebie... no wiesz, czy spotykasz się z kimś teraz. Powiedziałam, żeby sam cię o to spytał.

Savannah spojrzała w kierunku, gdzie stał Jonathan w grupie innych chłopaków. Wszyscy razem stanowili rodzaj wstydlivej całości, nie wiedząc, jak podejść i zagadać do dziewczyn, choć niektórzy znali od zawsze.

Zauważyła, że Jonathan zaczął wyglądać bardzo dojrzałe – był

wysoki i znacznie bardziej umięśniony niż kilka miesięcy temu. Podobały jej się jego włosy – piaskowe, proste, tylko przy twarzy odrobinę się kręciły.

Naprawdę miał ochotę się z nią spotykać? To znaczy... chodzić z nią?

Trochę spodobał jej się ten pomysł – i natychmiast poczuła się winna.

Przecież kocha Kyle’a. To, co się zdarzyło, nie jest tylko jego winą. Byli narąbani. Sama się na to zgodziła.

– Jonathan jest naprawdę słodki – powiedziała Miriam, stając obok niej. – Spójrz, pasujecie do siebie.

Savannah się zaśmiała. Rzeczywiście, oboje mieli na sobie zieloną górę i dół w kolorze khaki: on szorty, a ona spódniczkę.

– Przeznaczenie – zauważyła Lidia Patel. – Moja mama powiedziałaby,

że to znak.

– Savannah już ma chłopaka – oznajmiła Rachel.

– Którego nikt dotąd nie widział – przypomniała Miriam. Lidia skinęła głową.

– No właśnie. Co jest grane, Savannah? Dlaczego go tu nie ma?

Nie mogła im powiedzieć – ani ile ma lat, ani, rzecz jasna, jak... nieodpowiednio wypadłby w oczach jej ojca, ani też, jak nietypowo się ostatnio zachowywała, a Kyle ją do tego zachęcał. Co on sobie o niej myśli? Czy też się czuje dziwnie? Czy jak ona wyrzuca sobie własne zachowanie?

– Pracuje do wieczora – wyjaśniła koleżankom. Może naprawdę tak było. Mówił, że jego kierownik w Home Depot dołożył mu dodatkowe godziny, bo sporo opuścił, kiedy byli razem w Miami.

– Nie mógł wziąć wolnego w twoje urodziny? – powiedziała z powątpiewaniem Caitlin. – Sorry, ale na twoim miejscu dałabym kopniaka facetowi, który nie potrafi planować z wyprzedzeniem... iw ogóle. Dał ci chociaż prezent?

– Jeszcze nie – przyznała Savannah. – Ale da. – Tak przypuszczała. Nie powiedział tego, ale miała nadzieję, że chce jej po prostu zrobić niespodziankę.

– Skoro już mowa o prezentach... – Rachel pociągnęła ją za ramię do stołu, gdzie czekał

stos kolorowych, efektownie opakowanych pudełek i ozdobnych torebek na podarunki – może byś rozpakowała chociaż niektóre? Podobno to impreza urodzinowa.

Wszyscy zgromadzili się wokół stołu, patrząc, jak Savannah odwija i wyjmuje kolorowe kryształowe kolczyki, cztery torby od Very Bradley w różnych kolorach i rozmiarach, akcesoria do i-Poda do jej nowego samochodu, bilety na *Króla Lwa* na Broadwayu – od Rachel, która wiedziała, że to jeden z jej ulubionych filmów... I właśnie wtedy dostała prezent największy i najbardziej nieoczekiwany, zapowiedziany przez Jonathana: – Hej, spójrzcie tylko! To chyba Carson McKay!

Jak na komendę odwrócili się w kierunku, który wskazywał Jonathan. Carson, w szortach i hawajskiej koszuli, wyglądał na troszkę zdenerwowanego, ale uśmiechał się swoim słynnym szczerym, przyjaznym uśmiechem.

Mama, która stała z dziadkami i innymi dorosłymi, pomachała ku niemu ręką.

– Cieszę się, że udało ci się przyjść – powiedziała i tym samym stało się jasne, że wiedziała o jego wizycie. Ale co ze ślubem? Co z Val? Savannah miała ochotę o to spytać, ale powstrzymała się, na wypadek, gdyby nie miał ochoty rozgłaszać tego wszystkim. Nie uszło jednak jej uwagi, że w środę późnym wieczorem zastała go z mamą w bawialni – a teraz, w dniu, który miał być dniem jego ślubu, jest tutaj. Co tam... Nieważne, co tu jest grane – ważne, że przyszedł! Po prostu nie do wiary.

Carson trzymał w ręce białą kopertę. Podszedł do niej, położył kopertę na stole i pocałował ją w policzek, co sprawiło, że momentalnie stała się przedmiotem zazdrości całej żeńskiej części urodzinowej populacji.

– „wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział. –
Przepraszam, że się spóźniłem.

– Żartuje pan? Strasznie się cieszę, że pan przyszedł! Mama przedstawiła go zebranym.

– Jak już niektórzy z was się zorientowali i jak powiedział Jonathan, to jest Carson McKay. Carson, z którym znamy się od czasów szkoły podstawowej, musiał zmienić swoje plany na weekend, żeby do nas wpaść, myślę więc, że chyba mu się spodobał ten pomysł.

Carson skłonił się lekko i cofnął o parę kroków, by wraz z innymi dorosłymi patrzeć, jak Savannah kończy rozpakowywać prezenty. Kopertę zostawiła na sam koniec. Wewnątrz była kartka z życzeniami; na pierwszej stronie widniała sięgająca po horyzont łąka z falującą od wiatru trawą i dzikimi ziołami, a nad nią bezmiar błękitnego nieba. Otworzyła kartkę: wpisał

jej tam wiersz. Przeczytała go po cichu:

By stworzyć prerię, starczy jeden zgoła

Kwiat koniczyny,

Marzenie

I pszczoła.

Jeśli pszczoła nie ma ani na lekarstwo,

*Same rojenia wystarczą** [przełożył Stanisław Barańczak (przyp. tłum.)]

Emily Dickinson, 1896

Zastanowiła się nad tym przez chwilę i pomyślała: to prawda. Pod wierszem było napisane:

Wszystkiego najlepszego z okazji 16. urodzin! Zapraszam Cię na jam session ze mną i moim zespołem (termin do ustalenia). Tonacje wybierzesz Ty.

Ściskam Cię Carson

Tę drugą część przeczytała na głos, niezdolna ukryć radosne podniecenie.
– Dziękuję! Z ogromną przyjemnością... tylko musi mi pan obiecać, że nie będziecie zwracać uwagi na to, jak marnie mi idzie.

Reszta wieczoru była o wiele miłsza: upłynęła pod znakiem Carsona. Był niewątpliwym hitem imprezy, odpowiadał na pytania, podpisywał serwetki, talerze, koszulki, cokolwiek mu podsunęto. Kiedy cateringowcy zapalili świece na torcie, wziął do ręki gitarę Savannah i zaśpiewał *Happy Birthday*, a później, gdy impreza była już prawie zakończona, namówił ją nawet, aby zaśpiewała z nim nad basenem w duecie. Tylko tato z trudem ukrywał marsa na czole, a od czasu do czasu mignęła przykra myśl o Kyle'u – ale przeszkadzało jej to tylko troszeczkę.

Kiedy goście poszli, a ona padła z Rachel na sofę w swoim gościnnym pokoju, jej myśl powróciła do Kyle'a jak pszczoła z wiersza do kwiatu koniczyzny. Dlaczego nie zadzwonił?

I nagle, jakby sprowokowany przez jej gorzkie myśli, zadzwonił telefon – rozpoczynając to, co miało się stać jedną z najtrudniejszych nocy w jej życiu.

– To on – powiedziała, patrząc na Rachel.

– No to odbierz.

– Dobrze... – Wstała i podeszła do półki, tyłem do Rachel. – Halo?

– Cześć, jak leci?

– Fajnie – odparła chłodno, czekając na to, co powie dalej. Zapomniał ojej urodzinach czy nie?

– Miałem zadzwonić do ciebie wcześniej... ale wiesz, opracowywałem pewien plan. Coś w rodzaju urodzinowej niespodzianki. – Zanucił początek *Happy Birthday*. – Ale wciąż nie mam dopracowanych szczegółów.

– No cóż, nie ma sprawy. Już miałam dziś niespodziankę, i to wielką: Carson McKay przyszedł do mnie na imprezę!

– Gościu próbuje wejść na moje terytorium – powiedział. – Niefajnie.

– To znajomy mojej mamy – roześmiała się.

– Idę o zakład, że z twojej mamy musi być seksowna laska.

– Co?

– Kobieta McKaya to seksowna laska, ty jesteś seksowna laska... pewnie wszystkie jego laski są dobre w te klocki. Mamusia też, chcesz się założyć?

– Czy ty jesteś na haju? – spytała, ścisząc głos.

– W życiu, malutka, w życiu. Przecież mówię, że mam dla ciebie urodzinową propozycję!

Uważasz, że potrafiłbym powiedzieć propozycja, gdybym był narąbany? No więc, oto moja niespodzianka: proponuję, żebyśmy byli razem na stałe, ty i ja.

– Na stałe? To znaczy jak? – Chyba nie miał na myśli małżeństwa...

– To znaczy, że pakujesz manatki i zabieramy się stąd. Znajdziemy sobie jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli być ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A... coś takiego. – Zabawne, ulżyło jej, że nie chodzi o małżeństwo. Nie była do niego gotowa. A do tego była? – Nie wiem... – powiedziała. Dała znak Rachel, że zaraz wraca, i przeszła do swojego pokoju. – Czy to legalne? Mam szesnaście lat, a nie osiemnaście, pamiętasz?

– Malutka, jasne, że pamiętam. To nieważne. Mam pewien plan, jak to zrobić, żebyśmy mogli być razem... jasne? Po prostu cię kocham, Savannah... i przykro mi, że, no wiesz, jesteś na mnie zła. Nie wiem, jak bym wytrzymał, gdybym musiał czekać jeszcze dwa lata, żeby cię mieć tylko dla siebie. Nie chciałybyś, żebyśmy byli razem przez cały czas?

Serce zabiło jej radośnie.

– Oczywiście. – Przeszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. – Chodzi ci o to, że powinnam uciec z domu?

– No, nareszcie dotarło. Tak, kociaku. Uciekniemy razem, co?

Nigdy o tym nie myślała – opuścić dom, żeby być z Kyle'em już teraz... Ale właściwie dlaczego nie? Dziadek Spencer porzucił rodzinę, kiedy miał piętnaście lat, i wyjechał ze swoim kuzynem do Ocala, do pracy. Czyścili stajnie w jakiejś wielkiej stadninie. W

niektórych krajach dziewczyny w jej wieku są od dawna zameżne i nawet mają już dzieci.

Tak, mogła sobie wyobrazić życie z Kyle'em: robią, co chcą, kiedy chcą... Żadnych krytycznych ojców ani przepracowanych matek, którymi się człowiek musi przejmować.

Żadnych zakazów wychodzenia z domu o późnej porze. Żadnych rodzicielskich oczekiwań, ciążących jak zmora.

Mimo wszystko był to poważny krok, a ona miała własne plany.

– Nie wiem... A gdzie skończę szkołę?

– Możesz zdać testy na GED.

– Nie przyjmą mnie z czymś takim na studia.

– Może nie na Princeton, ale wiesz... uczelnie stanowe przyjmują każdego. Przecież się nie przejmujesz tymi elitarnymi głupotami, prawda?

- Tak, ale... pozwól, że się nad tym zastanowię, dobrze?
- A po co się zastanawiać? Kocham cię. A ty kochasz mnie...
- Kocham!
- No to dobrze. Sprawa załatwiona. Pakuj się i przyjeżdżaj... czekaj, masz jakieś oszczędności na koncie, prawda? Musisz je wybrać, bo skoro jesteś nieletnia, będziemy musieli wyskoczyć na jakiś czas za granicę.
- Za granicę? A jak to zrobimy?
- Wszystko już mamy obgadane, malutka... to znaczy ja mam. Powiem ci, jak się zobaczymy, dobra? Nigdy nie wiadomo, czy komórka nie jest na podsłuchu.

Popatrzyła na siebie w lustrze. Była pewna, że wygląda doroślej i bez wątpienia czuła się dostatecznie dorosła, żeby żyć samodzielnie. Nie była natomiast pewna Kyle'a. Gdyby chciał

rzucić dragi... to być może. Ale jak go przekona, żeby to zrobił, skoro jak dotąd sama nie potrafiła się oprzeć?

- Możesz sekundę zaczekać? – spytała.
- Jasne.

Wcisnęła guzik „mute” i położyła telefon na blacie umywalki. Dziewczyna w lustrze patrzyła na nią z wyraźnym popłochem. „Wiem, to szaleństwo... ale założmy, że powiem: nie, a on mnie rzuci?” Będzie musiała wrócić do swojej nudnej, irytująco zwyczajnej codzienności.

Kyle był zabawny, ona odważna – i jeśli nie liczyć tamtej odjechanej nocy, czuła się przy nim mądra, ładna, utalentowana, warta zainteresowania. Mama też zawsze jej mówiła, że taka jest, ale przy nim to było bardziej realne, prawdziwe. Mama to była mama, musiała mówić takie rzeczy.

Nie była jednak pewna, czy może bezpiecznie związać swój los z losem Kyle'a.

Widziała w lustrze swoje oczy, ciemne jak nigdy, oczy obcej, poważnej kobiety. „Nie jestem pewna, czy mogę powiedzieć: tak. Potrzeba mi więcej czasu”. Musi sprawdzić, czy Kyle się zmieni. Czy uda im się wejść na właściwą drogę i trzymać się jej. Być może wówczas myśl o porzuceniu domu, by rozpocząć prawdziwe życie, nie budziłaby w niej takiego zamętu.

Musi przekonać Kyle'a, że powinien żyć uczciwie.

Odwróciła się od lustra i wzięła z powrotem telefon do ręki.

- Jestem.
- W takim razie ustalone? Przyjeżdżaj i wszystko obgadamy. Czy tatuś dał ci w prezencie ten samochód?

– Tak, jest dosyć fajny. – Fajne było też to, że rodzice podarowali jej szansę wolności, nagrodę za to, że prawie zawsze była odpowiedzialna i zachowywała się jak należy. – Ale słuchaj...

– Super – kontynuował, nie słuchając. – Przyjeżdżaj najszybciej jak się da... podaję ci namiary. Jestem tuż koło Summerfield, zjazd trzysta jeden.

Może powinna porozmawiać o swoich wątpliwościach bezpośrednio, twarzą w twarz?

Wtedy oceni, czy jest szansa na powodzenie. Jeśli naprawdę będzie gotów żyć uczciwie, pozna to po jego oczach.

– A możesz po mnie przyjechać? – spytała. – Bo wiesz... prawo jazdy będę miała dopiero w poniedziałek.

Roześmiał się.

– Gdzie jest twoja chata?

– Zresztą dobrze, przyjadę sama. – W poniedziałek nie będzie lepszym kierowcą niż dzisiaj, więc co za różnica? Wystarczy, że zachowa ostrożność. W ten sposób wróci do domu, zanim rodzice się zorientują, że w ogóle wyjeżdżała. Zapisywała adres, czując, jak pulsuje jej tętno na szyi. – Będę najszybciej jak się da.

Kiedy wróciła do pokoju gościnnego, Rachel, wpięła się na sofie, rozmawiała przez telefon.

– Zaczekaj – powiedziała w słuchawkę i popatrzyła wyczekująco na Savannah.

– Chce się ze mną zobaczyć jeszcze dziś. Żeby dać mi prezent w cztery oczy.

– Zadzwoń później – rzuciła Rachel do telefonu i odłożyła słuchawkę. Usiadła prosto. – Jakie to romantyczne. A powiedział ci, co to jest?

– Nie... to by raczej popsulo niespodziankę, nie uważasz?

– Głowę dam, że to bielizna. Nie sądzisz? Albo biżuteria! Boże, jak ja bym chciała dostać biżuterię od chłopaka...

Choć Rachel nie miała pojęcia o sytuacji, Savannah czuła się o wiele pewniej, widząc jej pełen zazdrości uśmiech.

– Słuchaj – powiedziała – musisz mi pomóc.

– No?

– Mogłabyś tu zostać i przejść do mojego pokoju? Drzwi niech będą zamknięte, a gdyby ktoś zajrzał, powiedz, że jestem w łazience. Ale nikt nie zajrzy... jak już raz powiedzą mi dobranoc, nigdy nie wracają. A ja do rana będę z powrotem.

– Jasne. Tylko pamiętaj, żeby nie przekraczać prędkości ani nie spowodować wypadku...

czy coś.

Savannah ją uścisnęła.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką pod słońcem. Rachel udała, że się gniewa.

– Jak ja ciebie nienawidzę, szczęściaro. Obiecuj, że mnie poznasz z jakimś jego bratem.

– Obiecuję. A teraz muszę lecieć.

Kiedy wyszła z pokoju, z sypialni rodziców dobiegły ją nieco podniesione głosy. O

czymś tam rozmawiali. Nie zawracała sobie głowy, żeby dowiedzieć się, co to takiego, i starała się odsunąć myśli o tym, co by zrobili, gdyby odkryli, że wychodzi z domu.

Jechała ciemną ulicą i starała się ustalić jakiś plan działania.

Najważniejsze, żeby po przyjeździe na miejsce w żadnym wypadku nie palić zierska ani nie brać żadnych pigułek.

Stawka była wysoka i miała pewność, że tym razem jej się uda.

I byłoby fantastycznie, gdyby mogli znowu się kochać... naprawdę kochać, a nie uprawiać seks, bez żadnych zamulających substancji – poza miłością i pożądaniem. To by był

najpiękniejszy urodzinowy podarunek. Pod warunkiem, że jego kolegi nie będzie w domu. A jeśli będzie, może pójda gdzieś indziej? Ale absolutnie żadnych drągów, nic, co by zakłócało przeżywanie czy sprawiło, że czułaby się... łatwa. Wszystko jest dobrze między nimi, najwyraźniej kochają tak jak poprzednio... musi tylko sprowadzić go na właściwą drogę. A potem będzie fantastycznie.

A jeśli nie zechce zrezygnować z narkotyków? Nie, to niemożliwe.

Przecież ją kocha, chce, żeby była z nim szczęśliwa... na pewno zrozumie, a w każdym razie bardzo tego pragnęła. Był taki miły, delikatny; na pewno rzuci to świństwo, kiedy się zorientuje, że jej na tym zależy. Dla miłości można zrobić – wszystko, prawda?

52

MEG ZAMKNEŁA DRZWI SYPIALNI, tak by podniesione głosy nie docierały do Savannah i Rachel.

– Wybacz – powiedziała, odwracając się do Briana – ale nie widzę nic złego w tym, że zaprosiłam Carsona. Savannah była zachwycona, sam widziałeś.

– A ja się nie liczę, Meg? Ja nie byłem zachwycony! Nawet mi nie powiedziałaś, że go zapraszasz!

– Bo wiedziałam, że właśnie tak zareagujesz!

– A jak by ci się podobało, gdybym ja zaprosił którąś z moich dawnych dziewczyn na urodziny naszej córki? Gdyby nagle pojawiła się Lisa Hathaway, a ty musiałabyś być grzeczna i nie pokazywać po sobie, że cię to wkurza jak cholera?

– To chyba nie to samo – zauważyła Meg. – Lisa jest spikerką w lokalnej telewizji, a nie międzynarodową gwiazdą i obiektem uwielbienia Savannah. – Usta zaczynały stawiać opór.

Zmusiła się, by mówić wolniej. – Zresztą przecież wiem, że w tej chwili nie utrzymujesz z Lisa żadnych kontaktów.

Brian wymierzył w nią palec.

– Właśnie. Nie utrzymuję. A ty? Od kiedy to łączą cię z McKayem jakieś kontakty?

Przecież ty mi w ogóle nic nie mówisz, Meg!

Meg odwróciła się do okna i popatrzyła na oświetlony basen. Nie mówiła mu o różnych innych rzeczach. Nie tylko o tym, że Carson może przyjść na urodziny; nie powiedziała mu także, że widziała się z Carsonem w środę, że dzwoniła wcześniej do niego... nie wspomniała nawet, że spotkała Carsona, Jamesa i Val u krawca. Nie powiedziała mu o wizycie u Lany Mathews, o dziennikach matki, o tym, że sama pisze dziennik dla Savannah.

Choć przez niemal połowę ich życia dzielili ze sobą łóżko, przestrzeń, dom, Brian nie był

kimś, komu chciałyby powierzyć najbardziej osobiste myśli. Wiedziała, że tak było zawsze, co wyjaśniało do pewnego stopnia letnią temperaturę ich życia rodzinnego – zawsze byli ze sobą na odległość wyciągniętej ręki. Gdyby Brian kiedykolwiek oczekiwał od niej więcej, nie wyszłaby za niego, nie żyłaby z nim we względnej harmonii tak długo. Jakie to dziwne: teraz, kiedy ona odsuwa się jeszcze dalej, on próbuje przyciągnąć ją do siebie. Czy to możliwe, że jest o nią zazdrosny, nawet teraz, kiedy wie, że umiera? Myśl, że zależało mu na niej aż tak, była przyjemna, ale i zasmucająca – głównie dlatego, że to nie do niego zwróciła się o wsparcie... i nie zwróciłaby się, nawet gdyby w jej życiu nie pojawił się znowu Carson.

– No dobrze, Brian – powiedziała cicho. – Chcesz wiedzieć, jak jest? Po pierwsze, jestem zdecydowana znaleźć jakiś sposób, aby zakończyć życie, zanim stanę się kompletnie sparaliżowana.

– Co ty mówisz? Masz zamiar... masz na myśli samobójstwo?

Skinęła głową.

– Żeby nikt nie musiał patrzeć, jak cierpię, i żeby sama nie cierpiała.

– ALS nie powoduje żadnego bólu. Czytałem o tym w tej broszurze, którą dostałaś.

– Nie powoduje bólu, ale to nie znaczy, że człowiek nie cierpi. – Mignął jej w pamięci obraz Lany. – Cierpi z powodu całkowitej zależności od innych, bezwładu, pozbawienia godności... Kiedy kończyny przestają się poruszać, kiedy nie można mówić, żuć, połykać, oznacza to powolną, rozciągniętą w czasie śmierć, i nic nie można zrobić, tylko leżeć i czekać na nią. To właśnie jest cierpienie. Czy możesz sobie wyobrazić, że Savannah patrzy na mnie w tym stanie, dzień po dniu?

Wyglądał na poruszonego.

– Ale nie możesz po prostu... to znaczy, w porządku, mogę zrozumieć, że... ale jak ja mam... Meg, oprzytomnij. Pomyślałaś, jakie to będzie dla nas piętno? I nie wypłacą nam twojej polisy na życie.

Zmusiła się, by nie wybuchnąć. Był zgnębiony, chwycił się byle czego. I bez polisy nie zabraknie mu nigdy pieniędzy, Savannah też zostanie zabezpieczona jak należy: zajął się tym jej prawnik. Nawet gdyby testy DNA wykazały, że Brian nie jest ojcem Savannah i straciłaby prawo do funduszu powierniczego, będzie mogła skończyć studia i rozpocząć dorosłe życie bez specjalnych finansowych kłopotów.

– Wiesz, że pieniądze to nie problem – powiedziała spokojnie. – A co do piętna, to nie ma chyba nic gorszego, niż kiedy matce trzeba zmieniać pieluchy i opiekować się nią jak niemowlęciem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Mówisz o samobójstwie, Meg. – Patrzył na nią, jakby straciła rozum. – Mylisz się, jeśli sądzisz, że ci w tym pomogę.

Nie liczyła na jego zrozumienie, niemniej to, że nie miał nawet zamiaru zastanowić się nad ewentualną pomocą, gdyby o to poprosiła, był równie przygnębiający.

Westchnęła.

– Jeszcze jedną rzecz musimy wyjaśnić. Dopóki żyję, Carson chce uczestniczyć w moim życiu w każdy możliwy sposób. I ja też tego chcę.

– Chryste. – Brian usiadł na krawędzi łóżka i potarł czoło. – Co jeszcze chciałabyś mi powiedzieć, skoro już zaczęliśmy?

– Przykro mi, że to zabrzmiało tak brutalnie... ale nie ma sensu tracić

czasu i energii na chodzenie wokół tematu na paluszkach. Chcę... zamierzam przeżyć swoje ostatnie dni uczciwie i mam nadzieję, że potrafisz to uszanować.

Brian podniósł wzrok.

– Uczciwie? A co z odpowiedzialnością? Może byś pomyślała o Savannah, zamiast tylko o sobie, co?

– A może zrobisz listę rzeczy, które dla niej zrobiłeś przez szesnaście lat? A potem listę tego, *co* zrobiłam ja... ale nie będziesz w stanie, bo nawet nie wiesz, ile mnie kosztowało kierowanie jej życiem, twoim i moim własnym przez te wszystkie lata. Nawet nie próbuj mi insynuować, że nie myślę o Savannah. Nigdy się nie zdarzyło, żebym się nie starała zaspokoić jej potrzeb na równi z własnymi, nawet teraz.

– To ty chciałaś mieć dziecko, Meg... robiłaś to wszystko z własnej woli.

– Masz rację – zgodziła się.

Patrzyli na siebie z wściekłością. W końcu Brian odwrócił wzrok.

– Nie chcę ci robić awantur.

– No to nie rób. Savannah już wie, że znamy się z Carsonem od dziecka. Jeśli potrafisz zachować się dojrzałe, będzie nam wszystkim dużo łatwiej.

– A zatem mam go zaprosić do mojego domu... i odstąpić żonę razem z łóżem, tak? – Wstał i wykonał gest, jakby oferował łóżko Carsonowi. – A ja mam się wynieść do pokoju gościnnego i czekać, aż, bo ja wiem, pochlastasz sobie nadgarstki albo przedawkujesz leki?

– Miej do mnie trochę zaufania, Brian. Jedyne, o co cię proszę, to żebyś.. . choć trochę mnie zrozumiał. Starałam się jak mogłam, żyjąc z tobą. Wiesz o tym. Ale teraz wszystko się zmieniło.

Brian wyszedł do klubu. Powiedział, że potrzebuje trochę przestrzeni, żeby to przemyśleć. Meg się nie sprzeciwiała. Nie miała siły, by zajmować się jego emocjami.

Wystarczająco trudno było radzić sobie z własnymi.

Nalała sobie trochę mleka, położyła na tacy stosik ciastek z kawałkami czekolady i zabrała ze sobą do bawialni. Pogryzając nasiąkłe wilgocią ciastko, pisała: *14 maja, 2006*

Dziś' są twoje szesnaste urodziny. Przyjęcie udało się bardziej, niż się spodziewałam, bo pojawił się Carson. Przyjmij jego propozycję wspólnego występu – masz w sobie wielki potencjał, piękny głos i tak świetnie czujesz muzykę.

Nie wiem, co się z nami dzieje po tym życiu, ale mam nadzieję, że jeśli

odejdę, będę mogła od czasu do czasu zajrzeć do ciebie i zobaczyć, jak ci idzie. Może zobaczę cię któregoś dnia na estradzie, jak śpiewasz własne piosenki. Może poprowadzisz uroczystość wręczenia nagród, kiedy Carson dostanie swoją najważniejszą nagrodę w życiu. A może muzyka będzie tylko Twoim hobby – i tak też będzie dobrze. Zrób, co tylko możesz, aby zostać tym, kim naprawdę chcesz. Nie pozwól, aby tata czyjego znajomi, czy jakkolwiek mężczyzna w twoim życiu sprawił, że sprzeniewierzysz się prawdzie swego serca. Nie ma nic gorszego niż oglądać się za siebie i żałować, że nie postąpiło się w życiu zupełnie inaczej, że uległo się cudzym naciskom, że nie było się wiernym właśnie temu – prawdzie serca. Zrób, co możesz, aby nie popełnić tych samych błędów co ja.

Jedyną rzeczą, której nie zmieniałbym w swojej przeszłości, jesteś Ty. Moja wspaniała córka.

Patrzyłam na ciebie dzisiaj w otoczeniu kolegów i koleżanek. Wszyscy wyglądaliście tak dorośle... a mnie przypomniał się pewien ranek, kiedy miałaś może z osiem lat. Nocował

wtedy u ciebie Jonathan i rano byliście ledwie żywi, bo udał się wam „eksperyment”: przez całą noc nie zmrużyliście oka. I ja też byłam ledwie żywa, bo nie chciałam się kłaść, skoro wy nie spaliście – Jonathan nie umiał jeszcze pływać i bałam się, czy przypadkiem nie strzeli wam do głowy pomysł, by wskoczyć do basenu o trzeciej nad ranem. Ale chciałam też być świadkiem waszej radości, że udało się wam zrobić coś tak ekscytującego i „dorosłego”.

Kiedy weszło słońce, upiekłam gofry i jedliśmy je wszyscy troje palcami, pamiętasz? Bez talerzy, po prostu polaliśmy je syropem i jedliśmy, siedząc na podłodze, a syrop kapął nam na kolana.

Jonathan powiedział:

– Gdyby tak moja mama wiedziała, że złamaliśmy wszystkie zasady!

– A kto w ogóle ustala zasady? – zapytałaś.

– Pan Bóg, prawda? – powiedział Jonathan. A ja powiedziałam: – Wiecie co, niektóre zasady są po to, żeby ułatwić życie rodzicom. Ale niektóre to po prostu dawne zwyczaje, których nikt nie ma odwagi zmienić.

Oto więc moja rada, córeczko: przestrzegaj tych zasad, które mogą polepszyć twoje życie, a innymi nie zawracaj sobie głowy.

Włożyła długopis do ust i zaczęła rozcierać rękę, zastanawiając się, co jeszcze ma napisać, gdy dobiegł ją dzwonek telefonu. Brian nie odbierał, wstała więc, zachwiała się, ale odzyskała równowagę i pospieszyła do holu.

– Słucham?

Jakieś szmery, trzaski, dyszenie. Meg miała już odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała: – Mamo?

Wsparała się o blat, żeby pewniej stać.

– Savannah? Kochanie, to ty? – Dlaczego Savannah dzwoni do niej, zamiast przyjść?

– Mamo, ja... – Znowu trzaski. Savannah mówiła szybko i Meg zdołała wyłapać tylko pojedyncze słowa: „Kyle”, „samochód”, „przyjedziesz po mnie?”, „Summerfield, tylko szybko!”

Chłopak. Kolejna kłótnia? Nie była pewna, czy Savannah ją słyszy, gdy powiedziała: – Już jadę.

53

SAVANNAH PRZYPADŁA W CIEMNOŚCI DO ZIEMI. COŚ przelazło jej po szyi, ale bała się poruszyć. Kyle i ten jego okropny kumpel mogą usłyszeć, znaleźć ją w krzakach, zawlec z powrotem do swojego odrażającego pseudodomu... albo zgwałcić tu, na miejscu, a może nawet zabić? Oddychała szybko, płytko, modląc się w duchu, żeby mama przyjechała jak najszybciej.

Może należało zadzwonić pod 911? Pomyślała o swoim telefonie, zgubionym w trakcie panicznej ucieczki. Za późno... Może mama zadzwoni na policję? Ale chyba nie. Połączenie było takie złe, że nie wiedziała, czy mama w ogóle ją słyszała, a co dopiero pojęła, że córka potrzebuje natychmiast pomocy. Boże, jaka była głupia... Głupia, że nie zadzwoniła na policję, głupia, że w ogóle tu przyjeżdżała, głupia, głupia jak but, że tak wierzyła w Kyle'a.

Wszystko zaczęło się całkiem dobrze. Pomijając to, że dom okazał się ciasną, cuchnącą chałupą, niemal chlewem, cieszyła się, że jest z Kyle'em, że czuje, jak ją obejmuje i słyszy, jak szepcze jej do ucha: „Wszystkiego naj-naj-naj – z okazji urodzin...” Zostawiła torbę i buty koło drzwi i wzięła do ręki butelkę coli, którą ją poczęstował, starając się nie marszczyć nosa na widok zasłanych okruciami blatów i przepełnionego kosza na śmieci, którego zawartość wysypywała się na podłogę.

– Chodź, siadaj – powiedział, prowadząc ją obok stosów starych gazet i poczty do zagraconego pokoju, gdzie stała zniszczona sofa ze złotym obiciem. Ze starego, taniego stereo buchał łomot pospolitego rocka. Przyciszył go odrobinę.

– Głodna jesteś? Mój kumpel z pokoju... znasz go, Aaron... zaraz przyniesie pizzę.

Strzepnęła okruchy z kanapy i usiadła.

– Właściwie nie. Jedliśmy pizzę na imprezie. I mnóstwo tortu – dodała.

– No tak, jasne. – Kyle usiadł koło niej i odchylił się na oparcie, wspierając stopy o starą skrzynkę po mleku. – Czyli że stuknęła ci szesnastka. No to teraz można się z tobą bzykać w świetle prawa.

Uśmiechnęła się.

– Tak... jakby to miało znaczenie.

– No i jesteśmy teraz wolni.

Pociągnęła łyk coli i skinęła głową, nie chcąc z miejsca rozpoczynać dyskusji, którą próbowała ułożyć sobie w głowie podczas jazdy. Lepiej poczekać na właściwy moment – może na przykład Kyle zaproponuje, żeby się narabali, i wtedy w naturalny sposób będzie mogła powiedzieć, że jej zdaniem nie powinni tego więcej robić, ani ona, ani on.

– A jak to wszystko będzie wyglądało? – spytała. – No wiesz, jak przekroczymy granicę i w ogóle?

Kyle poderwał się z oparcia, chętny do wyjaśnień.

– Ten plan to majstersztyk. O wszystkim pomyśleliśmy z Aaronem.

– Aaron ci pomagał? – spytała niespokojnie.

– Aaron jest w tym wszystkim najważniejszy. To on zna wszystkie kontakty. To mój, no wiesz... dostawca.

Dostawca. Narkotyków. Na które, sądząc z wyglądu mieszkania, wydają całą kasę. Jej kasę też?

W takim razie ta okazja była równie dobra.

– Słuchaj – powiedziała – musimy porozmawiać. O braniu.

– Aaron jest super – ciągnął Kyle, jakby nie usłyszał. – Ma swoje sposoby. Wszystko załatwi. Fałszywe dowody, paszporty, bilety... zaraz, wybrałaś gotówkę?

– Nie, jeszcze nie.

– Ustaliliśmy, że pierwszy przystanek będzie w Meksyku, wiesz? Łatwo przejść przez granicę, a poza tym Aaron zna tam jednego gościa.

Savannah właśnie otworzyła usta, żeby zaprotestować i powiedzieć, że nie ma ochoty podróżować z dilerem, gdy wkroczył Aaron, niosąc na wyciągniętej ręce trzy kartonowe pudełka z pizzą.

Miał włosy w odcieniu brudno-blond i cerę tak bladą, że wyglądała niemal na przezroczystą. Oczy skrywały ciemne przeciwsłoneczne okulary.

– Hej! – powiedział. – Czyżby to była moja ulubiona panna Piksel? – I nie zatrzymując się, przeszedł do kuchni. Położył pudełka z pizzą na stosie

starych gazet.

Piksel... ? O czym on mówi? I w tym momencie zrozumiała: to aluzja do zdjęć, które Kyle robił jej w hotelu. Poczowała ucisk w żołądku.

– Chyba mu nie pokazałeś... ? – szepnęła. Kyle wzruszył ramionami.

– On tam był.

O mało nie zwróciła coli. Jak może mówić tak lekceważąco o czymś tak strasznie osobistym?

– No i co, z samochodem uzgodnione? – spytał z kuchni Aaron.

– O rany, jeszcze nie... – stęknął Kyle. – Nie miałem dotąd okazji, facet.

– W takim razie pogadamy przy kolacji. – Aaron zapalił jointa. – Chodź, jemy.

Kyle zerwał się z kanapy.

– Jestem głodny jak wilk. – I poszedł jeść. Savannah siedziała na sofie upokorzona.

Patrzyła, jak Kyle pociągnął jointa i nałożył sobie na papierowy talerz kawałek pizzy z kielbasą. Panika rozlała jej się w piersi jak gorący ołów. Wszystko rozwijało się całkiem inaczej, niż sobie planowała. Musi się stąd zabierać, musi wrócić do domu i wszystko przemyśleć. Kyle nie był tym człowiekiem, za którego go uważała. Był kimś zupełnie innym.

Z kuchni napływała słodka woń marihuany. Savannah wstała, nagle świadoma, że ma na sobie spódniczkę mini, gołe uda, a pod obcisłym podkoszulkiem widać brodawki.

– Muszę jechać. Moi rodzice... Spojrzeli na nią, zaskoczeni.

– Co z nią? – spytał Aaron. – Mówiłeś, że jest gotowa.

– No i jest. No nie, malutka?

– Właściwie... – zaczęła.

W tym momencie Aaron zmrużył oczy, skoczył do drzwi i złapał z podłogi jej torbę.

– No co?! – zawołała i wyciągnęła rękę, żeby mu ją wyrwać, ale Kyle zagroził jej drogę.

– No to. – Aaron uśmiechnął się krzywo, chowając do kieszeni kluczyki.

– Mam kupca na hondę... dobrze zapłaci. Nie możemy się wycofać.

Kyle odgarnął jej włosy z twarzy.

– Malutka, przecież bryka nie będzie nam wcale potrzebna. Pozwól, że Aaron się nią zajmie, on wie, co robi.

Od pierwszej chwili imię Aarona budziło w niej niepokój. Teraz, gdy patrzyła Kyle'owi w oczy, niepokój zmienił się w przerażenie. Wiedziała już

na pewno, że nie ma w nim sprzymierzeńca – i wiedziała też, że jeśli chce odzyskać kluczyki i uciec stąd, musi zacząć grać.

– No dobrze – westchnęła, zdobywając się na nerwowy półuśmiech.

Aaron odsunął nogą krzesło.

– No, nareszcie, Piks. Siadaj.

Kyle poczekał, by usiadła, i dopiero wtedy usiadł sam.

– No więc – powiedział Aaron – obgadajmy szczegóły naszego planu.

Właśnie przed chwilą coś mi przyszło do głowy. Mówię ci, Piks, rewelacja. Spodoba ci się.

Uśmiechnęła się, jakby już jej się podobało.

– Nie mógłbyś mówić do mnie: Savannah? Aaron się roześmiał.

– Jak tylko będziemy w Meksyku, robimy tak... – I nakreślił plan: wyciągną pieniądze od jej rodziców za pomocą obietnicy zniszczenia zdjęć, o ile dostaną odpowiednią ilość gotówki.

– Paręset tysięcy dolców najmniej, biorąc pod uwagę zasoby tatusia.

– Chwileczkę. Przecież nie możecie... to był żart, prawda? – Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu, niewiele większym niż jej łazienka, jakby gdzieś czyhała ukryta kamera. – Nie mówiłeś serio? – Za nic w świecie nie chciałyby, aby rodzice się dowiedzieli, zwłaszcza o zdjęciach!

– Chyba nie brakuje im kasy – parsknął Aaron.

– Skąd wiesz?

Wskazał na siebie trójkątem pizzy.

– Ja wiem wszystko. Ceny nieruchomości, akcje firm... wszystko jest w sieci, Piks.

– Masz fundusz powierniczy, kociaku – dodał Kyle – czyli że jest tam w robocie dużo większa kasa. A znasz lepszy sposób, żeby zdobyć szmal, który jest nam potrzebny?

– Boja wiem... Może pójść do pracy? Parsknął.

– Za siedem baksów na godzinę? Sama widzisz, dokąd mnie to zaprowadziło.

Starła się ukryć rozpacz.

– Daj spokój, Kyle. Możemy wymyślić jakiś inny sposób. Ja w to nie wchodzę.

– Nie bądź taka świętoszkowata – mruknął dobrodusznie.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że chcecie szantażować moich rodziców.

.. i że jesteście gotowi mnie wykorzystać ...

– Taa, jasne – prychnął Aaron. – Szesnaście lat, bracie... za młoda,

mówiłem ci. Słuchaj, Piks, nie potrzebujemy twojej zgody. Mamy twoje zdjęcia w kompie, wystarczy zadzwonić do tatusia i z głowy.

Zauważyła, że Kyle rzucił Aaronowi spojrzenie, które mówiło: zostaw, ja to załatwię.

– Nie przejmuj się tak, dobrze? To tylko taki luźny pomysł. – Na jej użytek Kyle zmarszczył z naganą brwi i rzucił w kierunku Aarona: – Zostaw to, facet.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością: niech myśli, że udało mu się ją oszukać. Dostała odroczenie wyroku, ale na jak długo? Odepchnęła krzesło i wstała.

– Muszę iść do łazienki. – Naprawdę chciała przez chwilę być sama, żeby zebrać myśli i wykombinować jakiś plan. Musi skłonić Aarona, żeby jej oddał kluczyki i wpłynąć na Kyle'a, by porzucił myśl o szantażu. – Jak wrócę, też się chyba załapię na kawałek – dodała, udając, że jest całkiem spokojna. Kiedy sięgnęła po torbę, w nadziei, że uratuje przynajmniej gotówkę i kartę do bankomatu, żaden nie zaprotestował.

– Drzwi na końcu korytarza – rzucił Kyle. Wrócili z Aaronem do dyskusji o tym, jaki dzień wybrać na wyjazd i z jakich linii lotniczych skorzystać.

Korytarzyk był wąski i krótki. Kiedy przechodziła obok ciemnej sypialni, jej uwagę zwróciła plama światła w głębi. Przystanąła, zerknęła w kierunku kuchni i weszła do sypialni.

Obeszła łóżko i zobaczyła: na składanym stoliku do kart stał laptop z przymocowaną kamerą... a na ekranie w charakterze tapety widniały jej zdjęcia.

Aż się cofnęła na ich widok. Były... odrażające. Kyle, Aaron... oni ją taką oglądali!

Podjęcie decyzji trwało sekundę. Wepchnęła kamerę i komputer do torby i wyskoczyła przez okno.

A teraz siedziała, drżąc ze strachu, w krzakach.

Gdzieś z tyłu dobiegł ją głos Aarona:

– Co za sprytna gówniara. Mówiłem ci, żeby załatwić starszą.

– Powiedziała, że ma dwadzieścia lat.

– A potem, że ma piętnaście, a ty i tak znowu ją zerznąłeś! Czy ty w ogóle myślisz, facet?

Jezu! – Podeszli bliżej. – Nie mogę uwierzyć, kurwa, że w tym domu nie ma zwykłej latarki!

Savannah zanosła w duchu dziękczynną modlitwę.

– Jak cię znajdę – wrzasnął Aaron – to jeszcze zobaczysz, laleczko!
Dostaniesz taką lekcję, że przez tydzień nie wstaniesz z łóżka!

– Wyluzuj, facet – syknął Kyle. – Wystraszysz ją.

Trzęsa się. Przywarła do wilgotnej ziemi, żeby powstrzymać spazmatyczne drżenie. Ile czasu minęło, odkąd dzwoniła do mamy? Ile czasu jeszcze minie, zanim ktoś ją stąd wyratuje? A jeśli Aaron znajdzie ją pierwszy? Szloch złapał ją za gardło; zacisnęła zęby, żeby go stłumić.

Jakiś owad – pająk? – popełznął jej z karku na plecy i Savannah zaczęła płakać.

54

MEG DWUKROTNIENIE PRÓBOWAŁA ZADZWONIĆ DO SAVANNAH, ale nikt nie odbierał.

Strapiona pokuśtykała do kuchni, żeby znaleźć torebkę. I wówczas przypomniała sobie, że przecież Rachel miała zostać na noc. Zawołała ją: może mimo wszystko tu jest?

Rachel wyszła do holu z telefonem przy uchu.

– Tak?

– Może rozmawiasz z Savannah?

– Nie, skąd... Savannah jest, hmm... w łazience. Meg osłupiała.

– Jesteś pewna? Przed chwilą do mnie zadzwoniła i powiedziała, że mam przyjechać... ale coś przerwało rozmowę i teraz nie mogę się do niej dodzwonić.

Rachel wyłączyła telefon.

– O Boże. Rozbiła samochód?

– Rozbiła... ? Więc nie jest w łazience?

Rachel pokręciła głową.

– Mówiłam, żeby uważała... Meg przywołała Rachel gestem.

– Mów.

Rachel powiedziała, o której godzinie zadzwonił Kyle i to, co o nim wiedziała od Savannah.

– Poznała go w sieci i...

– Zaczekaj. Przez internet?

– Tak... przez swoją stronę internetową.

– Savannah ma swoją stronę internetową? Rachel spojrzała na nią z lekkim rozbawieniem.

– No... wszyscy mają. Mogę pani pokazać...

– Nie... dziękuję, może później. – Wszyscy mają strony internetowe? A

co jeszcze mają „wszyscy”? Spiralki? Choroby weneryczne? I jak to się stało, że ona nic nie wie o tym najwyraźniej istotnym fragmencie życia córki? Dlaczego Savannah nic jej nie powiedziała, nie pokazała swojej strony? Jakie jeszcze sprawy trzyma przed nią w sekrecie?

– Co jeszcze wiesz? – spytała.

– Mówiła, że Kyle ma dziewiętnaście lat. I chyba mieszka koło Summerfield.

Zaczynało się zgadzać.

– Dobrze, ale gdzie? Gdzie koło Summerfield? Rachel wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpląkać.

– Jeżeli ona jest ranna... o Boże, przepraszam! Nie powinnam się zgadzać na ten plan. Nie pytałam jej, gdzie on dokładnie mieszka, bo wie pani, miała wrócić na noc... nie jest ranna, prawda? Nie myślałam, że...

– Jasne, że nie myślałaś – zaczęła Meg, ale zakryła usta dłonią. Na tym właśnie polegał

problem: nikt z nich nigdy nie myślał, że sprawy mogą potoczyć się inaczej, niż było planowane. Wszyscy byli mądrzy, wszyscy mieli szczęście, wszyscy na nie zasługiwali, wszystkimi kierowały dobre intencje.

A tak naprawdę wszyscy byli naiwni.

– Nie wiem, czy z Savannah wszystko w porządku – powiedziała. Te słowa wypowiedziane na głos sprawiły, że gotowa była natychmiast biec do Summerfield piechotą...

gdyby tylko mogła.

Jeszcze raz zadzwoniła do Savannah. Po paru sygnałach włączyła się poczta głosowa.

Meg, starając się mówić pewnie i uspokajająco, zostawiła krótką wiadomość, że już jedzie.

Potem spróbowała złapać Briana, ale też nie odpowiadał. Pewnie wciąż był urażony.

Zostawiła wiadomość, że Savannah ma kłopoty i że prosi, żeby natychmiast oddzwonił.

Rachel patrzyła na nią z przerażeniem.

Następnie zadzwoniła na policję, ale jak przypuszczała, nie uznali sytuacji za szczególnie alarmującą. Powiedzieli, że wysyłają patrol do Summerfield i że dadzą znać, jeśli się czegoś dowiedzą. „Proszę się nie martwić – powiedział dyspozytor. – Nastolatkom często strzelają do głowy różne dziwne pomysły. Prawie zawsze wszystko się dobrze kończy”.

Prawie.

– Zadzwoń do siostry, żeby cię odebrała, dobrze? – powiedziała do Rachel. – Muszę jechać.

Zamierzała jechać drogą numer 301 i podobnie jak policja wypatrywać Savannah. Miała nadzieję, że uda jej się do niej dodzwonić, kiedy będzie bliżej – albo Savannah do niej. Dowie się wtedy, gdzie jej szukać. Nie był to zbyt oszałamiający plan, ale lepsze to niż siedzieć w domu i czekać.

Udało jej się uruchomić lexusa i wyprowadzić go na ulicę. Główny ciężar zmiany biegów, sygnalizacji skrętu, operowania kierownicą spoczywał na lewej ręce, która też nie była już w pełni sprawna. Jechała, czując, że prawa noga z każdą chwilą robi się coraz słabsza. Nagłe wyskoczył na jezdnię królik; Meg zrobiła gwałtowny skręt i zahamowała, ale reakcja była za wolna, nacisk stopy za słaby. Poczła głuche uderzenie o karoserię i z przerażeniem pomyślała, że biedny królik, którego właśnie zabiła, mógł być dzieckiem...

Zlana zimnym potem, zjechała na pobocze i zaparkowała.

Choćby nie wiem jak chciała pomóc Savannah, nie zdoła dojechać bezpiecznie do Summerfield.

Starając się panować nad nerwami, zadzwoniła jeszcze raz do Savannah. Potem do Briana. Jeszcze raz zostawiła Brianowi wiadomość. Jeszcze raz spróbowała złapać Savannah.

Bez skutku.

Przycisnęła czoło do kierownicy i popatrzyła na swoją rękę w poświacie sygnalizatorów tablicy rozdzielczej. Jej córka potrzebuje pomocy, a ona siedzi tu, na wpół sparaliżowana, w luksusowym aucie, które kosztowało więcej niż pierwszy dom jej rodziców! Co za głupota!

– Niech szlag trafi tę chorobę! – krzyknęła i zaniósła się szlochem. – Niech ją szlag!

Ale nie było czasu do stracenia. Jej córka, jej dziecko, czekało gdzieś na pomoc. Boże, spraw, żeby nic jej się nie stało... Wytarła oczy i nos i zadzwoniła do Carsona. Wiedziała, że może na niego liczyć.

Gdy parę minut później czekała w domu na jego przyjazd, nagle olśniło ją: honda Savannah była wyposażona w nadajnik GPS! Nie tylko ona mogła znaleźć drogę do dowolnego miejsca na kontynencie i z powrotem, ale i ją można było zlokalizować – a w każdym razie jej samochód. Brian wyjaśniał jej to w marcu, kiedy zamawiał auto. Słuchała wówczas jednym uchem, traktując GPS jako kolejny przejaw jego upodobania do gadżetów.

Teraz pobłogosławiła go w duchu i podeszła do biurka, aby wyjąć z szuflady odbiornik.

Urządzenie, dzięki któremu będzie mogła znaleźć się obok córki – tam, gdzie powinna być przez cały czas.

Po upływie kwadransa Carson już był na miejscu. Pomógł jej wsiąść do lexusa i zapiąć pas, słuchając zarazem wskazówek. Z ulgą przyjęła, że nie zadawał jej żadnych pytań, nie oceniał zachowania Savannah i nie oskarżał jej, że zaniedbała córkę – sama świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Czuła się jak przestępczyni: kompletnie nie zwracała dotąd uwagi, jak Savannah spędza wolny czas. Jedyłą pociechą było to, że Carson szybko wiozł ją ku miejscu, gdzie stała honda.

Gdy zjechali z drogi numer 301, otoczyła ich czerń nocy. Drogi były słabo oznakowane.

Każdy błędny albo przeoczony skręt sprawiał, że serce podchodziło jeszcze wyżej do gardła.

Każda mijająca minuta dokładała nowy głaz do ciężaru winy, jaki ją przytłaczał – z powodu Savannah i w ogóle.

Spojrzała na Carsona i poczuła nagłą pokusę, aby zrzucić z siebie choć trochę ciężaru – wyznać, że być może Savannah jest jego córką.

Samochód podskakiwał na nierównej, dziurawej jezdni, a Meg próbowała zredagować tekst wyznania: „Carson, pamiętasz tamten ranek w dniu mojego ślubu? Myślę, że powinieneś o czymś wiedzieć...” Serce biło jej mocno. Chciała mu powiedzieć – a jednak nie mogła zrobić tego w tej chwili, w taki sposób. A może nigdy nie powie. Odciążając siebie, obciążałaby jego – a tego nie chciała.

W końcu znaleźli właściwą drogę i stanęli. O jakieś dwadzieścia metrów białął w ciemności jak duch samochód Savannah, zaparkowany na zapuszczonej ulicy, bocznymi kołami na wyszczerbionych płytach chodnika. Obok widać było skrzynkę pocztową – z wyrwanymi drzwiczkami, bez chorągiewki.

Meg patrzyła na maleńki domek, stojący w głębi zaniedbanego podwórka. Skoro Savannah w ogóle zdecydowała się tu przyjechać, dlaczego tak prędko chciała wracać? I czemu nie wróciła sama, tylko prosiła o pomoc?

– Może jej tu wcale nie ma? Mogło być tak, że ktoś ją poprosił o podwiezienie, a potem kazał wysiadać.

Carson skinął głową.

– Mogło, ale skoro ten cały Kyle tu mieszka...

– To prawda. Za dużo zbieżności... Musi tam być. – I coś musi być nie tak.

Na piaszczystym, zarosłym chwastami podjeździe stał pontiac z zerwanym tylnym zawieszeniem. Nic dziwnego, że Savannah nie chciała powiedzieć, do jakiej szkoły chodzi Kyle i że w ogóle nie chciała rozmawiać o chłopaku, który pochodzi z tak ubożego środowiska... Przez moment uderzyła ją myśl, że daleko odeszła od własnych niezbyt wytwornych korzeni, skoro jej córka nie potrafiła z siebie wykrztusić żadnych konkretów na temat Kyle'a.

Kiedy ona zaczęła chodzić z Brianem, dziwiła się nieraz, że nie zwracał uwagi na ubóstwo jej rodziny, że wybrał ją, a nie dziewczynę z własnej sfery. Kiedyś go o to spytała – wiele lat temu, gdy byli u jego znajomych i szumiało im w głowie od wina po sto dolarów za butelkę. Spojrzał wtedy na nią i uśmiechnął się szeroko. „Okazja – powiedział. – Miałaś w sobie wielki potencjał wzrostu”. Tak jakby była funduszem inwestycyjnym. Już wtedy nie była pewna, czy to komplement.

Może Savannah też patrzy na Kyle'a jak na obiecującą inwestycję, która pod jej troskliwym okiem zacznie przynosić profity. Może jest córką Briana, z krwi i kości.

Carson wyłączył silnik.

– Pozwól, że wejdem pierwszy.

– Poczekaj... spróbuję jeszcze raz zadzwonić. – Czekaając na połączenie, zerknęła na dom: tylko w jednym oknie przez szparę w zasłonie przebijała wąska smuga światła, reszta była ciemna. – Nie odbiera.

– Jak dawno dzwoniła do ciebie?

– Prawie godzinę temu – powiedziała przez ściśnięte gardło. –

Wchodzimy.

– Meg...

– Nie mam zamiaru siedzieć i czekać.

I utykając, ruszyła przez zarosły zielskiem podjazd do drzwi, a Carson za nią. Wstrzymała oddech i zastukała.

Wewnątrz rozległy się kroki, a nad drzwiami zapłonęła oślepiająco goła żarówka. Drzwi otworzył młody mężczyzna w szortach khaki i poplamionej koszulce.

– Tak?

– Szukam Savannah.

– Nie wiem, o kim pani mówi. – Chciał zamknąć drzwi z powrotem.

– Chwileczkę! – krzyknęła. – Czy pan to Kyle? Wahał się przez chwilę, ale zdradziła go twarz.

– Może – powiedział w końcu. Poprawiła węzeł temblaka na szyi, bo cisnął.

– Przestańmy się bawić w ciuciubabkę, dobrze? Namierzyłam jej samochód przez GPS.

Zaraz będzie tu policja. – W każdym razie powinna... wystarczy jeden krótki telefon.

Przynajmniej taką miała nadzieję. – Gdzie ona jest?

Kyle westchnął.

– Może pani wejdzie? Komary panią tu zjedzą.

Meg spojrzała na Carsona. Wzruszył ramionami, jakby mówiąc: czy mamy jakiś wybór?

W środku cuchnęło czymś nieświeżym – zjełczałym tłuszczem, skwaśniałym mlekiem... i czymś jeszcze, słodkawa, dymna woń: marihuana? Spojrzała najpierw ku ciemnej kuchni, potem na lewo, gdzie stała sofa z brudnym złotym obiciem. Posadzkę, ze zniszczonych, nadkruszonych płytek z połowy lat sześćdziesiątych pokrywały ohydne, przypominające pleśń zacieki – coś się rozlało i naprzyklepiało się do tego rozmaitego brudu. Nawet nie chciała zgadywać, co to mogło być. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Gdzie jest moja córka? Kyle podrapał się w szczękę.

– Żebym to ja wiedział.

Carson poklepał ją po ramieniu. Odwróciła się i popatrzyła tam, gdzie wskazywał – na hondę. Teraz było widać to, czego nie zauważyli, wchodząc do domu: przednie światła były stłuczone, a zderzak i dach powgniatane, jakby ktoś walił w nie kijem bejsbolowym. Meg otworzyła usta, ale wydostał się z nich tylko słaby, jakby zwierzęcy pisk.

Carson zrobił krok naprzód i złapał Kyle'a za ramię.

– Odpowiadaj. Ale już.

55

SAVANNAH METALIK – SZEPNEŁA. Gardło miała ściśnięte, ale ucisk w piersi zelżał nieco, skoro w odległości nie więcej niż stu metrów prześwitywała między drzewami mamina terenówka.

Umknęła wcześniej głębiej w las, bardziej na północny wschód – była pewna, że to północny wschód. Biegła na oślep przez krzaki, byle dalej od tępych odgłosów uderzeń. To Aaron walił w jej auto, mimo protestów Kyle'a. Sowa zatrzepotała skrzydłami nad jej głową: też uciekała. Powietrze

rozdarł wrzask Aarona:

– Za duże ryzyko... – łup – .. go teraz sprzedawać... – łup – ... mam nadzieję, że ta twoja cholerna małolata... – trzask – .. jest zadowolona!

Kiedy przestał się znęcać nad samochodem, zatrzymała się i czekała. W chwilę później usłyszała ryk silnika: Aaron rwał szosą w swoim camaro. Wiedziała, że najgorsze minęło.

Bolały ją podrapane do krwi nogi; strach pomyśleć, jak musi wyglądać. Za paznokciami czuła zaschnięte błoto, czuła je i na twarzy: musiała się umazać, kiedy ocierała łzy. Ale była żywa – i niemal zdrowa! Gotowa, by uznać własną głupotę i wracać do domu.

Na myśl o domu znowu łzy napłynęły jej do oczu.

Zanim jednak będzie mogła wrócić, miała do zrobienia coś ważnego. Złapała torbę, wyciągnęła z niej laptopa i cisnęła o ziemię, ekranem do dołu. Następnie wymacała w torbie długopis-latarkę z przymocowanym do niej miniaturowym scyzorykiem.

Ostrożnie, z rozwagą, odkręciła niemal po omacku pokrywę dostępu do twardego dysku.

Zrobiwszy to, wyciągnęła twardego dysku i mrużąc oczy, by dojrzeć miniaturowe śrubki, odkręciła z kolei jego pokrywę. Zdjęła ją. Jak teraz najlepiej zniszczyć dane, które mogły tak łatwo zrujnować jej przyszłość? Ścisnęła nóż i dźgnęła nim w płytę drukowaną. Zdrapała miniaturowe miedziane ścieżki, i jeszcze raz, i jeszcze. Następnie wklinowała ostrze pod szufladę i zaczęła ją na siłę wyciągać, aż wyskoczyła w jednym rogu. Teraz już łatwo było wyjąć małą okrągłą płytkę: pamięć podręczna? Scyzorykiem wykopała w ziemi wąski, ale głęboki dół i zasypała płytkę. Nikt jej tu nie znajdzie, a nawet jeśli ktoś ją kiedyś wygrzebie, zardzewieje do tego czasu i będzie nie do zidentyfikowania. Zmieni się w złom. To samo zrobiła z płytą drukowaną, którą wyrwała z obudowy i zagrzebała w ziemi o trzydzieści metrów dalej.

Teraz kamera: w ciągu kilku minut wszystkie zdjęcia były skasowane, a karta pamięci wyjęta i przełamana na pół. Cisnęła kamerę w jedną stronę, a wrak laptopa w drugą, najdalej jak mogła.

No. Teraz już nikt się nie dowie.

Ruszyła w kierunku domu, zbrojąc się wewnątrz na spotkanie tego, co ją czekało.

Wściekli rodzice, to jasne. A jeśli wciąż jest tam Kyle... ? Co im naopowiadał? Murowane, że starał się im przypodobać. Jest taki czarujący.

– Skurwiel – powiedziała na głos.

Czy kiedykolwiek była dla niego czymś więcej niż ciałem i bankowym kontem?

W lexusie nikt nie czekał, ruszyła więc do drzwi. Może uda się jej wykręcić za pomocą jakiejś historyjki, na przykład, że się pokłócili... o narkotyki. O, właśnie. Powie, że Kyle i jego kolega chcieli, żeby i ona wzięła, ale odmówiła, a oni byli narąbani i zaczęli się dziwnie zachowywać. Tak, to mogło zadziałać. Cokolwiek Kyle powiedział rodzicom, ona poda swoją wersję. Uwierzą jej, a nie jakiemuś draniowi, który okłamał ich córkę, a teraz również ich.

Była pewna, że potrafi zagrać tę scenę – dopóki nie stanęła w drzwiach i nie zobaczyła smętnej twarzy Kyle'a.

– Savannah! – krzyknęli naraz wszyscy troje: mama, Kyle i Carson. Carson, nie tata.

Savannah wybuchnęła płaczem.

– Ty cholerny kłamczuchu! – zawołała przez łzy, tak jakby nie słyszała ich okrzyku, i właściwie naprawdę nie słyszała. – Wykorzystałeś mnie! Jak mogłeś...

– Malutka, zaczekaj... – spróbował jej przerwać Kyle. Mama, siedząca dotąd na sofie, wstała.

– Kochanie... Boże święty, jak ty wyglądasz! Nic ci nie jest? Savannah popatrzyła po sobie. Nogi pokrywała skorupa zaschniętej krwi i błota, ramiona też.

– Wszystko w porządku – powiedziała i wytarła ręką nos. Wskazała na Kyle'a, który siedział po turecku na podłodze koło kuchni. – Co on ci powiedział? – I nie czekając na odpowiedź, podeszła do niego. – Kochałam cię, a ty się mną interesowałeś tylko... dla pieniędzy! – I seksu, rzecz jasna, ale nie potrafiła tego powiedzieć głośno. – Żebyście mogli sobie użyć razem z tym dupkiem... na koszt dziewczyny z kasą!

Kyle wstał.

– Nie! To znaczy, może na początku, ale...

– Idź do diabła! – krzyknęła i zaszlochła. – Ale najpierw oddawaj klucze.

– Aaron... był wściekły, zabrał je ze sobą.

– A ty mu pozwoliłeś – uzupełniła. Musiał czuć jej gniew, bo nie próbował się spierać.

– Malutka – powiedział tylko. Oczy miał duże, pełne smutku.

– Nie chcę cię więcej widzieć. – Stłumiła szloch i ruszyła do drzwi. Po chwili ogarnęły ją wyczekujące ramiona matki.

Napięcie niezadanych pytań wisiało w powietrzu, gdy jechali w trójkę lexusem do domu.

Uspokoiła się już nieco i była ciekawa, co powiedział im Kyle, a oni z pewnością chcieli się dowiedzieć, dlaczego w ogóle się tam znalazła. Przez jakiś czas jechali jednak w milczeniu, tak jakby samo oddalanie się od domu, w którym mieszkał Kyle, mogło wszystko uporządkować.

Gdyby tak... Przycisnęła policzek do chłodnej szyby. Gdyby sama odległość i wiedza o tym, kim naprawdę jest i czym się zajmuje, mogły zmienić to, jak się w tej chwili czuła. W

ogóle mu na niej nie zależało. Potrzebna mu była chętna sponsorka, która wyłoży kasę, rozłoży nogi i nie będzie zadawać pytań – i właśnie tak się zachowała. Boże jedyny, gdzie miała rozum? Czy miłość – miłość... zawsze tak ogłupia człowieka? Czy naprawdę tak łatwo oszukać siebie samą – i dać się oszukać komuś?

A może jednak Kyle coś do niej czuł? Miała nadzieję, że mimo wszystko tak. Nawet jeśli tak było, nie wystarczyło to najwyraźniej, żeby postępował wobec niej uczciwie.

To on zaprosił Aarona do hotelu, z góry planując zdjęcia. No dobrze, z początku mógł

myśleć, że ona należy do dziewczyn, które robią takie rzeczy... ale nie po tym, jak się pokłócili. A on i tak wgrał te zdjęcia do laptopa i użył ich jako tapety, i pozwolił, żeby Aaron zwracał się do niej per panna Piksel. I uważał, że szantażowanie jej rodziców za pomocą zdjęć to znakomity pomysł, i akceptował każdy punkt rzekomo dopiero co wymyślonego planu Aarona – zaczynała mieć wątpliwości, czy rzeczywiście był to świeżo wymyślony plan.

Nie przyszło mu do głowy, że to nieuczciwe, że ona może się z tym nie zgadzać.

Mama, siedząca na przednim siedzeniu obok Carsona, odwróciła ku niej głowę.

– Jak się czujesz?

Savannah wzruszyła ramionami.

– Jak głupia.

– Powiedział, że wyleciałaś z domu, bo jego kolega chciał od ciebie pożyczyć pieniądze i doszło do kłótni. Ale to nie wszystko, prawda?

– Musimy o tym teraz mówić? Jestem... jestem naprawdę zmęczona.

– Jasne, w porządku.

Dobroć i wyrozumiałość mamy sprawiły, że znowu ścisnęło ją za gardło. Spojrzała w bok.

– Chyba się trochę zdrzemnę.

Trwała w półśnie do końca drogi. Ściszone głosy mamy i Carsona były jak kołysanka.

Pragnęła, aby nigdy się nie skończyła.

56

KIEDY SAVANNAH, WYKĄPANA I OPATRZONA, LEŻAŁA JUZ W ŁÓŻKU, Meg dołączyła w bawialni do Carsona i Briana.

– Próbowałem dzwonić do Meg parę razy – mówił Brian – ale zasięg się rwał.

– Tak – potwierdził Carson. – Trzeba tam postawić więcej przekaźników.

Meg usiadła na sofie koło Carsona. Brian został w fotelu.

– Od razu wyszedłem z klubu, jak tylko się dowiedziałem – powiedział. Widać było, że boli go, iż to Carson stał się jej bohaterem: nerwowo zaplatał i rozplatał dłonie.

– No, Savannah jest już czysta, a najgorsze rany ma zabandażowane – westchnęła Meg. – Ale nadal niewiele mówi.

– Będziemy musieli pogadać, co z nią dalej zrobić – zauważył Brian. Najwyraźniej miał

na myśli: po wyjściu Carsona. Biedna Savannah... Zanim poszła do łóżka, uparcie twierdziła, że poza ranami, które widać, nic jej się nie stało. Meg wiedziała jednak, że dokonały się również szkody emocjonalne. Savannah czuła się zdradzona przez Kyle'a, co najmniej serce miała głęboko zranione.

– To ja jadę – powiedział Carson, wyłapując niezbyt subtelną aluzję Briana. Wstał.

Meg także wstała, wspierając się o poręcz sofy. Nogę miała jak z gumy, ale starała się tego nie okazywać.

– Odprowadzę cię.

Carson zerknął na Briana, ale ona nie. Nie przejmowała się, co Brian myśli o czymkolwiek, co się wiązało z Carsonem.

Świerszcze grały na wyścigi z cykadami, kto głośniej. Carson objął ją i przytulił. Jak dobrze było w jego ramionach, jak naturalnie. Teraz – i zawsze.

Nie wypuszczając jej z objęć, cofnął się o krok i wsparł o samochód.

– Wywarłaś dziś na mnie wielkie wrażenie.
– Co ja takiego zrobiłam?
– Chodzi o to, czego nie zrobiłaś. Nie krzyczałaś na nią ani nie zmuszałaś, żeby ci wszystko powiedziała.
– Wyobrażam sobie, jak ona musi się czuć... Potrzebuje trochę czasu, żeby to sobie poukładać. Po co wywierać na nią dodatkową presję?
– Słusznie – odparł. – Ale to musi być trudne: powstrzymać się. Wykazałaś niezwykle opanowanie.

– Dziękuję... – Głos uwiązał jej w krtani, skryła twarz na jego ramieniu. – Jest taka niedoświadczona – odezwała się po chwili, gdy odzyskała mowę. – To znaczy... była. Bóg jeden wie, co się działo już od dawna, a ja byłam kompletnie ślepa...

Stali w milczeniu, zamyśleni. Owady grały swoją piosenkę, niepomne na drobnostkę, jaką stanowiło ludzkie życie. Jak dobrze, jak prosto byłoby być owadem, pomyślała. Życie określone przez kilka spraw absolutnych: znaleźć żywność, znaleźć partnera, rozmnożyć się, umrzeć. Żadnych egzystencjalnych dramatów, żadnego poczucia winy, w ogóle żadnych uczuć. Nie da się ukryć, że czasem byłoby to błogosławieństwo.

– Kiedy się znowu zobaczymy? – spytał Carson. – W poniedziałek muszę polecieć do Seattle, żeby załatwić sprawę mojego mieszkania, ale mogę wpaść na parę dni za tydzień.

Potem lecę na Hawaje, mam koncert z okazji Dnia Pamięci. Nie mogę się od tego wykręcić.

– Nie musisz tu wracać – powiedziała, pamiętając, że nie lubi podróżować samolotem.

Ona i tak zajmie się przede wszystkim Savannah: kto wie, jakie mogą być skutki tej niefortunnej przygody. – Tyle latania... Przecież mogę poczekać.

– To żaden problem – powiedział, całując ją w czoło. – Nie sądzisz, że jesteś tego warta?

57

PIERWSZĄ RZECZĄ, JAKĄ ZROBIŁA SAVANNAH NAZAJUTRZ, gdy obudziła się o wpół do dwunastej w południe, był bieg pod prysznic. Odkręciła najgorętszą wodę, jaką mogła wytrzymać. Ach, gdyby tak mogła zmyć z siebie wszelki ślad Kyle'a i jego okropnego przyjaciela, również ten w sercu i w pamięci... Pochyliła się, zęby wyszorować palce u stóp, i dostrzegła pierwszy od dawna jasny promień: po wewnętrznej stronie ud spływał wodnisty strumyczek krwi.

Po kąpieli czuła się nieco bardziej jak człowiek, ale wciąż przede wszystkim jak zbity pies. Co z niej za idiotka! Gdyby ktoś kiedyś odkrył, że brała pod uwagę ucieczkę z tym przegranym typem, zostanie towarzyskim pariasem. Mądra, inteligentna Savannah... taak. A jakże.

Ledwie mogła spojrzeć sobie w oczy w zaparowanym lustrze. A ojcu? Jeśli się dowie, że jakiś ćpun oczyścił jej konto... Nie miałyby mu za złe, gdyby odebrał jej samochód. Gdyby tak mogła skasować swoje życie... A w każdym razie ostatnie kilka miesięcy. Wymazać wszystko, co zaszło od chwili, gdy zaczęła się bawić w te historie ze stroną internetową, wszystkie jej wyobrażenia o tym, jak to znajdzie sobie chłopaka dojrzałego niż jej rówieśnicy.

Kyle był dojrzały, jasne... Na samą myśl o nim bolały ją głowa i serce. Teraz rozumiała, dlaczego niektóre dziewczyny zaczynają pić, ćpać czy mają myśli samobójcze, kiedy rzuci je czy zdradzi chłopak, w którym były zakochane. Rozumiała pokusę takiej ucieczki, choć doskonale wiedziała, że to ślepy zaułek.

Kiedy wytarła się i ubrała, zrobiła wszystko, żeby wymazać Kyle'a ze swego życia: skasowała go w komórce i na liście szybkich kontaktów w komputerze, zablokowała jego adres mailowy i wszelkie pochodzące od niego wiadomości, które mogły przychodzić na adres jej strony. Zobaczyła w poczcie wiadomość od Rachel: „Zadzwoń!!!” i wysłała jej krótki liścik: „Wszystko OK. Do zobaczenia później”.

Rodziców zastała przy kuchennym barze – oboje! W niedzielę! Na jej cześć, to jasne.

Była pewna, że nigdy w niedzielę nie widywała ojca wcześniej niż o piątej. Mogło to oznaczać tylko jedno: że zagrają przeciwko niej debla. Pochyliła głowę i czekała.

– Grunt to porządny prysznic? – spytała mama, odrobinę za wesoło.

– Yhm. – Podeszła do spizarni i wyjęła płatki śniadaniowe, raczej po to, żeby się czymś zająć, niż dlatego, że była głodna.

– Rozmawialiśmy właśnie z tatą i pomyśleliśmy, że nieźle by nam zrobiło, tobie i mnie, gdybyśmy wyjechały na małe wakacje.

Wakacje? Wciąż unikając ich spojrzeń, wyjęła z szafki miskę i łyżkę, a z lodówki mleko.

Mama mówiła tak przyjaźnie... ale za chwilę na pewno będzie gniew, kazanie, jakaś kara. Te „wakacje” to pewnie wyprawa po wiadomości o ewentualnych szkołach z internatem, do których mogłaby zostać

przeniesiona.

– Dokąd? – spytała, siadając obok mamy. Nasypała płatków do miseczki i zalała mlekiem.

– Myślałam o Hawajach. Nigdy tam nie byliśmy... a w mojej, hm, kondycji, w przyszłości trudno mi będzie podróżować.

Savannah podniosła wzrok. Mama wyglądała tak szczerze, patrzyła tak miło. Zamiast prawić jej kazanie, proponowała wyjazd... Boże, jaką jest okropną córką.

– To wspaniale – głos jej się odrobinę zachwiał. – A kiedy?

– Za jakiś tydzień.

Coś ścisnęło ją w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

– Fajnie. Dziękuję.

Tato jak dotąd się nie odezwał i nagle przyszło jej do głowy, że być może wcale mu się nie podoba ten plan i dlatego milczy. Nie miała jednak odwagi na niego spojrzeć; jakie to kłopotliwe, że wiedzą, iż Kyle wystrychnął ją na dudka. Kłopotliwe i przykre. Pewnie tato mają za debilkę, nie mądrzejszą od pierwszej lepszej pindy. Ojciec nigdy by się nie postawił

w tak niekorzystnym położeniu.

– Opuszczę szkołę? – Nie miała nic przeciw temu.

– Mama chce ci załatwić zdawanie egzaminów po powrocie – powiedział ojciec.

Odważyła się rzucić na niego okiem. Wyraz twarzy miał neutralny – lepiej niż oczekiwała.

– W porządku. Dobrze.

Zaczęła jeść, nie podnosząc oczu znad płatków, świadoma, że rodzice cały czas na nią patrzą. Czego oni tak wypatrują? Po trzeciej łyżce nie wytrzymała.

– Nie możecie przestać mnie obserwować? Rozległ się szurgot odsuwanego stołka.

– Pogadasz z nią? – spytał tato.

– Tak... zajmij się swoimi sprawami. Pojedziemy o czwartej. Patrzyła w ślad za odchodzącym ojcem.

– Gdzie pojedziemy o czwartej?

– Po twój samochód.

– Nie mogę tu zostać? Mama zmarszczyła brwi.

– Nawet gdybym mogła sama prowadzić, odpowiedź brzmiałaby: nie.

No, zaczyna się. Rozmowa, którą mama zamierzała przeprowadzić z nią

od paru tygodni.

Najpierw sprawy praktyczne: czy stosowali z Kyle'em jakieś mechaniczne środki antykoncepcyjne?

– Tak – odpowiedziała, wodząc palcem po srebrzystym marmurkowym wzorze blatu. – Ale czasem nie.

Ile razy się zdarzyło, że była niezabezpieczona?

– Ze trzy, może więcej. – Nie była pewna. – Ale on za każdym razem przerywał, no wiesz, zanim... – W każdym razie tak jej się wydawało.

Mama patrzyła na nią twardym wzrokiem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że mogłaś nie tylko zajść w ciążę, ale na dodatek zarazić się HIV-em, wirusowym zapaleniem wątroby, chlamydiami, opryszczką, syfilisem i rzeżączką?

– Przepraszam! – Rozpłakała się. – Tak super wyglądał! Mówił, że lubi te same rzeczy co ja... A poza tym nie jestem w ciąży.

– Nie? Masz okres? No cóż, to rzeczywiście jakaś ulga. Za mniej więcej pół roku, jeśli kilkakrotne testy na obecność wirusa HIV, zapalenia wątroby i opryszczki dadzą wynik negatywny, będziesz mogła skreślić z listy zmartwień również i te sprawy.

Savannah skurczyła się pod ciężarem tej informacji.

– Teraz nie będę wiedziała, czy coś złapałam czy nie?

– Chciałabym móc ci powiedzieć, że jest inaczej. Syfilis, chlamydie i rzeżączka dają objawy stosunkowo szybko: w ciągu paru tygodni. Jutro dostaniesz zapobiegawczo antybiotyki na to, co poddaje się leczeniu. Co do reszty, tylko czas nam powie, jak jest.

– Boże. – Savannah zwiesiła głowę. – Przepraszam. Przepraszam... Mama dotknęła jej ramienia.

– Kochanie...

Porozmawiały chwilę o jej stronie internetowej i mama powiedziała, że będzie musiała na jakiś czas odciąć ją od komputera, „dopóki nie ustalimy, w jaki sposób cię skutecznie bronić przed tobą samą”.

A więc będzie musiała znieść i to.

– A teraz posłuchaj. Muszę ci zadać jeszcze jedno trudne pytanie.

Słuchasz?

– O co chodzi? – spytała.

– Wszystko, co robiłaś... zgadzałaś się na to wszystko, tak?

– Tak – odparła, biorąc pełną odpowiedzialność za sprawy, o których mama nigdy się nie dowie.

– I naturalnie kłamałaś co do tego, gdzie spędzasz czas, żeby móc się z nim spotykać. – Ból w głosie matki był tym, co bała się usłyszeć.

– Mamo... – Wzruszyła ramionami. – Słuchaj, wiedziałam, że robię źle, ale... przecież ty byś mi nigdy nie pozwoliła się z nim spotykać, no i wiesz... kochałam go. Czułam się przy nim taka wyjątkowa... i ważna. – To już niestety przeszłość. Otarła policzki.

Mama przyłożyła rękę do ust i pokiwała głową.

– No tak – powiedziała w końcu. – No tak. Nie akceptuję twojego postępowania, ale mogę je zrozumieć. I... przepraszam, że w jakiś sposób, przyczyniliśmy się do tego oboje z tatą. Jesteś super wyjątkowa i superważna. Nic nie jest ważniejsze od ciebie. Naprawdę.

Wybacz mi.

Savannah otarła kolejne łzy.

– Nie ma sprawy.

– Nie, jest sprawa. Postaram się być lepsza. Obiecuję.

– Dobrze – wyszeptła. – Ja też. Mama objęła ją i pogłaskała po głowie.

– Cieszę się.

Savannah wróciła do swojego pokoju i padła na łóżko. Hawaje – to brzmiało dobrze.

Może uda się im ułożyć sprawy na nowo... Może zdoła wyjaśnić – i sobie, i mamie – dlaczego już teraz tęskni za tym, co, jak się jej wydawało, miała z Kyle'em.

Miłość... Jaka ona jest skomplikowana, oszukańcza, zwodnicza. Jak w ogóle ludzie potrafią sobie z tym poradzić? Jak można rozpoznać, kiedy jest prawdziwa? Założyła słuchawki i włączyła swoje ulubione ballady, tak jakby muzyka mogła to wyjaśnić. Wyszła z pokoju dopiero wtedy, kiedy nadeszła pora, by jechać po samochód.

Znacznie później, gdy zobaczyła, że mama stawia wazon z irysami przed fotografią babci Anny, przypomniała sobie, że to Dzień Matki.

58

W PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU SAVANNAH ZDRZEMNĘŁA SIĘ na dmuchanym fotelu na basenie. Meg, siedząc w kuchni, przerzucała dzienniki matki i od czasu do czasu zerkła na córkę, tak jakby fakt, iż mają w zasięgu wzroku, był równoznaczny z zapewnieniem jej bezpieczeństwa, tak jak niegdyś. Ale nawet jeśli patrzyła na nią w ciągu ostatnich kilku miesięcy, najwyraźniej jej nie widziała. ALS nie wywoływało ślepoty, mogła więc winić wyłącznie siebie samą.

Między czystymi kartkami ostatniego zeszytu – symbolem czasu, do którego matka już nie dotrwała – tkwił wycinek z gazety. Nekrolog matki.

„Ocala Star”, poniedziałek, 12 września 2005

Powell, Anna Louise, l. 64. Anna Louise Powell, z domu Jansen, zmarła w nocy z soboty na niedzielę w wyniku nagłego ataku serca.

Urodzona 21 lipca 1941 r. w Clemson wPld. Karolinie jako córka Williama i Alice Jansenów, w wieku lat 15 przeprowadziła się wraz z rodziną do okręgu Marion. W1963 r.

wyszła za mąż za Spencera Powella, rodem z Pittsburgha (Pensylwania). Od 1912 r. państwo Powell prowadzili własną hodowlę koni. S. p. Anna Powell była członkinią Koła Pań Okręgu Marion, gdzie działała w Komitecie na Rzecz Poprawy Warunków Życia na Wsi, Klubu Miłośników Książki, Stowarzyszenia Hodowców Środkowej Florydy, a także pracowała jako wolontariuszka w kilku stowarzyszeniach zajmujących się pomocą osobom starszym w okolicy Ocala.

Pani Powell była ogólnie lubianą, serdeczną, wszystkim życzliwą osobą, której będzie nam bardzo brakowało. Osierociła męża Spencera, cztery córki: dr Meghan Hamilton z Ocala, Karę Linford z Sacramento (Kalifornia), Elizabeth Powell z Berkeley (Kalifornia) i Julianę Portman z Ouebeku (Kanada), ich mężów oraz ośmioro wnuków.

Wizytacja odbędzie się dziś o godz. 19. 00 w Domu Pogrzebowym Montecito.

Nabożeństwo żałobne i pogrzeb we wtorek 13 września, o godz. 11, w kościele Matki Bożej Łaskawej.

Naturalnie widziała już kiedyś ten nekrolog, ale fakt, że się tu znajdował, był dowodem, że ojciec dobrze wiedział, co zawierają zeszyty, że dał je córce z rozmysłem. Chciał, aby lepiej poznała matkę – a także jego, dzięki matczynej czulej, ale i uczciwej rekomendacji.

Zapewne nie przewidział efektu ubocznego – że w ten sposób pozna lepiej również samą siebie. Była mu jednak wdzięczna także za to.

Bardzo ją pokrzepiły te pozytywne skutki. Wierzyła teraz, że dobre intencje mogą prowadzić do dobrych rezultatów, i czasem rzeczywiście prowadzą. Los może nas nie tylko ukarać, ale i wynagrodzić. Spojrzała na Savannah, dryfującą po spokojnej błękitnej wodzie, i pomyślała: ona także potrzebuje tej lekcji.

– Dzięki, tato – szepnęła.

Część IV

*Jedno jest lekarstwo na miłość:
kochać jeszcze bardziej.*

Henry David Thoreau

59

W TYGODNIU POPRZEDZAJĄCYM WYJAZD NA HAWAJE Meg starała się jak najwięcej rozmawiać z Savannah. Wyprawy do sklepu, przygotowywanie posiłków, porządkowanie bielizniarki – a także fakt, że Savannah była odcięta od komputera, telefonu i nie chodziła do szkoły – wszystko to sprawiło, że spędzały teraz ze sobą więcej czasu niż kiedykolwiek.

Nie poruszała sprawy kłopotów, w jakie popadła Savannah – dziewczyna omawiała to z psychologiem, który chciał, aby spotkania odbywały się bez rodziców. Meg nie wspominała też na razie o ALS, choć wiedziała, że zbliża się pora, kiedy będzie musiała to zrobić. Objawy choroby narastały małymi kroczkami, ale systematycznie, niemal z dnia na dzień, i Meg zdawała sobie sprawę, że Savannah coś dostrzega: coraz więcej czynności fizycznych matka pozostawiała jej. Prowadzenie samochodu, krojenie, odmierzanie, ucieranie, naciskanie guzików – przy obsłudze telewizyjnego pilota, bankomatu, telefonu... Savannah przyglądała jej się podejrzliwie, niemal dokładnie tak, jak Meg przyglądała się ojcu. Pewnego ranka, kiedy wybierały się na zakupy, poprosiła córkę, żeby jej związała włosy – dziwnie intymne odwrócenie ról. Savannah zrobiła to, po czym spytała: „Mamo, czy oni nie mogą czegoś zrobić z tą twoją ręką... ?” Mógł to być dobry moment na ujawnienie prawdy, ale prawda wciąż jakoś nie mogła przejść Meg przez usta.

Poza tym rozmawiały o wszystkim. O chłopakach, o studiach, o polityce, ekologii, muzyce... Kiedy czekały na odprawę lotniczą, Savannah zapytała o Carsona.

– Będziemy się tam z nim widywać, prawda? To znaczy, poza koncertem?

– Chyba tak... Ale na pewno będzie bardzo zajęty.

– Co właściwie zaszło między nim a Val? – spytała Savannah, wspierając nogę na podróźnej torbie. Przez okna portu widać było słońce po pasach startowych odrzutowce – ku radości dwóch chłopczyków, którzy stali z nosami przyklepionymi do szyby.

– Głównie chodzi o to, że zdał sobie sprawę, że nie są zbyt dobrze dopasowani. Uznał, że Val zasługuje na kogoś, kto odwzajemni jej uczucia w stu procentach.

– A on nie mógł? No wiesz... ona tak fantastycznie wygląda... Meg odpowiedziała tak, jak mogłaby odpowiedzieć jej matka:

– To prawda, ale miłość chodzi własnymi drogami. Nie da się jej ani na siłę przywołać, ani na siłę zwalczyć... w każdym razie trudno o pełny sukces w tej sprawie. – Wiedziała o tym doskonale z doświadczenia.

Spojrzała na zegarek.

– Za chwilę będziemy wsiadać. Podasz mi rękę, kiedy będziemy wchodzić po schodkach, dobrze?

– Kochasz Carsona? – spytała Savannah.

Meg znieruchomiała.

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie, to oszustwo. – Savannah wyjęła bilety z torby matki.

– Po prostu się dziwię, dlaczego... dobrze, oczywiście, że tak. Znam go od zawsze. Jest jak członek rodziny i...

– Mamo – powiedziała Savannah, patrząc jej prosto w oczy. – Staram się być z tobą szczerą we wszystkim. Nie jestem dzieckiem. Wiem, że między tobą a tatą specjalnie nie iskrzy. Możesz mi powiedzieć prawdę.

Meg popatrzyła na córkę, na autentyczną troskę w jej oczach, i zdała sobie sprawę, że to chwila spełnionych marzeń.

– Masz rację – przyznała. – Ale zanim powiem, co czuję do Carsona, pozwól, że ci opowiem, jak się to zaczęło. – I rozpoczęła opowieść, którą od tak dawna pragnęła przekazać Savannah.

Przyjemność pobytu na Hawajach miała niewiele wspólnego z samymi Hawajami, natomiast bardzo wiele z tym, że obie – i matka, i córka – zostały wyjęte z ram codziennego życia. Meg patrzyła na Savannah zmagającą się z falami na plaży Hauula i czuła, że wszystko, co było wcześniej, zniknęło, rozwiało się. Nie liczyło się nic poza przetaczaniem się fal i łagodną bryzą Pacyfiku, która pieściła ich zbrązowiałe od słońca ciała. Przeszłość odeszła, przyszłość jeszcze nie nadeszła – żyły chwilą bieżącą, czy oglądały zachód słońca ze stacji Straży Wybrzeża na Kenea Point, czy obserwowały przez teleskop Saturna w jednym z obserwatoriów Mauna Kea – astronomowie z przyjemnością umożliwili Carsonowi i jego przyjaciółkom podróż po nocnym niebie – czy też siedziały wczesnym rankiem z Savannah na piasku, a z tyłu za nimi wznosiła się majestatycznie Diamentowa Głowa. Wtedy właśnie Meg powiedziała Savannah o ALS.

Czy kiedykolwiek w życiu stało przed nią trudniejsze zadanie? Nawet porzucenie dawno temu Carsona było czymś zupełnie innym.

Przez chwilę patrzyły na zaróżowione fale łagodnie bijące o brzeg, na

mewy spacerujące po wilgotnym piasku, gdzie każda kolejna fala zostawiała pianisty ślad. Wreszcie Meg powiedziała:

– Muszę ci coś wyznać. To, co ci mówiłam o moich kłopotach z ręką i nogą, było kłamstwem.

– Tak... ? A jaka jest prawda?

Meg wydeła wargi. Chwilę milczała, w końcu ruszyła naprzód.

– To się nazywa choroba Lou Gehriga. – I opisała ją najprościej jak mogła.

Savannah patrzyła na nią wielkimi oczami. Rosły w nich niedowierzenie i strach.

Wreszcie usta jej się wygięły i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie, mam... – Pokręciła głową. – Nie... ty nie możesz... O Boże, o Boże! A ja byłam...

Boże, taką okropną córką! – Odkryła zalaną łzami twarz. Meg sama z trudem powstrzymywała się od szlochu: miała wrażenie, że stalowe imadło ściska jej piersi. W końcu poddała się. Wzięła Savannah w ramiona i zakołysała.

– Nie, nie – szepnęła w jej faliste włosy. – Jesteś najlepszą córką na świecie.

Płakały razem, póki nie zabrakło im łez. A wtedy, ponieważ żadna nie wiedziała, co robić dalej, spojrzały na siebie i uśmiechnęły się – nad swoim złym szczęściem, nad absurdalnością życiowych dróg. Nic innego im nie pozostało.

Wzięły się za ręce i poszły wzdłuż plaży. Savannah zatrzymała się nagle i zapytała: – Czy to będzie straszne? Czy będzie bolało? – A Meg zapewniła ją, że nie i że kiedy przyjdzie jej pora, będzie dokładnie na odwrót. Była to jakaś pociecha i obie poczuły się trochę lepiej.

Meg wiedziała, że pogodzenie się Savannah z tym, co nieuniknione, jest chwilowe, że ma miejsce tu i teraz, w tej błogosławionej chwili zawieszenia czasu, ale była wdzięczna losowi, że obie zaznały go choć przelotnie. Darem młodości jest zdolność zapomnienia – a nawet jeśli nie zapomnienia, to kontynuacji. Savannah zaczynała robić to, co ona: cenić długie, spędzane razem dni, nie myśląc zbyt wiele o tym, że nad głową matki wisi miecz.

Nadal wiele ze sobą rozmawiały. Savannah wyjawiała, że starcie z Kyle'em i jego kolegą dotyczyło wyuzdanych zdjęć i próby szantażu. Przyznała się, że wykorzystywała karty kredytowe matki. Przepraszyła ją za to, że robiła rzeczy, które sama uważała za naganne.

„Kłamałam, oszukiwałam... i wszystko potrafiłam usprawiedliwić, zracjonalizować! Tak mi przykro, naprawdę... Przepraszam”. Meg wybaczyła jej – czyż dziewczyna nie została już dostatecznie ukarana?

Chodziły po sklepach, pływały – a raczej pływała Savannah; Meg wolała teraz czuć pewny grunt pod stopami. Żeglowały, jadły miejscowe potrawy – *poi* z ananasem i rybą, która jeszcze kilka minut wcześniej pływała w morzu. Czasem, choć niezbyt często dołączał do nich Carson. Szanował ten bąbel czasu, w jakim znalazła się z córką. Jego i jej czas miał

nadejść później, gdy Meg zawiezie Savannah do Beth, by zwiedziła kampus Berkeley i pomogła ciotce w pakowaniu.

Meg nie przypuszczała, że dwa tygodnie na Hawajach mogą złagodzić jej żal za czasem, którego nie spędziła wspólnie z córką, ale się myliła. Siedząc teraz na plaży i patrząc, jak Savannah w glorii zachodu próbuje surfować pod okiem poznanej tu dziewczyny, czuła spokojne zadowolenie. Niskie wieczorne słońce grzało jej plecy, skóra pachniała mleczkiem kokosowym, świat – w każdym razie jej świat – był w porządku. To, co robiła lub czego nie robiła z córką przed dwunastu, ośmiu, dwoma laty, przed miesiącem – nie mogło zmienić ani wymazać radości chwili bieżącej. Życie można nieustannie projektować na nowo. Przeszłość nie zniknęła – po prostu przybrała właściwe proporcje. Dopiero teraz można było ją ocenić.

A przyszłość? Ciało nie pozwalało zapomnieć, co ją czeka, ale w tej chwili wydawało się to bez znaczenia. Nie musi wędrować tą drogą, gdy znajduje się tutaj. Na tym polegała rozkosz pobytu na Hawajach.

60

SAVANNAH ZASNEŁA NA GÓRZE W GOŚCINNYM POKOJU BETH. Meg siedziała przy kuchennym stole z głową przepełnioną myślami, kłębiącymi się niczym rzeka wezbrana po ulewnych deszczach.

Czas jak zwykle okazał się nieubłagany: nawet hawajska idylla nie mogła trwać wiecznie.

Znowu powróciła jej przyszłość, tyle że obecnie była to teraźniejszość tej mglistej nocy w małym domku na zboczu Panoramie Hill, o kilka minut drogi od kampusu Berkeley, gdzie jej siostra nalewała ciepłe mleko do dwóch brązowych kamionkowych kubków.

– „Wiem, że trochę zoczyła z kursu – powiedziała Beth, stawiając przed nią kubek – ale spokojnie. Wychowałaś fantastyczne dziecko. Naprawdę nie musisz się o nią martwić.

– Może nie... Ale jest tyle rzeczy, których nawet fantastyczne dziecko nie

potrafi ogarnąć.

Zasadniczo istniało mnóstwo rzeczy, które nie poddawały się niczyjej kontroli, ale nie o tym chciała mówić. Poprosiła Beth, by została z nią pomimo późnej pory, bo musiała przedyskutować z nią jedną z tych spraw, które mogła kontrolować.

Obróciła kubek w dłoniach.

– Jestem ci taka wdzięczna, że wracasz do Ocala. Tato bardzo na ciebie czeka.

– To ty jesteś dla mnie najważniejsza, wiesz o tym. Meg opuściła wzrok na kubek.

– Dziękuję, ale mnie najbardziej leży na sercu dobro Savannah. I właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. – Podniosła wzrok i spojrzała jej w oczy. – Zamierzam cię ustanowić prawną opiekunką Savannah i muszę wiedzieć, czy się na to zgadzasz.

Beth wyciągnęła ręce i ujęła oburącz dłonie Meg.

– Czuję się zaszczycona.

– To nie chodzi o zaszczyt – westchnęła Meg.

– Wiem. – Beth uściśnęła jej dłonie i je puściła. – Ale ona ma już szesnaście lat; są duże szanse, że nie tylko Brian, ale i ty doczekasz jej osiemnastki.

Meg już chciała powiedzieć, że jeśli o nią chodzi, przyszłość nie jest tak różowa, ale powstrzymała się od tej uwagi.

– Muszę to wiedzieć na pewno, niezależnie od moich szans – powiedziała. – Zaopiekujesz się za mnie Savannah? Bez względu na to, kiedy to nastąpi?

– Meg, wiesz, że oddałabym ci duszę, gdybyś o nią poprosiła. – Oczy Beth były wielkie, szczerze i pełne smutku. – Strasznie mi żal, że musisz o tym wszystkim myśleć... ale chcę, abyś wiedziała, że cię podziwiam i cenię za tę zapobiegliwość i troskę o przyszłość. Zawsze byłaś taka rozumna.

Nie, nie zawsze.

Nie było jednak sensu rozwodzić się nad tym, czego nie mogły naprawić ani ciepłe mleko, ani siostrzane obietnice.

Po powrocie poszła odwiedzić ojca. Wyszedł po nią na parking. Za nim pięły się po słupie latarni pędy kwitnącej passiflory; błękitne kwiaty wielkości dłoni zwiastowały nadejście lata. Ojciec pomachał ręką, gdy wysiadała z taksówki, i podszedł, aby jej pomóc.

– Jak tam podróż? – spytał. Wróciła od Beth poprzedniego dnia, późnym

wieczorem.

– Fantastyczna. Masz pozdrowienia od Beth i Savannah.

– Kiedy przyjeżdża Beth?

– W przyszłym tygodniu, we wtorek. Zapiszę ci.

Powoli podeszli do chodnika. Mocno już utykała, ale zamiast złościć się na siebie, wykorzystwała ten czas, aby się rozejrzeć po okolicy. Przy wejściu pojawiła się kwitnąca zieleń: z jednej strony donice z pasiastymi biało-fioletowymi petuniami, z drugiej długa skrzynka z jakimiś roślinami o kwiatach czerwonych, białych i niebieskich – pewnie na Dzień Pamięci. A może zawczasu pomyślano o Czwartym Lipca? Nowością były też dwa karmniki dla ptaków; w blasku zachodu lśniły miedziane daszki. Nawet tu, gdzie każdy z mieszkańców przeżywał, by tak rzec, własny zachód, wielu umiało docenić naturę, upiększyć otoczenie – żyć, dopóki byli żywi. Podobało jej się to i miała nadzieję, że przejawia się to również jako kultywowanie przyjaźni, wzajemnej życzliwości i troski.

– Naprawdę to już zaczyna być problem z tą twoją nogą – zauważył ojciec.

Naprawdę to zaczynał być problem ze wszystkim.

– Jutro idę na fizykoterapię.

– Powinnaś była pójść wczoraj – zażartował i uściśnął ją lekko za ramię, na znak, że to czuła drwina. Nigdy nie umiał okazywać uczuć, zwłaszcza czułości.

W środku usiedli przy stole i zaczęli sączyć dla ochłody nowy ulubiony koktajl ojca: mięta, limonka i rum Mojito.

– Chcę ci podziękować, tato – powiedziała Meg. – Za to, że spłaciłeś Bruce’a i że dałeś mi dzienniki mamy.

Spojrzał na nią zaskoczony i odrobinę zmieszany jej otwartością – No tak... jasne.

– Uszczęśliwiłeś ją. Nie tylko dlatego, że to zrobiłeś... choć myślę, że jeśli patrzy na nas z góry, z pewnością jest zadowolona. Mam na myśli to, że zawsze była z tobą szczęśliwa.

Czytałeś te dzienniki?

– Może trochę rzuciłem okiem – przyznał.

– W takim razie wiesz o tym. Kochała cię, mimo wszystko. I ja też cię kocham, mimo wszystko. – Patrzyła mu prosto w oczy, by czuł wagę i prawdziwość tych słów. – Nikt z nas nie wiedział, jak się ułożą sprawy; na początku wyglądały naprawdę dobrze. Długo byłam na ciebie zła, ale już nie

jestem.

– Meggie, Meggie... – Patrzył na kieliszek, jakby to był najbardziej fascynujący przedmiot w całym pomieszczeniu. – Zawsze byłaś dla mnie za dobra... całkiem jak mama.

Dla takiego postrzeleńca jak ja... Wiesz, że ona na ciebie czeka – dodał, podnosząc wzrok.

Uśmiechnęła się.

– Może. – To była dobra myśl, miła i kojąca.

– Na pewno. – Pokiwał głową. – Widziałem ją którejś nocy... nie uwierzysz mi, ale naprawdę ją widziałem. Obudziłem się chyba o czwartej nad ranem... to przez ten cholerny pęcherz... gdybym wiedział, że nie będę musiał siusiać co pięć minut, chyba bym wołał z powrotem mieć te kamienie... no, w każdym razie obudziłem się, patrzę, a to ona. Siedzi na łóżku i trzyma ten kocyk, co to go zawsze ze sobą wszędzie nosiłaś.

– Jaki kocyk?

– Nie pamiętasz? Taki flanelowy, żółto-niebieski, w małe różowe różyczki. Zdaje się, że to był prezent od cioci Brendy, kiedy się urodziłaś. Wszędzie go ze sobą nosiłaś, aż w końcu zostały tylko strzępy. Ale teraz był nowy – dodał, drapiąc się w głowę. – „To kocyk Meggie?”, pytam. A ona mówi, że tak. „Pewnie na nią czekasz”, mówię. A ona powiedziała, że tak.

Meg ledwie sobie przypominała swój dziecięcy kocyk. Pamiętała raczej dotyk ciepłej, miękkiej flanelki na policzku, niż to, jak wyglądał. Jeśli zaś chodzi o widzenie ojca, nie miała zamiaru podawać go w wątpliwość. Sprawiał wrażenie, że jest przekonany o jego prawdziwości, i choć jej racjonalny umysł lekarza podpowiadał, że to wyłącznie piękna fantazja, a być może po prostu sen, przyjemnie było dopuścić możliwość, że mogło tak być naprawdę. Właściwie była coraz bardziej ciekawa, co ją spotka po tamtej stronie, kiedy przyjdzie czas.

– Chcesz, żebym jej przekazała coś od ciebie? – spytała.

– Nie. Widuję ją wystarczająco często. – Podniósł się i stanął za krzesłem Meg. – Mam nadzieję, że i ty wpadniesz od czasu do czasu – powiedział i pocałował ją w czubek głowy. – Lubię, jak się mnie odwiedza. Zaraz wracam. – Ruszył w kierunku łazienki, ale zatrzymał się i odwrócił. – Coś mi się przypomniało: kiedy przyjeżdża Beth?

Na kuchennym blacie leżała gazeta, otwarta na stronie z nekrologami. Meg w pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego Brian ją tak zostawił. Jaką makabryczną wiadomość chciał jej przekazać? I wtedy zobaczyła: „Matka

czworga dzieci z Silver Springs pokonana przez chorobę Lou Gehriga”.

Musiał zwrócić uwagę na ten nagłówek. Wspomnienie pośmiertne było długie, zredagowane z uczuciem, niewątpliwie przez rodzinę Lany. Wyliczało ze szczegółami wszystko, czego dokonała w swoim krótkim życiu: najpierw zuchy, potem harcerstwo, Klub Hiszpański, gimnastyka artystyczna, wolontariat w szpitalu, nauczycielka najmłodszych w szkółce niedzielnej, żona, matka, wdowa, mężna ofiara choroby, o której wiadomo tak niewiele. Pewnie Brian pomyślał, że ją to może zainteresować, zwłaszcza fragment, w którym była mowa o tym, iż Lana „umarła spokojnie, w otoczeniu dzieci, siostry, ojca i teściów”. Nie było samobójstwa. Nie będzie piętna.

No cóż, dla Lany to był rzeczywiście właściwy wybór. Prawdopodobnie... Jeśli wierzyć Penny, Lana żyła i umarła na własnych warunkach, tak jak chciała. I dokładnie tak zamierzała postąpić Meg: ustalić własne warunki. Lepiej późno niż wcale.

Pomyślała o Penny i córeczkach Lany. Co się z nimi teraz stanie? Tak skromnie żyją... i będą sobie musiały nadal radzić, gdy ona, Meg, ma o wiele więcej, niż potrzebne jest człowiekowi. Podeszła do telefonu.

– Dzień dobry, czy to Penny? Mówi Meg Hamilton.

– Och, jak to miło! Nie sądziłam, że pani jeszcze raz do nas zadzwoni. – Ze w ogóle jeszcze kiedykolwiek zadzwoni... to zapewne miała na myśli. – Czytała pani w gazecie?

– Tak, Strasznie mi przykro z powodu waszej straty.

– Dziękuję, złotko. Naprawdę umarła spokojnie. W jednej chwili płuca pracowały, w drugiej pyk! stanęły i koniec, wie pani?

Meg wiedziała.

– A jak dziewczynki? – spytała.

– Nicole jest przygnębiona, ale to przejdzie. A Colleen pisze wiersz, żeby go przeczytać na pogrzebie. Dać ją do telefonu, żeby pani przeczytała?

– Nie... – Chyba nie zdołałyby tego w tej chwili wytrzymać. – Nie... ale ciekawa jestem, czy zatrzymuje pani dziewczynki, czy... ?

Penny westchnęła.

– Tak, zatrzymuję. To obłąd, prawda? Jak ja sobie ze wszystkim poradzę: z nimi, z pracą, z tym, żeby odzyskać Lee... po prostu nie mam pojęcia. Ale z Bożą pomocą... może się jakoś uda.

Z Bożą pomocą.

– Ja też chciałabym troszkę pomóc, jeśli pani pozwoli.

– Pani? – Lana była wyraźnie zaskoczona. – Złotko, to strasznie miłe z

pani strony, ale przecież ma pani własny krzyż do dźwigania. Musi pani myśleć o sobie.

– Nie mogę już prowadzić. Moja ręka... zresztą sama pani wie.

Zamierzam przepisać na panią mój samochód. Wszystkie cztery dziewczynki spokojnie się w nim zmieszczą.

– Ależ Meg...

– Proszę, niech mi pani pozwoli to dla nich zrobić... i dla pani. Będzie... będzie mi z tym łatwiej.

– No cóż, w takim razie dziękuję. Wielkie nieba... – westchnęła Penny. – Nie odmówię takiego prezentu. A teraz niech mi pani powie, złotko, jak ja mogę pani pomóc?

– Już mi pani pomogła.

Brian wrócił wcześniej z pracy, żeby być w domu, kiedy Meg będzie się przeprowadzać do Carsona.

– Mogę cię odwieźć – powiedział.

– Nie, dziękuję. – Samo czekanie w holu na taksówkę, ze stojącą przy drzwiach wypakowaną torbą, było wystarczająco niezręczne.

Brian usiadł na kanapce naprzeciwko niej.

– Pewnie myślisz, że cię nienawidzę, ale tak nie jest.

– Wcale tak nie myślę. Ale masz prawo być... nieszczęśliwy. To zrozumiałe.

Chciałabym... życzę ci, żeby sprawy obróciły się na dobre dla ciebie.

Pochylił głowę.

– Dla mnie? – zaśmiał się smutno. – Ja sobie poradzę. To ty zasługujesz na takie życzenia.

– Przyjmuję je. I dziękuję. – Wiedziała, że ma na myśli jej chorobę, ale ona próbowała mu powiedzieć, jak się cieszy, że stać go było, aby zaproponować jej podwiezienie do Carsona. I jakim szczęściem stały się dla niej dni spędzone wspólnie z Savannah. Spełniło się tak wiele z tego, czego pragnęła; chciała, aby wiedział, że jest mu wdzięczna.

– A więc... – pochylił głowę – dasz mi znać, kiedy mam się ciebie spodziewać?

Skinęła głową.

– Bardzo tu będzie cicho przez ten tydzień... znowu.

– Nawet tego nie zauważysz. Przeważnie bywasz poza domem.

– Zauważę.

Na zewnątrz rozległ się klakson. Meg wzięła do ręki laskę, wsparła się na

niej i wstała.

– Gdybyś pomógł mi z torbą, byłoby cudownie.

Pomógł. Wyniósł torbę na zewnątrz i zniósł po schodkach do auta.

Stanęli przy otwartych drzwiach. Meg nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek, mocno, z czułością i smutkiem. Gdyby potrafiła kochać go bardziej. Gdyby on pokochał kiedyś inną.

61

WITAJ W DOMU – POWIEDZIAŁ CARSON TROSZKĘ NERWOWO, otwierając drzwi szopy. Meg nie weszła od razu: przystanąła na schodku i wspierając się na lasce, zajrzała do środka.

Używała jej od powrotu z Hawajów. Nie cierpiała jej, ale bez laski mogła przejść w miarę pewnie najwyżej parę kroków.

– Wygląda dokładnie tak samo jak kiedyś – powiedziała. – Gdyby i ze mną tak było...

– Ty wyglądasz lepiej niż kiedyś – stwierdził z przekonaniem. Bo naprawdę, jeśli nie liczyć laski i temblaka, które sprawiały wrażenie, że pomagają jej wrócić do formy, powiedzmy, po wypadku, wyglądała świetnie. Ledwie mógł uwierzyć, że jest umierająca; to kompletnie nie miało sensu. – Prawdę mówiąc, nigdy nie wyglądałaś tak pięknie jak teraz.

Wsparła laskę o kolejny schodek.

– Teraz to już moje stałe akcesorium.

– Poczekaj. – Podeszedł i wziął ją na rękę. – Zróbmy to jak należy.

Przeniósł ją przez próg i wniósł do środka, dokładnie tak, jak sobie kiedyś wyobrażał. Gdyby mieli przed sobą długie lata wspólnego życia... ale któż wie, co go czeka? Wczoraj przeczytał w gazecie smutną historię o żołnierzu, który niedawno się ożenił, a teraz zginął, potrącony przez ciężarówkę, gdy przechodził przez jezdnię w Pompano Beach, na drodze A1A. Jego świeżo poślubiona żona pewnie niepokoiła się tym, że wkrótce czekał go wyjazd do Iraku, a nie tym, że będzie musiał przejść przez jezdnię, jak wyskoczy do spożywczaka po sok grejpfrutowy. Jest tak, jak powiedziała Meg: życie nie daje nam żadnych gwarancji. Zaniósł ją do kuchni i posadził na krześle.

– Pozwoliłem sobie, na własną odpowiedzialność, przewidzieć każde twoje życzenie – powiedział, otwierając lodówkę. Była wypakowana po brzegi wszystkim, co, jak pamiętał, lubiła: oranżadą, sokiem ananasowym, czekoladowym mleczkiem, nadziewanymi rulonikami Hostess Ho Hos i wszystkim, co tylko zobaczył na sklepowych półkach, a na co, jego zdaniem, mogła mieć ochotę. Wino, piwo, woda sodowa, ciasto limonkowe z kremem,

wędliny, sałatki... Chodziło o to, żeby przez cały ten tydzień nie musieli oddalać się z farmy.

– No, nie wiem – mruknęła Meg, zagładając do środka. – Nie wydaje mi się, żeby to zaspokajało każde moje życzenie. – Odwróciła się i objęła go. – Ale dobrze, zacznijmy od oranżady.

– Zacznijmy – zgodził się i pocałował ją. Tak jak dawno temu, kiedy zrobił to po raz pierwszy na schodkach, smak jej warg był nowy i znajomy zarazem... ale i słodszy, bardziej wytęskniony niż jakikolwiek pocałunek w jego życiu.

Spędzili wieczór na dworze, na leżakach, które specjalnie kupił. Stary, podobno studwudziestopięcioletni cyprys tworzył chłodny, zaciszny baldachim. Patrzyli spod niego, jak ptaki śmigają między gałęzmi pomarańczowych drzew, ciężkimi od dojrzewających owoców. Kiedy przekonywał ojca, żeby wyjechali z mamą na tydzień – do Paryża, o którym mama całe życie marzyła – mówił właśnie o tym: że pomarańcze lada moment dojrzeją.

„Potraktujcie to jak prezent na rocznicę ślubu, z wyprzedzeniem” – dodał na osłodę. Ważne było, aby Meg nie miała wrażenia, że jego staruszkowie ich obserwują. Kiedy odwiózł

rodziców na lotnisko w Orlando, mama uściśnęła go i powiedziała: „Jestem z ciebie dumna”.

Tato skinął głową i dodał: „Tak... to, co słuszne, przeważnie jest trudne”.

Ale to wcale nie było trudne – widzieć Meg tu, obok siebie, odprężoną, rozleniwioną i brązową od hawajskiego słońca. Nie było trudne – myśleć o tym, że za parę chwil zabierze ją na górę i pokaże jej, jaka jest wciąż pociągająca. Jediną trudną rzeczą było w tej chwili czekanie. Chciał stopić się z nią na powrót w jedną istotę, jedno tętno, jedno serce. Chciał

ocalić ją swoją miłością, jakkolwiek głupia byłaby to nadzieja. A jeśli jej nie ocali, to chciał

jej przynajmniej podarować moment nieśmiertelności, wyjścia poza czas, i wierzył, że przynajmniej to mu się uda, kiedy będą się kochać.

– Pamiętasz, gdzieśmy się poznali? – spytała Meg.

– W szkolnym autobusie. Pierwszego dnia w pierwszej klasie.

– W przedszkolu.

– Pokazywałaś wszystkim zdjęcie swojej malutkiej siostry. Roześmiała się.

– Kary. Byłam z niej taka dumna, jakbym ją sama urodziła.

– Pamiętam, że spytałem wtedy mamę i ojca, czemu się dotąd nie poznaliśmy z waszą rodziną... ale to tylko my, dzieci, nie mieliśmy dotąd okazji się poznać.

– Jak mogli nie uznać naszych kontaktów towarzyskich jako sprawy numer jeden na liście spraw do załatwienia!

– Aleja nadrobiłem stracony czas. Chyba co roku spędzałem odtąd lato w waszym domu!

– powiedział z uśmiechem. – To było o wiele zabawniejsze niż siedzieć samemu w naszym.

– Tylko po to ci byłem potrzebna, tak? Jako rozrywka. Lekarstwo na nudę.

– Tak. – Pocałował wewnątrz jej dłoni, a potem nachylił się i dotknął wargami karku. – A ty myślisz, że po co?

– Myślę, że od tej pory byłem stracona dla wszystkich innych mężczyzn na świecie – powiedziała cicho.

Jak on ją uwielbiał.

– Taki właśnie był mój diaboliczny plan.

Nad ich głowami wylądowało wśród gałęzi stadko jasnozielonych papużek, wypełniając powietrze radosnym świergotem. Meg przyglądała się im przez chwilę uważnie.

– Jak myślisz, co będzie później? – spytała.

– Coś, co ci się naprawdę bardzo spodoba – odparł, spoglądając na nią lubieżnie.

– Niepoprawny facet. Nie, chodzi mi o to, co będzie po życiu. W każdym razie po tym, które znamy.

– Aha. No cóż... Do mnie przemawia reinkarnacja. Lubię myśleć, że gdzieś tam istnieje coś w rodzaju przechowalni dusz, i kiedy przychodzi pora... nieważne, kto to ustala... rodzi się na nowo.

– Jako człowiek? Czy inna żywa istota?

– Jako człowiek. Myślę, że wszystko ma z góry określoną strukturę atomową... uczyłaś się chemii, prawda?

– O, tak. – Uśmiechnęła się. – I to ile.

– Myślę, że chodzi o układ elektronów, protonów, neutronów i w ogóle... z góry określony i niezmienny, chyba że naruszyłaby go jakaś kosmiczna katastrofa. No wiesz, na przykład jeśli jest burza na słońcu, kiedy znajdujesz się w przechowalni, to możesz skończyć jako karp albo, boja wiem... dżdżownica.

Roześmiała się.

– Niezbyt to pocieszająca wizja.

– A ty? Co według ciebie będzie później?

– Spokój, jeśli żyłeś jak należy. Jeśli nie, to musi istnieć jakaś forma rozliczenia. Nie piekło, ale rodzaj czyścica... może to o to chodzi w tych historiach z duchami? Kiedy ludzie je widują, mogą to potraktować jako ostrzeżenie.

– Widziałaś kiedyś ducha?

– Nie... ale nie widziałam też fal radiowych ani sygnałów satelitarnych, i nie wynika z tego, że są fikcyjne.

Coś w tym było.

– Może oboje mamy rację?

– Może.

Na ciemniejszym niebie, ponad pomarańczowymi drzewami, dostrzegł pierwszą gwiazdę.

Wskazał na nią.

– Pomyśl jakieś życzenie.

Meg utkwiała spojrzenie w gwieździe.

– W porządku – powiedziała po chwili. – A ty pomyślałeś?

– Jasne, ale nie mogę ci powiedzieć, bo się nie spełni.

– Wiem.

– Ale ci pokażę.

– Mam nadzieję.

62

O WSZYSTKIM POMYŚLAŁ. O świeżej, chłodnej pościeli, o świecach, nawet o starej płycie Milesa Daviesa. Powiedział, że jest trochę zdarta, ale ma nadzieję, że jej to nie będzie przeszkadzało.

I nie przeszkadzało.

Nie przeszkadzał jej także tatuaż z motywem winorośli, wijący się po jego ramieniu i barku, przez plecy, a potem schodzący w dół, do talii. Nie przeszkadzały jej odciski na palcach, gdy bładził nimi po jej chętnym, spragnionym ciele, ani to, jak odgarniał jej włosy z karku, żeby ją tam całować, ani niecierpliwość jego rąk, ani pośpiech jego bioder. Było tak jak zawsze, a zarazem tak, jak nigdy: nie byli już dziećmi, zniknęła nieśmiałość, towarzysząca odkrywaniu. Zнали już własne ciała, znali swoje upodobania, znali dawne granice rozkoszy – i szukali sposobów ich przekroczenia. To było złączenie i cielesne, i duchowe, i Meg smakowała każdy moment, każde

wrażenie.

Kochali się, jakby to była twórczość. Carson przywierał do niej gorączkowo, wciskał się w nią, jakby od tego zależało jego życie, ich życie. Jakby mógł zapewnić im w ten sposób wieczne trwanie.

I być może naprawdę tak się stało. Niedługo będzie mogła to sprawdzić, pomyślała, gdy leżała obok niego półsenna, szczęśliwa. Świece dopalały się w lichtarzach, księżyc zaglądał

przez okno. I odpowiedź na pytanie: jak, której poszukiwała od jakiegoś czasu, przyszła nagle sama, bez wysiłku, jakby potrzebowała tylko sytości uczuć i ciała, aby ją rozpoznać. Myślała o tym przez jakiś czas, patrząc, jak księżyc wznosi się coraz wyżej i niknie za koroną cyprysa.

Zdecydowała też kiedy. A potem zasnęła.

Jeden po drugim mijały idylliczne dni, przypominające jej tamten czas, kiedy byli dziećmi, kiedy jeszcze nie rozumiała, jak uboga jest jej rodzina, zanim urodziła się Beth, zanim przytłoczył ją ciężar odpowiedzialności, którego nie powinna dźwigać dziewczynka w jej wieku. Czytali z Carsonem, rozmawiali, jedli, drzemali – i kochali się. Chodzili do ich drzewa, na którym dotąd wisiała huśtawka, i wspominali wszystkie zdarzenia z tamtych lat, jakie tylko mogli sobie przypomnieć.

– Pamiętasz, jak sznur się zerwał, kiedy huśtała się Jules, i spadła, i złamała sobie nadgarstek?

– Pamiętasz, jak złapaliśmy małego koralowego węża arlekina, a ty zabrałaś go do szkoły, na lekcję praktycznej przyrody?

– A pamiętasz tę końską derkę w paski? – spytał raz Carson. Ni z tego, ni z owego wyciągnął derkę z za drzewa i kochali się na niej na ziemi.

Rozmawiali o jego pomysły, żeby zbudować dom w sadzie, niedaleko stąd, tak jakby była tutaj po to, by zobaczyć miejsce budowy i uczestniczyć w planowaniu – nieszkodliwa fantazja, nie miała nic przeciw temu, żeby się w niej popławić. Cały czas chodziła właściwie w piżamie: w koszulce John Deere i cienkich bawełnianych spodniach, ściąganych na sznurek. Bez butów. Bez żadnej biżuterii, oprócz łańcuszka. Bez pagerów i telefonów, z wyjątkiem tych od Savannah.

Siódmego dnia, w środę rano, siedzieli pod tylną ścianą szopy. Meg miała na kolanach dziennik z wetkniętą między kartki przesyłką z laboratorium. Obok niej Carson czytał *Moby Dicka*; powiedział, że od dawna chciał to zrobić, bo ktoś powiedział mu, że ma osobowość podobną do Ahaba. „Nastawienie na ceł, obsesja przeszłości... Gene mówił, że powinienem to

przeczytać”.

– Nie, ty jesteś inny niż Ahab – powiedziała z uśmiechem: w okularach do czytania wyglądał jak intelektualista. – Wiesz, kiedy zrezygnować. – A on odparł, że nie, nigdy nie rezygnuje, zmienia tylko taktykę. – Rozumiem – zgodziła się. – Tylko pamiętaj, uważaj, żeby nie skończyć w paszczy wieloryba.

Uśmiechnął się.

– Nie zdradzaj mi zakończenia. I nie martw się o mnie.

– To mój przywilej.

Nie wspomniała mu dotąd o tym liście, o testach, i sama też go nie otworzyła. Przyszedł, kiedy były z Savannah na Hawajach; gdy znalazła go w stosie poczty, którą podrzuciła jej Manisha, popatrzyła nań jak na koszyk z zamkniętą w nim jadowitą kobrą. A jeśli analiza wykazała, że ojcem Savannah jest Brian? Codziennie, robiąc wpis w dzienniku, myślała o tym, że trzeba by go otworzyć, i codziennie się wstrzymywała. Popatrzyła teraz na niego: zwykła biała koperta, nic szczególnego... Upewniła się, że Carson jest pogrążony w lekturze, i napisała powoli na odwrocie:

Najdroższy, w dniu mojego ślubu oszukałam i Ciebie, i Briana. Chciałam, jeśli się uda, mieć Twoje dziecko – pamiątkę, souvenir, dar miłości. Bo zawsze Cię kochałam, ale sądziłam, że ta miłość nie ma szans i że tracę Cię na zawsze. Wybacz mi, proszę, że byłam taka samolubna. W tej kopercie są wyniki badań DNA, które miały wykazać, czy Brian jest ojcem Savannah, czy nie. Zależało mi, żeby to ustalić, ale w tej chwili nie jestem w stanie zajrzeć do środka – tak strasznie pragnę, żebyś to Ty nim był, że trudno byłoby mi znieść, gdyby okazało się inaczej. Wolę nie wiedzieć.

Jeśli zdecydujesz się otworzyć kopertę, wiedz, że ani Savannah, ani Brian nie wiedzą o tym badaniu. Jeśli się okaże, że Savannah jest Twoją córką, możesz jej to powiedzieć lub nie – zależnie od tego, co uznasz za właściwe. W pełni ufam Twojej ocenie. Wiem, że tak czy inaczej jesteś jej bliski.

Twoja na zawsze Meg

Wsunęła znowu kopertę między strony dziennika. Później położy go w widocznym miejscu wraz z innym listem, który do niego napisała, a także listami do sióstr, do Manishy, do ojca – miał je przekazać adresatom. Sporządzała te notki w ciągu ostatnich kilku tygodni, zaś w tym tygodniu, wczesnym rankiem, kiedy Carson jeszcze spał, dokończyła list do niego.

Lepiej, żeby i on nie wiedział z góry zbyt wiele. Nie zniosłaby, gdyby się o nią martwił albo – z miłości – próbował ją powstrzymać.

Otworzyła dziennik na nowej stronie i zaczęła pisać do Savannah. Dla ręki był to taki wysiłek, jakby pchała po polu gład, ale nie pozwoliła sobie na słabość. Pora była blisko.

O pierwszej w nocy księżyc, nie w pełni jeszcze, ale tak jasny, jakby to była pełnia, przewędrował na zachodnią połowę nieba. Meg wysliznęła się spod ramienia Carsona, starając się go nie obudzić.

– Hm? – mruknął. – Gdzie idziesz?

– Do łazienki – szepnęła. – Spij.

Przyciągnął ją z powrotem do siebie i sennie pocałował.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Puścił ją i wstała, wspierając się o wezglowie. On zagarnął pod siebie poduszkę i z powrotem zapadł w sen. Na ustach miał ślad uśmiechu, który знаła niemal przez całe swoje życie. Wyglądał jak uosobienie zadowolenia i spokoju.

Ruszyła w dół po schodach, starając się nie potknąć. Nie zapalając światła, weszła do kuchni. Dziennik, listy, wszystko czekało już w szufladzie; wyjęła je i położyła na blacie, koło ekspresu do kawy. Potem chwilę pomyślała i przeniosła je na stół: nie będzie sobie zawracał głowy kawą.

Drzwi skrzypnęły, kiedy je otwierała. Zamarła na chwilę, potem domknęła je powoli, ale nie do końca, zatrzymując, zanim skrzypnęły ponownie. Aby się upewnić, że Carson za nią nie idzie, usiadła na leżaku i czekała. Noc była zaskakująco głośna od chóru żab, świerszczy i cykad; w oddali pohukiwała sowa. Blask księżyca przebijał przez koronę cyprysa, rzucając wokół niej podłużne cienie. Piękna noc, naprawdę.

Wspierając się ciężko na lasce, ruszyła przez gaj. Dzięki dbałości Jamesa McKaya szło jej się łatwiej, niż przypuszczała: ścieżki były wygrabione, wolne od opadłych owoców i gałązek. Tu i ówdzie poderwał się spłoszony nietoperz owocowy. Zaskoczyło ją to w pierwszej chwili. W miarę zbliżania się do jeziora potężniał śpiew żab. Kiedy wyłoniła się z gaju, nadbiegł truchcikiem pies Carolyn, Shep.

– Dobry pies – powiedziała, poklepując go po głowie. Shep obwąchał jej bosc nogi, a gdy przystanęła na brzegu, usiadł, jakby zamierzał razem z nią podziwiać lśniącą czarną powierzchnię wody. Pośrodku odbijał się w niej szlak księżyca.

Shep był kolejnym z psów, które trzymali McKayowie, aby pomagały

chronić jezioro przed aligatorami. James i Carolyn kąpali się tu od czasu do czasu, udostępnił je też dwóm nastolatkom, których rodzice kupili farmę rodziców Meg. Mimo to zabrała ze sobą mocną latarkę. Wzięła ją teraz do ręki i powiodła powoli po powierzchni wody, czy nie dojrzy dwojga złowrogo błyszczących oczu.

Nie, nie było aligatorów. Usiadła na piaszczystym brzegu, a potem położyła się na plecach i spojrzała w bezchmurne nocne niebo.

Od milionów lat ludzie robili to, co ona w tej chwili: patrzyli w gwiazdy, porównywali jaśniej i ciemniej świecące, doszukiwali się w nich jakichś wzorów, zastanawiali się, co to znaczy, że są tu, a nie gdzieś indziej. Niepoliczalne gwiazdy, niepoliczalni ludzie... Ona też nie różniła się od kobiety sprzed dziesięciu tysięcy lat, sprzed stu tysięcy. Wszystkie miały taką samą biochemię, takie same dwie ręce, dwie nogi, dwoje oczu i uszu, tę samą zdolność, by żywić nadzieję, że śmierć oznacza osiągnięcie jakiejś wyższej wiedzy. Iluminację.

Spełnienie.

Jakie to piękne, że niebo, rozległe i czarne, nie budzi lęku. Przeciwnie, wydawało się zaskakująco przyjazne. Czerń nie jest prawdziwa – w teleskopie na Mauna Kea widziała to na własne oczy. Całą tę pozornie czarną przestrzeń wypełniają nieprzeliczone punkciki światła.

Czerń to iluzja, granica ludzkiego widzenia.

Gdzieś tam, wysoko, gromadzi się niewidzialna energia dusz. A może ta energia jest wszędzie, tak jak światło?

Wstała – nawet bez ręki w temblaku było to trudne – i weszła do wody. Na płyciźnie była ciepła jak w wannie, dalej nieco się oziębiała. Shep brodził za nią, ale kiedy zrobiło się dla niego za głęboko, zawrócił. Ona szła powoli dalej, dopóki nie straciła gruntu. Wtedy położyła się na wznak i powoli popłynęła, pracując niemal wyłącznie lewą ręką i nogą.

Wreszcie się zatrzymała. Była pośrodku jeziora. Włosy falowały jej wokół głowy – jak aureola, pomyślała, wyobrażając sobie to, jak wygląda.

Kiedy po raz pierwszy pojawił się pomysł jeziora, pomyślała o dzieciach przed narodzeniem, żyjących jak kijanki w swoich wodnych enklawach. Aż do chwili, gdy wychodzą z łona matki, woda otula je i pieści niczym gniazdko. Wyjście stanowi dla nich szok: kwilą, krzyczą, wymachują rączkami i nóżkami, po chwili jednak uspokajają się i cichną, gotowe przyjąć to, co nadejdzie. Całkiem rozsądna była więc myśl, że może się to odbyć w odwrotnym kierunku.

Dziś jezioro stanie się jej matką.

Po paru minutach nawet zdrowsza ręka z trudem wykonywała swoją pracę, a nogi błagały o odpoczynek. Jeszcze przez chwilę, poruszając słabo kończynami, utrzymywała się na powierzchni; wreszcie, gdy nie była już w stanie utrzymać podbródka nad wodą, z ulgą pozwoliła ciału opaść pod powierzchnię.

Z otwartymi oczami, wstrzymując dech, leżała chwilę, patrząc w prześwitujący, rozmyty księżyc. Nocna lampa Matki Boskiej, mawiała matka, kiedy ona i siostry były małe.

Gdy i płuca zaczęły błagać o ulgę, nagłym, instynktownym ruchem wytchnęła powietrze.

Lepsze to, pomyślała, by uspokoić siebie samą niż tonąć powoli przez całe miesiące na oczach tych, których kocha.

Tych, których kocha...

Wciąż patrzyła w księżyc, w jego kojący, krzepiący blask. Po chwili, szybciej nawet niż sądziła, ciało i umysł się uspokoiły. Szkoda tylko, że nie będzie mogła powiedzieć Savannah, Carsonowi, ojcu, siostrze, nawet Brianowi, jakie to było dla niej łatwe, jakie słuszne. Leżała w głębinie jak w kołysce i patrzyła, zafascynowana, jak światło zbliża się i narasta, coraz jaśniejsze, przyjazne, swojskie.

Część V

Czymkolwiek przychodzi zapłacić,

Gdy w sercu najwięcej żalu, Powtarzam: lepiej kochać i utracić, Niżli nie kochać wcale.

Alfred Tennyson

63

Z NOTKI, JAKĄ ZOSTAWIŁA MEG NA KUCHENNYM STOLE, wynikało, że gdziekolwiek Carson ją znajdzie, jest już o wiele za późno, żeby dzwonić pod 911. Zadzwoił jednak, gdy Shep zaprowadził go nad jezioro i ją zobaczył. Zadzwoił, a potem popłynął do niej. Była zimna, bez życia, ale oczy miała otwarte i lekki uśmiech na ustach.

– Boże, Meg – szepnął. Trzął się na całym ciele, jakby osunął się w nim jakiś uskok tektoniczny.

Zaczął ją holować do brzegu. Mógł podejrzewać, że zrobi coś takiego... Czy w całym jej życiu zdarzyło się, by sprawiła komukolwiek kłopot swoją osobą? To ona była tą, która się troszczy, dogląda, otacza opieką, dba, żeby wszystko było jak należy... To, co zrobiła, pasowało do tego idealnie. Tak jak napisała w liście, w ten sposób nikt nie odczyta błędnie ani nie zignoruje jej życzeń. Nawet on. Bo przecież, Boże święty, wiedziała, że gdyby miał możliwość wyboru, nie pozwoliłby jej odejść. Jeszcze nie teraz.

Padł na kolana, wziął ją w objęcia i łkał niepowstrzymanie, dopóki nie przyjechała karetka.

– No już, już – mówiła uspokajająco młoda kobieta w mundurze, rozplatając ramiona Carsona. – Proszę pozwolić sobie pomóc.

Szybko potwierdzili to, co im powiedział – że już za późno na ratunek – zadali parę pytań, po czym ostrożnie, tak jakby mogli Meg coś złamać, przenieśli ją na nosze i ponieśli z uroczystą powagą w kierunku domu.

W godzinę później, kiedy lekarze i policjanci potwierdzili śmierć Meg na skutek „przypadkowego” utonięcia, patrzył w milczeniu, jak dwóch uprzejmych mężczyzn z zakładu pogrzebowego zabiera jej ciało. Wrócił do szopy, aby wykonać pozostałe telefony. Ranek był

oślepiająco pusty. Czy to możliwe, że jest dopiero piętnaście po ósmej?

Zostawiła mu szczegółowe instrukcje, włącznie z informacjami, które jej zdaniem mogły zostać wykorzystane przy formułowaniu wspomnienia pośmiertnego. Dołączyła napisany miesiąc temu esej na temat fundamentalnego prawa chorego do decydowania o własnej śmierci – i obowiązku lekarza, aby mu w realizacji tego prawa pomóc. W liście napisała, że być może zechce to zamieścić lokalna gazeta, on jednak pomyślał, że spróbuje opublikować tekst w mediach federalnych.

Obok listu z instrukcjami leżał dziennik, który sporządziła dla Savannah. Do dziennika przymocowane były gumką apteczną zdjęcia, które zrobili

sobie na koncercie. Przyglądał się im długą chwilę, po czym odwrócił. „Dla Carsona – aby pamiętać” – napisała na odwrocie.

Drżącą ręką wybrał numer Spencera, , a potem Kary, którą Meg wymieniła na liście drugą. Nie bardzo wiedział, co im powiedzieć, działał jak automat, zdalnie sterowany instrukcjami Meg. Tak jak przewidziała Meg, Kara we łzach sama podjęła się zadzwonić do Briana, Juliannę i Beth – a także Savannah – i siedział teraz z twarzą w dłoniach, trzymając na kolanach kopertę z wynikami badań.

Bał się ją otworzyć, niemal tak samo, jak musiała się tego obawiać Meg. Czy Savannah jest jego córką? Co za wstrząsająca, cudowna możliwość. Zastanawiał się nad tym szesnaście lat temu, kiedy matka powiedziała mu, że widziała w gazecie ogłoszenie o jej narodzinach.

Zastanawiał się – i pragnął – tylko przez parę dni. Uznał, że Meg zrobiła coś odwrotnego, niż, jak już wiedział, zrobiła w rzeczywistości. Pomyślał, iż upewniła się najpierw, iż nie jest w ciąży z nim, i dopiero potem zaszła w ciążę z Hamiltonem, tak by dziecko miało niepodważalne prawa do spadku. Oszukała go, starannie zataiła przed nim swój plan – i wtedy, i teraz. Oszukała – dla jego własnego dobra. Po to, aby go ochronić... a raczej ochronić ich wszystkich. W końcu jednak uznała, że powinien znać prawdę. I wszystko to robiła z miłości.

Odłożył kopertę i spędził resztę dnia na leżaku, z mrożoną herbatą w ręce, czytając dziennik. W liście Meg dała mu swoje przyzwolenie, aby go przeczytał, jeśli będzie miał

ochotę. Prosiła tylko, aby przekazał go bezpośrednio Savannah, a nie przez Briana czy nawet Beth. Płakał na myśl, że o wszystkim pomyślała i że tak bezgranicznie mu ufała. Gdyby mógł

ją jeszcze odzyskać. Po to, by powiedzieć: podziwiam cię. Po to, by powiedzieć: dziękuję.

Dotarł do końca późnym popołudniem. Ostatni wpis z trudem mógł odczytać: pismo było chwiejne, niewyraźne. Jak wiele wysiłku i ręki, i serca włożyła w ten tekst!

Najdroższa córeczko, to będzie moje pożegnanie.

Mam wrażenie, że cały ten dziennik brzmi trochę jak skrzyżowanie przemówienia na uroczystości rozdania dyplomów z weselnym toastem.

Przepraszam, że tak to wyszło. Taka jednak jest moja rola: przekazać ci moją wiedzę i doświadczenie, teraz, gdy przechodzisz do kolejnej fazy swego życia – życia po matce. Liczę, że będzie to dla Ciebie czas długi i pełen cudownych

zdarzeń.

Kiedy byłaś całkiem mała, zadawałaś mi mnóstwo pytań – o wszystko, co tylko przyciągnęło twoją uwagę. Dlaczego ropuchy mają krosty? Jak to możliwe, że kolana flamingów zginają się do tyłu? Dlaczego moje buty nie rosną, kiedy je podlewam? Żądałaś odpowiedzi, a ja starałam się ci je dawać. Najszczęśliwsze chwile każdego dnia spędzałam z tobą, nawet jeśli było to tylko kilka minut sennych pytań, zadawanych tuż przed zaśnięciem.

Któregoś dnia spytałaś, dlaczego naukowcy potrafią z odległości trzystu milionów kilometrów określić, z czego zrobione jest słońce i jak się pali, a nie potrafią powiedzieć, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Nie miałam na to dobrej odpowiedzi. Śmierć wydaje się taka zwykła, prawda? W końcu jest to, podobnie jak narodziny, najbardziej powtarzalne doświadczenie, jakie jest dane przeżywać nam, istotom żyjącym. Zacytowałam ci Piotrusia Pana: „Śmierć będzie największą przygodą mojego życia”. A ty powiedziałaś, że być może naukowcy już ustalili, jak to jest, tylko nie wiedzą, jak wrócić, żeby powiedzieć wszystkim, czego się dowiedzieli.

Teraz spytasz na pewno, dlaczego nie zostałam z wami tak długo, jak długo pozwoliłaby mi choroba. Jestem przecież lekarką, możesz się spierać, zobowiązana przysięgą do ratowania i podtrzymywania życia – również własnego. Przeczytałaś już na pewno to, co pisałam wcześniej: że nie chcę być więźniem we własnym ciele i stawiać cię w sytuacji, kiedy musiałabyś tygodniami patrzeć na mój powolny upadek. Nie zniósłabym tego. Moja decyzja może ci się wydawać przedwczesna, ale jestem przekonana, że to najbardziej bezbolesne rozwiązanie – dla nas wszystkich. Nie wyobrażam sobie gorszej tortury niż wspólnie przeżywana bezradność, gdybym umierała powoli na waszych oczach.

Wszystkim nam przydarzyła się rzecz straszna, co do tego nie ma wątpliwości. Kiedy wykryto i zdiagnozowano moją chorobę, pomyślałam, że mam przed sobą okropny wybór: jaką mam umrzeć śmiercią. Przypomniało mi to tych nieszczęsnych ludzi w World Trade Center 11 września 2001 r., którzy mieli do wyboru śmierć w płomieniach albo na skutek upadku. Straszna sytuacja, przerażający wybór – a jednak zawsze jakiś wybór. Jest w tym szczególna wolność i godność, jeśli możemy wybierać.

I ostatnia rzecz: niemal przez całe życie moje najlepsze wspomnienia i najprawdziwsza uczucia trzymałam w ukryciu, by nie zburzyły fasady, jaką zbudowałam.

Pięknej, szacownej, ale fasady. Doshwnie w ostatniej chwili zdążyłam się

nauczyć, że szczęście jest tylko w tym, co prawdziwe. Wciągu ostatnich paru miesięcy uleczyłam te fragmenty mojego życia i jestem teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek. A więc pora odejść.

Idź naprzód i zachowaj w sercu moje słowa, bo gdziekolwiek jestem w chwili, gdy to czytasz, ty na zawsze pozostaniesz w moim.

Kocham cię, Mama

Łzy znowu przesłoniły mu wzrok. Zamknął dziennik i zdjął okulary. Przed nim roztaczał

się gaj: ściana zieleni poznaczona pomarańczowymi punkcikami. Wstał, włożył list z laboratorium do tylnej kieszeni i ruszył raz jeszcze nad jezioro.

Widział Meg wszędzie: jak idzie, utykając, ciemną ścieżką – dzisiejszej nocy, jak zwisa z drzewa niczym małpa, gdy ma sześć lat, jak biegnie ze śmiechem, bosa, do jeziora, ścigając się z nim i wygrywając w połowie dystansu, gdy ma lat czternaście. Przywiezie tu Savannah – bez względu na to, co mówią wyniki... o ile je w ogóle sprawdzi – I opowie jej o tych momentach z przeszłości Meg, których ona sama nie zdążyła opowiedzieć.

Z sercem w gardle stanął na brzegu jeziora i ostrożnie rozciął scyzorykiem brzeg koperty.

Jeszcze nie jest za późno, pomyślał, wyjmując dwie złożone kartki papieru. Jeszcze może wrzucić je do wody i nikt nic nie będzie wiedział, włącznie z nim. Tak byłoby najprościej – uniknąłby tych wszystkich oczekiwań, rozczarowań, rozterek...

Papier zdawał się nasycony swoją własną mocą. Zmuszał, by go przeczytać. Carson wyjął

z kieszeni okulary i założył je. Drżącymi rękami rozpostarł kartki i prześledził kilka wstępnych

akapitów,
brzmiących

nad

wyraz
rzeczowo.

Naukowa
gadka,
prawdopodobieństwo statystyczne, granice dopuszczalnego błędu... Ale
co to wszystko w sumie daje?

Shep podszedł i trącił go nosem w łydkę. Carson poklepał psa
machinalnie, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w list – i uśmiechnął
się.

Epilog

Jak krótkie były dni wina i róż!

Zniknęły jak w mglistym śnie

Nasza ścieżka wylania się na chwilę z mgły

I ginie we mgle.

Ernest Dowson

Wieczór Sylwestrowy, 2006

JOHNNY SIMMONS STAŁ NA PODIUM, obejmując Carsona ramieniem. Mieli przed sobą niemal tysiąc rozochoconych fanów. Savannah stała w kulisach, zaplatając i rozplatając długi kosmyk włosów. Ledwie oddychała z emocji.

– ... tak mu się u nas spodobało, że zdecydował zostać tu na dłużej i regularnie nas molestować – mówił Johnny. – Jak myślicie, chyba to wytrzymamy kilka razy na rok?

Tłum zaryczał z aprobatą.

– No to pamiętajcie, że sami tego chcieliście – zakończył Johnny. Wyszedł z kręgu światła i za kulisami dołączył do Savannah.

Carson, ubrany swobodnie jak zawsze, z racji uroczystej okazji dorzucił tym razem do niebieskich džinsów i podkoszulka czarną marynarkę. Zdjął mikrofon ze stojaka i powiedział: – Dzięki, że przyszliście, żeby powitać razem z nami Nowy Rok! Wiecie co, ja też bym nie potrafił wymyślić lepszego sposobu na świętowanie tego wieczoru!

Gwizdy, okrzyki.

– Zdołałem przekonać mój zespół, że Floryda to nie takie okropne miejsce na zimę, łapiemy więc tu od jakiegoś czasu trochę słońca, a przy tym pracowaliśmy nad jedną nową rzeczą... nawet nasz menedżer, Gene, jeszcze tego nie słyszał. – Carson osłonił dłonią oczy, tak by mógł dojrzeć pierwszy rząd. Gene podniósł obie ręce z nastawionymi kciukami.

Johnny objął Savannah ramieniem.

– Gotowa? – spytał, nachylając się do jej ucha. Nie ufała głosowi, skinęła więc tylko głową.

– Będiesz świetna, nie pękaj!

Carson przedstawiał teraz kolejno członków zespołu. Ona była na końcu listy. Skręciło ją w dołku, dobrze, że nic wcześniej nie jadła.

– ... i szczególnie serdeczne powitanie dla gościa specjalnego naszego wieczoru, panny Savannah Rae!

Zamarła, niezdolna się poruszyć. Johnny popchnął ją lekko. Nie było wyjścia: reflektor już ją odszukał. Ruszyła na środek sceny, gdzie Carson powitał ją uściskiem. Spojrzała na widownię: w pierwszym rzędzie razem z Gene'em siedzieli przy stoliku Rachel, ciocia Beth i Jonathan. Czują, że jej długo ćwiczony uśmiech wygląda jak przylepiony. Ale przynajmniej dobrze wyglądała: miała na sobie takie same džinsy jak Carson i żarówiasto-zieloną

koszulkę z wymalowaną srebrną farbą uśmiechniętą buźką.

Kiedy tłum przycichł, Carson znowu zabrał głos.

– Dzisiejszy wieczór to pierwszy publiczny występ Savannah, ale gra na gitarze i komponuje już od dłuższego czasu. Pierwszy numer, który dla was przygotowaliśmy, to piosenka napisana wspólnie z Savannah na cześć jej mamy, mojej bardzo bliskiej przyjaciółki. Straciliśmy ją w lipcu.

Spojrzał na nią i zrobił ruch głową.

– Wszystko dobrze? – szepnął.

– Nie – pisnęła ochryple, ale nie przestając się uśmiechać, podeszła na swoje miejsce obok fortepianu. Zawiesiła gitarę na ramieniu i czekała.

Carson usadowił się na taborecie i dał

znak zespołowi. Zabrzmiały łagodne fortepianowe dźwięki – wprowadzenie.

– Ta piosenka wiąże się jakoś z Nowym Rokiem, który jednocześnie przywołuje przeszłość i otwiera przed nami nowy etap drogi – powiedział Carson. – Nie sądzicie?

Przygotowywali ten koncert od pół roku i Savannah zdawało się czasem, że to jedyna rzecz, która wiąże ją z tą planetą. Nie była gotowa by stracić matkę, i złościła się na nią przez kilka tygodni – dopóki Carson nie namówił jej, by przeczytała dziennik mamy.

– Wiem, że tego nie chciałaś – powiedział – ale pozwól jej się wytłumaczyć. – Czekał z tym cierpliwie na właściwy moment, nie nalegał, gdy schroniła się u Beth, bo tata wciąż wyjeżdżał – do Londynu, Bostonu, Waszyngtonu, Atlanty.

Przeczytała go trzy razy – i poczuła, że jej serce z powrotem się otwiera, jak natura na wschodzące słońce. Kiedy postawiła się w położeniu mamy, poczuła, że jej uraza i złość to egoizm. Niektórzy mogą myśleć, że to samobójstwo jest przejawem egoizmu – i rzeczywiście bywa tak wtedy, gdy ktoś sam kończy życie, które można jeszcze uratować czy naprawić.

Jeśli nie – cóż, mogła zrozumieć, że człowiek chce przynajmniej zachować godność, wybierając swój los.

Poczuła, że jest dumna z matki i wybaczyła jej, że się z nią nie pożegnała. Takie pożegnanie byłoby po prostu niemożliwe.

Przyszła zwrotka, którą grała i śpiewała wspólnie z Carsonem.

Zabierz z sobą tyle, ile trzeba

Nic więcej.

Droga jest długa, ramiona wątłe

*Nie bierz nic więcej.
Zabierz z sobą tyle, ile trzeba
Wychodząc, zatrzaśnij drzwi.
Jeszcze poleje się wino, zakwitną róże
Opadną mgły.*

Próbowali przekazać w tej piosence mądrość mamy. Kiedy układali tekst, Carson powiedział: „To tak jakby nam podarowała tę piosenkę, nie sądzisz? Napisała, że jeśli zamykamy przeszłość na klucz, tracimy rzeczy, które warto zachować albo zaprzeczamy ich istnieniu. Ale gdy bierzemy z przeszłości za dużo, przygniata nas”. Z początku Savannah nie widziała tego tak wyraźnie, ale po chwili wszystko zaczęło nabierać sensu. Wybaczyła mamie, ale wciąż jeszcze musiała pogodzić się z tą stratą. Nie może nieustannie drążyć przeszłości ani pozwolić, by ją pochłonęła. Musi znowu wziąć na barki ciężar własnego życia i po prostu żyć.

Łatwo pracowało się z Carsonem – któż rozumiał jej ból lepiej niż on? I gdy w zeszłym miesiącu przyjechał ją odwiedzić u cioci Beth – miała tam własny pokój, utrzymany w bladych odcieniach morza i piasku – i wziął ją za rękę, i powiedział, co naprawdę robiła mama tego dnia, kiedy spotkali się przed laboratorium, była niemal przygotowana na tę nowinę.

- Wiesz, co to jest miłosny trójkąt, prawda? – spytał.
- Mówisz o mamie, tacie i tobie, tak? Skinął głową.
- Tyle że w naszym wypadku to był miłosny czworokąt.
- Nie łapię – powiedziała. Czy miał na myśli Val? Mówił przedtem, że była zraniona, kiedy ze sobą zerwali, ale go rozumiała.
- Twoja mama, tata, ja i ty. – I pokazał jej wyniki badań, a także to, co mama napisała na kopercie, w której przyszły.
- Miłosny czworokąt – powtórzyła z namysłem. Hm... podobał jej się ten obraz, i to z każdej strony.

Tata – to znaczy Brian... nie, Brian zawsze pozostanie jej ojcem, nic nie zmieni ich wspólnej historii – przyjął nowinę dosyć dobrze, w każdym razie na zewnątrz. Nie wydawało się, żeby był zaskoczony. Co do niej, wciąż jeszcze przetrawiała w myślach tę sprawę, starała się wpasować Carsona w dotychczasowy obraz świata, ustawić go w jednym rzędzie z tatą.

Cały czas łapała się na tym, że patrzy na Carsona i doszukuje się w jego wyglądzie i sposobie bycia własnych cech. Bardzo pomocne było to, że go lubiła. Był naprawdę świetnym człowiekiem – trochę humorzastym, ale ona też miewała humory. Kolejna cecha, jaka ich łączyła.

Znowu przeszli do refrenu. Savannah popatrzyła na zasłuchane twarze fanów Carsona i poczuła ściskanie w gardle. Lubili i ją, i piosenkę... Wiedziała, że Carson nie wystawiłby jej do wiatru, ale reakcja publiczności była krzepiąca. Naprawdę słuchali i muzyki, i słów, które pomagała napisać, słyszeli je, współodczuwali, współbrzmiali.

Piosenka zbliżała się do końca: jeszcze raz miał rozbrzmieć duet ich głosów i instrumentów. Nachyliła się do mikrofonu, czując, że dwie łzy ściekają jej w kącikach oczu.

Oczy Carsona też błyszczały wilgocią. Zaśpiewali refren po raz ostatni, zagrała finałowe nuty i przymknęła powieki. Tłum wybuchnął aplauzem, a ona była pewna, że czuje na ramionach ciepłe ręce mamy.

– Dla ciebie – szepnęła.